

FRANZ KAFKA

ZAMEK

(Tłumaczyli: Krzysztof Radziwiłł, Kazimierz Truchanowski)

Rozdział 1

Był późny wieczór, kiedy K. przybył. Wieś leżała pod głębokim śniegiem. Góry zamkowej nie było wcale widać, otoczyły ją mgły i mrok, nawet najsłabsze światelko nie zdradzało obecności wielkiego zamku. K. stał długo na drewnianym moście, wiodącym z gościńca do wsi, i wpatrywał się w pozorną pustkę na górze.

Potem poszedł szukać noclegu; w oberży jeszcze czuwano, oberżysta nie miał wprawdzie żadnego wolnego pokoju do wynajęcia, ale - zaskoczony i speszony w najwyższym stopniu przybyciem spóźnionego gościa - zaproponował, aby K. przespał się w jadalni na sienniku. K. zgodził się. Kilku chłopów siedziało jeszcze przy piwie; nie chciał jednak z nikim rozmawiać, sam przyniósł siennik ze strychu i położył się w pobliżu pieca. Było ciepło, chłopci zachowywali się cicho. K. przez jakiś jeszcze czas patrzył na nich zmęczonymi oczyma, potem zasnął.

Ale wkrótce obudzono go. Ubrany z miejska młodzieniec z twarzą aktora, o wąskich oczach i krzaczastych brwiach, stał nad nim w towarzystwie oberżysty. Chłopi też jeszcze byli, niektórzy z nich poodwracali się wraz z krzesłami, by lepiej widzieć i słyszeć. Młodzieniec przeprosił grzecznie, że obudził K., przedstawił się jako syn burgrabiego na zamku i powiedział:

- Wieś ta należy do zamku. Kto tu mieszka lub nocuje, mieszka lub nocuje do pewnego stopnia w zamku, nikomu jednak nie wolno tego uczynić bez hrabskiego zezwolenia. Pan takiego zezwolenia nie ma albo przynajmniej dotychczas go nie okazał.

K. na wpół się podniósł, przyglądał włosy, spojrzał na ludzi z dołu i rzekł:

- Do jakiejż to wsi zabłądziłem? Czy jest tu zamek?

- Oczywiście - oznajmił powoli młodzieniec, podczas gdy ten i ów z obecnych kiwał nad K. głową - zamek pana hrabiego Westwest.

- i trzeba mieć zezwolenie na nocleg? - spytał K., jak gdyby chciał się upewnić, czy to, co uprzednio mu zakomunikowano, nie było przypadkiem snem.

- Zezwolenie trzeba mieć - brzmiała odpowiedź, a w jej tonie słychać było drwinę z K., kiedy młodzieniec z wyciągniętą ręką zwrócił się do oberżysty i gości z pytaniem: - A może nie trzeba mieć zezwolenia?

- W takim razie muszę wystarać się o zezwolenie - powiedział K. ziewając i odrzucił koldrę, jak gdyby chciał wstać.

- A od kogo? - spytał młodzieniec.

- Od pana hrabiego - odparł K. - Nie ma innego wyjścia.
- Jak to? Teraz, o północy, uzyskać zezwolenie od pana hrabiego?
- zawołał młodzieniec i zrobił krok w tył.
- Czy jest to niemożliwe? - spytał K. obojętnie. - Wobec tego po co pan mnie obudził?
Teraz młodzieniec się zirytował. - Zachowuje się pan jak włóczęga!
- krzyknął. - Wymagam respektu dla hrabskiej władzy! Obudziłem pana, aby mu zakomunikować, że musi pan niezwłocznie opuścić granice hrabskich posiadłości.

- Dość tych komedii - powiedział K. dziwnie cicho, położył się i naciągnął kołdrę na głowę. - Posuwa się pan, młodzieńcze, trochę za daleko i będę musiał jutro powrócić do sprawy pańskiego zachowania się. Oberżysta i ci tam panowie są świadkami, o ile w ogóle potrzebuję w tej sprawie świadków. Poza tym pozwoli pan sobie oznajmić, że jestem geometrą, którego hrabia kazał tu sprowadzić. Moi pomocnicy z przyrządami mierniczymi przybędą tu jutro wozem. Ja nie chciałem pozbawiać się przyjemności spaceru po śniegu, niestety jednak kilka razy zmyliłem drogę i dlatego tak późno przybyłem. O tym, że teraz jest już za późno na meldowanie się w zamku, sam dobrze wiedziałem jeszcze przed pańskim pouczeniem. Dlatego też zadowolilem się tym noclegiem, który, mówiąc łagodnie, był pan nieuprzejmy zakłócić. Na tym kończę swoje wyjaśnienia. Dobranoc panom. - I K. odwrócił się do pieca.

- Geometra? - usłyszał jeszcze za swoimi plecami niepewne pytanie, po czym zaległa ogólna cisza. Ale młodzieniec opanował się wkrótce i rzekł do oberżysty głosem na tyle ściszym, iż mógł on

uchodzić za respektowanie snu K., i na tyle głośnym, by K. mógł go zrozumieć: - Zapytam przez telefon.

Jak to? i telefon mają w tej wiejskiej oberży? Wszystko tu doskonale zorganizowane. W szczegółach było to dla K. niespodzianką, choć na ogół tego się spodziewał. Okazało się, że telefon znajdował się niemal nad samą jego głową, czego przedtem nie zauważył, gdyż był zbyt senny. Jeśli więc młodzieniec miałby rozmawiać przez telefon, nie mógłby mimo najlepszych chęci snu K. uszanować. Chodziło tylko o to, czy K. ma mu na to pozwolić, w końcu wszakże zdecydował się pozwolić. Ale wtedy nie było sensu udawać śpiącego i dlatego przewrócił się znowu na wznak. Ujrzał, jak chłopci nieśmiało przysunęli się do siebie bliżej i naradzali. Przybycie geometry nie było przecież drobnostką. Drzwi od kuchni otworzyły się. Stała w nich żona oberżysty, wypełniając swą potężną postacią cały otwór, mąż zaś podszedł do niej na palcach, by ją poinformować. Potem zaczęła się rozmowa telefoniczna. Okazało się, że burgrabia spał, ale jego zastępcą lub raczej jeden z jego zastępców, pan Fryc,

był obecny. Młodzieniec, który przedstawił się jako Schwarzer, opowiedział, że zastał K., mężczyznę około trzydziestki, mocno obdartego, gdy spokojnie spał na sienniku, z malutkim plecakiem zamiast poduszki pod głową i sękatą laską leżącą tuż obok. Toteż, oczywiście, K. wydał mu się podejrzany, a ponieważ oberżysta tego nie dopilnował, on Schwarzer, poczuwa się do obowiązku, by sprawę tę wyświecić. Ale K. zareagował bardzo nieuprzejmie na obudzenie go, na wypytywanie i zgodną z przepisami groźbę wydalenia z granic hrabstwa, w końcu zaś okazało się, że może i miał do tego prawo, gdyż twierdził, iż jest sprowadzonym przez pana hrabiego geometrą. Naturalnie jest co najmniej formalnym obowiązkiem to jego twierdzenie sprawdzić i dlatego on, Schwarzer, prosi pana Fryca, aby zapytał w kancelarii głównej, czy tego rodzaju geometra był naprawdę oczekiwany, i by od razu przekazał uzyskaną odpowiedź telefonicznie.

Potem nastała cisza, Fryc dowiadywał się tam, a tu czekano na odpowiedź. K. nie zmienił pozycji, nawet się nie obrócił, nie zdradzał żadnego zainteresowania i patrzył przed siebie. Opowiadanie Schwarzera, ostrożne i złośliwe *zarazem*, dało mu do pewnego stopnia pojęcie o dyplomatycznym wyrobieniu, które w zamku mieli nawet tacy ludzie jak Schwarzer i łatwo je sobie przyswajali. I pilności również im tam nie brakowało; kancelaria główna miała dyżury nocne i odpowiedź chyba nadeszła bardzo szybko, gdyż Fryc już dzwonił. Odpowiedź wypadła jednak bardzo krótka, gdyż Schwarzer zaraz cisnął ze złością słuchawkę. - Przecież mówiłem! - krzyczał.

- Ani śladu geometry, ordynarny, zakłamaný włóczęga i prawdopodobnie jeszcze coś gorszego. - Przez chwilę K. myślał, że wszyscy: Schwarzer, chłopci, oberżysta i jego żona, zaraz się na niego rzucą. Aby uniknąć przynajmniej pierwszego impetu, zagrzebał się z głową pod kołdrę. Nagle telefon znowu zadzwonił i -jak wydawało się K. - specjalnie głośno. Powoli wysunął głowę. Choć było nieprawdopodobne, aby znowu chodziło o K., wszyscy zamarli, Schwarzer zaś podszedł znowu do aparatu. Wysłuchał jakiegoś dłuższego wyjaśnienia, po czym powiedział cicho: - A więc pomyłka? Bardzo to dla mnie przykre. Szef biura osobiście telefonował? Dziwne, dziwne. Jak mam to panu geometrze wytłumaczyć?

K. zamienił się cały w słuch. A więc zamek mianował go geometrą. Z jednej strony było to dla niego niepomysłne, gdyż świadczyło o tym, że w zamku wszystko potrzebne o nim wiedziano, że rozważono układ sił i beztrósko podjęto walkę. Z drugiej strony jednak było to również pomysłne, gdyż dowodziło, że -jak mniemał

- nie doceniono go i że będzie miał więcej swobody, niż mógł to z góry przewidywać. A jeśli uważano, że przez to protekcyjne uznanie jego zawodu geometry będzie można trzymać go stale w szachu, to zachodziła pomyłka; wstrząsnął nim lekki dreszcz, i to

wszystko.

Nieśmiało zbliżającego się Schwarzera K. powstrzymał ruchem ręki; odmówił przeniesienia się do pokoju oberżysty, do czego chciano go zmusić, przyjął jedynie od niego środek nasenny, dostał od oberżystki miednicę, mydło i ręcznik i nie potrzebował nawet żądać, by jadalnię opróżniono, gdyż wszyscy tłoczyli się już we drzwiach, zasłaniając sobie twarze, by jutro nie mógł ich rozpoznać. Zgaszono lampę i miał wreszcie spokój. Spał mocno aż do rana, zaledwie raz czy dwa razy obudzony przelotnie przez przebiegające szczury.

Po śniadaniu, które -jak w ogóle cały koszt pobytu K. - miało być według informacji udzielonych przez oberżystę opłacone przez zamek, chciał zaraz udać się na wieś. Ale ponieważ oberżysta, z którym - pamiętając jego wczorajsze zachowanie - rozmawiał tylko o rzeczach niezbędnych, z niemym błaganiem w oczach ciągle kręcił się wokół niego, zlitował się w końcu nad nim i pozwolił mu usiąść na chwilę obok siebie.

- Nie znam jeszcze hrabiego - rzekł K. - podobno płaci dobrze za dobrą pracę, prawda? Jeżeli odjeżdża się tak daleko jak ja od żony i dziecka, to chce się przynajmniej coś do domu przywieźć.

- Co do tego nie potrzebuje się pan niepokoić. Nikt nie narzeka tu na krzywdzącą zapłatę.

- Bo ja - rzekł K. - nie należę do nieśmiałych i potrafię nawet hrabiemu powiedzieć, co myślę, ale oczywiście dogadać się z tymi panami bez kłótni jest o wiele lepiej.

Oberżysta siedział naprzeciwko K. na brzeżku parapetu, gdyż nie śmiał wygodniej się usadowić, i wpatrywał się przez cały czas w K. wielkimi, piwnymi, pełnymi lęku oczyma. Z początku chciał koniecznie zbliżyć się do K., teraz zaś wydawało się, że najchętniej by uciekł. Czy obawiał się, by nie zaczęto wypytywać go o hrabiego? Czy bał się niedyskrecji „pana”, za którego uważał K.? K. musiał odwrócić jego uwagę. Spojrzał na zegarek i rzekł:

- Niedługo przybędą moi pomocnicy. Czy będziesz mógł ich tu pomieścić?

- Oczywiście, panie - odparł. - Ale czy nie będą razem z tobą mieszkać w zamku?

Dlaczego oberżysta tak łatwo i chętnie rezygnował z gościa, a zwłaszcza z K., którego uparcie odsyłał do zamku?

- To nie jest jeszcze pewne - powiedział K. - Najprzód muszę dowiedzieć się, jaka tu mnie czeka robota. Jeżeli na przykład będę musiał pracować tu na dole, to będzie rozsądniej tu na dole zamieszkać. Obawiam się również, że życie tam na górze, na zaniku, nie będzie mi odpowiadało. Chcę być zawsze niezależny.

- Nie znasz zamku - rzekł cicho oberżysta.

- Zapewne - odparł K. - nie należy z góry przesądzać. Na razie nie wiem o zamku nic

więcej, jak tylko to, że umieją tam wyszukać odpowiedniego geometrę. Być może posiadają jeszcze inne zalety. - Po czym wstał, by uwolnić od swego towarzystwa niespokojnie przygryzającego wargi oberżystę. Pozyskać zaufanie tego człowieka nie było rzeczą łatwą.

Wychodząc K. zauważył na ścianie ciemny portret w ciemnych ramach. Jeszcze leżąc na swym posłaniu zwrócił na niego uwagę, ale na odległość nie odróżniał szczegółów i myślał, że sam obraz został wyjęty, tak że widać było jedynie czarną tylną deskę ramy. Ale okazało się, że był to jednak obraz, portret jakiegoś pięćdziesięcioletniego mężczyzny. Głowę miał tak nisko opuszczoną na piersi, że prawie nie widać było jego oczu. O pochyleniu głowy zdawało się decydować wysokie, ciężące w dół czoło i wydatny haczykowaty nos. Gęsta broda na skutek pozycji głowy była przyciśnięta podbródkiem, a nieco niżej odstawała. Lewa ręka zanurzona była w gęstym zaroście, ale widocznie nie mogła podnieść głowy.

- Kto to? - spytał K. - Hrabia? - K. stał przed obrazem i nie oglądał się wcale na oberżystę.

- Nie - odparł tamten - to burgrabia.

- Pięknego, zaiste, burgrabiego mają na zamku - rzekł K.

- Szkoda, że ma takiego nieudanego syna.

- Nie - powiedział oberżysta, przyciągnął K. nieco ku sobie i szepnął mu do ucha: - Schwarzer wczoraj błagował, jego ojciec jest tylko zastępcą burgrabiego, i to jednym z najmniej ważnych.

W tej chwili oberżysta wydał się K. dzieckiem. - Łobuz! - wtrącił K. śmiejąc się, ale oberżysta nie zaśmiał się z nim razem, lecz powiedział: - Jego ojciec też jest potężny.

- Ech - rzekł K. - ty uważasz każdego za potężnego, może nawet mnie?

- Ciebie - odparł oberżysta nieśmiało, ale poważnie - nie uważam za potężnego.

- Znaczy to, że umiesz jednak bardzo dobrze obserwować

- powiedział K. - Potężny, prawdę mówiąc, wcale nie jestem i dlatego wobec moźnych odczuwam przypuszczalnie nie mniejszy respekt niż ty, jedynie nie jestem taki szczery jak ty i nie zawsze chcę do tego się przyznać. - Mówiąc to K. poklepał lekko oberżystę po policzku, by go pocieszyć i lepiej do siebie usposobić. Toteż oberżysta trochę się rozchmurzył. Wydawał się naprawdę jeszcze chłopcem z tą miękką i niemal zupełnie pozbawioną zarostu twarzą. Jakżeż mógł się ożenić ze swoją grubą i podstarzałą już żoną, którą można było zobaczyć przez okienko we drzwiach, jak z szeroko rozstawionymi łokciami krzątała się po kuchni. K. nie chciał jednak na niego dłużej nalegać, by nie spłoszyć wywołanego nareszcie uśmiechu. Skinął więc tylko jeszcze na oberżystę, by otworzył mu drzwi i wyszedł na dwór w piękny zimowy poranek.

Teraz ujrzał w przezroczystym powietrzu zarysowujące się na górze kontury zamku, jeszcze wyraźniejsze dzięki podkreślającemu wszelkie kształty śniegowi, który cienką warstwą pokrywał wszystko. Zresztą, jak się wydawało, na górze było o wiele mniej śniegu niż we wsi, gdzie K. przedzierał się naprzód równie mozolnie jak wczoraj na gościńcu. Śnieg sięgał aż do okien chałup i tuż nad oknami zwisał ciężko z niskich dachów. Tam na górze natomiast wszystko wznosiło się swobodnie i lekko, tak przynajmniej stąd wyglądało.

W ogóle zamek widziany z daleka nie odpowiadał oczekiwaniom K. Nie była to ani stara rycerska warownia, ani nowożytna wspaniała budowla, lecz rozległy zespół, składający się z niewielu dwupiętrowych oraz wielu ściśle do siebie przytykających niskich zabudowań; gdyby się nie wiedziało, że jest to zamek, można by to było uważać za miasteczko. K. dostrzegł tylko jedną wieżę, choć nie mógł rozpoznać, czy należy ona do budynku mieszkalnego, czy też do jakiegoś kościoła. Chmary wron krążyły dookoła.

Z oczyma skierowanymi na zamek K. szedł naprzód, nie troszcząc się o nic. Ale gdy się zbliżył, doznał na widok zamku rozczarowania. Było to bowiem bardzo liche miasteczko, składające się ze zwykłych chałup, różniących się od innych tylko tym, że wszystkie chyba zbudowane były z kamienia; tynk od dawna odpadł i kamienie się kruszyły. K. przelotnie przypomniał sobie swoją rodzinną miejscinę, która niemal w niczym nie ustępowała temu rzekomemu zamkowi. Jeśliby chodziło jedynie o zwiedzenie zamku, to nie warto by było przedsięwziąć tak dalekiej podróży - rozsądniej by postąpił, gdyby odwiedził znowu swój rodzinny kraj, w którym od tak dawna już nie był. W myślach porównywał wieżę kościelną ze swego miasteczka z tą wieżą tam, na górze. Wieża ta, gwałtownie zwężająca się ku górze i przykryta potężnym dachem z czerwonej dachówki, była budowlą doczesną, bo i cóż innego potrafimy wybudować? - ale służyła wyższemu celowi niż mnóstwo niskich domków i miała jaśniejszą wymowę niż szary dzień powszedni. Ta wieża na górze, jedyna, jaka była tu widoczna, należała, jak się okazało, do budynku mieszkalnego, być może nawet do głównego korpusu zamku. Była to gładka, okrągła baszta, częściowo szczelnie pokryta bluszczem, z małymi okienkami, które obecnie błyszczały w słońcu - było w tym coś obląkańczego - i ze swym mającym pozór balkonu zakończeniem, którego blanki sterczały na tle błękitu nieba niepewnie, nieregularnie i krzywo, wyglądała jak narysowana niewprawną lub niestaranną ręką dziecka. Wydawało się, jak gdyby jakiś cierpiący na melancholię mieszkawiec, który słusznie powinien był zgodzić się na zamknięcie go w jednym z najdalszych pokoiów, przebił dach i wyszedł na szczyt, by pokazać się światu.

K. stał znowu nieruchomo, jak gdyby w tym bezruchu mógł znaleźć więcej siły na wydawanie sądów. Ale mu przeszkadzono. Z tyłu, za wiejskim kościołem, przy którym

przystanął - była to właściwie tylko kaplica rozbudowana jak szopa, by móc pomieścić całą parafię - znajdowała się szkoła. Niski, długi budynek, w dziwny sposób łączący w sobie tymczasowość ze starością, stał w głębi okolonego sztachetami ogrodu, który obecnie zmieniał się w śnieżne pole. Właśnie wyszły dzieci z nauczycielem. Otaczały go rojną gromadką. Oczy ich były zwrócone na niego, przy czym dzieci nieustannie szczebiotały ze wszystkich stron, tak że K. z ich szybkiej paplaniny nic nie mógł zrozumieć. Nauczyciel, młody, drobny, wąski w ramionach mężczyzna, trzymający się bardzo prosto, co jednak wcale śmiesznie nie wyglądało, od razu z daleka spostrzegł K., jedynego zresztą, jak okiem sięgnąć człowieka poza jego gromadką. K. jako obcy uklonił się pierwszy, zwłaszcza że miał przed sobą tak władczą osobę.

- Dzień dobry, panie nauczycielu - powiedział.

Wszystkie dzieci umilkły naraz i ta nagła cisza, jako przygotowanie dla jego słów, musiała się nauczycielowi podobać.

- Przygląda się pan zamkowi? - spytał łagodniej, niż się tego K. spodziewał, ale takim tonem, jakby nie pochwalał tego, co K. robi.

- Tak - odparł K. - jestem tu obcy. Dopiero od wczorajszego wieczora przebywam w tej miejscowości.

- I zamek się panu podoba? - spytał szybko nauczyciel.

- Co proszę? - odpowiedział K. pytaniem, trochę zdumiony, i powtórzył słowa nauczyciela w nieco łagodniejszej formie: - Czy zamek mi się podoba? Dlaczego pan przypuszcza, że mi się nie podoba?

- Nikomu obcemu się nie podoba - rzekł nauczyciel.

Aby nie powiedzieć nic zdrożnego, K. skierował rozmowę na inny temat i zapytał: - Pan zapewne zna hrabiego?

- Nie - odparł nauczyciel i chciał się odwrócić.

K. nie dał jednak za wygraną i spytał raz jeszcze: - Co? Pan nie zna hrabiego?

- Jakże mógłbym go znać? - odpowiedział nauczyciel szeptem i dodał głośno po francusku: - Proszę uszanować obecność niewinnych dzieci.

K. wywnioskował z tego, że wolno mu zadać pytanie: - Czy mógłbym, panie nauczycielu, kiedyś pana odwiedzić? Pozostanę tu przez dłuższy czas i już teraz czuję się trochę osamotniony; do chłopów nie należę, a do zaniku chyba także nie.

- Pomiędzy chłopami a zamkiem nie ma znów tak wielkiej różnicy - wtrącił nauczyciel.

- Może i tak - zgodził się K. - ale to nic w mojej sytuacji nie zmienia. Czy mógłbym

kiedyś pana odwiedzić?

- Mieszkam przy ulicy Łabędziej u rzeźnika.

Wprawdzie było to raczej podanie adresu niż zaproszenie, mimo to K. powiedział: Dobrze, przyjdę. - Nauczyciel skinął głową i ruszył dalej z przekrzykującą się znowu gromadką dzieci. Wkrótce zniknęli w stromo zbiegającej w dół uliczce.

K. jednak był jakiś roztargniony i zły z powodu tej rozmowy. Po raz pierwszy od przybycia poczuł prawdziwe znużenie. Daleka droga, którą tu odbył, z początku, jak mu się zdawało, wcale go nie zmęczyła, kiedy tak wędrował przez wszystkie te dni spokojnie, krok za krokiem. Teraz wszakże ujawniły się skutki wielkiego przemęczenia, i to w najnieodpowiedniejszym momencie. Ciągnęło go nieodparcie do zawierania nowych znajomości, ale poznanie każdego nowego człowieka wzmagało znużenie. Jeśli w obecnym swym stanie zmusi się do przedłużenia spaceru choćby do bramy zamku, będzie to już więcej, niż może sobie pozwolić.

Poszedł więc znów dalej naprzód, ale była to droga daleka. Ulica bowiem, to znaczy główna ulica wsi, nie prowadziła do góry zamkowej. Wiodła jedynie w jej sąsiedztwo, potem wszakże jakby naumyślnie skręcała w bok i chociaż nie oddalała się od zaniku, to przecie nie przybliżała się do niego. K. oczekiwał ciągle, że ulica musi wreszcie skręcić do zamku, i szedł dalej tylko dlatego, że się tego spodziewał; widocznie skutek przemęczenia nie mógł się jakoś zdecydować na opuszczenie ulicy. Dziwił się również temu, że wieś jest taka długa, jak gdyby nie miała końca. Ciągle tylko małe domki z zamrzniętymi szybami w oknach, ciągle śnieg i odludzie. W końcu oderwał się od tej fascynującej go ulicy. Wchłonął go wąski zaułek. Śnieg był tam jeszcze głębszy. Wyciąganie zapadających się w śniegu nóg było ciężkim wysiłkiem. Pot spływał z niego. Nagle K. przystanął i nie mógł ruszyć z miejsca. Nie był wszakże na pustkowiu, gdyż na prawo i na lewo stały chałupy chłopskie. Ulepił kulę ze śniegu i rzucił w okno. Od razu uchyliły się drzwi - pierwsze drzwi, które otworzyły się podczas całej jego wędrówki przez wieś i stary chłop w brązowym kozuchu stanął w nich, przechyliwszy głowę na bok, przyjazny i słabowity.

- Czy mogę na chwilę do was wstąpić? - zagadnął go K. - jestem bardzo zmęczony. - Po czym nie słysząc wcale, co mu stary odpowiedział, przyjął z wdzięcznością deskę, którą mu podsunęto i która pomogła mu wygramolić się ze śniegu, tak że zrobiwszy parę kroków znalazł się w izbie.

Była to wielka izba, na wpół ciemna. K., przybywając z dworu, z początku nic nie widział i potknął się o balię. Jakaś ręka kobieca powstrzymała go od upadku. W jednym kącie wrzeszczały dzieci, z drugiego kłębił się dym, zmieniając półmrok w zupełną ciemność. K.

stał niczym w chmurach. - On jest przecież pijany - powiedział ktoś. - Kim pan jest? - rozległ się władczy głos, który potem zwrócił się do starego: - Dlaczegoś go wpuścił? Czyż można wpuszczać każdego, kto wałęsa się po ulicach?

- Jestem hrabskim geometrą - oznajmił K., starając się usprawiedliwić przed kimś, kogo ciągle jeszcze nie widział.

-Aha, to geometra -powtórzył jakiś kobiecy głos, a potem zaległa zupełna cisza.

- Wy mnie znacie? - spytał K.

- Oczywiście - odparł krótko ten sam głos. To jednak, że K. znano, nie wydawało się usposabiać dobrze do niego.

W końcu dym nieco się przerzedził i K. mógł zorientować się powoli, gdzie się znalazł. Zdaje się, że odbywało się tu wielkie pranie. W pobliżu wejściowych drzwi prano bieliznę. Dym zaś pochodził z innego kąta, w którym w drewnianej kadzi, tak wielkiej, że K. nigdy jeszcze podobnej nie widział - zabierała tyle miejsca co dwa łóżka - w parującej wodzie kąpało się dwóch mężczyzn. Ale jeszcze bardziej niespodziewany, choć dokładnie nie wiadomo było, na czym to zaskoczenie polegało, był prawy kąt izby. Z wielkiej szpary w tylnej ścianie izby przenikał, z podwórza zapewne, blady odblask śniegu i nadawał połysk jedwabiu sukni kobiety, która w najdalszym kącie na wpół leżała, zmęczona, w wysokim fotelu. Kobieta trzymała przy piersi niemowlę. Wokoło niej bawiło się kilkoro dzieci. Wyglądały one na dzieci chłopskie, kobieta jednak nie należała widocznie do nich, choć oczywiście choroba i zmęczenie może nawet chłopom nadać delikatny wygląd.

- Niech pan siada - rzekł jeden z mężczyzn z wielką brodą i wąsami, pod którymi stale miał otwarte sapiące usta, i wskazał zabawnie ręką sponad krawędzi kadzi na skrzynię, opryskując przy tym całą twarz K. gorącą wodą. Na skrzyni tej siedział już drzemiąc starzec, który K. wpuścił. K. był wdzięczny, iż nareszcie mógł usiąść. Ale nikt już się potem nim nie zajmował. Kobieta przy balii, młoda, pulchna blondynka, nuciła coś cicho przy robocie; mężczyźni w kąpieli tupali i kręcili się. Dzieci chciały przybliżyć się do nich, ale stale były powstrzymywane przez gwałtowne chluśnięcia wodą, które i K. nie oszczędzały. Kobieta w fotelu leżała jak martwa, nie patrząc nawet na niemowlę przy piersi, lecz gdzieś w górę.

K. wpatrywał się dość długo w ten nie zmieniający się piękny i smutny obraz, potem jednak usnął zapewne, gdyż kiedy - zawołany przez jakiś donośny głos - ocknął się, głowa jego leżała oparta na ramieniu starca siedzącego obok niego. Mężczyźni wykapali się już, w kąpieli zaś igrały teraz dzieci pod dozorem blondynki. Mężczyźni stali już ubrani przed K. Okazało się, że z nich dwóch brodacze był mniej ważny. Natomiast drugi, wcale nie większy od brodacza i mający o wiele mniejszą brodę, był cichym, flegmatycznym człowiekiem.

Rozrośnięty w barach, twarz miał szeroką i głowę trzymał opuszczoną.

- Panie geometro - powiedział - nie może pan tu zostać. Proszę mi wybaczyć tę nieuprzejmość.

- Nie miałem wcale zamiaru tu zostać - odparł K. - Chciałem tylko trochę odpocząć. Co już się stało i mogę teraz iść.

- Dziwi pana zapewne ten nasz brak gościnności - powiedział - ale gościnność nie leży w naszych zwyczajach, goście są nam niepotrzebni.

Trochę odświeżony snem i przytomniejszy niż poprzednio, K. ucieszył się z tych szczerých słów. Ruchy jego stały się swobodniejsze, postukując laską to tu, to tam, podszedł bliżej do kobiety w fotelu. Był to zresztą fotel najwyższy w izbie.

- Naturalnie - rzekł K. - po cóż wam goście. Ale czasami jednak kogoś potrzebujecie, mnie na przykład, jako geometry.

- Nic o tym nie wiem - rzekł powoli mężczyzna. - Jeśli pana wezwali, to prawdopodobnie pana potrzebują. Jest to chyba wyjątek. My jednak, skromni ludzie, trzymamy się reguły. Nie może nam pan mieć tego za złe.

- Ależ nie - rzekł K. - Mogę być wam tylko wdzięczny. Wam i wszystkim tutaj.

Potem K. niespodziewanie dla wszystkich obrócił się na pięcie i dosłownie jednym susem stanął przed kobietą. Spojrzała na niego znużonymi niebieskimi oczyma. Jedwabna, przezroczysta chustka sięgała jej do połowy czoła. Niemowlę spało przy jej piersi.

- Kim jesteś? - spytał K.

Z obrzydzeniem - choć nie można było odgadnąć, czy nie z pogardą, która dotyczyła K., a może jej własnej odpowiedzi - odrzekła: - Jestem dziewczyną z zamku.

Wszystko to trwało tylko minutę, gdyż po prawej i lewej ręce miał już obu mężczyzn i został - jak gdyby nie było innego sposobu porozumienia się - w milczeniu, ale przemocą pociągnięty do drzwi. Staruszek cieszył się przy tym z czegoś i klaskał w ręce. Praczka również się śmiała, dzieci zaś podniosły szaloną wrzawę.

K. znalazł się wkrótce na ulicy, obaj zaś mężczyźni pilnowali go stojąc na progu. Śnieg znowu padał, ale mimo to wydawało się, że jest nieco jaśniej. Brodacz krzychał z niecierpliwością:

- Dokąd pan chce iść? Ta droga prowadzi do zamku, a tamta na wieś.

K. nic nie odpowiedział, lecz zwrócił się do drugiego mężczyzny, który mimo swej przewagi wydał mu się bardziej przystępny.

- Kim wy jesteście? Komu mam za gościnę dziękować?

- Jestem Lasemann, mistrz garbarski - brzmiała odpowiedź - ale dziękować nikomu

pan nie potrzebuje.

- Dobrze - rzekł K. - może się jeszcze spotkamy.

- Ja w to nie wierzę - rzekł mężczyzna.

W tym samym momencie brodacz zawołał podnosząc rękę:

- Dzień dobry, Arturze, dzień dobry, Jeremiaszu!

K. odwrócił się - a więc w tej wsi chodzą jeszcze jacyś inni ludzie po ulicy! Od strony zamku zbliżało się dwóch młodzieńców średniego wzrostu, obaj byli bardzo smukli, w opiętych ubraniach i podobni do siebie z twarzy. Cera ich była ciemnobrązowa, a mimo to spiczaste bródki odbijały od niej swoistą czernią. Szli, jak na warunki drogi, dziwnie szybko, rytmicznie wyrzucając cienkie nogi.

- Czego tu szukacie? - zawołał brodacz.

Tylko krzycząc można się było z nimi porozumiewać, gdyż szli bardzo prędko i nie zatrzymywali się.

- Mamy różne sprawy - odkrzyknęli śmiejąc się.

- Gdzie?

- W oberży.

- I ja tam idę - krzyknął nagle K. o wiele głośniejszym głosem niż poprzednio, gdyż miał wielką ochotę, by tamci dwaj zabrali go ze sobą. Znajomość z nimi nie wydawała mu się wprawdzie zbyt korzystna, ale dobrymi, dodającymi otuchy towarzyszami drogi byli na pewno.

Usłyszeli wołanie K., skinęli tylko głową i już ich nie było. K. stał jeszcze ciągle w śniegu i nie miał ochoty wyciągnąć nóg z zasy, by

O krok dalej znów je zanurzyć w głębokim śniegu. Mistrz garbarski i jego towarzysz, zadowoleni z tego, że ostatecznie pozbyli się K. cofnęli się powoli, ciągle oglądając się na K. przez uchylone drzwi izby. Wkrótce K. został sam jeden w otulającym go śniegu. „Okazja do malutkiej rozpaczki - przyszło mu na myśl. - Jeślibym tu przypadkowo, a nie umyślnie stał”.

Raptem otworzyło się w chałupie po lewej ręce malutkie okienko. Zamknięte, zdawało się granatowe, może przez refleks od śniegu, i było tak malutkie, że nie mogło pomieścić całej twarzy wyglądającego przez nie, a jedynie oczy, stare, piwne oczy. - O, tam stoi - usłyszał K. drżący kobiecy głos. - To ten geometra - dodał męski głos. Potem mężczyzna podszedł do okna i zapytał dość uprzejmie, ale tak, jakby mu chodziło tylko o to, by na ulicy przed jego domem wszystko było w porządku.

- Na kogo pan czeka?

- Na sanki, które mogłyby mnie zabrać - odparł K.

- Sanki tu nie przyjadą - powiedział mężczyzna. - Tędy nikt nie jeździ.

- Ale przecież to ulica, która prowadzi do zamku - sprzeciwił się K.

- Mimo to - powtórzył mężczyzna beztłóśnie - nikt tędy nie jeździ. Obaj umilkli. Ale mężczyzna jeszcze nad czymś się zastanawiał,

gdyż ciągle nie zamykał okienka, z którego buchał dym.

- Zła droga - rzekł K., aby mu pomóc.

Ale tamten powiedział tylko: - Tak, oczywiście. - A po krótkiej chwili dodał: - Jeśli pan chce, to mogę pana odwieźć moimi sankami.

- Bardzo o to proszę - ucieszył się K. - Ile wam będzie się za to należało?

- Nic - odpowiedział mężczyzna. K. bardzo się zdziwił.

- Jest pan przecież geometrą - rzekł tamten tłumacząc się - i należy pan do zamku. Dokądże to pan chce jechać?

- Do zamku - rzekł szybko K.

- Jeśli tak, to nie pojedę - odparł mężczyzna niechętnie.

- Zawieźcie mnie w takim razie do oberży - powiedział K.

- Dobrze - zgodził się mężczyzna. - Pojadę sankami.

Cała rozmowa nie robiła wrażenia zbyt uprzejmej, a raczej była pewnego rodzaju wyrazem samolubnej, lękliwej i niemal pedantycznej chęci, by pozbyć się K. sprzed własnego domu.

Brama zagrody otworzyła się i ukazały się malutkie saneczki, przeznaczone do wożenia lekkiego bagażu, zupełnie płaskie i bez siedzenia, zaprzęgnięte w wątlego konika, a za nimi kroczył mężczyzna, słaby i kulejący, z chudą, czerwoną i zakatarzoną twarzą, która wydawała się szczególnie mała z powodu grubo okręconego wokoło głowy wełnianego szala. Mężczyzna był widocznie chory i wyszedł z domu jedynie dlatego, by móc pozbyć się K. Ten nadmienił coś w tym względzie, ale mężczyzna zaprzeczył ruchem głowy. K. dowiedział się tylko, że był to woźnica Gerstacker i że wziął te niewygodne sanki, gdyż właśnie stały gotowe, wyciągnięcie zaś z szopy innych zabrałoby zbyt wiele czasu.

- Niech pan siada - powiedział wskazując batem na tylne miejsce na sankach.

- Siadę koło was - rzekł K.

- Ja pójdę piechotą - odparł Gerstacker.

- Dlaczego? - spytał K.

- Pójdę piechotą - powtórzył Gerstacker i dostał ataku kaszlu, który nim tak wstrząsnął, że musiał wbić głęboko nogi w śnieg i trzymać się rękami za krawędź sanek.

K. nie powiedział już nic więcej i usiadł w tyle sań; kaszel woźnicy ustał powoli i pojechali.

Dziwnie już ciemny zamek na górze, do którego K. miał nadzieję dojść jeszcze dziś, oddalił się znowu. Nagle -jak gdyby potrzeba było jeszcze szczególnego znaku chwilowego pożegnania - rozległ się tam wesoło rozkołysany dzwon, który, na moment przynajmniej, wywołał drzenie serca, jak gdyby mu groziło - bo dźwięk dzwonu był również bolesny - spełnienie tego, za czym nieświadomie tęsknił. Ale wkrótce umilkł wielki dzwon, rozległ się natomiast słaby, monotonny dzwoneczek, może jeszcze tam na górze, może już nawet tu na dole, we wsi. Dzwonienie to o wiele bardziej pasowało do powolnej jazdy i do żalosego, ale nieubłaganego woźnicy.

- Hej tam! - zawołał K. nagle, gdy podjechali już pod kościół i nie było daleko do oberży, tak że K. mógł się na coś odważyć. - Dziwię się bardzo, że zdobyłeś się na to, by tak na własną odpowiedzialność tu mnie dowieźć. Czy wolno ci to? - Gerstacker nie zwrócił jednak na to uwagi i kroczył dalej spokojnie koło swego konika. - Hej! - krzyknął znów K., ulepił śnieżną kulę z leżącego na sankach śniegu i trafił nią Gerstackera w ucho. Woźnica zatrzymał się i odwrócił. Kiedy jednak K. ujrzał go teraz z bliska, gdyż sanki posunęły się jeszcze trochę naprzód, tę zgarbioną i jakby sponiewieraną postać i czerwoną oraz zmęczoną, wąską twarz o dwóch różnych policzkach - jednym płaskim, drugim zaś zapadniętym, kiedy ujrzał otwarte i jakby wsłuchujące się usta, w których było tylko kilka pojedynczych zębów, musiał ze współczuciem powtórzyć to, co poprzednio powiedział ze złością, i spytał, czy Gerstacker nie będzie ukarany za to, że go przywiózł.

- Czego chcesz? - odpowiedział Gerstacker pytaniem, jakby nic nie rozumiał, i nie czekając na dalsze wyjaśnienia, krzyknął na konika i pojechali dalej.

Rozdział 2

Kiedy sanki - K. poznał to dzięki zakrętowi drogi - znalazły się pod samą oberżą, było już, ku jego zdumieniu, zupełnie ciemno. Czyżby był tak długo na dworze? Według jego obliczeń była to najwyżej godzina lub dwie, a wyszedł przecież z samego rana i przez cały czas nie chciało mu się jeść. Przy tym niedawno jeszcze był zupełnie jasny dzień, a dopiero teraz zapanowały ciemności. „Nastały krótkie dni” - powiedział sam do siebie. Ześliznął się z sanek i poszedł w kierunku oberży. Na schodkach ganku stał oberżysta i gościnnie świecił na jego spotkanie przyniesioną z góry latarnią. Przypomniawszy sobie przelotnie o woźnicy, K. przystanął i usłyszał w ciemności kaszel. Tak, to był on, ale przecież niedługo znowu go zobaczy. Dopiero kiedy już stał na górze koło oberżysty, który pokornie mu się kłaniał, zauważył po obu stronach drzwi stojących dwóch mężczyzn. Wziął latarnię z ręki oberżysty i oświetlił ich obu. Byli to ci sami, których spotkał poprzednio i na których wołano Arturze i Jeremiaszu. Zasalutowali mu. Przypominając sobie czasy, kiedy służył w wojsku, owe szczęśliwe czasy, uśmiechnął się wesoło.

- Coście za jedni? - spytał wódz wzrokiem od jednego do drugiego.

- Pana pomocnicy - odpowiedzieli.

- To są pomocnicy - potwierdził szeptem oberżysta.

- Co? - spytał K. - Wy jesteście moimi dawnymi pomocnikami, którym kazałem przyjechać za mną i na których czekam? - Przytaknęli. - To dobrze, żeście przyjechali. Zresztą - ciągnął dalej - bardzoście się spóźnili, jesteście strasznie niedbali!

- Droga była daleka - odparł jeden z nich.

- Daleka droga? - powtórzył K. - Ale przecież spotkałem was, kiedyście szli od strony zamku.

- Tak - potwierdzili bez dalszych wyjaśnień.

- Gdzie macie przyrządy miernicze? - spytał K.

- Nie mamy żadnych przyrządów - odpowiedzieli.

- Przyrządy, które wam powierzyłem - rzekł K.

- Nie mamy żadnych - powtórzyli.

- Co z was za ludzie! - oburzył się K. - Czy znacie się na miernictwie?

- Nie - odpowiedzieli.

-Jeżeli jednak jesteście dawnymi moimi pomocnikami, musicie się na tym znać - rzekł K. Pomocnicy milczeli. - No, to chodźcie - powiedział K. i przepuścił ich przed sobą do

oberży.

Potem siedzieli we trzech, prawie milcząc, w jadalni wokoło małego stolika przy piwie, K. w środku, pomocnicy po jego prawej i lewej stronie. Poza tym był tam jeszcze jeden stół, przy którym siedzieli chłopci, podobnie jak wczoraj wieczorem.

- Mam kłopot z wami - powiedział K. porównując, jak to czynił już nieraz, twarze swych pomocników. - W jaki sposób mam was rozróżniać? Różne macie tylko imiona, poza tym jesteście tak podobni do siebie jak... - W tym miejscu zająknął się i machinalnie mówił dalej: - Poza tym jesteście podobni do siebie jak dwa węże.

Pomocnicy uśmiechnęli się. - Zazwyczaj bardzo łatwo odróżniają nas - odparli usprawiedliwiając się.

- Bardzo wierzę - rzekł K. - gdyż sam byłem tego świadkiem. Ale ja patrzę na was moimi oczyma i nie mogę was odróżnić. Dlatego będę was traktował jako jednego człowieka i obu nazywał Arturem, gdyż jeden z was tak się nazywa. Zdaje się, że to ty? - spytał K. jednego z pomocników.

- Nie - odparł tamten. - Nazywam się Jeremiasz.

- To zresztą wszystko jedno - stwierdził K. - będę was obu nazywał Arturem. Jeśli pošlę dokądś Artura, to pójdziecie obaj. Jeśli dam jakąś robotę Arturowi, to wykonacie ją obaj. Ma to dla mnie tę złą stronę, że nie będę mógł was użyć do wykonania oddzielnych robót, ale za to dobrą, że wspólnie i niepodzielnie będziecie ponosili odpowiedzialność za wszystko, co wam polecę. Jest mi wszystko jedno, jak rozdzielicie robotę między siebie, tylko nie wolno wam spychać roboty jeden na drugiego, gdyż dla mnie jesteście jednym człowiekiem. Pomocnicy zastanowili się i odpowiedzieli:

- Byłoby to dla nas bardzo przykre.

- Nie może być inaczej - oświadczył K. - Oczywiście, że jest to dla was bardzo przykre, ale musi już tak pozostać. - Już od pewnej chwili K. zauważył, że jeden z chłopów skrada się wokoło stołu, wreszcie zdecydował się podejść do jednego z pomocników i chciał coś mu szepnąć do ucha. - Przepraszam - rzekł K., uderzył ręką w stół i wstał. - To są moi pomocnicy i mamy właśnie naradę, nikt nie ma prawa nam przeszkadzać.

- Ależ proszę bardzo - powiedział chłop lękliwie i tyłem wycofał się do swojej kompanii.

- Musicie przede wszystkim wziąć pod uwagę to - powiedział K. znowu siadając - że nie wolno wam z nikim bez mego zezwolenia rozmawiać. Jestem tu obcy i jeśli jesteście moimi dawnymi pomocnikami, to również jesteście obcy. Dlatego my trzej obcy przybysze musimy trzymać się *razem*; podajcie więc mi wasze dłonie. - Pomocnicy wyciągnęli ręce do

K. aż nazbyt skwapliwie. - Nie potrzebuję waszych łap - powiedział - mój rozkaz jednak pozostaje w mocy. Pójdę teraz spać i wam radzę zrobić to samo. Zmarnowaliśmy dzisiaj jeden dzień roboczy, jutro praca musi się zacząć od samego rana. Musicie przygotować mi sanki do jazdy na zamek i o szóstej rano czekać z nimi na mnie przed domem.

- Dobrze - powiedział jeden z pomocników. Drugi jednak mu przerwał:

- Mówisz „dobrze”, a przecież wiesz, że to niemożliwe.

- Cicho! - rzekł K. - Widzę, że chcecie wyodrębnić się jeden od drugiego.

Ale teraz już i pierwszy również powiedział:

- On ma rację, to jest niemożliwe. Bez zezwolenia nikt z obcych nie ma wstępu na zamek.

- A gdzie trzeba starać się o zezwolenie?

- Nie wiem, przypuszczalnie u burgrabiego.

- Trzeba więc będzie tam zatelefonować. Zatelefonujcie natychmiast do burgrabiego obaj!

Pomocnicy podbiegli do aparatu i uzyskali połączenie, a jak się przy tym popychali! Pozornie byli śmiesznie posłuszni i pytali, czy K. będzie mógł jutro udać się z nimi na zamek. Głośne „nie”, jakie padło w odpowiedzi, usłyszał K. aż przy swoim stole. Odpowiedź była jednak jeszcze dokładniejsza i brzmiała: „Ani jutro, ani kiedy indziej”. - Sam zatelefonuję - rzekł K. i wstał z miejsca. K. i jego pomocnicy dotąd - pomijając zajście z chłopem - nie budzili zainteresowania, ale jego ostatnia wypowiedź zwróciła ogólną uwagę. Wszyscy wstali wraz z nim i choć oberżysta starał się ich odepchnąć, stanęli ciasnym półkolem wkoło K. przy aparacie. Większość z nich przypuszczała, że K. nie otrzyma w ogóle żadnej odpowiedzi. Musiał ich nawet prosić, by się uspokoili, gdyż nie życzy sobie wcale słuchać ich opinii.

Ze słuchawki telefonicznej rozległo się brzęczenie, jakiego K. nigdy jeszcze podczas telefonowania nie słyszał. Było to jakby brzęczenie niezliczonych głosików dziecięcych albo nawet nie było to wcale brzęczenie, lecz jakby śpiew jakichś odległych, najodleglejszych głosów. Zdawało się, że z tego brzęczenia w jakiś wprost niemożliwy sposób tworzy się jeden jedyny wysoki, ale mocny ton, który uderzał w ucho, jak gdyby chciał głębiej przeniknąć niż tylko do nędznego zmysłu słuchu. K. wsłuchiwał się milcząc. Oparł lewą rękę na półeczce telefonu i słuchał.

Nie wiedział, jak długo to trwało, a trwało to tak długo, że aż oberżysta pociągnął go za kurtkę oznajmiając, że przyszedł do niego jakiś posłaniec.

- Precz! - krzyknął K. niepohamowanie, a może nawet i do słuchawki telefonicznej, gdyż teraz dopiero ktoś się tam zgłosił. Wywiązała się następująca rozmowa:

- Tu Oswald, kto mówi? - zawołał surowy i dumny głos, z małym defektem w wymowie, który jak się K. wydawało, mówiący starał się pokryć dodatkową dawką surowości. K. zawahał się, czy wymienić swoje nazwisko. Wobec telefonu czuł się bezbronny, tamten mógł go zwymyślać i odłożyć słuchawkę, i K. w ten sposób zamknąłby sobie zapewne dość ważną drogę. Wahanie K. znecierpliwiło tamtego.

- Kto mówi? - powtórzył i dodał: - Byłbym bardzo rad, by stamtąd tak często nie telefonowano; dopiero przed chwilą ktoś telefonował.

- K. nie przejął się tą uwagą i oznajmił z nagłą decyzją:

- Mówi pomocnik pana geometry.

- Jaki pomocnik, jaki pan, jaki geometra?

K. przypomniał sobie wczorajszą rozmowę telefoniczną.

- Proszę zapytać Fryca - rzekł krótko.

Pomogło to, ku jego własnemu zdziwieniu, ale jeszcze bardziej niż to, że pomogło, zdziwiła go jednolitość tamtejszego urzędowania. Odpowiedź brzmiała:

- Już wiem - ten wieczny geometra. Tak, tak. No i co dalej? Co za pomocnik?

- Józef - powiedział K. Trochę przeszkadzały mu pomruki chłopów za jego plecami; widocznie nie aprobowali tego, że K. nie podaje własnego imienia, jednak nie miał czasu nimi się zajmować, gdyż rozmowa telefoniczna całkowicie go absorbowwała.

- Józef? - odpowiedziano pytaniem. - Pomocnicy przecież nazywają się... - tu nastąpiła krótka przerwa, gdyż mówiący widocznie zażądał od kogoś innego, by mu wymienił imiona - Artur i Jeremiasz.

- To są nowi pomocnicy - rzekł K.

- Nie, to dawni.

- To nowi, ja zaś jestem dawny, który dzisiaj przyjechał w ślad za panem geometrą.

- Nie! - krzyczano teraz.

- Kim więc jestem? - spytał K., spokojny jak dotąd.

Po pewnej przerwie rozległ się ten sam głos z tym samym defektem w wymowie, ale wydawał się inny, niższy i godny większego szacunku:

- Ty jesteś dawnym pomocnikiem. - K. wsłuchiwał się w dźwięk tego głosu i niemal nie dosłyszał przy tym pytania: - Czego chcesz? - Najchętniej odłożyłby słuchawkę. Po tej rozmowie niczego już nie oczekiwał. Jedynie jakby z musu zapytał jeszcze szybko:

- Kiedy mój pan będzie mógł udać się na zamek?

- Nigdy - brzmiała odpowiedź.

- Dobrze - powiedział K. i powiesił słuchawkę.

Stojący za nim chłopci przysunęli się całkiem blisko. Pomocnicy zerkając na niego starali się chłopów odepchnąć. Wydawało się jednak, że jest to tylko komedia, i chłopci, zadowoleni z wyniku rozmowy, powoli ustąpili. Raptem gromada chłopów została od tyłu rozdzielona przez człowieka, który wszedł szybko, skłonił się przed K. i wręczył mu list. K. wziął list do ręki i zaczął przypatrywać się człowiekowi, który w tym momencie wydał mu się ważniejszy od listu. Między nim a pomocnikami było uderzające podobieństwo: był równie smukły jak oni, ubranie na nim było tak samo opięte i ruchy jego były również tak zwinne i szybkie jak ruchy tamtych. Był jednak całkiem inny. O ileż K. wolałby jego mieć za pomocnika. Trochę przypominał mu on kobietę z niemowlęciem przy piersi, którą widział u mistrza garbarskiego. Strój jego był niemal biały, choć chyba nie jedwabny, po prostu zwykłe zimowe ubranie jak wszystkie inne, ale mimo to miał delikatność i odświeżność szaty jedwabnej. Twarz jego była jasna i szczerą, oczy niezwykle wielkie, uśmiech nadzwyczaj zachęcający. Przeciągnął ręką po twarzy, jak gdyby chciał ten swój uśmiech spędzić, ale mu się to nie udało.

- Kim jesteś? - spytał K.

- Nazywam się Barnabas - odparł - i jestem posłańcem.

Gdy mówił, wargi jego otwierały się i zamykały po męsku, a jednak ze słodyczą.

- Czy ci się tu podoba? - spytał K. i wskazał na chłopów, którzy ciągle jeszcze budzili jego zainteresowanie, gdy tak przypatrywali się z dosłownie umęczonymi twarzami; czaszki ich wyglądały tak, jakby były od góry płasko zgniecione, zaś rysy twarzy wykrzywiało bolesne poczucie klęski. Wargi mieli mięsiste, gęby rozdziawione. A może nawet nie przypatrywali się, gdyż od czasu do czasu wzrok ich błąkał się i zanim wrócił, pozostawał utkwiony w jakiś obojętny przedmiot. Potem K. wskazał na pomocników, którzy objęli się nawzajem i, policzek przy policzku, uśmiechali się, nie wiadomo - pokornie czy szyderczo. K. wskazał Barnabasowi tych wszystkich, jak gdyby chciał przedstawić mu narzuconą sobie przez szczególne okoliczności świątę, i oczekiwał - na tym polegało to zaufanie, o które K. chodziło: czy Barnabas potrafi stale dostrzegać różnicę między nim a tamtymi. Ale Barnabas całkiem nieświadomie, co łatwo można było poznać, nie zwrócił wcale uwagi na to pytanie, lecz przyjął je milczeniem, jak dobrze wytresowany lokaj przyjmuje rozkazy swego pana, które tylko dla niego są przeznaczone. Rozważył pytanie w duchu, przywitał się skinieniem ręki ze znajomymi spośród chłopów i zamienił z pomocnikami kilka słów. Wszystko to zrobił swobodnie i samodzielnie, nie pospolitując się z tamtymi. Wówczas K., spotkawszy się z odmową, ale bynajmniej nie skonsternowany, powrócił do listu, który trzymał w ręku, i otworzył go. Treść listu brzmiała:

Wielce szanowny panie! Został pan, jak panu wiadomo, przyjęty do hrabskiej służby. Bezpośrednim pana przełożonym jest wójt gminy wiejskiej, który udzieli panu wszelkich bliższych informacji o pańskiej pracy i warunkach wynagrodzenia i któremu winien pan składać sprawozdania. Mimo to nie stracę pana z oczu. Barnabas, doręczyciel tego listu, będzie od czasu do czasu przychodził do pana, aby dowiedzieć się, jakie są pańskie życzenia, i przekazywać mi je. Może pan zawsze na mnie liczyć; o ile to będzie możliwe, pójde panu na rękę. Zależy mi na tym, by moi pracownicy byli zadowoleni.

Podpis był nieczytelny; Przy podpisie widniał stempel: „Naczelnik X kancelarii”

- Poczekaj - powiedział K. do kłaniającego się Barnabasa. Potem zawołał oberżystę żądając, by przydzielił mu pokój, gdyż chciał przez pewien czas pozostać sam na sam z listem. Pamiętał przy tym, że Barnabas - mimo całej życzliwości, jaką K. względem niego odczuwał, jest przecież tylko posłańcem, i kazał podać mu piwa. Przyglądał się, jak on to przyjmie. Barnabas przyjął piwo z widoczną przyjemnością i od razu wypił. Potem K. wyszedł wraz z oberżystą. W niewielkiej oberży udało się K. znaleźć jedynie mały pokoik na poddaszu, i to nawet z trudnościami, gdyż trzeba było dwie służące, które tam dotąd spały, przenieść gdzie indziej. Właściwie ograniczono się tylko do wyprowadzenia tych dziewczyn, poza tym pokój pozostał tak jak był. W jedynym stojącym tam łóżku nie było pościeli tylko kilka poduszek i stajenna derka, w takim stanie, w jakim pozostały po ubiegłej nocy. Na ścianach wisiało kilka obrazków świętych i fotografii żołnierzy. Nawet nie przewietrzono pokoiku, gdyż widocznie miano nadzieję, że nowy gość niedługo tu będzie mieszkał, i nie zrobiono nic, by przedłużyć jego pobyt. K. jednak ze wszystkiego był zadowolony. Zawinął się w derkę, usiadł przy stole i zaczął przy świetle świecy jeszcze raz list odczytywać.

List wydawał się niejednolity, były miejsca, gdzie traktowano go jak człowieka niezależnego, z którego wolą się liczone, i tak na przykład nagłówki lub ustępy, gdzie była mowa o jego życzeniach, na to wskazywały. Zdarzały się jednak inne miejsca, gdzie ze stanowiska owego naczelnika traktowany był otwarcie lub niejawnie jako podrzędny, zaledwie dostrzegalny wyrobnik. Tak na przykład naczelnik miał nie spuszczać go z oczu; jego bezpośrednim przełożonym był tylko wójt gminy wiejskiej, któremu nawet miał składać sprawozdania, a jego jedynym kolegą był zapewne stróż gminny. Były to niewątpliwie niekonsekwencje, i to tak wyraźne, że musiały być celowe. Szalona, ze względu na tak wysoki urząd, myśl, że mogło to być spowodowane brakiem decyzji, zaledwie przemknęła K. przez głowę. Raczej dopatrywał się w tych niekonsekwencjach tego, że pozostawiono mu wolny wybór i dano możliwość obrania decyzji, jak należy ustosunkować się do zaleceń zawartych w liście. Mógł zostać wyrobnikiem wiejskim z pewną, poniekąd wyróżniającą go,

ale tylko pozornie, łącznością z zamkiem lub też fikcyjnym wyrobnikiem wiejskim, który w rzeczywistości uzależniał swój stosunek do pracy od wiadomości otrzymywanych od Barnabasa. K. nie zawahał się i nawet bez poczynionych już doświadczeń nie zawahałby się i wybrał to ostatnie. Jedynie jako wyrobnik wiejski znajdujący się możliwie jak najdalej od panów z zamku będzie w stanie coś tam uzyskać. Ludzie ze wsi, którzy ciągle byli wobec niego jeszcze tak nieufni, *zaczną* mówić, gdy stanie się on nie tyle może ich przyjacielem, ile równoprawnym członkiem gminy, kiedy nie będzie można odróżnić go od Gerstackera czy Lasemanna - winno się to stać jak najszybciej, bo od tego wszystko zależało - wtedy otworzą się przed nim za jednym zamachem wszystkie drogi, które, gdyby zależało to tylko od panów tam na górze oraz od ich łaski, byłyby dla niego stale nie tylko zamknięte, ale nawet niedostrzegalne. Oczywiście istniało niebezpieczeństwo, które w liście było zresztą dość wyraźnie zaznaczone, i to nawet z pewną radością, jako coś, czego uniknąć nie można. Niebezpieczeństwem tym był fakt, że K. będzie wyrobnikiem. Od takich słów jak służba, przełożony, praca, warunki wynagrodzenia, sprawozdania czy robotnik aż się roilo w liście - nawet jeśli coś tam było powiedziane inaczej, bardziej osobiście, było to jednak to, o czym mówiono stale z tego punktu widzenia. Jeżeli K. chce zostać wyrobnikiem, to może nim zostać, ale ze straszliwą powagą, bez jakiegokolwiek innej możliwości. K. wiedział, że nie grożono mu rzeczywistą przemocą, której się nie bał, zwłaszcza tutaj, ale bał się potęgi zniechęcającego otoczenia oraz przyzwyczajenia do rozczarowań, potęgi niewidocznych wpływów każdej chwili. Ale na walkę z takim niebezpieczeństwem musiał się odważyć. List nie przemilczał również tego, że K., gdyby doszło do walki, byłby na tyle śmiały, by walkę rozpętać. Było to powiedziane delikatnie i tylko niespokojne sumienie, niespokojne lecz nie nieczyste, mogłoby to zauważyć, były to słowa: „jak panu wiadomo”, gdy była mowa o przyjęciu go do służby. K. sam się stawiał i od tego czasu, jak było to powiedziane w liście, wiedział, iż został przyjęty.

K. zdjął ze ściany obrazek i zawiesił na gwoździu list; w tym pokoju będzie mieszkał i tutaj list ten powinien wisieć. Potem zszedł na dół do jadalni. Barnabas siedział z pomocnikami przy stoliku.

- Aha, tu jesteś - powiedział K. bez powodu i jedynie dlatego, że ucieszył się z zobaczenia Barnabasa. Ten zerwał się zaraz z miejsca. Gdy tylko K. wszedł, chłopci podnieśli się również ze swych miejsc, by się do niego zbliżyć. Widocznie stało się już ich zwyczajem wciąż za nim biegać. - Czego wciąż ode mnie chcecie? - krzyknął K.

Chłopi nie wzięli mu tego za złe i powoli wrócili na swoje miejsca. Jeden z nich odchodząc wyjaśnił byle zbyć, z niewyraźnym uśmiechem, który podjęło kilku innych: - Stale

coś nowego się słyszy - po czym oblizał sobie wargi, jakby to nowe było jakimś smakołykiem. K. nie powiedział nic pojednawczego, dobrze bowiem, jeśli chłopci nauczą się trochę respektu wobec niego, ale zaledwie usiadł koło Barnabasa, już poczuł oddech jednego z chłopów na karku; chłop twierdził, że przyszedł po solniczkę, ale K. tupnął ze złością nogą, a wtedy chłop uciekł zapomniawszy o solniczce. Było rzeczą naprawdę łatwą skrzywdzić K., wystarczyłoby na przykład poszczuć na niego chłopów. Ich uparte zainteresowanie wydawało mu się czymś o wiele gorszym niż skrytość tamtych, a zresztą i to było skrytością, gdyż jeśliby K. przysiadł się do ich stołu, to oni z pewnością by tam nie pozostali. Jedynie obecność Barnabasa powstrzymywała go od zrobienia awantury. Ale i tak odwrócił się grożąc chłopom, którzy również odwrócili się do niego. Kiedy jednak ujrzał ich tak siedzących, każdego na swoim miejscu, nie rozmawiających ze sobą i bez żadnej widomej łączności ze sobą prócz tej, że wszyscy wytrzeszczali na niego oczy, wydało mu się, że prześladują go bynajmniej nie ze złości; może naprawdę czegoś od niego chcieli, a jedynie nie potrafili tego wyrazić, a skoro nie potrafili, to może była to tylko dziecinada, tak, dziecinada, która wydawała się tu zadomowiona; bo czyż i oberżysta nie był dziecinny, kiedy trzymał w obu rękach kufel piwa dla jakiegoś tam gościa i stał tak nieruchomo, wpatrując się w K., nie słysząc wcale wołania swojej żony, która wychylała się przez okienko od kuchni.

Teraz już o wiele spokojniej K. powiedział do Barnabasa, że chciałby oddalić pomocników, ale że nie znajduje żadnego pretekstu. Pomocnicy zresztą gapili się spokojnie na swoje piwo. - List przeczytałem - zaczął K. - Czy znasz jego treść?

- Nie - odparł Barnabas, ale jego wzrok mówił więcej niż jego słowa. Może K. mylił się co do zalet Barnabasa, jak i co do wad chłopów, ale przyjemność z jego tu obecności pozostała nie zmieniona.

- W liście jest mowa również o tobie, masz przekazywać wiadomości, utrzymując łączność między mną i moim naczelnikiem, dlatego myślałem, że znasz treść listu.

- Otrzymałem jedynie - powiedział Barnabas - polecenie, by list doręczyć, odczekać, aż go przeczytasz, i jeżeli wyda ci się to konieczne, odebrać od ciebie ustną lub pisemną odpowiedź.

- Dobrze - rzekł K. - Pisanie będzie zbędne. Powiedz panu naczelnikowi... jakżeż on się nazywa? podpis jest nieczytelny.

- Klamm - odparł Barnabas.

- Powiedz więc panu Klammowi, że dziękuję mu za przyjęcie mnie do służby, jak również za jego specjalną uprzejmość, którą - jako ktoś, kto tu jeszcze niczym się nie wykazał - umiem należycie ocenić. Zastosuję się całkowicie do jego wskazówek. Żadnych

szczególnych życzeń nie mam.

Barnabas, który uważnie słuchał, poprosił, by K. pozwolił mu polecenie powtórzyć. K. pozwolił na to i Barnabas powtórzył wszystko słowo w słowo. Po czym wstał, by się pożegnać.

K. przez cały czas badał wyraz jego twarzy, teraz uczynił to po raz ostatni. Barnabas był mniej więcej tego samego wzrostu co K., mimo to wydawało się, że zniża wzrok, kiedy patrzy na K., czynił to jednak niemal pokornie, gdyż było *rzeczą* niemożliwą, aby ten człowiek chciał kogoś wprawić w zakłopotanie. Zapewne był to tylko posłaniec, który nie znał treści doręczanych przez siebie listów, ale samo jego spojrzenie, sam uśmiech i sposób chodzenia wydawały się już być jakimś posłannictwem, choć sam o tym nie wiedział. Toteż K. podał mu rękę, co widocznie zaskoczyło Barnabasa, który chciał jedynie się uklonić.

Od razu po jego odejściu - przed otworzeniem drzwi Barnabas przez jakiś czas opierał się o nie ramieniem, rozglądając się po całej izbie w ten sposób, że wzrok jego nie był skierowany specjalnie na nikogo - powiedział K. do pomocników: - Przyniosę z pokoju moje szkice, a potem omówimy następną pracę. - Pomocnicy chcieli mu towarzyszyć. - Pozostańcie! - rzekł K. Oni jednak wciąż jeszcze chcieli pójść razem z nim, tak że K. musiał swój rozkaz bardziej surowo powtórzyć. W sieni Barnabasa już nie było, ale przecież dopiero co odszedł. Również przed domem (tymczasem śnieg znów zaczął padać) K. nie dostrzegał Barnabasa. - Barnabas! - zawołał. Nie było odpowiedzi. Czyżby został jeszcze w oberży? Chyba nie było innej możliwości. Mimo to K. przyzywał go wciąż z całej siły po imieniu. Imię to zabrzmiało jak grom wśród nocy. Z oddali rozległa się ledwo dosłyszalna odpowiedź - już tak daleko Barnabas był odszedł. K. przywołał go z powrotem i sam poszedł na jego spotkanie; z miejsca, w którym się spotkali, byli już z oberży niedostrzegalni.

- Barnabasie - powiedział K. nie mogąc opanować pewnego drżenia w głosie - chciałem ci coś jeszcze zakomunikować. Uważam, notabene, że to zły pomysł, iż miałbym czekać na twoje przypadkowe przyjście, jeśli będę czegoś z zamku potrzebował. Gdybym teraz ciebie przypadkowo nie spotkał - bo tak pędzisz, myślałem, że jesteś jeszcze w oberży - to kto wie, jak długo musiałbym na twoje następne zjawienie się czekać.

- Możesz przecież - odparł Barnabas - poprosić naczelnika, abym przychodził zawsze w określonych przez ciebie terminach.

-I to by nie wystarczyło - rzekł K. - Może przez cały rok nie będę miał nic do powiedzenia, ale właśnie w kwadrans po twoim odejściu będę miał coś, co nie cierpi zwłoki.

- Czyż więc - spytał Barnabas - mam zameldować naczelnikowi, by między nim a tobą została nawiązana jakaś inna łączność, nie jedynie za moim pośrednictwem?

- Ależ nie - odpowiedział K. - to nie wchodzi wcale w rachubę, mówię o tym tylko nawiasem, gdyż udało mi się tym razem szczęśliwie jakoś cię przydybać.

- Czy mamy - spytał Barnabas - wrócić do oberży, abyś mógł mi tam dać nowe polecenie? - Mówiąc to zrobił już krok w kierunku oberży.

- Barnabasi - rzekł K. - to nie jest potrzebne, odprowadzę cię kawałek drogi.

- Dlaczego nie chcesz wrócić do oberży? - spytał Barnabas.

- Ludzie, którzy tam są, przeszkadzają mi - odrzekł K. - Sam widziałeś natarczywość tych chłopów.

- Możesz przecież pójść do twojego pokoju - odparł Barnabas.

- To pokój dziewczyn - rzekł K. - brudny i duszny; właśnie aby tam nie przebywać, chciałem cię kawałek drogi odprowadzić. Musisz tylko - dodał K., aby ostatecznie przezwyciężyć wahanie tamtego - pozwolić, że wezmę cię pod ramię, gdyż ty stąpasz pewniej. - I K. uwiesił się na jego ramieniu. Było zupełnie ciemno, tak że twarzy Barnabasa K. nie widział wcale. Postać jego majaczyła niewyraźnie, a ręki już chwilę przedtem musiał szukać po omacku.

Barnabas przystał na to i ruszyli. Wprawdzie K. czuł, że mimo największego wysiłku nie zdoła dotrzymać kroku Barnabasowi, że mu w swobodzie ruchów przeszkadza i że w zwykłych okolicznościach już z powodu tej nieważnej sprawy wszystko musiałoby zawieść, zwłaszcza w bocznych uliczkach, jak ta, w której K. przed południem zapadł się w śnieg i skąd dopiero Barnabas zdołał go wyciągnąć. Obecnie jednak odrzucał podobne troski, pocieszało go również to, że Barnabas zachowywał milczenie; gdy tak szli w milczeniu, i dla Barnabasa samo posuwanie się naprzód mogło stać się jedynym celem ich wspólnego przebywania.

Szli, ale K. nie wiedział dokąd; nie mógł nic rozpoznać. Nie wiedział nawet, czy minęli już kościół. Z powodu trudności, jaką sprawiało mu już samo chodzenie, nie panował nad swymi myślami. Zamiast skoncentrować się na jednej sprawie, myśli stały się chaotyczne. Raz po raz wynurzało się z pamięci miasteczko rodzinne i wspomnienia o nim wypełniały go całkowicie. Również i tam na głównym placu stał kościół, z jednej strony przylegał doń cmentarz okolony wysokim murem. Tylko nieliczni chłopcy potrafili wspiąć się na ten mur. K. nigdy się to nie udało. Nie ciekawość pchała ich do tego, gdyż cmentarz nie miał już dla nich żadnych tajemnic - często wchodził tam przez małą okratowaną furtkę - ale po prostu chcieli tylko pokonać gładki, wysoki mur. Pewnego przedpołudnia, gdy cichy, pusty plac był zalany światłem (kiedyż to K. widział go takim - wcześniej czy później?) udało mu się to niespodziewanie łatwo; w miejscu, gdzie już tyle razy wysiłki jego okazały się

płonne, wskoczył na mur jednym susem, trzymając chorągiewkę w zębach. Jeszcze słysząc było usuwanie się spod jego nóg gruzu, gdy już był na górze. Zatknął w mur chorągiewkę, wiatr wydał płótno, on zaś poprzez ramię spoglądał w dół i dookoła na zapadające się w ziemię krzyże; nikt nie był teraz wyższy od niego. Przypadkowo przechodził tamtędy nauczyciel i spędził K. z muru gniewnym spojrzeniem. Zeskakując K. stłukł sobie kolano i z trudem dowlóknął się do domu. Ale był przecież na szczycie muru. Wydawało mu się wtedy, że poczucie owego zwycięstwa da mu na długo siłę do życia, co nie było nawet takie głupie, gdyż i obecnie, po wielu latach, gdy w nocnej śnieżycy brnął wsparty o ramię Barnabasa, poczucie to przyszło mu z pomocą.

Uczepił się mocniej Barnabasa, tak że tamten go prawie włókł. Milczenie nie zostało przerwane. O drodze K. wiedział tylko tyle, sądząc po jej stanie, że nie skręcili jeszcze w boczną uliczkę. Obiecywał sobie, że ani uciążliwość drogi, ani tym bardziej obawa o drogę powrotną nie powstrzyma go w marszu naprzód. Zresztą, aby być dalej tak wleczonym, zawsze mu starczy sił. I czyż droga ta może nie mieć końca? Za dnia zamek leżał przed nim jako cel łatwo osiągalny, posłaniec zaś na pewno znał najkrótszą drogę.

Nagle Barnabas przystanął. Gdzie się znajdowali? Czy nie można było iść dalej? Czy Barnabas zamierza pożegnać się z K.? Nie uda mu się to. K. trzymał się mocno jego ramienia, tak że nawet sam odczuwał ból. A może stało się coś zupełnie niewiarogodnego i byli już na zamku lub przed jego wrotami? Ale o ile K. się orientował, nie szli przecież wcale pod górę. Chyba żeby Barnabas prowadził go jakąś łagodnie wznoszącą się drogą?

- Gdzie jesteśmy? - spytał K. szeptem i to raczej siebie niż jego.
- W domu - odparł Barnabas równie cicho.
- W domu?
- Ale teraz niech pan uważa, aby się nie pośliznąć. Droga prowadzi w dół.
- W dół?
- To tylko kilka kroków - dodał i w tej chwili zapukał do jakichś drzwi.

Drzwi otworzyła dziewczyna. Stali na progu wielkiej izby, niemal zupełnie ciemnej, gdyż tylko w głębi po lewej stronie wisiała nad stołem malutka lampka oliwna.

- Kto przyszedł z tobą, Barnabasie? - spytała dziewczyna.
- Geometra - odpowiedział.
- Geometra? - powtórzyła dziewczyna nieco głośniejszym głosem, zwracając się w kierunku stołu.

Wtedy podniosło się zza stołu dwoje starszych, mężczyzna i kobieta, oraz jeszcze jedna dziewczyna. Przywitali się z K. Barnabas przedstawił mu wszystkich. Byli to jego rodzice i siostry: Olga i Amalia. K. prawie na nich wszystkich nie spojrzał. Zdjęto z niego

przemoczoną kurtkę, aby osuszyć ją przy piecu. K. nie protestował.

A więc to nie oni obaj wrócili do domu, tylko Barnabas był w swoim domu. Ale po co tu przybyli? K. odciągnął Barnabasa na bok i spytał:

- W jakim celu wróciłeś do domu? A może mieszkacie już na obszarze zamku?

- Na obszarze zamku? - powtórzył Barnabas, jakby nie rozumiał, co K. do niego mówił.

- Barnabasie - rzekł K. - chciałeś przecież z oberży iść na zamek.

- Nie, panie - odparł Barnabas - chciałem wrócić do domu. Do zamku wybieram się dopiero jutro rano, gdyż nigdy tam nie śpiam.

- Aha - potwierdził K. - nie chciałeś więc iść do zamku, tylko tutaj. - Uśmiech Barnabasa wydał mu się w tej chwili mniej wyrazisty, a on sam mniej pokązny. - Dlaczego mi tego nie powiedziałeś?

- Wcale mnie pan o to nie pytał - odrzekł Barnabas. - Chciał mi pan tylko dać jakieś polecenie, i to ani w jadalni w oberży, ani w swoim pokoju. Pomyślałem więc, że może mi pan najwygodniej dać to polecenie tu, u moich rodziców. Zaraz wszyscy stąd sobie pójdą, gdy pan tylko rozkaże; również może pan, jeśli to się panu spodoba, u ru[^] przenocować. Czyż nie zrobiłem dobrze?

K nie znalazł odpowiedzi. A więc było to nieporozumienie, ordynarne, podle nieporozumienie, a K. dał się całkowicie na to wziąć. Dał się oczarować przez obcisłą, lśniąca jak jedwab kurtkę Barnabasa, którą ten teraz rozpiął i ukazała się pod nią zgrzebna, szarobrudna i bardzo połatana koszula, pokrywająca kanciastą klatkę piersiową parobka. Całe otoczenie nie tylko z tym harmonizowało, ale nawet potęgowało wrażenie: stary, zreumatyzowa-ny ojciec, który posuwał się naprzód raczej przy pomocy macających wszystko rąk niż powoli wlokących się, sztywnych nóg, oraz matka ze złożonymi na piersiach rękami, która z powodu swej otyłości mogła stawiać tylko malutkie kroczki. Oboje - ojciec i matka - ruszyli ze swego kąta na jego spotkanie, gdy tylko K. wszedł do izby, i jeszcze do niego nie dotarli. Siostry, blondynki, podobne do siebie i do Barnabasa, choć z twardszymi nieco rysami twarzy, wielkie, tęgie dziewczuchy, zbliżyły się do przybyłych i czekały na jakieś słowo powitania ze strony K. On zaś nie mógł nic powiedzieć; myślał, że tu, we wsi, każda osoba ma dla niego jakieś znaczenie, i prawdopodobnie tak było. Ale właśnie ci ludzie tutaj nic go nie obchodzili. Gdyby był w stanie sam przebrnąć powrotną drogę do oberży, oddaliłby się stąd niezwłocznie. Perspektywa udania się rano z Barnabasem na zamek wcale go nie kusila. Chciał teraz, w nocy, nie zauważony przez nikogo tam wtargnąć, mając Barnabasa za przewodnika, ale tamtego Barnabasa, takiego, jakim mu się dotychczas

wydawał, człowieka bliższego mu niż wszyscy, których dotąd tu spotkał, człowieka, o którym równocześnie przypuszczał, że jest znacznie ponad swoją rangę powiązany z zamkiem. Ale z synem tej tu rodziny, do której Barnabas całkowicie należał i z którą wspólnie zasiadł teraz do stołu, z człowiekiem, któremu - co było bardzo znamienne - nie wolno było nawet na zamku przenocować, w jasny dzień iść pod ramię na zamek - było niepodobieństwem, było przedsięwzięciem śmiesznym i beznadziejnym.

K. usiadł na parapecie okna, zdecydowany spędzić tak noc, nie korzystając z żadnych usług zamieszkałej tu rodziny. Ludzie ze wsi, którzy go stale odsyłali, albo go się bali, wydawali mu się o wiele mniej niebezpieczni, gdyż w gruncie rzeczy zmuszali go jedynie do polegania na samym sobie i pomagali mu tym samym w skupieniu sił; tacy jednak pozorni sprzymierzeńcy, którzy, zamiast na zamek, przy pomocy niewielkiej maskarady sprowadzali go do własnej rodziny, oddalali go chcąc nie chcąc, od jego celu i przyczyniali się do wyniszczenia jego sił. Toteż K. nie zwrócił wcale uwagi na zapraszanie go do rodzinnego stołu i ze spuszczoną głową pozostał na swym parapecie.

Wtedy wstała Olga, delikatniejsza z sióstr, zdradzająca odrobinę dziewczęcego zażenowania, podeszła do K. i poprosiła go, by siadł do stołu. Chleb ze słoniną czeka tam na niego, piwa zaś jeszcze przyniesie.

- Skąd? - spytał.

- Z oberży - odrzekła.

To K. ucieszyło. Poprosił Olgę, by mu piwa nie przynosiła, ale odprowadziła go do oberży, gdyż czekają tam go o wiele ważniejsze zajęcia. Wtedy jednak okazało się, że ona wcale nie wybierała się tak daleko, do oberży, w której K. mieszkał, ale do innej, o wiele bliższej, gospody dla oficjalistów z zamku. Mimo to K. poprosił ją, aby pozwoliła się odprowadzić, gdyż może będzie miał możliwość przenocowania tam. Jakakolwiek by ta gospoda była, w każdym razie wolałby tam przenocować niż w najlepszym łóżku w tym domu. Olga nie odpowiedziała *zaraz*, ale obejrzała się w kierunku stołu. Brat jej podniósł się z miejsca, skinął przyzwalająco głową i powiedział:

- Jeśli pan tego sobie życzy.

To zezwolenie skłoniło niemal K. do wycofania swej prośby, gdyż Barnabas mógł zgodzić się jedynie na coś, co było całkiem bez wartości. Ale kiedy zastanawiano się teraz nad zagadnieniem, czy K. do tutejszej gospody wpuszczają, i wszyscy o tym wątpili, K. uparł się przy tym, aby z Olgą tam pójść, nie zadając sobie nawet trudu poparcia swej prośby jakimś rozsądnym argumentem; ta rodzina musiała brać go takim, jakim był. Nie miał wobec nich wcale poczucia wstydu. Tylko Amalia zbijała go trochę z tropu swoim poważnym,

prawym i nieruchomym, choć może nieco tępym spojrzeniem.

W czasie krótkiej drogi do gospody K. wziął Olgę pod ramię i był przez nią - nic nie mógł na to poradzić - tak samo wleczony jak przedtem przez jej brata. Dowiedział się przy tym, że gospoda ta jest właściwie przeznaczona, tylko dla oficjalistów z zamku, którzy tam, gdy mieli coś do załatwienia na wsi, jedli, a nawet czasami nocowali. Olga rozmawiała z K. szeptem i jakby poufnie, tak że iść z nią było prawie tak samo przyjemnie jak z jej bratem. K. bronił się przed tym uczuciem zadowolenia, lecz mimo wszystko ono istniało.

Gospoda z zewnątrz była bardzo podobna do oberży, w której K. się zatrzymał. Zdaje się, że w tej wsi w ogóle nie było większych różnic zewnętrznych, choć małe różnice można było jednak od razu zauważyć; schodki prowadzące na ganek miały poręcze, a nad drzwiami wejściowymi była umocowana piękna latarnia. Kiedy weszli do środka, nad ich głowami zatrzepotała chorągiew o hrabskich barwach herbowych. Od razu w sieni spotkał ich zarządzający gospodą, widocznie odbywający obchód kontrolny; mijając K. badawczo, a może tylko sennie, spojrzał swymi malutkimi oczkami i powiedział:

- Pan geometra ma prawo wejść tylko do izby z szynkwasem.
- Naturalnie - potwierdziła Olga, która zaraz stanęła w obronie K.
- On mi tylko towarzyszy.

Ale niewdzięczny K. zostawił Olgę i odciągnął zarządzającego na stronę. Olga tymczasem czekała cierpliwie w głębi sieni.

- Chętnie bym tu przenocował - rzekł K.
- To jest, niestety, niemożliwe - odparł zarządzający. - Zdaje się, że pan o tym jeszcze nie wie. Gospoda jest przeznaczona wyłącznie dla panów z zamku.
- Taki może jest regulamin - rzekł K.
- Niezależnie od surowości regulaminu, o którym pan mówi jak obcy, jest to również i dlatego niewykonalne, że ci panowie z zanku są bardzo drażliwi; jestem przekonany, iż nie są w stanie, a przynajmniej nie są przygotowani na zniesienie widoku obcego człowieka; gdybym więc panu pozwolił tu przenocować i pan przypadkowo

- a przypadki zawsze służą możnym - został wykryty, to nie tylko ja byłbym zgubiony, ale i pan. Brzmi to zabawnie, ale jest to, niestety, prawda. - Ten wysoki zapięty pod szyję jegomość, który opierając się jedną ręką o ścianę, a drugą trzymając na biodrze, stał ze skrzyżowanymi nogami i pochylając się nad K. mówił do niego poufnie, nie należał już chyba do wsi, chociaż jego ciemne ubranie wyglądało tylko na odświętny strój chłopski.

- Wierzę panu całkowicie - rzekł K. - i znaczenia regulaminu bynajmniej nie lekceważę, chociaż wyraziłem się może nieodpowiednio. Chcę jedynie zwrócić panu uwagę

na jeszcze jedną rzecz: mam na zamku cenne stosunki i niebawem będę miał jeszcze cenniejsze, tak że dzięki nim będzie pan w pełni chroniony przed niebezpieczeństwem, które mogłoby powstać z powodu mego tu przenocowania, i może pan mieć rękojmię, że będę w stanie go za tę drobną uprzejmość hojnie wynagrodzić.

- Wiem - odpowiedział zarządzający i powtórzył raz jeszcze: _ Wiem o tym.

Teraz K. mógłby powtórzyć swoje życzenie w bardziej kategorycznej formie, ale właśnie taka odpowiedź stropiła go i dlatego zapytał tylko:

- Czy nocuje tu dziś wielu panów z zamku?

- Pod tym względem sytuacja dziś jest pomyślna - odparł *zarządzający*, jakby kusząc go. - Tylko jeden oficjalista z zamku został tu dziś na noc.

K. ciągle jeszcze nie mógł nalegać, ale miał już nadzieję, że chyba go przyjmą; zapytał więc tylko zarządzającego o nazwisko tego pana. - Klamm - odpowiedział zdawkowo zarządzający, odwracając się do żony, która w dziwnie znoszonej i niemodnej, pełnej falbanek i fałdów, ale wytwornej miejskiej sukni zbliżyła się doń z szelestem. Przyszła po męża, gdyż pan naczelnik czegoś sobie od niego życzył. Zanim jednak zarządzający odszedł, zwrócił się jeszcze do K., jak gdyby już nie on, ale sam K. miał decydować o noclegu. K. jednak nie mógł nic odpowiedzieć, a okoliczność, że właśnie jego zwierzchnik tu się znajdował, oszołomiła go. Nie mogąc sam sobie tego wytłumaczyć, czuł się wobec Klamma nie tak swobodny jak zazwyczaj wobec zamku. Być tu przyłapanym przez niego na gorącym uczynku nie było dla K. czymś tak strasznym, jak sugerował zarządzający gospodą, ale mimo wszystko byłoby przykrym wydarzeniem, tak jak gdyby lekkomyślnie sprawił ból komuś, komu winien był wdzięczność; przy tym gnębiło go bardzo, że w tych wątpliwościach widoczne przejawiały się już przeczuwane z obawą skutki zależności, w którą popadł zostając wyrobnikiem, i że nawet tu, gdzie skutki te występowały tak wyraźnie, nie był w stanie ich zwalczyć. Stał więc gryząc wargi i milczał. Jeszcze raz, zanim *zarządzający* zniknął we drzwiach, odwrócił się w stronę K. Ten zaś patrzył w ślad za nim i nie ruszał się z miejsca, dopóki nie przyszła Olga i nie pociągnęła go za sobą.

- Co chciałeś od niego? - spytała Olga.

- Chciałem tu przenocować - odparł K.

- Przecież masz nocować u nas - powiedziała Olga ze zdziwieniem.

- Tak, oczywiście - rzekł K., pozostawiając jej wytłumaczenie sensu tych słów.

Rozdział 3

W izbie z szynkwasem, wielkiej, pośrodku całkiem pustej, siedziało pod ścianami przy beczkach lub na nich kilku chłopów, którzy inaczej wyglądali niż ludzie z oberży, w której K. mieszkał. Byli to drobni, na pierwszy rzut oka bardzo podobni do siebie ludzie, z płaskimi, kościstymi, a jednak pocułowatymi twarzami. Wszyscy byli spokojni i niemal się nie ruszali, wodzili tylko wzrokiem, powoli i obojętnie, za wkraczającymi. Mimo to, ponieważ było ich tylu i tak cicho się zachowywali, wywarli na K. pewne wrażenie. Wziął więc znowu Olgę pod ramię, aby przez to wytłumaczyć tym ludziom swoją tu obecność. W jednym kącie podniósł się jakiś mężczyzna, znajomy Olgi i chciał do niej podejść, ale K., trzymający dziewczynę pod ramię, obrócił ją w inną stronę. Nikt prócz niej samej nie mógł tego zauważyć, ona zaś nie protestowała, zerkając z uśmiechem.

Piwo rozlewała młoda dziewczyna, którą zwano Friedą. Była to niepozorna, drobna blondynka ze smutnymi oczyma i chudymi policzkami, której spojrzenie jednak zaskakiwało, pełne poczucia jakiejś szczególnej wyższości. Kiedy spojrzenie to padło na K., wydało mu się, że przesądziło już jego sprawę, o której on sam jeszcze nie wiedział, ale o której istnieniu spojrzenie to go przekonało. K. nie przestawał obserwować Friedy z boku również i wtedy, kiedy ta odwróciła się do Olgi. Wydawało się, że Olga i Frieda nie są przyjaciółkami, zamieniły jedynie kilka chłodnych słów. K. chciał dopomóc i dlatego spytał zniecierpliwionym:

- Czy pani zna pana Klamma? Olga wybuchnęła śmiechem.

- Dlaczego się śmiesz? - spytał K. z rozdrażnieniem.

- Wcale się nie śmieję - powiedziała, ale śmiała się dalej.

- Olga jest jeszcze bardzo dziecinna - rzekł K. i przechylił się przez szynkwasa, by sięgnąć na siebie jeszcze raz intensywny wzrok Friedy. Ta jednak patrzyła w ziemię i powiedziała:

- Czy pan chce zobaczyć pana Klamma?

K. poprosił o to. Wtedy Frieda wskazała na drzwi znajdujące się tuż obok niej, na lewo.

- Tu jest małe okienko, może pan przez nie spojrzeć.

- A co na to powiedzą obecni tu ludzie? - spytał K.

Frieda uniosła górną wargę i niezwykle miękką ręką pociągnęła K. do drzwi. Przez małe okienko, które wycięte było widocznie w celach obserwacyjnych, mógł zobaczyć prawie cały pokój sąsiedni. Pośrodku pokoju, przy biurku, w wygodnym półokrągłym fotelu siedział

jaskrawo oświetlony zwisającą przed nim żarówką pan Klamm. Był to średniego wzrostu, otyły i ociężały jegomość. Twarz miał jeszcze gładką, ale policzki nieco już obwisłe ciężarem starości. Czarne, długie wąsy sterczały na boki, krzywo założone połyskujące binokle zakrywały oczy. Gdyby pan Klamm siedział przy samym biurku, K. widziałby tylko jego profil; ponieważ jednak Klamm był od biurka odwrócony, cała jego twarz była widoczna. Lewym łokciem oparł się

o biurko, prawa ręka z cygarem „virginia” spoczywała na kolanie. Na biurku stał kufel piwa; ponieważ galeryjka biurka była wysoka, K. nie mógł dokładnie dojrzeć, czy *leżały* tam jakieś papiery. Wydawało mu się jednak, że biurko jest puste. Dla uzyskania pewności poprosił Friedę, by zajrzała przez okienko i poinformowała go, co tam widzi. Ponieważ jednak Frieda dopiero co była w tamtym pokoju, mogła od razu upewnić K., że nie leżały tam żadne papiery. K. spytał Friedę, czy ma już odejść, ona jednak powiedziała, że może obserwować przez okienko, jak długo będzie miał na to ochotę. K. był teraz sam z Friedą, gdyż Olga, jak zauważył przelotnie, znalazła jednak drogę do swego znajomego, siedziała teraz wysoko na beczce

1 machała nogami.

- Friedo - szepnął K. - czy zna pani pana Klamma bardzo dobrze?

- O, tak - potwierdziła - bardzo dobrze. - Oparła się o ladę tuż przy K. i przyglądała jakby dla zabawy, jak zauważył to K. swoją lekką, kremową, wyciętą pod szyją bluzkę, która dziwnie nie pasowała do jej wątlej figurki. Po czym spytała: - Czy nie przypomina pan sobie śmiechu Olgi?

- Tak, taka była niegrzeczna - rzekł K.

- Otóż - powiedziała pojednawczo - był powód do śmiechu. Chciał pan wiedzieć, czy znam pana Klamma, a ja przecież - w tym miejscu iakby nieumyślnie wyprostowała się nieco, zaś jej zwycięski, nie pozostający w żadnym związku z ich rozmową wzrok znowu przesunął się po K. - ja przecież jestem jego kochanką.

- Kochanką Klamma? - powtórzył K. Frieda skinęła głową. _ Wobec tego jest pani - rzekł K. z uśmiechem, by nie wprowadzać do ich rozmowy zbytniej powagi - dla mnie wielce szanowną osobą.

- Nie tylko dla pana - dodała Frieda przyjaźnie, ale nie odpowiadając uśmiechem na jego uśmiech.

K. miał jednak sposób na jej zarozumiałość i nie omieszkął go zastosować:

- Czy pani była już w zamku? - spytał.

Sposób jednak nie poskutkował, gdyż odpowiedziała:

- Nie, ale czy to nie wystarcza, że jestem tu, przy wyszynku? Istotnie, jej ambicja była szalona i właśnie K., jak się wydawało,

miął ją zaspokoić.

- Oczywiście - rzekł K. - tu, przy wyszynku, zna się pani na obowiązkach gospodyni.

- A właśnie, tak jest - odpowiedziała - a zaczęłam służbę przy gospodarstwie w oberży „Przy Moście”.

- Z tymi delikatnymi rączkami? - powiedział K. niedowierzająco i nie wiedział sam, czy tylko tak jej schlebia, czy naprawdę został przez nią urzeczony. Ręce jej rzeczywiście były drobne i delikatne; ale można je było również nazwać słabymi i bez wyrazu.

- Wtedy nikt na to nie zważał - powiedziała - i nawet teraz... K. spojrzał na nią pytająco. Frieda potrząsnęła głową i nie chciała

dalej mówić.

- Ma pani, oczywiście - stwierdził K. - swoje sekrety, o których nie będzie pani rozprawiać z kimś, kogo pani pół godziny temu poznała i kto nie miał jeszcze sposobności, by coś pani o sobie powiedzieć.

Była to jednak, jak się okazało, całkiem nieodpowiednia uwaga. Wydawało się, że zbudził Friedę z jakiejś dogodnej dla niej drzemki; wyjęła ze skórzanego woreczka, wiszącego u jej pasa, kóleczek, zatkała nim otwór w drzwiach i powiedziała do K., jak gdyby z trudem panując nad sobą, by nie okazać mu zmiany w swoim nastroju:

- Co zaś pana dotyczy, to wiem wszystko. Jest pan geometrą. ~ A potem dodała: - Ale teraz muszę znowu wziąć się do roboty - i poszła na swoje poprzednie miejsce za ladą, podczas gdy to tu, to tam podnosił się któryś z obecnych i podchodził do niej, by znowu napełniła mu pusty kufel. K. chciał jeszcze raz niepostrzeżenie porozmawiać z nią, wziął więc w tym celu z półki pusty kufel i podszedł do niej.

- Jeszcze jedno, panno Friedo - zwrócił się do niej. - To coś nadzwyczajnego i wymagającego niezwyklej siły: zaawansować ze zwykłej folwarcznej dziewczyny na bufetową, ale czy przez to człowiek taki osiąga już swój ostateczny cel? Zresztą to głupie pytanie. Z oczu pani, panno Friedo, proszę się ze mnie nie śmiać, przemawia do mnie nie tyle przebyta już, ile oczekująca panią walka. Ale przeciwności świata są znaczne i im cel jest wyższy, tym stają się one większe. Dlatego nie jest wcale wstydem zapewnić sobie pomoc nawet ze strony małego, pozbawionego wpływów, ale również walczącego człowieka. Może moglibyśmy kiedyś spokojnie ze sobą porozmawiać, nie .wobec tylu gapiących się na nas ludzi.

- Nie wiem, o co panu chodzi - odpowiedziała Frieda, a w jej głosie tym razem wbrew

jej woli brzmiały nie odniesione w życiu zwycięstwa, ale nieskończenie wielkie rozczarowania. - A może chce pan mnie odciągnąć od Klamma? Wielkie nieba! - mówiąc to złożyła ręce.

- Przejrzała mnie pani na wylot - rzekł K., jak gdyby zmęczony tak wielkim brakiem ufności. - To właśnie było moim najtajniejszym zamiarem. Winna pani opuścić Klamma i zostać moją kochanką. Ale teraz mogę już odejść. Olgo! - zawołał - wracamy do domu.

Olga posłusznie ześliznęła się z beczki, nie mogła się jednak od razu uwolnić od otaczających ją przyjaciół. Wtedy Frieda, spoglądając groźnie na K., powiedziała szeptem:

- Kiedy mogłabym się z panem rozmówić?

- Czy mogę tu przenocować? - spytał K.

- Tak - odrzekła Frieda.

- Czy mam wobec tego od razu tu zostać?

- Niech pan odejdzie razem z Olgą, pozbędę się tych tu ludzi, a po krótkiej chwili może pan znowu wrócić.

- Dobrze - rzekł K. i czekał cierpliwie na Olgę. Ale chłopcy nie chcieli jej puścić. Wymyślili taniec, którego ośrodkiem była Olga. W korowodzie pływali wokół niej i w rytm ogólnego krzyku jeden po drugim podchodził do Olgi, otaczał ręką jej kibić i okręcał się z nią kilka razy. Korowód stawał się przy tym coraz szybszy, a krzyki głośnie i charczące zwały się stopniowo w jeden wielki wrzask. Olga, która początkowo ze śmiechem chciała wyrwać się z otaczającego ją koła, zataczała się już tylko z rozwianymi włosami od jednego tancerza do drugiego.

- Takich ludzi mi tu przysyłają - powiedziała Frieda i przygryzła gniewnie swoje cienkie wargi.

- Co to za jedni? - spytał K.

- Służba Klamma - odparła Frieda. - Raz po raz przyprowadza on tu tę hałastrę, której obecność wyprowadza mnie z równowagi. Już prawie nie pamiętam, o czym dziś z panem, panie geometro, rozmawiałam. Jeśli powiedziałam coś złego, to proszę mi wybaczyć, winę ponosi obecność tych ludzi. Nie znam bardziej od nich godnych pogardy i obrzydzenia osobników, a muszę napełniać piwem ich kufle. Jakże często błagałam Klamma, by zostawił ich w domu, jeśli muszę już znosić tu obecność służby oficjalistów, to przynajmniej on mógłby się nade mną zlitować. Ale wszystkie moje prośby są daremne. Na godzinę przed jego przybyciem zawsze tu wpadają, jak bydło do obory. Ale teraz wyniosą się wreszcie do obory, gdzie jest ich miejsce. Gdyby pana tu nie było, otworzyłabym szeroko te drzwi i sam Klamm musiałby ich wyrzucić.

- Ale czy on nie słyszy, co pani teraz mówi? - spytał K.

- Nie - odparła Frieda. - On śpi.

- Co! - krzyknął K. - śpi? Kiedy zaglądałem do tamtego pokoju, czuwał jeszcze siedząc przy biurku.

- I teraz jeszcze tak siedzi - powiedziała Frieda. - Ale spał już i wtedy, kiedy pan go obserwował. Inaczej czyż mogłabym była pozwolić, by pan tam zajrzał? On zawsze tak śpi. W ogóle ci panowie śpią bardzo dużo, wprost trudno to zrozumieć. Zresztą, gdyby Klammm tak wiele nie spał, to jakżeby mógł znieść obecność tych ludzi? Teraz jednak będę musiała sama ich stąd wyrzucić.

Wzięła z kąta bat i skoczyła jednym susem, wysokim i niezupełnie pewnym, tak jak skacze jagniątko, w kierunku tańczących. Z początku zwrócili się do niej tak, jak gdyby przybyła im nowa tancerka, i rzeczywiście tak to wyglądało, jakby Frieda chciała rzucić swój bat, ale potem uniosła go znowu. - W imię Klammy - krzyknęła - do obory, wszyscy do obory! - Teraz dopiero zmiarkowali, że to nie przelewki, i w niezrozumiałym dla K. popłochu zaczęli tłoczyć się w głąb izby. Pod naporem pierwszych otworzyły się tam jakieś drzwi. Do izby wionęło nocnym powietrzem i wszyscy znikli, wraz z Friedą, która ich widocznie przez podwórze gnała do obory.

W nagle zapadłej teraz ciszy K. usłyszał kroki w sieni. Aby jakoś się uratować, wskoczył za ladę, gdyż tylko pod nią można się było ukryć. Wprawdzie nie zakazano mu przebywania w izbie z szynkwasmem, ale chcąc tu przenocować, musiał unikać tego, by go tu jeszcze raz widziano. Dlatego, gdy tylko drzwi się rzeczywiście otworzyły, wśliznął się pod szynkwasa. Być tam znalezionym było rzeczywiście równie niebezpieczne, ale wymówka, że musiał się tam przed rozhulanymi chłopami schować, mogła brzmieć prawdopodobnie.

Do pokoju wszedł zarządzający gospodą. - Frieda! - zawołał i przeszedł się kilka razy po izbie tam i z powrotem.

Na szczęście Frieda wkrótce nadeszła i nawet nie napomknęła o K. Poskarżyła się tylko na chłopów i poszła za ladę, by poszukać tam geometry. K. mógł dotknąć jej nogi i czuł się od tej chwili bezpiecznie. Ponieważ Frieda o K. nie napomknęła, musiał uczynić to w końcu sam zarządzający.

- A gdzie jest geometra? - zapytał.

W ogóle był to raczej człowiek uprzejmy, który dzięki stałemu i stosunkowo swobodnemu obcowaniu z przełożonymi nabył dobrych manier, z Friedą zaś rozmawiał ze szczególnym szacunkiem. Zwracało to uwagę, zwłaszcza że mimo wszystko w rozmowie tej nie przestawał zachowywać się jak pracodawca wobec pracownicy, i to pracownicy nader

zuchwałej.

- Zupełnie zapomniałam o geometrze - powiedziała Frieda i postawiła swoją małą stopę na piersi K. - Zapewne dawno już sobie poszedł.

- Aleja go nie widziałem - wtrącił *zarządzający* gospodą - a byłem przecież cały czas w sieni.

- Tu go jednak nie ma - powiedziała Frieda chłodno.

- Może gdzieś się schował - rzekł *zarządzający*. - Jeżeli sądzić według wrażenia, jakie na mnie wywarł, to można spodziewać się po nim niejednego.

- Nie miałby chyba tyle śmiałości - odparła Frieda i mocniej przycisnęła nogą K. W jej zachowaniu było coś wesołego i swobodnego, czego K. przedtem wcale nie zauważył i co go w całkiem nieoczekiwany sposób urzekło, kiedy nagle wybuchając śmiechem schyliła się nad nim ze słowami: - A może on tu pod ladą się schował? - po czym, musnąwszy go pocałunkiem, podniosła się i powiedziała z zatroskaną miną:

- Nie, nie ma go tutaj.

Ale *zarządzający* zachował się również dziwnie, gdyż naraz powiedział:

- Bardzo mi przykro, że nie wiem na pewno, czy geometra sobie poszedł. Nie chodzi już o pana Klamma, lecz o regulamin, który zresztą obowiązuje zarówno panią, panno Friedo, jak i mnie. Za izbę z szynkwasem odpowiada pani, a za pozostałe pomieszczenia ja; jeszcze je przeszukam. Dobranoc, życzę miłego snu.

Nie zdążył jeszcze opuścić izby, gdy Frieda zgasiła światło elektryczne i znalazła się przy K. pod ladą. - Moje kochanie, moje słodkie kochanie! - szeptała, ale nie dotykała K., leżąc na wznak, jakby omdlała z miłości, z rozłożonymi rękami. Czas zdawał się rozciągać w nieskończoność dzięki jej szczęśliwej miłości, kiedy tak wzdychała raczej niż nuciła jakąś piosenkę. Potem przeraziła się, że K. nie przerywa swoich rozmyślań, i zaczęła mu się naprzykrzać jak dziecko: - Chodź, tu na dole można się udusić! - Objęli się. Małe ciało Friedy gorzało w rękach K.; potoczyli się o kilka kroków, w zapomnieniu, z którego K. usiłował ciągle, ale nadaremnie się wyrwać; uderzyli głucho o drzwi pokoju Klamma i legli w małej kałuży piwa wśród różnych odpadków, którymi cała podłoga była pokryta. I tak mijały godziny, godziny wspólnego oddechu i wspólnego bicia serc, godziny w których K. nieustannie miał uczucie, że błądzi lub znajduje się na tak dalekiej obczyźnie, jak jeszcze nikt przed nim, na obczyźnie gdzie nawet powietrze nie ma tych samych składników co w kraju ojczystym, gdzie obcość dławi, a wśród jej szalonych powabów nie można nic innego zrobić tylko dalej brnąć i błądzić. Dlatego nie wzbudziło to, przynajmniej na razie, w K. przerażenia, ale raczej pewien brzask nadziei, kiedy z pokoju Klamma zawołano na Friedę niskim,

władczo obojętnym głosem.

- Frieda - powtórzył K. do jej ucha, przekazując w ten sposób tamto wołanie. Początkowo Frieda z iście wrodzonym posłuszeństwem chciała się zerwać, ale potem zmiarkowała, gdzie się znajduje, przeciągnęła się, zaśmiała cichutko i rzekła:

- Chyba do niego nie pójde, nigdy już do niego nie pójde.

K. chciał sprzeciwić się i zmusić ją, by poszła do Klamma, *zaczął* więc szukać strzępów jej bluzki. Nie mógł jednak nic powiedzieć, gdyż czuł się zbyt szczęśliwy i pełen obaw, gdyż wydawało mu się, że jeśli Frieda go opuści, utraci on wszystko, co posiada.

Frieda zaś, jak gdyby pewniejsza siebie z powodu przyzwolenia K., zacisnęła pięść, stuknęła nią w drzwi i zawołała: - Jestem przy geometrze! Jestem przy geometrze! - Wówczas Klamm rzeczywiście ucichł, K. zaś podniósł się z ziemi ukląkł obok Friedy i rozejrzał się w szarym świetle brzasku.

Co się stało? Gdzie się podziały jego nadzieje? Bo czegoż mógł teraz od Friedy oczekiwać, kiedy wszystko zostało ujawnione? Zamiast posuwać się naprzód ostrożnie, jak wymagała tego siła nieprzyjaciela i wielkość celu, do którego dążył, tarzał się przez całą noc w kałużach piwa, którego zapach działał teraz na niego odurzająco.

- Coś ty narobił - mówił sam do siebie. - Jesteśmy zgubieni.

- Nie - odpowiedziała Frieda - tylko ja jestem zgubiona, ale za to ciebie zdobyłam. Bądź spokojny. Spójrz jednak, jak ci dwaj się śmieją.

- Kto? - spytał K. i obrócił się.

Na ładzie siedzieli dwaj jego pomocnicy, nieco niewyspani, ale w świetnych humorach. Była to wesołość, jaką daje skrupulatne wykonanie obowiązku.

- Czego tu chcecie? - krzyknął K., jak gdyby to oni byli wszystkiemu winni, i zaczął szukać wszędzie bata, który Frieda miała z wieczora.

- Musieliśmy przecież ciebie odszukać - rzekli pomocnicy - ponieważ nie zszedłeś do nas na dół, do sali jadalnej; szukaliśmy cię u Barnabasa i w końcu tuśmy cię znaleźli. Siedzieliśmy tu przez całą noc. Nasza służba nie jest lekka. Co?

- Jesteście mi potrzebni za dnia, a nie w nocy - rzekł K. - Wynoście się stąd!

- Teraz jest przecież dzień - odpowiedzieli nie ruszając się z miejsca.

Rzeczywiście był już dzień. Otwarto wrota od podwórza i chłopci wraz z Olgą, o której K. całkiem zapomniał, wpakowali się znowu do izby. Olga była ożywiona, tak jak wczoraj wieczór, choć jej suknia i włosy były w strasznym nieładzie. Już w drzwiach zaczęła szukać oczyma K.

- Dlaczego nie poszedłeś ze mną do domu? - spytała niemal przez łzy. - I to z powodu

takiej kobiety! - dodała i powtórzyła to kilka razy.

Frieda, która na chwilę znikła, wróciła z małym tobołkiem bielizny. Olga odeszła smutna na bok.

- No, możemy iść - rzekła Frieda. Rozumiało się samo przez się, że myślała o oberży „Przy Moście”, do której mieli teraz pójść.

Przodem szli K. i Frieda, za nimi zaś pomocnicy, jakby w pochodzie. Chłopi okazywali Friedzie wiele pogardy, co było tym bardziej zrozumiałe, że dotychczas ona nimi surowo rządziła. Jeden z nich wziął nawet laskę i udawał, że nie pozwoli jej wyjść, dopóki nie przeskoczy przez laskę. Ale wystarczyło jedno jej spojrzenie, by go odpędzić. Na dworze w śniegu K. odetchnął trochę swobodniej. Radość z tego, że był na świeżym powietrzu, była tak wielka, że tym razem łatwo zniósł trudności drogi. Gdyby K. był sam, to szłoby mu się jeszcze lepiej. Przybywszy do oberży, poszedł zaraz do swego pokoju i położył się na łóżku. Frieda zaś urządziła sobie posłanie na podłodze. Pomocnicy wtargnęli razem z nimi i choć ich wypędzono, wrócili znów przez okno. K. był zbyt zmęczony, by ich jeszcze raz wypędzić. Żona oberżysty specjalnie przyszła na górę, by przywitać Friedę, która mówiła do niej „matuchno”. Odbyło się niezrozumiałe serdeczne powitanie z pocałunkami i długotrwałymi uściskami. Spokoju było w ogóle w izdebce bardzo mało. Często wpadały również służące tupiąc męskimi buciorami, aby coś przynieść czy zabrać. Kiedy potrzebowały czegoś z napchanego przeróżnymi przedmiotami łóżka, wyciągały to spod K. nie zwracając na niego uwagi. Friedę powitały jak równą sobie. Mimo takiego rozgardiaszu K. pozostał w łóżku przez cały dzień i całą noc. Drobne usługi wyświadczała mu Frieda. Kiedy nazajutrz wstał rano, nareszcie zupełnie odświeżony, był to już czwarty dzień jego pobytu w tej wsi.

Rozdział 4

K. chętnie porozmawiałby poufnie z Friedą, ale pomocnicy, z którymi zresztą Friedą od czasu do czasu przekomali, rżnęła się i śmiała, nie dopuszczali do tego już samą swoją natrętną obecnością. Przyznać trzeba, że wymagający nie byli, urządzili sobie w kącie izby na podłodze posłanie z dwóch starych damskich sukien. Ambicją ich było, jak to kilka razy powtarzali Friedzie, nie przeszkadzać panu geometrze i zajmować jak najmniej przestrzeni. W tym celu wśród nieustannych szeptów i chichotów robili różne sztuki, krzyżowali ręce i nogi i kucali, przytuleni do siebie, tak że w półmroku wyglądało to, jak gdyby w rogu izby coś się kłębiło. Mimo to jednak - wobec doświadczeń dnia poprzedniego - wiadomo już było, niestety, że byli to bardzo baczni obserwatorzy, którzy stale na K. się gapili. Używali przy tym, igrając jak dzieci, zwiniętych w trąbkę rąk zamiast lunet i wyczyniali różne inne głupstwa lub tylko mrugali, głównie jednak wydawali się zajęci przeczesywaniem swych bródek, o które bardzo dbali, i niezliczoną ilość razy porównywali nawzajem ich długość i gęstość, prosząc Friedę na superarbitra. K. często ze swego łóżka spoglądał całkiem obojętnie na to, co tych troje tam wyrabiało.

Kiedy K. poczuł się na tyle silny, że mógł opuścić łóżko, wszyscy troje podbiegli, by mu usługiwać. Nie będąc dość silny, żeby się od ich usług obronić, zmiarkował, że przez to uzależnia się od nich do pewnego stopnia, co mogło mieć fatalne skutki, ale chcąc nie chcąc musiał na to przystać. Nie sprawiało mu też wcale przykrości napić się przy stole doskonałej kawy, którą mu Friedą przynosiła, grzać się przy piecu, w którym Friedą paliła, zaś pilnych, choć niezdarnych pomocników posyłać po dziesięć razy schodami w dół i na górę po wodę do mycia, po mydło, grzebień i lusterko, i wreszcie - ponieważ K. wyraził uprzednio delikatnie w tym względzie życzenie - po kieliszeczek rumu. Wśród tego ciągłego rozkazywania i przyjmowania posług K. rzucił od niechcenia raczej, lecz w nadziei na posłuch:

- Idźcie sobie wy obaj, nic na razie od was nie potrzebuję i chciałbym sam na sam z panną Friedą porozmawiać. - Kiedy dostrzegł na ich twarzach względnie niewielki sprzeciw dodał jeszcze, by im to wynagrodzić: - Potem pójdziemy we trzech do wójta. Poczekacie więc na mnie na dole, w jadalni.

Dziwnym trafem usłuchali. Przed odejściem powiedzieli jedynie:

- Moglibyśmy i tutaj *zaczekać*. Na co K. odpowiedział:

- Wiem o tym, ale sobie tego nie *życzę*.

Rozdrażniło go jednak, choć do pewnego stopnia było to dlań również pożądane,

kiedy Friedę, zaraz po odejściu pomocników, usiadłszy mu na kolanach spytała: - Co masz, kochanie, przeciwko twoim pomocnikom? Nie potrzebujemy przed nimi niczego ukrywać, są wierni.

- Ach, tak, wierni - odparł K. - stale czatują na mnie. Jest to nie tylko bezsensowne, ale i obrzydliwe.

- Zdaje się, że cię rozumiem - rzekła Frieda, uwiesiła się na jego szyi i chciała coś jeszcze dodać, jednak nie mogła dalej mówić. Ponieważ zaś fotel stał obok łóżka, przechylili się na nie i upadli. Leżeli tam, ale już nie tak pochłonięci sobą, jak owej nocy. Ona czegoś szukała i on szukał. *Zażarci*, strojąc miny i wwiercając się w siebie nawzajem głowami, szukali czegoś, a ich objęcia i szamoczące się ciała nie dawały im zapomnienia, lecz przypominały o obowiązku szukania, i byli podobni do psów, które beznadziejnie rozgrzebują ziemię; grzebali się w swych ciałach, a potem bezradnie rozczarowani, by raz jeszcze *zaznać* ostatecznej rozkoszy, lizali nawzajem swe twarze. Dopiero znużenie uspokoiło ich i wzbudziło wzajemną wdzięczność. Wtedy weszły do izby służące.

- Patrz, jak oni tu leżą - powiedziała jedna z nich i z litości przykryła ich jakąś szmatą.

Kiedy później K. uwolnił się od tej szmaty i rozejrzał dokoła, pomocnicy, co go wcale nie zdziwiło, byli znów w swoim kącie i wskazując palcem na K., zachęcali się nawzajem do powagi i salutowali po wojskowemu. Prócz tego koło łóżka siedziała oberżystka i robiła na drutach pończochę. Była to robótka, która wcale nie pasowała do tej olbrzymiej, niemal zaciemniającej cały pokój postaci.

- Czekam tu już długo - rzekła i podniosła swoją szeroką, poznaczoną już zmarszczkami, ale mimo to dość jeszcze gładką, może kiedyś piękną twarz.

Słowa te brzmiały jak wyrzut, zresztą niesłuszny, gdyż K. wcale jej o przyjście nie prosił. Toteż odpowiedział na jej słowa jedynie skinieniem głowy i usiadł wyprostowany. Również Frieda wstała, odeszła jednak od K. i oparła się o fotel oberżystki.

- Czy to, proszę pani, co chciała mi pani powiedzieć - rzekł K. trochę nieprzytomnie - może być odłożone aż do chwili, kiedy wrócę od wójta? Mam tam do przeprowadzenia ważną rozmowę.

- Nasza rozmowa jest ważniejsza, niech pan mi wierzy, panie geometro - rzekła gospodyni. - Tam chodzi prawdopodobnie tylko o jakąś pracę, a tu chodzi o człowieka, o Friedę, moją ukochaną służebnicę.

- Ach tak - rzekł K. - tedy oczywiście, tylko nie wiem, dlaczego tej sprawy nie pozostawia się nam obojgu.

- Z miłości i troskliwości - powiedziała oberżystka, przyciągając do siebie głowę

Friedy, która stojąc przy niej sięgała zaledwie do ramienia siedzącej oberżystki.

- Ponieważ Frieda ma do pani takie zaufanie - rzekł K. - to i ja nie mogę go nie mieć. A ponieważ Frieda przed chwilą dopiero nazwała moich pomocników wiernymi, znaczy to, że jesteśmy wśród samych przyjaciół. Mogę więc pani powiedzieć, pani oberżystko, że uważam za najlepsze wyjście - poślubić Friedę i to w jak najkrótszym czasie. Niestety, nie będę mógł Friedzie powetować tego, co przeze mnie straciła: posady w gospodzie dla oficjalistów i przyjaźni Klamma.

Frieda podniosła głowę, oczy jej były pełne łez. Nie było w nich nic ze zwycięstwa.

- Dlaczego ja? Dlaczego ja właśnie mam być do tego przeznaczona?

- Co? - zapytali K. i oberżystka jednocześnie.

- Frieda jest oszołomiona, biedne dziecko - rzekła oberżystka - oszołomiona nadmiarem szczęścia i nieszczęścia.

Jakby dla potwierdzenia tych słów Frieda rzuciła się na K.

I zaczęła go tak gwałtownie całować, jak gdyby nikogo w pokoju nie było, a potem, płacząc i ciągle go jeszcze obejmując, upadła przed nim na kolana. K., gładząc obu rękami Friedę po włosach, spytał oberżystkę:

- Wydaje się, że pani przyznaje mi rację?

- Jest pan człowiekiem honoru - powiedziała żona oberżysty. Mówiąc to i ona połykała łzy; wyglądała na zmęczoną życiem i dyszała ciężko. Mimo to znalazła jeszcze tyle siły, by powiedzieć: - Trzeba teraz jeszcze pomyśleć o pewnych gwarancjach, jakich musi pan Friedzie udzielić, bo choć mój szacunek wobec pana jest bardzo duży, jest pan tu jednak obcy i nie może się pan na nikogo powołać, a pana stosunki rodzinne nie są nam znane. To że gwarancje są konieczne, zrozumie pan na pewno, kochany panie geometro, sam pan przecież podkreślił, jak wiele Frieda przez ten związek z panem, mimo wszystko, traci.

- Oczywiście, gwarancje, naturalnie - rzekł K. - Najlepiej złożę je u rejenta, ale prawdopodobnie i inne urzędy hrabskie również się do tego wtrąca. Zresztą przed weselem i ja muszę jeszcze koniecznie coś załatwić. Muszę rozmówić się z Klammem.

- To jest niemożliwe - rzekła Frieda, podniosła się trochę i przytuliła do K. - Co za pomysł!

- To musi nastąpić - rzekł K. - Jeśli dla mnie będzie niemożliwe do osiągnięcia, ty musisz to spowodować.

- Ależ ja nie mogę, K., ja nie mogę - powiedziała Frieda. - Klamm nigdy nie będzie chciał z tobą mówić. Jak możesz sobie to w ogóle wyobrazić, aby Klamm zechciał z tobą rozmawiać!

- A z tobą by rozmawiał? - spytał K.

- Także nie - odparła Frieda. - Ani z tobą, ani ze mną, to jest całkiem niemożliwe. - Po czym zwróciła się do oberżystki, wyciągając do niej ramiona: - Widzi pani, czego on żąda.

- Jest pan dziwnym człowiekiem, panie geometro - powiedziała oberżystka. Wyglądała przerażająco, kiedy tak siedziała wyprostowana, z rozstawionymi nogami, aż jej potężne kolana sterczały spod cienkiej sukni. - Żąda pan czegoś niemożliwego.

- Dlaczego jest to niemożliwe? - spytał K.

- Zaraz to panu wytłumaczę - odparła oberżystka takim tonem, jak gdyby to wytłumaczenie nie było ostatnią uprzejmością, ale już pierwszą karą, której mu udziela. - Bardzo chętnie to panu wytłumaczę. Wprawdzie nie należę do zamku i jestem tylko kobietą, żoną oberżysty w oberży najniższej kategorii, może i nie najniższej, ale blisko tego, i łatwo mogłoby się zdarzyć, że nie przypisywałby pan wiele znaczenia temu, co panu powiem, ale w życiu moim miałam zawsze oczy otwarte, spotykałam wielu ludzi i sama dźwigałam cały ciężar gospodarstwa, gdyż mój mąż to wprawdzie dobry chłopak, ale oberżystą dobrym nie jest i nigdy nie zrozumie, co znaczy odpowiedzialność. Tylko jego niedbalstwu zawdzięcza pan na przykład, że jest pan tu, we wsi, i siedzi sobie teraz na łóżku, w spokoju i wygodzie, podczas gdy ja tego wieczoru upadałam ze zmęczenia.

- Co? - spytał K., jakby budząc się z pewnego oszołomienia, bardziej podniecony ciekawością niż gniewem.

- Tylko jego niedbalstwu pan to zawdzięcza! - powtórzyła oberżystka głośniejszym głosem, wskazując palcem na K.

Frieda starała się ją uspokoić.

- Czego chcesz? - spytała oberżystka, obracając się do niej całym ciałem. - Pan geometra zadał mi pytanie, więc muszę na nie odpowiedzieć, bo jakże mógłby bez tego zrozumieć to, co nam wydaje się samo przez się zrozumiałe: że pan Klamm nigdy z nim mówić nie będzie. Zresztą, co ja mówię: „nie będzie”, pan Klamm z nim nigdy mówić nie może. Niech pan posłucha, panie geometro! Pan Klamm jest jednym z oficjalistów na zamku, a już to samo *oznacza*, nie mówiąc o stanowisku Klamma, że ma bardzo wysoką rangę. A kim pan jesteś, o którego zgodę na małżeństwo tak pokornie tu zabiegamy! Nie jest pan ani z zamku, ani ze wsi. Pan jest niczym. Ale, niestety, jest pan jednak kimś, jest pan człowiekiem obcym, ponad-liczbowym, który wszędzie zawadza, człowiekiem, z powodu którego powstają ciągle kłopoty, z powodu którego trzeba było wyeksmitować stąd służące, człowiekiem, którego zamiary są bliżej nie znane, wreszcie tym, kto naszą ukochaną Friedę uwiódł i komu trzeba ją, niestety, dać za żonę. Zresztą z powodu tego wszystkiego nie czynię panu żadnych

wyrzutów. Jest pan takim, jakim pan jest. W życiu moim zbyt już wiele widziałam, żebym nie mogła znieść jeszcze i pańskiego widoku. Niechże pan zda sobie sprawę, czego pan żąda. Taki człowiek jak Klammm ma z panem rozmawiać! Z bólem serca słyszałam, że Frieda pozwoliła panu zaglądać przez okienko w drzwiach. Kiedy to uczyniła, musiała już być przez pana uwiedziona. Niech pan powie: w jaki sposób w ogóle zdołał pan znieść widok Klammm? Nie potrzebuje pan odpowiadać, wiem, że pan to zniósł doskonale. Nie jest pan przecież w stanie Klammm naprawdę widzieć, nie jest to żadna zarozumiałość z mojej strony, gdyż i ja nie jestem w stanie. Klammm ma z panem mówić, ale przecież on nie rozmawia nawet z ludźmi z tej wsi, jeszcze nigdy osobiście nie rozmawiał z kimkolwiek ze wsi. Było to wielkie wyróżnienie dla Friedy, wyróżnienie, które pozostanie aż do śmierci moją dumą, że Klammm miał zwyczaj wołać na nią po imieniu, a ona mogła do niego przemawiać, ile się tylko jej podobało, i za jego zezwoleniem patrzeć przez okienko w drzwiach. On jednak nigdy nawet z nią nie rozmawiał. A to, że czasem Friedę wołał, nie ma wcale takiego znaczenia, jakie można by temu przypisać, po prostu wołał na nią „Frieda”, a któż zna jego zamiary? To że oczywiście Frieda z pośpiechem do niego szła, to już jej rzecz, a to że bez sprzeciwu była do niego wpuszczana, dowodzi tylko dobroci Klammm, ale żeby ją wyraźnie przyzywał, tego nie można twierdzić. Oczywiście nawet to co było, minęło raz na zawsze. Może Klammm będzie wołał jeszcze na Friedę po imieniu, to jest możliwe, ale już jej do niego na pewno nie wpuszczą. Dziewczyna, która się panu oddała! I tylko jednej rzeczy nie może zrozumieć moja biedna głowa, że dziewczyna, o której mówiono, iż była kochanką Klammm - uważam to zresztą za bardzo przesadne określenie - mogła pozwolić, by pan ją dotknął.

- Zapewne, jest to bardzo dziwne - rzekł K. i wziął na kolana Friedę, która choć ze spuszczoną głową zaraz się zgodziła. - Dowodzi to jednak, jak myślę, że i poza tym nie wszystko się tak przedstawia, jak pani przypuszcza. I tak na przykład ma pani rację, twierdząc że wobec Klammm jestem niczym, a to że teraz domagam się z nim rozmowy i że nawet perswazje pani nie mogą mnie powstrzymać, nie znaczy jeszcze, iż jestem w stanie znieść widok Klammm bez dzielących nas drzwi i że samo jego wejście nie zmusi mnie do ucieczki z pokoju. Ale taka, może nawet i usprawiedliwiona, obawa nie stanowi jeszcze dla mnie powodu, by na coś podobnego się nie odważyć. Jeśli jednak uda się mi stawić mu czoło, to nie będzie wcale niezbędne, by ze mną rozmawiał, wystarczy mi, jeśli ja zobaczę, jakie wrażenie wywrą na niego moje słowa, a jeżeli żadnego wrażenia nie wywrą lub jeśli w ogóle ich nie usłyszy, to i tak będę miał tę korzyść, że swobodnie rozmawiałem z takim mocarzem. Pani wszakże, pani oberżystko, ze swoim wielkim znawstwem życia i ludzi, jak również Frieda, która jeszcze wczoraj była kochanką Klammm - nie widzę powodu, by pomijać to

określenie - możecie mi na pewno ułatwić rozmowę z Klammem; gdyby w inny sposób było to niemożliwe, to może właśnie w gospodzie dla oficjalistów z zamku, gdzie może on jeszcze i dzisiaj jest.

- To się nie da zrobić - odpowiedziała oberżystka - i widzę, że nie zdoła pan tego zrozumieć. Ale niech pan powie, o czym pan chciał z Klammem porozmawiać.

- Naturalnie o Friedzie - rzekł K.

- O Friedzie? - spytała oberżystka, jak gdyby nie rozumiejąc, i zwróciła się do Friedy:

- Słyszysz, Frieda, on chce o tobie mówić z Klammem, on z Klammem!

- Ach - rzekł K. - pani jest taką mądrą i wzbudzającą szacunek kobietą, a mimo to *przeraza* panią każda drobnostka. A więc tak! Chcę z nim rozmawiać o Friedzie, nie jest to chyba takie znów okropne, lecz raczej samo przez się zrozumiałe. Na pewno myli się pani również przypuszczając, że Frieda z chwilą mojego ukazania się straciła dla Klamma wszelkie znaczenie. Nie docenia go pani, jeśli pani tak myśli. Zdaję sobie sprawę, że jest to z mojej strony zarozumiałość, kiedy chcę w tej sprawie panią pouczać, ale muszę to uczynić. Z mojej przyczyny nie mogło się nic w ustosunkowaniu Klamma do Friedy zmienić. Albo nie było między nimi istotnych stosunków, jak twierdzą właściwie ci, którzy odmawiają Friedzie zaszczytnego miana kochanki, i wtedy nie ma ich i dzisiaj, ale jeśli takie stosunki były, to w jakiż sposób mogłyby one przeze mnie, który jak pani słusznie zaznaczyła, jestem w oczach Klamma niczym, w jakiż sposób mogłyby one być przeze mnie zniszczone. W takie rzeczy można było uwierzyć w pierwszej chwili przerażenia, ale już odrobina rozsądku musi to skorygować. Zresztą pozwólmy samej Friedzie w tej sprawie zabrać głos.

Ze spojrzeniem utkwionym w dal i policzkiem opartym o pierś K. Frieda powiedziała:

- Na pewno jest tak, jak matuchna powiedziała: Klamm nie chce już o mnie słyszeć. Ale oczywiście nie dlatego, że ty, kochanie, przybyłeś, bo coś podobnego nie mogłoby Klamma przerazić. Myślę wszakże, że jest to nawet jego sprawa, iż spotkaliśmy się tam wówczas pod ładą. Niech godzina ta będzie zawsze błogosławiona, a nie przeklęta!

- Jeśli rzecz ma się tak - mówił K. powoli, gdyż słowa Friedy były dla niego tak słodkie, że przymknął na kilka sekund oczy, by nasycić się ich słodyczą - jeśli rzecz ma się tak, to tym mniej widzę powodów do obaw przed rozmową z Klammem.

- Zaprawdę - rzekła oberżystka i spojrzała z góry na K. - niekiedy przypomina mi pan mego męża, gdyż jest pan równie butny i dziecinny jak on. Jest pan dopiero od kilku dni w tej miejscowości i już chce pan wszystko lepiej wiedzieć od tubylców, nawet od takiej starej kobiety jak ja i od Friedy, która w gospodzie dla oficjalistów z zamku tyle rzeczy widziała i słyszała. Nie przeczę, że udaje się czasem osiągnąć coś, co sprzeciwia się regulaminowi i od-

wiecznym zwyczajom. Mnie osobiście nic podobnego nie spotkało, ale rzekomo można przytoczyć takie przykłady. Możliwe, ale wtedy nie robi się tego na pewno nigdy w ten sposób, jak pan to czyni, powtarzając nieustannie: nie i nie, wierząc tylko we własny rozum i odrzucając życzliwe rady. Czy pan naprawdę myśli, że troszczę się o pana? Czyż troszczyłam się o pana, dopóki był pan samotny? Chociaż może byłoby to dla pana i korzystne, i niejednego można by było uniknąć. Jedno wtedy powiedziałam mężowi o panu: „Trzymaj się od niego jak najdalej”. I dzisiaj mnie też powinno by to obowiązywać, gdyby Frieda nie została wciągnięta w pana losy. Jej pan zawdzięcza, czy to się panu podoba, czy nie, moją troskliwość, a nawet po prostu to, że zwróciłam na pana uwagę. I nie wolno panu mną pomiatać, gdyż jest pan wobec mnie, jako jedynej, która po macierzyńsku i szczerze Friedeczką się opiekuje, bezpośrednio odpowiedzialny. Może Frieda ma rację i wszystko, co się stało, jest zgodne z wolą Klamma, ale o Klammie ja teraz nic nie wiem; nie będę nigdy z nim rozmawiała, gdyż jest on dla mnie całkowicie nieosiągalny. Pan natomiast siedzi tu i trzyma moją Friedę i znajduje się, dlaczegóż miałabym to przemilczeć, na mojej łasce. Tak, na mojej łasce, bo niechby pan tylko spróbował, młody człowieku, gdzieś na wsi znaleźć dach nad głową, choćby w jakiejś psiej budzie, gdybym wyrzuciła pana z tego domu.

- Dziękuję - odparł K. - za te szczerze słowa, w które całkowicie wierzę. Zaiste, niepewna jest moja sytuacja, a w związku z tym i sytuacja Friedy.

- Nie! - przerwała oberżystka z wściekłością. - Sytuacja Friedy nie ma pod tym względem nic wspólnego z pańską sytuacją. Frieda należy do mego domu i nikt nie ma prawa nazywać jej sytuacji tutaj niepewną.

- Dobrze, już dobrze - rzekł K. - Przyznaję pani i pod tym względem rację, zwłaszcza że Frieda z nie znanych mi przyczyn okazuje zbyt wiele strachu wobec pani, by mogła się do tego wtrącić. Mówmy więc na razie tylko o mnie. Sytuacja moja jest w najwyższym stopniu niepewna. Pani temu nie przeczy, a nawet stara się to udowodnić. Jak we wszystkim, co pani mówi, ma pani i w tym tylko w dość poważnym stopniu rację, ale nie całkowitą. Tak na przykład wiem coś o pewnym dobrym noclegu, który jest mi dostępny.

- Gdzie? Gdzie? - zawołały Frieda i oberżystka tak jednocześnie i natarczywie, jak gdyby kierowały się tymi samymi pobudkami zadając to pytanie.

- U Barnabasa - odparł K.

- Łotry! - krzyknęła oberżystka. - Skończone łotry! U Barnabasa! Czy słyszycie? - w tym miejscu zwróciła się do kąta izby, z którego pomocnicy od dawna już wyleźli i stali, trzymając się pod ramię, za oberżystką, która obecnie, jak gdyby potrzebując oparcia, chwyciła za rękę jednego z nich. - Czy słyszycie, gdzie ten pan się szwenda! W rodzinie

Barnabasa! Zapewne, może on tam otrzymać nocleg. Ach, o ileż lepiej by było, gdyby tam przenocować, zamiast w gospodzie dla panów z zamku. Ale gdzie wyście byli?

- Pani oberżystko - rzekł K., zanim pomocnicy zdążyli odpowiedzieć - to są moi pomocnicy, a pani traktuje ich tak, jak gdyby to byli jej pomocnicy, a moi stróże. We wszelkich innych sprawach jestem gotów jak najuprzejmiej pani zdanie przedyskutować, co się jednak tyczy moich pomocników, to nie, gdyż sprawa ta jest zupełnie jasna. Dlatego proszę, by pani z moimi pomocnikami nie rozmawiała, a gdyby moja prośba nie miała wystarczyć, to zakazę im odpowiadać pani.

- Więc nie wolno mi z wami rozmawiać - rzekła oberżystka i wszyscy troje zaczęli się śmiać, oberżystka szyderczo, ale o wiele łagodniej niż K. tego oczekiwał, pomocnicy zaś w swój zwykły sposób, który oznaczał i wiele, i nic i był pozbawiony wszelkiego poczucia odpowiedzialności.

- Nie gniewaj się tylko - wtrąciła Frieda - musisz nasze wzburzenie we właściwy sposób zrozumieć. Można twierdzić, że to, iż należymy teraz do siebie, zawdzięczamy jedynie Barnabasowi. Kiedy pierwszy raz cię zobaczyłam, tam przy szynkwasiu, wszedłeś pod ramię z Olgą. Wiedziałam wprawdzie już coś niecoś o tobie, ale w ogóle byłeś mi przecie obojętny. Właściwie nie tylko ty byłeś mi obojętny, ale prawie wszystko, prawie wszystko było mi obojętne. Byłam również wtedy z wielu rzeczy niezadowolona i niejedno mnie drażniło, ale cóż to było za niezadowolenie i co za uraza! Tak na przykład obraził mnie jeden z tych gości przy szynkwasiu, którzy stale na mnie dybali. Widziałeś wówczas tych drabów, przychodzili tam jeszcze gorsi, a służba Klamma była najgorsza. I oto jeden z nich mnie obraził, ale cóż to dla mnie mogło znaczyć? Zdawało mi się, że stało się to wiele lat temu, albo że się w ogóle nigdy nie zdarzyło, czy też, że dowiedziałam się o tym jedynie z opowiadania albo że sama już o tym zapomniałam. Nie potrafię tego już jednak opisać, a nawet wyobrazić sobie, tak wszystko się zmieniło od chwili, kiedy Klamm mnie opuścił.

I Frieda przerwała swoje opowiadanie, opuściła smutno głowę, ręce trzymając złożone na łonie.

- Widzi pan - powiedziała oberżystka udając, że nie mówi tego osobiście, ale użycza Friedzie swego głosu. Po czym przysunęła się bliżej i siedziała teraz tuż przy Friedzie. - Patrz pan, panie geometro, na skutki swoich czynów! Również pomocnicy pana, z którymi przecie nie wolno mi rozmawiać, niech się przyglądają, aby się czegoś nauczyli! Wrywa pan Friedę z błogostanu, który był dla niej przeznaczony, a udało się to panu przede wszystkim dlatego, że Frieda w dziecinnie przesadnym współczuciu nie mogła znieść, iż trzymał pan Olgę pod ramię i zdawał się być w ten sposób oddany na pastwę rodzinie Barnabasa. Frieda pana

uratowała, siebie składając w ofierze. Teraz, kiedy to już się stało i Frieda wszystko co posiadała, wymieniła na szczęście siedzenia na pańskich kolanach, przychodzi pan i wygrywa jako swój wielki atut, że miał pan kiedyś możliwość przenocowania u Barnabasa. Chce pan przez to zapewne dowieść, że jest pan ode mnie niezależny. Zapewne, gdyby pan rzeczywiście przenocował u Barnabasa, byłby pan tak ode mnie niezależny, że⁴ szybko, i to jak najszybciej, musiałby pan mój dom opuścić.

- Nie wyznaję się na grzechach rodziny Barnabasa - rzekł K., podnosząc ostrożnie do góry na wpółżywą Friedę, posadził ją powoli na łóżku, sam zaś wstał. - Może ma pani pod tym względem rację, ale z całą pewnością i ja miałem rację, kiedy prosiłem, by pani nasze sprawy, to znaczy Friedy i moje, pozostawiła nam obojgu do załatwienia. Wspomniała pani coś wtedy o miłości i troskliwości, z których zresztą potem niewiele zauważyłem, a za to tym więcej nienawiści, szyderstwa i grózb wyrzucenia mnie z domu. Jeśli celem pani było Friedę do mnie, a mnie do Friedy zrazić, zrobiła to pani bardzo zgrabnie, myślę jednak, że się to pani nie uda, a gdyby miało się udać, niech pani pozwoli również i mnie wypowiedzieć złowrobną groźbę: będzie pani gorzko żałowała. A jeśli chodzi o mieszkanie, które mi pani daje, nazywając tak tę obrzydliwą norę, to wcale nie jest pewne, że robi to pani z własnej woli, raczej należy przypuszczać, że otrzymała pani w tym względzie polecenie od hrabskiej władzy. Zamelduję więc tam, gdzie należy, że wymówiono mi tu mieszkanie,

I kiedy przeznaczą mi inne, odetchnie pani z wielką ulgą, ja zaś z jeszcze większą. Teraz wybieram się w tej sprawie oraz w kilku innych do wójta gminy; proszę więc zaopiekować się przynajmniej Friedą, którą pani swymi tak zwanymi „matczynymi” upomnieniami boleśnie skrzywdziła.

Potem zwrócił się do pomocników: - Chodźcie - rzekł. Zdjął list Klamma z gwoździa i chciał iść. Oberżystka przyglądała mu się w milczeniu i dopiero, kiedy miał już rękę na klamce, powiedziała:

-Panie geometro, jeszcze jedną rzecz panu powiem na pożegnanie, gdyż niezależnie od tego, co pan tutaj wygadywał i czym mnie, starą kobietę, chciał obrazić, jest pan przecież przyszłym mężem Friedy. Tylko dlatego to panu powiem, że nie orientuje się pan zupełnie w tutejszych stosunkach. Głowa po prostu puchnie, gdy się pana słucha - i tego co pan wygaduje i tego co twierdzi i tego co porównuje w myślach ze stanem rzeczywistym. Wyplenić tej imaginacji za jednym zamachem nie sposób. Jeśli pan choć trochę mi zaufa i będzie stale pamiętał o tej swojej ignorancji, wtedy stanie się pan, na przykład niezwłocznie wobec mnie bardziej sprawiedliwy i zacznie pan zdawać sobie sprawę, co za straszne przeżyłam rzeczy, których skutki trwają jeszcze teraz, kiedy moje najdroższe piskłę, rzecz można, opuściło orła,

by połączyć się z padalcem. W rzeczywistości porównanie jest jeszcze gorsze i muszę ciągle starać się o tym zapomnieć, bo inaczej słowa nie mogłabym zamienić z panem spokojnie. Ach, znowu pan się gniewa. Nie! Niech pan jeszcze nie odchodzi, proszę wysłuchać jeszcze tej mojej prośby: Gdziekolwiek by pan poszedł, niech pan wszędzie pamięta, że jest pan tu największym ignorantem i dlatego winien pan być ostrożny; tutaj, u nas, gdzie obecność Friedy chroni pana od złego, może pan wygadywać, co mu ślina przyniesie na język, może pan nam na przykład pokazać, w jaki sposób zamierza pan rozmawiać z Klammem. Ale w rzeczywistości, w rzeczywistości proszę i błagam, żeby pan tego nie robił.

Powiedziawszy to oberżystka, drżąc trochę ze wzruszenia, podeszła do K. wzięła go za rękę i spojrzała na niego błagalnie.

- Pani oberżystko - odrzekł K. - nie rozumiem, dlaczego w tej sprawie pani do tego stopnia się poniża, by mnie błagać. Jeśli, jak pani mówi, rozmowa z Klammem jest dla mnie niemożliwa, to jej nie osiągnę, czy mnie kto o to prosi, czy nie. Gdyby to jednak miało być możliwe, to dlaczego nie miałbym tego zrobić, zwłaszcza że wtedy główne zastrzeżenie pani by odpadło i dalsze pani obawy stanęłyby pod znakiem zapytania. Zapewne, jestem ignorantem, ale rzeczywistość w każdym razie istnieje i to jest dla mnie bardzo smutne; ma to jednak również i tę dobrą stronę, że nie orientujący się człowiek na więcej się odważa - i dlatego chętnie zniosę jeszcze przez jakiś czas tę moją ignorancję i jej niewątpliwie groźne skutki, póki mi starczy sił. Skutki te zasadniczo osiągną tylko mnie i dlatego nie rozumiem, dlaczego pani mnie błaga. O Friedę będzie się pani na pewno zawsze troszczyć, a gdybym miał całkowicie zniknąć z jej horyzontu, to zgodnie z pani mniemaniem, byłoby to dla niej tylko szczęściem. Czego się więc pani boi? Nie boi się pani przecież - takiemu ignorantowi jak ja wszystko wydaje się możliwe - rzekł K. otwierając już drzwi - nie boi się pani chyba o Klamma?

Oberżystka patrzyła w ślad za K., kiedy zbiegał po schodach, a za nim jego pomocnicy.

Rozdział 5

To, że ma mówić z wójtem, nie budziło u K. ku jego własnemu zdumieniu prawie żadnych obaw. Próbował wytłumaczyć to sobie tym, że zgodnie z jego dotychczasowymi doświadczeniami służbowe stosunki z urzędami hrabskimi były dla niego bardzo proste. Było to spowodowane z jednej strony tym, że jeśli chodziło o załatwienie jego sprawy, widocznie został raz na zawsze ustalony dla niego pozornie korzystny tryb postępowania; z drugiej zaś - godną podziwu jednolitością w sposobie urzędowania, która zwłaszcza tam, gdzie rzekomo jej nie było, w szczególnie doskonałej formie dawała się wyczuć. Czasem, gdy K. o tych rzeczach myślał, nie był zbyt daleki od uważania swej sytuacji za zadowalającą, chociaż zawsze zaraz po takich przyływach błogostanu mówił sobie, że właśnie na tym polega niebezpieczeństwo.

Bezpośredni kontakt z urzędami nie był przecie nigdy zbyt uciążliwy, gdyż urzędy, choćby nie wiem jak dobrze zorganizowane, miały zawsze w imieniu jakichś odległych, niewidocznych władców bronić odległych, abstrakcyjnych spraw, podczas gdy K. dla własnego dobra walczył o coś jak najbardziej żywego i bliskiego. Ponadto, zwłaszcza na samym początku, czynił to z własnej woli, gdyż to przecież on znajdował się w ofensywie; i nie tylko on sam walczył o siebie, ale walczyły o niego jeszcze inne siły, których nie znał, ale w które, sądząc po zarządzeniach urzędów, mógł wierzyć. Przez to jednak, że urzędy od początku szły K. bardzo na rękę w sprawach drugorzędnych, gdyż o inne na razie nie chodziło, odbierały mu możliwość drobnych i łatwych zwycięstw, a wraz z tą możliwością również i wynikającą z niej satysfakcję, a co za tym idzie mocno ugruntowaną pewność siebie w dalszych, poważniejszych walkach.

Zamiast tego pozwalały K., wprowadzając tylko w obręb wsi, poruszać się, gdzie tylko zechciał, demoralizowały go przez to i osłabiały, uniemożliwiając z góry wszelką walkę i przenosząc go za to w pozaurzędowe, całkiem nieprzejrzyste, mętne, dziwaczne życie. W ten sposób, jeśli na chwilę przestawał być ostrożny, mogło się zdarzyć, że pewnego dnia mimo uprzejmości władz i sumiennego wypełniania wszystkich tak przesadnie łatwych urzędowych zobowiązań, omamiony pozorną przychylnością, zacząłby się w swym prywatnym życiu tak nieostrożnie zachowywać, że załamałby się, a wtedy urząd musiałby, ciągle jeszcze łagodnie i przyjaźnie, jakby wbrew własnej woli, ale w imieniu jakiegoś nie znanego mu oficjalnego porządku, wkroczyć, by usunąć go z drogi. A właściwie czym było tu owo prywatne życie? K. nigdy jeszcze nie widział urzędowania i życia splecionych ze sobą tak jak tu, splecionych

tak, że niekiedy mogło się wydawać, iż urzędowanie i życie zamieniły się miejscami. Co oznaczała na przykład jak dotychczas formalna tylko władza, którą sprawował Klamm nad służbowymi zajęciami K., w porównaniu z władzą, jaką Klamm w sypialni K. rzeczywiście posiadał. W ten sposób doszło do tego, że nieco lekkomyślne postępowanie i pewne odprężenie były tutaj właściwie możliwe jedynie bezpośrednio w stosunku do urzędów, podczas gdy poza tym należało koniecznie stosować wielką ostrożność, należało rozglądać się na wszystkie strony, zanim zrobi się jakikolwiek krok.

Bytność u wójta całkowicie potwierdziła dotychczasowy pogląd K. na tutejsze urzędy. Wójt, przyjazny, otyły, gładko ogolony mężczyzna, był chory, leżał po ciężkim ataku podagry i przyjął K. w łóżku. - A więc to jest nasz pan geometra - powiedział. Chciał się trochę podnieść na powitanie, ale nie mógł tego uczynić, wskazał przepaszczając na nogi i opadł znów na poduszki. Potem cicha, w półmroku pokoju o małych oknach, zaciemnionych jeszcze firankami, wyglądająca niemal jak cień kobieta podsunęła K. fotel, ustawiając go przy łóżku. - Niech pan siada, niechże pan siada, panie geometro - rzekł wójt - proszę mi wyjawić swoje życzenia.

K. odczytał na głos list Klamma, dorzucając kilka własnych uwag. Miał przy tym znowu poczucie niezwyklej łatwości w stosunkach z przedstawicielami władzy. Ponosili formalnie każdy ciężar, wszystko można było na nich przerzucić, samemu zaś pozostawało się nietkniętym i wolnym. Wójt wydawał się odczuwać na swój sposób to samo i zaczął wierzyć się, nie mogąc wygodnie ułożyć się w łóżku. W końcu powiedział:

- Panie geometro, jak zapewne pan zauważył, wiedziałem już o całej sprawie. A to, że nie przedsięwziąłem jeszcze żadnych kroków, ma swoje uzasadnienie po pierwsze w mojej chorobie, po drugie zaś w tym, że pan tak długo nie przychodził, tak że już myślałem, iż pan zrezygnował. Teraz jednak, kiedy pan był łaskaw mnie osobiście odwiedzić, muszę panu, rzecz naturalna, powiedzieć całą nieprzyjemną prawdę. Został pan przyjęty na geometrę, jak pan mówi, ale niestety, my nie potrzebujemy geometry. Granice naszych małych gospodarstw są wytyczone i wszystko porządnie naniesione na plan. Przewłaszczeń prawie nie ma, a drobne spory graniczne regulujemy sami. Do czegoż więc mógłby przydać się nam geometra?

Chociaż K. dotychczas się nad tym nie zastanawiał, był i bez tego wewnętrznie przekonany, że usłyszy podobną wiadomość. Dlatego też mógł zaraz odpowiedzieć.

- Jestem bardzo tym zaskoczony. Obala to wszystkie moje kalkulacje, mam jedynie nadzieję, że zachodzi tu jakieś nieporozumienie.

- Niestety nie - odparł wójt. - Jest tak, jak mówię.

- Ale czy to możliwe! - zawołał K. - Nie po to odbyłem tę nie kończącą się podróż,

aby teraz być odesłanym do domu!

- To całkiem inna sprawa - rzekł wójt - której ja rozstrzygnąć nie zdołam. Ale w każdym razie mogę panu wyjaśnić, jak doszło do takiego nieporozumienia. W tak wielkim urzędzie jak hrabski może się przecież zdarzyć, że jeden wydział wydaje takie polecenie, a drugi inne, nie wiedząc o sobie wzajemnie. Kontrola nadrzędna jest wprawdzie niesłychanie dokładna, ale z natury rzeczy następuje zbyt późno i zawsze może powstać jakaś drobna gmatwanina. Oczywiście mogą to być tylko zupełne drobiazgi, jak na przykład w danym wypadku. W poważnych sprawach nie zetknąłem się jeszcze nigdy z pomyłką, ale i te drobiazgi są często również bardzo przykre. Jeśli chodzi o pański przypadek, to chcę panu, nie robiąc z tego żadnych tajemnic urzędowych - w zbyt małym stopniu jestem urzędnikiem, jestem chłopem i basta - cały tok sprawy szczerze wyjaśnić. Dawno temu, byłem wtedy dopiero od kilku miesięcy wójtem, wyszło rozporządzenie, nie wiem już z jakiego wydziału, w którym to rozporządzeniu we właściwy tym panom kategoryczny sposób zostało oznajmione, że należy powołać geometrę i gmina ma się wystarać, by wszelkie potrzebne do jego pracy plany i szkice przygotować. Rozporządzenie to naturalnie nie mogło pana dotyczyć, gdyż było to wiele lat temu i w ogóle nie mógłbym sobie o tym przypomnieć, gdybym teraz nie był chory i nie miał leżąc w łóżku dość czasu, by o najbardziej bagatelnych rzeczach rozmyślać. Mizzi! - zawołał, przerywając nagle swe opowiadanie i zwracając się do żony, która, ciągle jeszcze zajęta jakimiś niezrozumiałymi czynnościami, krzątała się po pokoju. - Proszę, poszukać tam w szafie, może znajdziesz owo rozporządzenie. Pochodzi ono bowiem - zwrócił się wyjaśniająco do K. - z pierwszych lat mego urzędowania, kiedy jeszcze wszystko chowałem.

Wójtowa otworzyła zaraz szafę, a K. i wójt przyglądali się. Szafa była zapchana papierami. Przy otwieraniu dwa wielkie pliki akt, obwiązane sznurkiem, jak wiąże się drewno na podpałkę, wypadły z szafy i potoczyły się po podłodze, tak że wójtowa odskoczyła z przerażeniem na bok.

- To musi być gdzieś na spodzie - mówił wójt, wydając polecenie z łóżka. Wójtowa zgarniając akta obu rękami, wyrzuciła posłusznie wszystko z szafy, by dotrzeć do leżących na spodzie dokumentów. Papiery zapełniły już pół pokoju. - Wiele pracy zostało wykonane

- rzekł wójt kiwając głową - a to przecież tylko drobna część. Większość tych papierów schowałem w stodole i znaczna część oczywiście zginęła. Któż potrafi to wszystko utrzymać w porządku! Ale w stodole i tak pozostało jeszcze tego bardzo dużo. - Po czym zwrócił się znów do żony: - Czy potrafisz znaleźć to rozporządzenie? Musisz szukać dokumentu, na którym słowo „geometra” jest podkreślone niebieskim ołówkiem.

- Tu jest za ciemno - odparła wójtowa. - Pójdę po świecę.

- Depcząc po papierach, wyszła z pokoju.

- Żona jest dla mnie wielką pomocą - rzekł wójt - w tej ciężkiej pracy urzędowej, która jest przecie dla mnie tylko zajęciem ubocznym. Wprawdzie do pisemnych robót mam jeszcze siłę pomocniczą w nauczycielu, ale mimo to jest rzeczą niemożliwą podolać wszystkiemu. Ciągłe pozostaje wiele spraw nie załatwionych, które składam w tamtej oto szufladzie. - Mówiąc to wskazał na inną szafę. - A teraz, kiedy jestem chory, tonę w powodzi tych papierów - powiedział i położył się znowu, zmęczony, ale i dumny równocześnie.

- Czy nie mógłbym... - rzekł K., kiedy wójtowa wróciła ze świecą i klęcząc przy szufladzie szukała owego rozporządzenia - czy nie mógłbym pańskiej żonie dopomóc w szukaniu?

Wójt z uśmiechem pokręcił głową:

- Jak już powiedziałem, nie mam przed panem żadnych urzędowych tajemnic, ale pozwolić panu samemu szukać w aktach, tak daleko nie wolno mi się posunąć.

W pokoju zapanowała cisza, słychać było tylko szelest papierów. Wójt chyba nawet nieco się zdrzemnął. Nagle ciche pukanie do drzwi zmusiło K. do obejrzenia się. Byli to naturalnie pomocnicy. W każdym razie robili już postępy w dobrym wychowaniu: nie wpadali od razu do pokoju, na razie szeptali tylko przez na wpółuchylone drzwi:

- Jest nam zbyt chłodno na dworze.

- Kto to? - spytał wójt budząc się nagle.

- To tylko moi pomocnicy - odparł K. - Nie wiem, gdzie im *kazać* czekać, na dworze jest za chłodno, a tu by przeszkadzali.

- Mnie nie przeszkadzają - rzekł wójt uprzejmie - niech pan im każe wejść. *Zresztą* znam ich, to starzy znajomi.

- Mnie jednak przeszkadzają - rzekł K. szczerze, przenosząc wzrok z pomocników na wójta i z powrotem, przy tym zauważył, że uśmiechy wszystkich trzech są identyczne. - Ale kiedy już tu jesteście - powiedział na próbę - zostańcie i pomóżcie pani wójtowej wyszukać dokument, na którym słowo „geometra” jest podkreślone niebieskim ołówkiem.

Wójt nie wyraził sprzeciwu. A więc pomocnikom pozwolono na to, czego K. nie było wolno. Rzucili się zaraz na papiery, ale grzebali tylko w ich stosie, zamiast szukać naprawdę, i kiedy jeden sylabizował jakieś pismo, drugi wyrywał mu je z ręki. Wójtowa natomiast klęczała przed pustą szufladą i wydawało się, że wcale już nie szuka. W każdym razie świeca stała o wiele za daleko.

- A więc ci pomocnicy... - rzekł wójt z uśmiechem pełnym zadowolenia, jak gdyby

wszystko odbywało się zgodnie z jego zleceniami, choć nikt nie był w stanie tego się domyślić - ci pomocnicy panu przeszkadzają, ale przecież są oni pańskimi pomocnikami.

- Nie - odparł K. chłodno - dopiero tu do mnie się przyplątali.

- Co znaczy „przyplątali”? - spytał wójt.- Chce pan zapewne powiedzieć, że zostali panu przydzieleni.

- Niech będzie „przydzieleni” - zgodził się K. - Równie dobrze mogliby jednak spaść wraz ze śniegiem, tak bez namysłu odbyło się to przydzielenie.

- Bez namysłu nic się tu nie dzieje - rzekł wójt, zapominając nawet o bólu w nogach, i usiadł na łóżku wyprostowany.

- Nic? - spytał K. - A jak to było z moim powołaniem?

- Pana powołanie również było głęboko przemyślane - rzekł wójt -jedynie względy uboczne zagmatwały sprawę, czego dowiodę panu na podstawie akt.

- Ale przecież nie znajdzie się tych dokumentów - powiedział K.

- Nie znajdzie się? - krzyknął wójt. - Mizzi, szukaj trochę prędzej! Na razie mogę panu całą historię i bez akt opowiedzieć. Na to rozporządzenie, o którym wspomniałem, odpowiedzieliśmy z podziękowaniem, ale zaznaczając, że żadnego geometry nie potrzebujemy. Ta odpowiedź jednak dotarła prawdopodobnie nie do zainteresowanego wydziału - nazwijmy go wydziałem A, ale omyłkowo do innego - do wydziału B. Wydział A pozostał więc bez odpowiedzi, ale również i wydział B nie otrzymał naszej odpowiedzi w całości - czy to dlatego, że sam tekst u nas pozostał, czy też dlatego, że zaginął po drodze. W samym wydziale oczywiście *zagiąć* nie mógł, za to mogę ręczyć. W każdym razie do wydziału B dotarła tylko okładka dokumentu, na której było jedynie zaznaczone, że rzekomo znajdujący się w środku, a w rzeczywistości niestety zagubiony dokument dotyczy powołania geometry. Wydział A czekał tymczasem na naszą odpowiedź, posiadał wprawdzie kilka notatek w tej sprawie, ale jak to się łatwo może zdarzyć, i to nawet przy precyzyjnym załatwianiu spraw, referent liczył na to, że odpowiemy i że wtedy albo geometrę powoła, albo w miarę potrzeby będzie dalej z nami w tej sprawie korespondował. Na skutek tego referent zlekceważył notatki i całość popadła w zapomnienie. W wydziale B natomiast okładka dokumentu dotarła do rąk znanego z sumienności referenta. Nazywa się on Sordini i jest Włochem. Nawet dla mnie, człowieka poniekąd wtajemniczonego, jest rzeczą niezrozumiałą, dlaczego urzędnik o takich jak on zdolnościach pozostaje na tak niskim stanowisku. Ten Sordini odesłał nam naturalnie pustą okładkę dokumentu do uzupełnienia. Tymczasem od wysłania przez wydział A owego pierwszego pisma upłynęło już wiele miesięcy, jeżeli nawet nie lat. Jest to w pełni zrozumiałe, gdyż jeśli jakiś akt zgodnie z przepisami idzie właściwą drogą, to dociera do

swego wydziału najpóźniej w ciągu dnia i zostaje jeszcze w tym samym dniu załatwiony; jeśli jednak jakiś akt raz z drogi zboczy - choć przy doskonałości organizacji musi on fałszywej drogi naprawdę usilnie szukać, gdyż inaczej jej nie znajdzie - to wtedy, wtedy trwa to oczywiście bardzo długo. Kiedy więc otrzymaliśmy pismo od Sordiniego, całą tę sprawę tylko bardzo niedokładnie już sobie przypominaliśmy, a było nas wtedy tylko dwoje do roboty: Mizzi i ja, nauczyciel nie był nam jeszcze wtedy przydzielony. Kopie akt przechowywaliśmy jedynie w najważniejszych sprawach. Krótko mówiąc, mogliśmy dać tylko bardzo niepewną odpowiedź, że o takim zaangażowaniu nic nie wiemy, a geometry wcale nam nie trzeba. Ale... - przerwał sam sobie w tym miejscu wójt, jak gdyby w zapale opowiadania za dużo powiedział lub jak gdyby co najmniej mógł za dużo powiedzieć - czy ta cała historia pana nie nudzi?

- Przeciwnie - rzekł K. - bardzo mnie bawi. A wójt na to:

- Nie opowiadam panu tego, aby pana zabawić.

- Bawi mnie to wszakże z tego powodu - rzekł K. - że pozwala mi przyjrzeć się od wewnątrz całej tej komicznej gmatwaninie, która w pewnych warunkach decyduje jednak o egzystencji człowieka.

- Niczemu pan jeszcze nie mógł się przyjrzeć - powiedział poważnie wójt - toteż mogę panu dalej opowiadać. Nasza odpowiedź oczywiście nie zadowoliła Sordiniego. Podziwiam tego człowieka, choć jest on dla mnie istną zmorą. Nie dowierza on mianowicie nikomu; jeśli nawet przekonał się niezliczoną ilość razy, że ktoś jest godnym zaufania człowiekiem, nie wierzy mu przy następnej okazji, tak jakby go w ogóle nie znał albo raczej znał, lecz jako łotra. Uważam to za słuszne, urzędnik musi tak postępować; niestety, nie umiem z winy mego usposobienia sam tej zasady stosować. Widzi pan przecież, jak panu, obcemu przybyszowi, wszystko otwarcie przedkładam, po prostu nie umiem inaczej. Sordini natomiast potraktował wówczas naszą odpowiedź od razu nieufnie. Rozwinęła się z tego przewlekła korespondencja. Sordini zapytywał, dlaczego raptem wpadłem na pomysł, że nie należy w ogóle powoływać geometry; dzięki doskonałej pamięci mojej żony mogłem odpowiedzieć, że inicjatywa wyszła od urzędu (o tym, że chodziło o inny wydział, oczywiście od dawna zapomnieliśmy). A Sordini na to: „Dlaczego pan nadmienia o tym urzędowym piśmie dopiero teraz?”; odpowiedziałem: „Dlatego, że dopiero o tym sobie przypomniałem”. Sordini: „To bardzo dziwne”; ja: „To wcale nie dziwne przy tak przewlekłej sprawie”; Sordini: „To jednak dziwne, gdyż pismo, o którym pan sobie przypomniał, w ogóle nie istnieje”; ja: „Oczywiście, że nie istnieje, gdyż całe akta zostały zagubione”; Sordini: „W każdym razie powinna być jakaś notatka dotycząca owego pierwszego pisma, ale takiej

notatki nie ma”. W tym miejscu zająknąłem się, gdyż tego, że w wydziale Sordiniego mogła zajść pomyłka, nie ważyłem się ani twierdzić, ani w to wierzyć. Zarzuca pan może w duchu, panie geometro, Sordiniemu, że wzgląd na moje twierdzenie winien go być przynajmniej do tego skłonić, by zbadać sprawę w innych wydziałach. Właśnie to byłoby niesłuszne. Nie chcę, żeby nawet w pańskich myślach ten człowiek miał jakąś skazę. Zasadą pracy urzędu jest, że możliwości omyłek nie bierze się w rachubę. Zasada ta ma swoje usprawiedliwienie w doskonałej organizacji całości i jest konieczna, jeśli chce się osiągnąć możliwie największą szybkość w załatwianiu spraw. Sordini nie potrzebował wcale dowiadywać się w innych wydziałach, które zresztą i tak by mu nie odpowiedziały, gdyż od razu by zmiarkowały, że chodzi o zbadanie możliwości błędu.

- Niech pan pozwoli, panie wójcie, że przerwę panu pytaniem - powiedział K. - Czy nie wspomniał pan już przedtem o urzędzie kontrolnym? Gospodarka tu, według pańskiej interpretacji, jest tego rodzaju, że komuś kto słyszy o tym, iż kontroli mogłoby zabraknąć, robi się wprost niedobrze.

- Jest pan bardzo surowy - rzekł wójt. - Ale niech pan wzmoże jeszcze tysiąckrotnie swoją surowość, to i tak będzie ona niczym w porównaniu z surowością, jaką urząd stosuje wobec samego siebie. Tylko ktoś całkowicie obcy może postawić takie pytanie. Czy istnieje urząd kontrolny? Nie ma innych urzędów jak kontrolne. Wprawdzie nie są one powołane tylko do tego, by wynajdywać błędy w zwykłym znaczeniu tego słowa, gdyż takie błędy się nie zdarzają, a nawet jeśli jakiś błąd powstanie, jak w pańskim wypadku, to któż może ostatecznie zawyrokować, że jest to błąd.

- To byłoby coś całkiem nowego! - zawołał K.

- Dla mnie jest to coś całkiem starego - powiedział wójt. - Prawie tak samo jak pan jestem przekonany, że zakradł się tu błąd, i Sordini z rozpaczy zachorował, zaś pierwsze urzędy kontrolne, którym zawdzięczamy wykrycie źródła tego błędu, uznają również, że zachodzi tu omyłka. Ale kto ma prawo twierdzić, iż drugie urzędy kontrolne tak samo zawyrokują, a także trzecie i następne?

- Może i tak - rzekł K. - Wolę nie wtrącać się do tych rozważań, zwłaszcza że po raz pierwszy słyszę o urzędach kontrolnych i nie mogę jeszcze w nich się rozeznać. Myślę tylko, że należy tu rozróżniać dwie ewentualności: pierwsza - to, co dzieje się wewnątrz urzędów

i co potem zostaje urzędowo tak lub inaczej ujęte, oraz druga - jak traktuje się moją osobę, mnie, który znajduje się poza urzędami i któremu grozi od nich krzywda, i to tak bezsensowna, że ciągle jeszcze nie mogę w wagę tego niebezpieczeństwa uwierzyć. Co do pierwszej ewentualności, to prawdopodobnie jest tak, jak to pan, panie wójcie, z

zadziwiającym i nadzwyczajnym znawstwem opowiedział. Ale chciałbym usłyszeć również i słówko o mnie.

- Będę mówił i o tym - rzekł wójt - ale nie zrozumie pan,

O co chodzi, jeśli przedtem nie wyjaśnię niektórych spraw. Już to, że przed chwilą wspomniałem o urzędach kontrolnych, było przedwczesne. Wracam więc do nieporozumień z Sordinim. Jak już mówiłem, moja obrona powoli słabła. Gdy jednak Sordini uzyska choćby najmniejszą przewagę wobec innej osoby, to tak, jakby już wygrał, gdyż wtedy wzrasta jeszcze bardziej jego czujność, energia i przytomność umysłu. Wówczas postać jego staje się napadniętemu straszna, przeciwnikom zaś napadniętego wspaniała. Tylko dlatego, że przy innej sposobności doświadczyłem tego, mogę o nim opowiadać tak, jak to czynię. Zresztą jeszcze nigdy nie udało mi się widzieć go na własne oczy. Nie może on schodzić na dół, gdyż jest zbyt przeciążony pracą. Opowiadano mi, że w jego pokoju wszystkie ściany są zastawione stosami wielkich, piętrzących się jedne na drugich plików akt. Są to nie tylko akta, nad którymi Sordini bieżąco pracuje. Ponieważ stale z plików tych jakieś papiery się wyciąga, albo wkłada, a wszystko to dzieje się z wielkim pośpiechem, stosy dokumentów raz po raz się przewracają i właśnie te nieustanne, raz po raz następujące łoskoty stały się dla gabinetu Sordiniego charakterystyczne. No cóż, Sordini to tytan pracy, najmniejszej sprawie poświęca tyleż staranności, co i największej.

- Moją sprawę nazywa pan, panie wójt - rzekł K. - stale jedną z najmniejszych, a przecież zaabsorbowała ona już tylu urzędników

I chociaż z początku może i była drobna, to jednak, dzięki pilności ludzi z gatunku Sordiniego, zrobiła się poważna. Stało się to, niestety, całkowicie wbrew mojej woli, gdyż nie jest bynajmniej moją ambicją, by powstawały i przewracały się z hukiem wielkie stosy dotyczących mnie akt, ale abym mógł jako skromny geometra spokojnie pracować nad rysownicą.

- Nie - powiedział wójt - to nie jest sprawa ważna. Pod tym względem nie ma pan powodu do narzekań. Jest to jedna z najdrobniejszych spraw spośród drobnych. Zakres pracy nie *oznacza* bynajmniej stopnia ważności sprawy. Jeżeli pan tak myśli, to daleko panu jeszcze do zrozumienia, co to jest urząd. Ale nawet jeśli chodzi o zakres pracy, to pańska sprawa jest jedną z najdrobniejszych. Zwykle bowiem sprawy, to znaczy takie, w których nie zaszły żadne błędy, powodują jeszcze o wiele więcej i oczywiście o wiele mozolniejszej pracy. Zresztą nie wie pan jeszcze nic o właściwej pracy, jaką pańska sprawa spowodowała i o której teraz dopiero chcę opowiedzieć. Z początku Sordini nią się nie zajmował, ale jego urzędnicy przychodzili i codziennie w gospodzie dla oficjalistów z zamku odbywały się protokolarne

przesłuchiwania ogólnie szanowanych członków gminy. Większa ich część wypowiadała się po mojej stronie, tylko kilku się spieszyło. Sprawa pomiaru gruntów żywo interesuje każdego chłopą. Od razu zaczęli węszyć jakieś intrygi i kręactwa, a ponadto znaleźli przywódcę, tak że Sordini musiał z ich zeznań wywnioskować, iż gdyby wniósł sprawę na radę gminną, nie wszyscy wypowiedzieliby się przeciwko sprowadzeniu geometry. W ten sposób to, co się samo przez się rozumiało, to znaczy, że geometry w ogóle nie trzeba, zostało poniekąd zakwestionowane. Specjalnie wyróżnił się przy tym niejaki Brunswick, pan go zapewne nie zna, może to i niezły człowiek, ale dureń i fantasta. To szwagier Lasemanna.

- Tego mistrza garbarskiego? - spytał K. i opisał brodacza, którego spotkał w domu Lasemanna.

- Tak, to właśnie on - potwierdził wójt.

- Znam też jego żonę - rzekł K. na chybił trafił.

- Możliwe - rzekł wójt i zamilkł.

- Jest piękna - powiedział K. - ale trochę za błąda i chorowita. Zapewne pochodzi z zamku? - powiedział na wpół pytająco.

Wójt spojrział na zegar, nalał lekarstwa na łyżkę i przełknął szybko.

- Zna pan na zamku chyba tylko organizację biurową? - spytał K. brutalnie.

- Tak - odparł wójt z nieco ironicznym, ale równocześnie pełnym wdzięczności uśmiechem. - Bo przecież to jest najważniejsze. A jeśli chodzi o Brunswicka, to gdybyśmy mogli wykluczyć go z rady gminnej, wszyscy bylibyśmy uszczęśliwieni, najbardziej może sam Lasemann. Ale wówczas Brunswick uzyskałby pewną popularność. Mówcą to on wprawdzie nie jest, ale krzykaczem jest, i to niejednemu wystarcza. I tak się stało, że byłem zmuszony przedłożyć sprawę radzie gminnej. Chwilowo był to zresztą jedyny sukces Brunswicka, gdyż oczywiście rada gminna *znaczną* większością wypowiedziała się przeciwko sprowadzeniu geometry. Również i od tego wydarzenia minęło już wiele lat, ale przez ten czas sprawa nie poszła w zapomnienie, częściowo dzięki sumienności Sordiniego, który starał się za pomocą starannych przesłuchiwań zbadać wszystkie argumenty, zarówno większości, jak i opozycji, a częściowo dzięki głupocie i zarozumialstwu Brunswicka, który posiada kumoterskie stosunki w urzędach i wykorzystywał je, posługując się coraz to nowymi pomysłami swej bujnej fantazji. Wprawdzie Sordini nie dał się Brunswickowi nabrać, bo i jakżeż taki Brunswick mógłby Sordiniego oszukać? Ale właśnie aby nie dać się oszukać, potrzebne mu były coraz to nowe przesłuchiwania. A zanim były one doprowadzone do końca, Brunswick już znowu coś nowego wymyślił. Jest on rzeczywiście bardzo ruchliwy i to właśnie stanowi dopełnienie jego głupoty. A teraz chciałbym jeszcze omówić pewną

szczególną cechę naszego aparatu urzędowego. Odpowiednio do swojej precyzji jest on nad wyraz czuły. Jeśli rozważa się jakąś sprawę bardzo długo, to może się zdarzyć - nawet przed ukończeniem tych rozważań - że nagle, błyskawicznie, w jakimś całkiem nieprzewidywanym i nawet później niesprawdzalnym miejscu dochodzi do załatwienia sprawy - i to choć zazwyczaj słusznie, lecz mimo wszystko samowolnie. Wygląda to tak, jak gdyby aparat urzędowy nie mógł już dłużej znieść napięcia i trwającego latami nękania ciągle tą samą, może nawet i nieważną sprawą, i automatycznie, bez pomocy urzędników, powziął decyzję. Oczywiście nie stał się tu żaden cud i na pewno jakiś tam urzędnik wydał decyzję pisemną lub ustną. W każdym razie jednak ani przez nas, stąd, ani nawet przez sam urząd nie można stwierdzić, który urzędnik w tym wypadku zdecydował i z jakich to uczynił powodów. Dopiero urzędy kontrolne to ustalą, o wiele później; my wszakże nigdy się o tym nie dowiemy, a zresztą chyba by to już nikogo nie interesowało. Otóż, jak już wspomniałem, właśnie takie rozstrzygnięcia są przeważnie doskonałe. Przykre jest przy tym jedynie to, że siłą rzeczy dowiadujemy się o nich za późno i dlatego cały czas debatuje się namiętnie o sprawach od dawna załatwionych. Nie wiem, czy w pańskiej sprawie tego rodzaju decyzja została powzięta - pewne rzeczy przemawiają za tym, inne przeciwko temu; gdyby tak było, wysłano by do pana wezwanie i przedsięwziąłby pan swoją wielką podróż tutaj, minęłoby przy tym wiele czasu, a Sordini ciągle by jeszcze tutaj nad tą sprawą pracował aż do wyczerpania. Brunswick by intrygował, ja zaś byłbym przez nich obu dręczony. Tę możliwość jedynie zaznaczam, na pewno wiem jednak, co następuje: urząd kontrolny wykrył tymczasem, że wydział A wiele lat temu skierował do gminy zapytanie w sprawie geometry i dotąd odpowiedzi nie otrzymał. Niedawno zapytano mnie znów o to i oczywiście cała sprawa została wyjaśniona. Wydział A zadowolił się moją odpowiedzią, że nie potrzeba żadnego geometry, i Sordini musiał uznać, że w tym wypadku nie był kompetentny i wprowadził nieświadomie, ale spowodował wiele niepotrzebnej i szarpiącej nerwy pisaniny. Gdyby jednak nigdy nie napłynęła skądkolwiek nowa praca i gdyby pańska sprawa nie była sprawą tak drobną - można prawie powiedzieć najmniejszą z najmniejszych - to odsapnęlibyśmy, myślę że nawet i sam Sordini. Tylko Brunswick się wściekał, co zresztą było komiczne. I niech pan sobie, panie geometro, wyobrazi moje rozczarowanie, kiedy teraz, po szczęśliwym zakończeniu całej sprawy - od którego zresztą minęło już wiele czasu - nagle pan się tu zjawia i wszystko zdaje się zaczynać znowu od początku. Chyba pan rozumie, że jestem całkowicie zdecydowany,

O ile to ode mnie zależy, w żadnym wypadku do tego nie dopuścić.

- Zapewne - rzekł K. -jeszcze lepiej jednak rozumiem, że zachodzi tu straszne

nadużycie w stosunku do mojej osoby, a może nawet jakieś bezprawie. Co do mnie, to potrafię się przed tym obronić.

- Jak pan chce to zrobić? - spytał wójt.

- Tego nie mogę zdradzić - odparł K.

- Nie chcę być natrętny - powiedział wójt - ale proszę wziąć pod uwagę, że ma pan we mnie - nie chcę powiedzieć: przyjaciela, gdyż jesteśmy przecież całkiem obcy, ale do pewnego stopnia - współnika. Jedynie do tego nie dopuszczę, by przyjęto tu pana na stanowisko geometry; poza tym może pan zwracać się do mnie zawsze z pełnym zaufaniem, oczywiście w granicach mojej kompetencji, która nie jest wielka.

- Mówi pan ciągle o tym - rzekł K. - że mam być przyjęty na stanowisko geometry, ale przecież ja jestem przyjęty. Oto list Klamma.

- List Klamma - powiedział wójt. - Jest on bardzo cenny

1 wzbudzający szacunek dzięki podpisowi Klamma, który wydaje się być autentyczny. Poza tym wszakże... nie śmiem jednak sam się do tego ustosunkować. Mizzi! - zawołał i dodał po chwili: - Co wy tam robicie? - Tak długo zapomniani pomocnicy i Mizzi, okazało się, nie odnaleźli jeszcze poszukiwanego przez nich dokumentu. Zniechęceni, chcieli wszystko zamknąć do szafy, ale z powodu mnóstwa nie uporządkowanych akt nie udało im się to. Wtedy pomocnicy wpadli widocznie na pomysł, który teraz właśnie wykonali. Położyli szafę na ziemi, wtłoczyli do niej wszystkie papiery i razem z Mizzi usiedli na drzwiczkach szafy, starając się je powoli wgnieść.

- A więc nie znaleźliście dokumentu? - rzekł wójt. - Szkoda, ale zna pan przecież już całą tę historię, tak że właściwie dokument ten już nie jest nam potrzebny, zresztą na pewno jeszcze się znajdzie, prawdopodobnie znajduje się u nauczyciela, u którego jest jeszcze wiele akt. Ale podejdź tu teraz ze świecą, Mizzi, i odczytaj ze mną ten list.

Mizzi przybliżyła się i wyglądała teraz jeszcze bardziej szaro i niepozornie, kiedy usiadła na brzegu łóżka i przytuliła się do krzepkiego, pełnego życia męża, który trzymał ją w objęciach. Tylko jej mała twarzyczka w świetle świecy zwracała teraz na siebie uwagę wyraźnymi i surowymi, jedynie przez podeszły wiek nieco złagodzonymi rysami. Zaledwie Mizzi rzuciła okiem na list, zaraz złożyła delikatnie ręce. - Od Klamma - powiedziała. Po czym odczytali wspólnie list, poszeptali trochę ze sobą i wreszcie w chwili, kiedy pomocnicy zaczęli właśnie krzyczeć „hurra!”, gdyż w końcu udało się im drzwiczki od szafy przygnieść, i Mizzi spojrzała z nich z cichą wdzięcznością, wójt powiedział:

- Mizzi podziela w pełni moje zdanie i dlatego odważam się teraz wypowiedzieć. List ten nie jest w ogóle pismem urzędowym, ale listem prywatnym. Widać to już wyraźnie z

nagłówka: „Wielce szanowny panie”. Prócz tego nie ma tam ani słowa o tym, że przyjęty pan zostaje na stanowisko geometry, przeciwnie, jest tam tylko mowa o hrabskiej służbie w ogólności. I to nawet nie jest w sposób wiążący powiedziane, jest pan tylko przyjęty, „jak to panu wiadomo”, to znaczy, że obowiązek dostarczenia dowodów, iż został pan przyjęty, ciąży na panu. Wreszcie, jeśli chodzi o sprawy urzędowe, zostaje pan skierowany wyłącznie do mnie, jako do wójta i bezpośredniego pańskiego zwierzchnika, który ma panu udzielić wszelkich bliższych informacji, co zresztą w większej części już się stało. Dla kogoś, kto umie czytać urzędową korespondencję, wskutek czego tym łatwiej czyta listy nieurzędowe, wszystko to jest aż nazbyt wyraźne. To, że pan jako obcy tego nie pojmuję, wcale mnie nie dziwi. W ogóle cały ten list oznacza tylko, że Klamm zamierza osobiście się o pana troszczyć na wypadek, gdyby pan został przyjęty do hrabskiej służby.

- Komentuje pan, panie wójcie, list ten tak dobrze, że w końcu nie pozostaje w nim nic innego jak tylko sam podpis na pustej kartce papieru. Czy nie pojmuję pan, do jakiego stopnia obniża pan przez to autorytet Klamma, którego według pańskich zapewnień tak pan szanuje?

- To nieporozumienie - rzekł wójt. - Doceniam w pełni znaczenie tego listu i nie pomniejszam go swoim komentowaniem, wprost przeciwnie. Prywatny list Klamma znaczy oczywiście o wiele więcej niż pismo urzędowe, ale właśnie tego znaczenia, które pan mu przypisuje, nie ma.

- Czy zna pan Schwarzera? - spytał K.

- Nie - rzekł wójt. - A może ty go znasz, Mizzi? Także nie. Oboje go nie znamy.

- To bardzo dziwne - stwierdził K. - Jest to syn podburgrabiego.

- Kochany panie geometro - rzekł wójt - w jakiż sposób mógłbym znać wszystkich synów wszystkich podburgrabiów?

- Dobrze - rzekł K. - ale w takim razie musi pan mi uwierzyć, że tak jest. Z tym Schwarzerem miałem od razu pierwszego dnia po swoim przyjeździe przykre zajście. Potem dowiadywał się o mnie przez telefon u podburgrabiego imieniem Fryc i otrzymał odpowiedź, że zostałem przyjęty na stanowisko geometry. Jak pan to sobie tłumaczy, panie wójcie?

- Bardzo prosto - odparł wójt. - Widocznie nie miał pan jeszcze żadnych prawdziwych kontaktów z naszymi urzędami. Wszystkie te kontakty są tylko pozorne, pan jednak w swojej nieświadomości tutejszych stosunków uważa je za rzeczywiste. A jeśli chodzi o telefon, widzi pan, ja, który naprawdę mam sporo do czynienia z urzędami, nie mam telefonu. W oberżach i innych tego rodzaju instytucjach telefon może się przydać, jest to coś jakby automat muzyczny i nic ponadto. Czy pan już kiedyś telefonował? Tak? A więc chyba mnie pan zrozumie. W zamku bez wątpienia telefon funkcjonuje doskonale; jak mi opowiadano,

telefonuje się tam bez ustanku, co oczywiście bardzo przyspiesza pracę. To nieustanne telefonowanie słyszymy tu w aparatach jako szum i śpiew, zapewne i pan to już słyszał. Otóż ten szum i ten śpiew są jedyną prawdziwą i godną zaufania rzeczą, jaką nam przekazują tutejsze telefony; wszystko inne to oszustwo. Nie ma w ogóle żadnego zdecydowanego połączenia telefonicznego z zamkiem, żadnej centralki, która by nasze zgłaszanie się dalej przekazywała; jeśli stąd wzywa się do telefonu kogoś z zamku, to dzwonią tam wszystkie aparaty najniższych wydziałów albo raczej dzwoniłyby, gdyby - jak wiem to na pewno - przy wszystkich tych aparatach dzwonki nie były wyłączone. To tu, to tam jednak jakiś przemęczony urzędnik odczuwa potrzebę rozrywki, zwłaszcza wieczorem lub w nocy, i włącza dzwonek; wtedy otrzymujemy jakąś odpowiedź, która nie jest niczym innym tylko żartem. To jest zresztą zupełnie zrozumiałe. Bo któż mógłby rościć pretensję do przerywania najważniejszych i stale we wściekłym tempie prowadzonych prac telefonowaniem z powodu swych drobnych prywatnych trosk? Nie mogę też zrozumieć, jak nawet obcy może myśleć, że jeżeli na przykład zawezwie się do telefonu Sordiniego, to ten, co mu odpowie, jest naprawdę Sordinim? O wiele bardziej prawdopodobne, że może to być jakiś drobny registrator z zupełnie innego wydziału. Wprawdzie może jednak jakimś osobliwym trafem zdarzyć się, że gdy wzywa się do telefonu drobnego registratora, sam Sordini udzieli odpowiedzi. Wtedy jednak lepiej uciekać od telefonu, zanim usłyszy się pierwszy dźwięk.

- W ten sposób oczywiście tego nie rozważałem - rzekł K. - nic o tych szczegółach bowiem nie mogłem wiedzieć; wiele zaufania wszakże do tych telefonicznych rozmów nie miałem i stale byłem świadkiem tego, że tylko to ma rzeczywiste znaczenie, o czym można się bezpośrednio dowiedzieć z zamku lub co można tam uzyskać.

- Nie - rzekł wójt. - „Rzeczywiste znaczenie” odpowiedzi telefoniczne oczywiście mają, jakżeby mogło być inaczej, jakżeby informacja udzielona przez urzędnika z zamku mogła być bez znaczenia? Mówiłem już o tym z okazji listu Klamma. Ale te wypowiedzi nie mają „urzędowego znaczenia”; jeśli więc przypisuje im pan takie znaczenie, to jest pan w błędzie; natomiast ich „prywatne znaczenie”, i to zarówno w przyjaznym, jak i w nieprzyjaznym sensie, jest bardzo duże, przeważnie większe niż ich „urzędowe znaczenie” mogłoby być kiedykolwiek.

- Dobrze - rzekł K. - jeśli przyjmiemy, że wszystko jest tak, jak pan mówi, oznaczałoby to, że mam mnóstwo bliskich przyjaciół na zamku; rozpatrując tę rzecz z bliska, można stwierdzić, że już wówczas, wiele lat temu, pomysł owego wydziału, dotyczący sprowadzenia geometry, był aktem przyjaźni wobec mnie i że następnie takie akty się powtarzały, aż wreszcie, wprawdzie z fatalnym skutkiem, zostałem przywabiony tutaj, no i

teraz grozi mi wyrzucenie.

- W pana rozumowaniu jest ziarno prawdy - rzekł wójt. - Ma pan pod tym względem rację, że nie można przyjmować wypowiedzi zamku dosłownie. Ale ostrożność jest przecież wszędzie wskazana, nie tylko tu, i to tym bardziej, im dana wypowiedź jest ważniejsza. To zaś, co mówi pan o przywabieniu go tutaj, jest dla mnie wprost niezrozumiałe. Gdyby pan mych wyjaśnień słuchał uważniej, to musiałby pan pojąć, że sprawa wezwania pana jest o wiele za trudna, abyśmy mogli na nią w ciągu krótkiej rozmowy odpowiedzieć.

- W rezultacie pozostaje tylko jedno - powiedział K. - że wszystko jest niejasne i nie do rozwiązania, nawet kwestia mojego stąd wyrzucenia.

- Któż by śmiał pana wyrzucić, panie geometro? - spytał wójt. - Właśnie niejasność w przesłankach zapewnia panu jak najuprzejmiejsze traktowanie, wydaje się jednak, że jest pan zbyt wrażliwy. Nikt pana tu nie zatrzymuje, ale nie jest to przecież jeszcze równoznaczne z wyrzuceniem.

- Och, panie wójt - rzekł K. - teraz z kolei pan jest tym, który wiele rzeczy widzi zbyt niejasno. Wymienię panu kilka spraw, które mnie tu zatrzymują: ofiary, jakie musiałem ponieść, by opuścić mój dom, długą uciążliwą podróż, uzasadnione nadzieje, które powstały we mnie na skutek mojego tu przyjęcia, moje całkowite ubóstwo, niemożność znalezienia jakiegokolwiek innej pracy w rodzinnych stronach i wreszcie - i to nie w najmniejszym stopniu - sprawa mojej narzeczonej, która stąd pochodzi.

- Ach, Frieda - rzekł wójt nie wykazując wcale zdziwienia - wiem o tym. Ale Frieda pójdzie wszędzie za panem. Jeśli zaś chodzi o pozostałe argumenty, to trzeba oczywiście rozważyć jeszcze pewne sprawy, po czym zamierzam donieść o tym do zamku. Gdyby miała przyjść jakaś decyzja albo gdyby trzeba było jeszcze raz pana przesłuchać, nie omieszkam pana znowu tu sprowadzić. Przecież to po pana myśli?

- Nie, przeciwnie - odparł K. - nie chcę żadnej łaski od zamku, lecz jedynie tego, co mi się należy.

- Mizzi! - zawołał wójt na swoją żonę, która ciągle jeszcze siedziała przytulona do niego i w jakimś dziwnym rozmarzeniu bawiła się listem Klamma, z którego zrobiła okręciak. K. odebrał go jej z przerażeniem. - Mizzi, noga zaczyna mnie znowu rwać, trzeba będzie zmienić kompres.

K. wstał. - Wobec tego chciałbym się z panem pożegnać - powiedział.

- Tak - rzekła Mizzi, która zaczęła już przygotowywać jakąś maść. - Ale tu jest straszny przeciąg.

K. obejrzał się: pomocnicy, w swojej zawsze przesadnej gorliwości, zaraz po

wypowiedzi K. otworzyli drzwi wejściowe na oścież. Nie chcąc napuścić do pokoju chorego zbyt wiele wdzierającego się zimna, K. zdążył jedynie uklonąć się, wybiegł z pokoju i szybko zamknął za sobą drzwi.

Rozdział 6

Przed oberżą czekał na niego oberżysta. Nie pytany, nie ośmieliłby się pierwszy przemówić. Dlatego K. zapytał, o co mu chodzi.

- Czy masz już nowe mieszkanie? - spytał z kolei oberżysta patrząc w ziemię.

- Czy pytasz z polecenia twojej żony? - odpowiedział pytaniem K. - Jesteś chyba od niej bardzo uzależniony.

- Nie - odparł oberżysta - nie pytam z jej polecenia. Ale moja żona jest bardzo zdenerwowana i zmartwiona z tego powodu, nie może pracować, leży w łóżku, wzdycha i nieustannie lamentuje.

- Czy mam pójść do niej? - spytał K.

- Bardzo cię o to proszę - odpowiedział oberżysta. - Chciałem cię już zawołać, kiedy byłeś u wójta, i nasłuchiwałem pod drzwiami, ale prowadziliście rozmowę, więc nie chciałem przeszkadzać. Niepokoilem się również o moją żonę i pobiegłem do domu, ale ona wcale mnie do siebie nie wpuściła i wtedy nie pozostało mi nic innego, jak zaczekać na ciebie.

- Wobec tego chodź szybko - rzekł K. - wkrótce ją uspokoję.

- Oby się tylko udało - powiedział oberżysta.

Przeszli przez jasną kuchnię, gdzie trzy czy cztery służące, każda gdzie indziej zajęta jakąś robotą, na widok K. dosłownie zamarły. Już w kuchni słychać było westchnienia oberżystki. *Leżała* za przepierzeniem z desek, oddzielającym od kuchni pozbawioną okien alkowę. Było tam tylko miejsce na wielkie łóżko małżeńskie i szafę. Łóżko stało tak, że można było widzieć z niego całą kuchnię i dozorować odbywającą się tam pracę. Natomiast z kuchni nic nie można było dojrzeć. Całkiem ciemna wnęka i jedynie czerwono-biała pościel wyłaniała się nieco z mroku. Dopiero kiedy się tam weszło i oczy się przyzwyczaiły, można było odróżnić pewne szczegóły.

- Nareszcie pan przyszedł - powiedziała oberżystka słabym głosem. *Leżała* na wznak, z trudem oddychając. Pierzynę odrzuciła. W łóżku wyglądała o wiele młodziej niż ubrana, ale czepeczek z delikatnej koronki, który miała na głowie, mimo iż był za mały i chwiał się na jej fryzurze, sprawiał, że oznaki starości na jej twarzy budziły wprost litość.

- Jakże miałem przyjść? - rzekł K. łagodnie. - Przecie mnie pani wcale nie wzywała.

- Nie powinien pan być kazać mi tak długo czekać - odpowiedziała oberżystka z uporem właściwym osobie chorej. - Proszę usiąść - dodała wskazując na brzeg łóżka. - A wszyscy inni niech wyjdą! - Oprócz pomocników tymczasem zdążyły również wtargnąć

służące.

- Ja też chciałbym odejść, Gardeno - rzekł oberżysta. Teraz dopiero K. usłyszał po raz pierwszy imię jego żony.

- Naturalnie - powiedziała powoli i, jakby zajęta całkiem innymi myślami, dodała trochę nieprzytomnie: - Dlaczego ty właśnie miałbyś zostać? - Kiedy wszyscy wycofali się do kuchni - również i pomocnicy tym razem usłuchali lub raczej pobiegli za napastowaną przez nich dziewczyną - Gardena była na tyle spostrzegawcza, by stwierdzić, że w kuchni słychać wszystko, co tu u niej się mówi, gdyż alkowa nie ma drzwi, kazała więc wszystkim opuścić również kuchnię. Uczynili to natychmiast.

- Proszę, panie geometro - rzekła wtedy Gardena - w szafie na samym froncie wisi moja chustka, proszę mi ją podać, gdyż chcę się okryć. Nie cierpię pierzyny, tak trudno pod nią oddychać. - A kiedy K. podał jej chustkę, powiedziała: - Widzi pan, to piękna chustka, nieprawdaż? - K. wydawało się, że jest to zwykła wełniana chustka, z uprzejmości dotknął jej jeszcze raz, ale nic nie powiedział. - Tak, to piękna chustka - powtórzyła Gardena i owinęła się w nią. Teraz leżała całkiem spokojnie; wydawało się, że wszystkie dolegliwości ustąpiły, nawet pomyślała o swych zmierzwionych od leżenia włosach. Usiadła na chwilę i poprawiła uczesanie pod czepkiem. Włosy miała bujne.

K. zniecierpliwił się i rzekł:

- Kazała pani, pani oberżystko, spytać mnie, czy mam już inne mieszkanie.

- Ja kazałam pana spytać? - powtórzyła oberżystka. - Nie, to pomyłka.

- Pani mąż przed chwilą mnie o to pytał.

- Wierze, że tak - rzekła oberżystka. - Mam z nim krzyż pański. Kiedy nie chciałam, aby pan tu przebywał, to pana zatrzymał, a teraz, kiedy się z tego cieszę, że pan tu mieszka, wypędza pana. W podobny sposób postępuje zawsze.

- Tak więc dalece zmieniła pani - przerwał jej K. - swoje zdanie o mnie, i to w przeciągu jednej czy dwóch godzin?

- Nie zmieniłam zdania - odparła oberżystka znowu nieco słabszym głosem. - Proszę podać mi rękę. O, tak. A teraz proszę mi obiecać, że będzie pan wobec mnie całkiem szczery, tak jak i ja będę szczera wobec pana.

- Dobrze - rzekł K. - ale kto ma zacząć?

- Ja - powiedziała oberżystka, nie robiło to jednak wrażenia, że w ten sposób chce wyświadczyć K. przysługę, ale raczej, że pragnie koniecznie mówić pierwsza.

Wyciągnęła jakąś fotografię spod poduszki i podała ją K.

- Niech pan obejrzy to zdjęcie - powiedziała błagalnym głosem. Aby lepiej przyjrzeć

się fotografii, K. wszedł do kuchni, ale również

1 tam trudno było cokolwiek na zdjęciu dojrzeć, gdyż fotografia była ze starości spłowiała, w kilku miejscach połamana, pognieciona i poplamiona.

- Zdjęcie nie jest w zbyt dobrym stanie - rzekł K.

- Niestety, Niestety - potwierdziła oberżystka - kiedy nosi się je przy sobie latami, to musi się stać takie. Ale jeżeli pan dokładnie się przyjrzy, to wszystko rozpozna, z całą pewnością, zresztą mogę panu pomóc. Niech pan powie, co pan tam widzi, bardzo bym rada usłyszeć coś o tej fotografii. A więc co?

- Jakiegoś młodego człowieka - odparł K.

- Słusznie - rzekła oberżystka. - A co on robi?

- Leży, zdaje się, na desce, przeciąga się i ziewa. Oberżystka zaśmiała się.

- Ależ wcale nie - powiedziała.

- Ale tu przecież jest deska, a tutaj on leży - upierał się K. przy swoim zdaniu.

- Niech pan jednak dokładniej się przyjrzy - powtórzyła oberżystka ze zniecierpliwieniem. - Czy naprawdę leży?

- Nie - powiedział teraz K. - nie leży, ale unosi się w powietrzu.

Teraz rozpoznaję, to wcale nie deska, to prawdopodobnie sznurek, zaś młody człowiek przez ten sznurek skacze.

- No więc - ucieszyła się oberżystka - on skacze, tak ćwiczą urzędowi posłańcy. Wiedziałam, że w końcu pan to rozpozna. A czy widzi pan również jego twarz?

- Bardzo mało - rzekł K. - Widzę, że strasznie się natężył, otworzył usta i przymrużył oczy, a włosy ma rozwiane.

- Świetnie - pochwaliła K. oberżystka. - Więc ktoś, kto nigdy tego człowieka nie widział osobiście, nie może nic więcej rozpoznać. Ale to był śliczny chłopak; widziałam go tylko raz przelotnie, lecz nigdy go nie zapomnę.

- Kto to jest? - spytał K.

- Był to - odparła oberżystka - posłaniec, przez którego Klamm pierwszy raz wezwał mnie do siebie.

K. nie usłyszał dobrze, co ona mówi, gdyż brzęk szkła odwrócił jego uwagę. Zaraz zorientował się w przyczynie tego hałasu. Pomocnicy stali za drzwiami od podwórza i przestępowali z nogi na nogę. Udawali że się cieszą, iż znowu widzą K., i w tej radości pokazywali go sobie nazwajem, pukając bez przerwy w szybę kuchennego okna. Kiedy K. pogroził im ręką, zaprzestali natychmiast i starali się nawzajem odepchnąć. Ale jeden umykał drugiemu i niebawem znów obaj byli przy oknie. K. schował się pośpiesznie do alkowy, gdzie

pomocnicy nie mogli go dojrzeć z podwórza i skąd on nie był zmuszony na nich patrzeć. Ale ciche, jakby błagalne brzęczenie szyby w oknie i tam jeszcze prześladowało go długo.

- Znowu ci pomocnicy - powiedział do oberżystki, by się usprawiedliwić, i wskazał w kierunku podwórza. Ona jednak nie zwracała na niego uwagi, odebrała mu fotografię, obejrzała ją, wygładziła i schowała pod poduszkę. Ruchy jej stały się powolniejsze, ale nie ze zmęczenia, lecz jakby pod ciężarem wspomnień. Chciała coś K. opowiedzieć i zapomniała o nim pochłonięta własnym opowiadaniem. Bawiła się frędzlami chustki. Dopiero po chwili podniosła znowu wzrok, przesunęła ręką po oczach i powiedziała:

- Ta chustka jest od Klamma i ten czepeczek również. Fotografia, chustka i czepeczek to trzy pamiątki, które mi go przypominają. Nie jestem taka młoda jak Frieda ani taka ambitna jak ona, a także nie taka delikatna, bo ona jest bardzo delikatna; krótko mówiąc umiem dostosować się do życia, ale i do tego muszę się przyznać, że bez tych trzech przedmiotów nie wytrzymałabym tutaj tak długo, a nawet prawdopodobnie nie wytrzymałabym ani jednego dnia. Te trzy pamiątki wydają się może panu nieważne ale widzi pan: Frieda, która tak długo z Klammem obcowała, nie ma ani jednej pamiątki. Pytałam ją o to, ale ona jest zbyt egzaltowana i nie zadowolili się byle czym; ja natomiast, choć byłam tylko trzy razy u Klamma - potem nigdy już mnie nie wzywał, nie wiem zresztą dlaczego -jak gdyby w przeczuciu krótkotrwałości mego szczęścia, zabrałam sobie te pamiątki. Oczywiście trzeba było o to wystarać się. Klamm samorzutnie nigdy nic nie daje, ale jeśli zoczy się tam coś odpowiedniego, to można go o to uprosić.

K. poczuł się nieswojo wobec tych zwierzeń, chociaż go właściwie dotyczyły.

- Ale jak dawno to wszystko się stało? - spytał wzdychając.

- Z górą dwadzieścia lat temu - odparła oberżystka. - Nawet znacznie dawniej niż dwadzieścia lat temu.

- I tak długo zachowuje się wierność Klammowi? - spytał K. - Ale czy pani uświadamia sobie, pani oberżystko, że takimi zwierzeniami, jeśli chodzi o moje przyszłe małżeństwo, nasuwa mi pani czarne myśli?

Oberżystka zgorszona tym, że K. odważył się narzucać się jej teraz ze swymi sprawami spojrzała na niego spode łba.

- Nie tak groźnie, pani oberżystko - rzekł K. - Nie powiedziałem złego słowa o Klammie, ale siłą faktów wytworzyły się pewne stosunki między mną a nim: największy wielbiciel Klamma nie może temu zaprzeczyć. A więc tak. Z tego powodu na każdą wzmiankę

O Klammie muszę także i o sobie myśleć, tego nie można już zmienić. Zresztą, pani

oberżystko - w tym miejscu K. schwycił jej kołyszącą się rękę - niech pani pomyśli, jak źle wypadła nasza ostatnia rozmowa i że tym razem chcielibyśmy pożegnać się ze sobą w zgodzie.

- Ma pan rację - powiedziała oberżystka i pochyliła głowę - ale proszę mnie oszczędzać. Nie jestem bardziej wrażliwa od innych, nawet przeciwnie, ale każdy ma wrażliwe miejsca, a ja właśnie mam tylko to jedno.

- Niestety, i dla mnie jest ono wrażliwe - rzekł K. - ale na pewno postaram się opanować; proszę mi wszakże wyjaśnić pani oberżystko, jak mam w małżeństwie z Frieda znieść tę przerażającą wierność dla Klamma, oczywiście, jeśli Frieda jest do pani pod tym względem podobna.

- Przerażająca wierność? - powtórzyła oberżystka z gniewem. - Czyż to jest wierność? Wierną jestem wobec mojego męża, ale wobec Klamma? Klamm uczynił mnie kiedyś swoją kochanką, czyż więc mogę kiedykolwiek tę rangę utracić? I pyta pan, jak ma pan to u Friedy znieść? Ach, panie geometro, kimże pan jest, jeśli śmie tak pytać?

- Pani oberżystko! - rzekł K. ostrzegawczo.

- Ja wiem - powiedziała oberżystka ustępując - ale mój mąż nigdy takich pytań nie stawiał. Nie wiem, kogo należy nazwać bardziej nieszczęśliwą: czy mnie wtedy, czy Friedę dziś. Friedę, która samowolnie opuściła Klamma, czy też mnie, której już nie chciał wzywać. Chyba będzie to jednak Frieda, choć na razie wydaje się, że w pełni tego jeszcze sobie nie uświadamia. Ale moje myśli były wtedy przez nieszczęście bardziej opanowane, gdyż musiałam stawiać sobie pytanie i w gruncie rzeczy nie przestaję tego czynić do dzisiaj. „Dlaczego się to stało? Trzy razy kazał ci Klamm przyjść do siebie, a po raz czwarty już nie i nigdy więcej nie wezwał cię po raz czwarty!” Cóż mogło mnie wtedy bardziej obchodzić? O czym zresztą mogłam rozmawiać z moim mężem, za którego wkrótce potem wyszłam? Za dnia nie mieliśmy czasu, gdyż przejęliśmy tę oto oberżę w stanie nader opłakanym i musieliśmy doprowadzić ją do jakiegoś takiego porządku, ale nocą?... Latami nasze nocne rozmowy obracały się jedynie wokół Klamma oraz powodów zmiany jego uczuć. A kiedy mój mąż przy tych rozmowach zasypiał, budziłam go i rozmawialiśmy dalej.

- Teraz, jeśli pani pozwoli - rzekł K. - postawię jej bardzo brutalne pytanie. - Oberżystka milczała. - A więc nie wolno pytać - rzekł K. - To mi wystarcza.

- Oczywiście - powiedziała oberżystka - i to musi panu wystarczyć, zwłaszcza to. Przekręca pan znaczenie wszystkiego, również mego milczenia. Widocznie nie może pan inaczej. Pozwalam panu pytać.

- Jeśli przekręcam wszystko - rzekł K. - to może przekręciłem również i sens mego

pytania, które zresztą chyba nie jest wcale tak bardzo brutalne. Chciałem tylko dowiedzieć się, w jaki sposób poznała pani swego męża i jak ta oberża przeszła na pani własność.

Oberżystka zmarszczyła czoło, powiedziała jednak obojętnie:

- To całkiem zwykła historia. Mój ojciec był kowalem, a Hans, mój obecny mąż, który wówczas był parobkiem przy koniach u bogatego chłopa, przychodził często do mego ojca. Było to właśnie w okresie po moim ostatnim widzeniu się z Klammem. Czułam się bardzo nieszczęśliwa, choć właściwie nie powinnam była nią być, gdyż wszystko odbyło się przecież poprawnie, a to, że nie wolno mi już było do Klamma chodzić, było jego decyzją, a więc wszystko było w porządku; jedynie powody tej decyzji były niejasne i nad nimi wolno mi się było zastanawiać. Nieszczęśliwą wszakże nie powinnam się była czuć. Ale byłam nią przecież. Nie mogłam pracować i przesiadywałam całymi dniami w naszym ogródku przed domem. Tam ujrzał mnie Hans i czasem przysiadł się do mnie. Nie żaliłam się przed nim, ale on wiedział, o co chodzi, a ponieważ jest dobrym chłopcem, doszło do tego, że płakał razem ze mną. Potem, kiedy ówczesny oberżysta, któremu właśnie umarła żona i który dlatego musiał zmienić zawód, gdyż i on był już w podeszłym wieku, pewnego razu przeszedł obok naszego ogródka i ujrzał siedzących nas razem, przystanął i zaproponował nam z miejsca swoją oberżę do wynajęcia. Ponieważ miał do nas zaufanie, nie żądał przy tym z góry pieniędzy, wyznaczywszy nam bardzo niski czynsz. Nie chciałam być ciężarem dla mego ojca, a wszystko inne było mi obojętne, więc pogodziłam się z myślą o oberży i nowej pracy z Hansem, która zapewne przyniosłaby mi nieco zapomnienia. Oto cała historia.

Przez chwilę trwało milczenie, potem K. powiedział:

- Stary oberżysta postąpił pięknie, ale nieostrożnie, a może miał jakieś specjalne powody, aby tak wam zaufać obojgu?

- Hansa znał dobrze - powiedziała oberżystka - gdyż był jego wujem.

- A więc - rzekł K. - rodzinie Hansa widocznie bardzo zależało na tym związku z panią?

- Może i tak - odparła oberżystka. - Nie wiem zresztą, nigdy się o to nie kłopotalam.

- Musiało jednak tak być - rzekł K. - jeśli rodzina Hansa okazała się gotowa ponieść takie ofiary i przekazać oberżę tak po prostu bez kaucji w pani ręce.

- I nie było to wcale nieostrożne, jak się potem okazało - rzekła oberżystka. - Wzięłam się do roboty, a byłam mocna, córka kowala, nie potrzebowałam więc ani służącej, ani parobka; byłam wszędzie: w jadalni, w kuchni, w stajni, na podwórzu. Gotowałam tak dobrze, że odbijałam gości nawet gospodzie dla panów z zamku. Nie był pan jeszcze na obiedzie w naszej oberży. Nie zna pan przychodzących tu na obiady gości, wtedy było ich jeszcze więcej,

gdyż od tego czasu wielu odpadło. A skutkiem było to, że mogliśmy nie tylko płacić regularnie czynsz, ale po kilku latach całą oberżę odkupić i dzisiaj nie mamy już prawie długów. Dalszym skutkiem było jednak również to, że straciłam zdrowie, zachorowałam na serce i wyglądam jak staruszka. Myśli pan pewnie, że jestem znacznie starsza od Hansa, otóż w rzeczywistości jest on tylko o dwa czy trzy lata młodszy ode mnie i nigdy się nie zestarzeje, gdyż przy jego pracy, polegającej na paleniu fajki, przysłuchiwaniu się temu, co mówią goście, wypróżnianiu fajki i od czasu do czasu przyniesieniu kufla piwa, przy takiej pracy ludzie się nie starzeją.

- Wyniki pracy pani godne są podziwu - rzekł K. - to niewątpliwe, ale mówiliśmy o czasach przed pani zamążpójściem. Wtedy było to jednak dość dziwne, że rodzina Hansa pchała was do tego małżeństwa, nie obawiając się strat pieniężnych, a przynajmniej tak wielkiego ryzyka, jak oddanie wam oberży bez innej gwarancji, jak nadzieja na pani pracowitość, której zresztą wówczas jeszcze nie znano, oraz pracowitość Hansa, o której braku na pewno już dobrze wiedziano.

- No tak - rzekła oberżystka znużonym głosem - wiem, do czego pan zmierza i jak złą drogę pan obrał. We wszystkich tych sprawach nie ma śladu Klamma, bo i po cóż miałby się o mnie troszczyć lub raczej w jaki sposób w ogóle mógłby się o mnie troszczyć? Przecież wówczas już nic o mnie nie wiedział. To, że mnie już nie wzywał, znaczyło, że o mnie zapomniał. Jeśli Klammm kogoś przestaje wzywać, to znaczy, że całkowicie o nim zapomniał. Nie chciałam o tym mówić Friedzie. Nie jest to jednak tylko zapomnienie, jest to coś więcej. Z kimś kogo się zapomniało, można przecież odnowić znajomość. U Klamma jest to niemożliwe. Jeśli on kogoś przestaje wzywać, to zapomina o nim zupełnie, nie tylko jeśli chodzi o przeszłość, ale już raz na zawsze. Jeżeli zadam sobie wiele trudu, to mogę wczuć się w pańskie myśli, które tu nie mają sensu, a tam, na obczyźnie, skąd pan przybywa, może i są coś warte. A może jest pan na tyle szalony, by wierzyć, że Klammm dał mi takiego Hansa za męża po to, abym mogła bez przeszkód do niego przychodzić, jeśli mnie w przyszłości znów kiedyś zechciałby wezwać? Trudno o większe szaleństwo. Bo gdzież jest taki mężczyzna, który byłby w stanie przeszkodzić, abym do Klamma pobiegła, gdyby tylko Klammm na mnie kiwnął! Bzdura, zupełna bzdura, człowiek gmatwa się, kiedy igra z taką bzdurą.

- Nie - rzekł K. - nie chcemy się zagmatwać, a w moich myślach nie zaszedłem jeszcze wcale tak daleko, jak pani przypuszcza, chociaż prawdę mówiąc zmierzałem właśnie w tym kierunku. Na razie dziwiło mnie tylko to, że krewniacy Hansa tyle sobie po tym małżeństwie obiecywali i że te ich nadzieje faktycznie się ziściły, choć może kosztem pani serca i zdrowia. Myśl o powiązaniu tych faktów z osobą Klamma nasuwała mi się przy tym

oczywiście, ale nie - czy też może jeszcze nie - w tak brutalnej formie, jak pani to przedstawiła, bo to sprawia pani przyjemność. Niechże pani ją sobie ma! Tok moich myśli natomiast był następujący: po pierwsze - Klamm jest wyraźnie przyczyną pani małżeństwa. Gdyby nie Klamm, nie czułaby się pani nieszczęśliwa i nie siadywałaby pani beczynn timer w ogródku; gdyby nie Klamm, Hans by pani tam nie ujrzał, a gdyby nie pani smutek, nieśmiały Hans nie ważyłby się do pani przemówić. Gdyby nie Klamm, nie wylewalibyście z Hansem wspólnie łez. Gdyby nie Klamm, to stary, poczciwy wujaszek oberżysta, nigdy nie ujrzałby pani i Hansa siedzących zgodnie razem. Gdyby nie Klamm, nie zobojętniałaby pani wobec życia a więc i nie wyszłaby za Hansa. No, przecież w tym wszystkim jest chyba dosyć Klamma, jak mi się zdaje. Sięga to jeszcze dalej. Gdyby pani nie szukała zapomnienia, to na pewno nie pracowałaby pani tak zapamiętale, nie szczerząc sił i zdrowia, i nie doprowadziłaby pani gospodarstwa do takiego rozkwitu! A więc i tu Klamm. Ale Klamm jest również niezależnie od powyższego przyczyną pani choroby, gdyż serce pani było jeszcze przed ślubem wyczerpane przez tę nieszczęśliwą namiętność. Pozostaje tylko jeszcze pytanie, co skusiło krewniaków Hansa do popierania tego małżeństwa. Sama pani kiedyś nadmieniła, że być kochanką Klamma jest nieprzemijającym zaszczytem, może więc to ich skusiło. Poza tym wszakże przypuszczam, że i nadzieja, iż ta dobra gwiazda, która panią zaprowadziła do Klamma - oczywiście pod warunkiem, że była dobra, a pani to potwierdza - iż ta dobra gwiazda do pani należy, więc przy niej musi pozostać i chyba nie opuści pani tak szybko i nagle, jak uczynił to Klamm.

- Czy mówi pan to wszystko serio? - spytała oberżystka.

- Serio - odparł szybko K. - ale przypuszczam, że krewniacy Hansa, jeśli chodzi o ich nadzieje, ani nie mieli zupełnej racji, ani też całkiem się nie mylili, i myślę, że dostrzegam nawet błąd, który popełnili. Zewnętrznie wygląda, że wszystko się udało. Hans ma być zapewniony, posiada zaradną żonę, cieszy się ogólnym poważaniem i gospodarstwo jego jest bez długu. Ale w gruncie rzeczy nie wszystko się powiodło. Z prostą dziewczyną, dla której stanowiłby pierwszą miłość, byłby na pewno o wiele szczęśliwszy; jeśli - jak mu to pani zarzuca czasami - stoi w jadalni jak zagubiony, to dlatego że naprawdę czuje się zagubiony, nie będąc zresztą z tego powodu nieszczęśliwy, na tyle go już znam. Ale również jest rzeczą bezsporną, że ten ładny i rozsądny chłopak z inną żoną byłby szczęśliwszy, a co za tym idzie bardziej samodzielny, pracowity i męski. I pani sama nie jest przecie na pewno szczęśliwa i, jak pani mówi, bez tamtych trzech pamiątek w ogóle nie chciałoby się pani dalej żyć. Ma pani również chore serce. A więc czy krewniacy Hansa, jeśli chodzi o ich nadzieje, mieli rację? Myślę, że nie. Błogosławieństwo unosiło się nad panią, ale nie umiano go ściągnąć na ziemię.

- A więc co przeoczono? - spytała oberżystka. Leżała teraz wyciągnięta na wznak i patrzyła w sufit.

- Zapytać Klamma - odpowiedział K.

- W ten sposób wróciliśmy znowu do sprawy pana - rzekła oberżystka.

- Albo do sprawy pani - odparł K. - Nasze sprawy graniczą ze sobą.

- Ale czegoż pan chce od Klamma? - spytała oberżystka. Usiadła wyprostowana, poprawiła poduszki, aby móc siedząc oprzeć się o nie, i patrzyła K. prosto w oczy. - Opowiedziałam panu szczerze moją historię, z której mógłby się pan niejednego nauczyć. Proszę mi więc również szczerze powiedzieć, o co pan chce zapytać Klamma. Z trudem udało mi się namówić Friedę, aby poszła na górę do swego pokoju i tam pozostała; obawiam się bowiem, że w jej obecności nie będzie pan dość szczerze rozmawiał.

- Nie mam nic do ukrywania - rzekł K. - Przede wszystkim jednak chcę zwrócić pani uwagę na jedną rzecz. Pani mówi, że Klamm momentalnie zapomina. Otóż po pierwsze wydaje mi się to bardzo nieprawdopodobne, po drugie nie można tego sprawdzić, jest to więc tylko legenda zrodzona w wyobraźni tych dziewcząt, które cieszą się jeszcze łaskami Klamma. Dziwię się, że pani wierzy w takie płaskie wymysły.

- To nie jest legenda - rzekła oberżystka - jest to raczej zaczerpnięte z powszechnego doświadczenia.

- A więc nowe doświadczenia mogą to obalić - rzekł K. - Poza tym wszakże jest jeszcze pewna różnica między wypadkami pani a wypadkiem Friedy. Faktu, że Klamm więcej Friedy nie wzywał, poniekąd w ogóle nie było, przeciwnie - wzywał ją, ale ona go nie usłuchała. Jest nawet możliwe, że on ciągle jeszcze na nią czeka.

Oberżystka milczała i jedynie wzrokiem mierzyła K. od góry do dołu. Potem rzekła:

- Chcę wysłuchać spokojnie wszystkiego, co pan mi ma do powiedzenia. Wole, żeby pan mówił otwarcie, niż żeby pan mnie oszczędzał. Mam tylko jedną prośbę: błagam, aby pan nie wymieniał nazwiska Klamma. Niech pan mówi o nim „On” albo jak pan chce, ale nie po nazwisku.

- Chętnie - rzekł K. - ale trudno mi powiedzieć, czego od niego właściwie chcę. Przede wszystkim chciałbym go z bliska zobaczyć, a następnie chciałbym usłyszeć jego głos, a wreszcie chciałbym dowiedzieć się od niego, jak ustosunkowuje się do naszego małżeństwa. O co go przy tym jeszcze poproszę, zależy od przebiegu naszej rozmowy. Niejedno może w tej rozmowie się nasunąć, ale najważniejsze jest przecie dla mnie to, abym mógł stanąć przed nim twarzą w twarz. Nie mówiłem tu bowiem jeszcze bezpośrednio z żadnym prawie urzędnikiem. Wydaje się, że jest to trudniejsze do osiągnięcia, niż myślałem.

Poza tym jest moim obowiązkiem rozmówić się z nim jako z człowiekiem prywatnym, co według mego mniemania jest o wiele łatwiejsze do przeprowadzenia. Jako z urzędnikiem mógłbym z nim rozmawiać jedynie w jego prawdopodobnie niedostępnym gabinecie na zamku lub - co byłoby nader problematyczne - w gospodzie dla oficjalistów z zamku. Jako z człowiekiem prywatnym natomiast mógłbym z nim mówić wszędzie: w domu, na ulicy i gdzie tylko udałoby mi się go spotkać. To, że przy tym będę miał naprzeciw siebie równocześnie i urzędnika, bardzo mnie ucieszy, ale nie to jest moim głównym celem.

- Dobrze - rzekła oberżystka i ukryła twarz w poduszkach, jak gdyby miała powiedzieć coś bezwstydnego. - Jeżeli uda mi się dzięki moim stosunkom uzyskać, że pana prośba o rozmowę zostanie Klammowi przekazana, to czy przyrzeknie mi pan, że aż do otrzymania tu na dole jego odpowiedzi nic pan nie przedsięweźmie na własną rękę?

- Nie mogę tego obiecać - odparł K. - chociaż chętnie spełniłbym pani prośbę czy nawet pani zachciankę. Sprawa jest bowiem pilna, zwłaszcza po niepomyślnym rezultacie mojej rozmowy z wójtem.

- Ten argument odpada - rzekła oberżystka. - Wójt jest całkiem nieważną osobą. Czyż pan tego sam nie zauważył? Nie mógłby on pozostać ani jednego dnia na swoim stanowisku, gdyby nie jego żona, która wszystko prowadzi.

- Mizzi? - spytał K. Oberżystka skinęła głową. - Ona była przy naszej rozmowie - rzekł K.

- A powiedziała swoje zdanie? - spytała oberżystka.

- Nie - rzekł K. - ale nie miałem wrażenia, by była w stanie to uczynić.

- No tak - powiedziała oberżystka. - Tak samo myli się pan co do wszystkiego, co pan tu widzi. W każdym razie to, co wójt w pańskiej sprawie zarządził, nie ma żadnego znaczenia, a z jego żoną porozmawiam przy okazji. A jeśli panu teraz obiecuję, że odpowiedź Klamma nadejdzie najpóźniej w ciągu tygodnia, to chyba nie ma pan powodu dalej się upierać?

- Wszystko to nie jest rozstrzygające - rzekł K. - Moje postanowienie jest niezłomne i spróbuję je wykonać nawet wtedy, gdyby nadeszła odpowiedź odmowna. Kiedy wszakże powziąłem taki zamiar od początku, nie mogę przecież o tę rozmowę prosić przez kogoś trzeciego. To, co bez proszenia jest może śmiałą, ale uczynioną w dobrej wierze próbą, byłoby po odmowie wyraźnym buntem. Byłoby to oczywiście o wiele gorzej.

- Gorzej? - spytała oberżystka. - Buntem jest to w każdym wypadku. Ale niech pan robi, jak pan uważa. Proszę podać mi moją suknię.

Nie zwracając uwagi na obecność K. oberżystka włożyła suknię i pośpieszyła do kuchni. Już od dłuższego czasu słychać było jakieś hałasy dochodzące z jadalni. Pukano do

okienka w drzwiach. Pomocnicy raz je nawet otworzyli, krzycząc, że są głodni. Również i inne jakieś twarze ukazały się wtedy przez okienko. Dochodził nawet cichy, ale podzielony na głosy śpiew.

Wprawdzie rozmowa oberżystki z K. bardzo opóźniła ugotowanie obiadu, tak że nie był jeszcze gotów, ale goście już się zgromadzili. W każdym razie nikt nie odważył się wbrew zakazowi oberżystki wejść do kuchni. Teraz wszakże, kiedy obserwujący przez okienko we drzwiach ludzie oznajmili, że oberżystka już przyszła, służące wbiegły zaraz do kuchni, a kiedy K. wszedł do jadalni, zadziwiająco liczne towarzystwo - było tego ponad dwadzieścia osób, mężczyzn i kobiet, ubranych prowincjonalnie, ale nie po chłopsku - odpłynęło od okienka we drzwiach, gdzie byli dotychczas zgromadzeni, ku stołom, aby zapewnić sobie miejsce. Tylko przy małym stoliku w kącie jadalni siedziała już jakaś para małżeńska z kilkorgiem dzieci; małżonek, uprzejmy niebieskooki pan, ze zmierzwionymi siwymi włosami i brodą, stał pochylony nad dziećmi i nożem wybijał takt do ich śpiewu, starając się nieustannie go przytłumić. Może przez ten śpiew chciał sprawić, by dzieci zapomniały o głodzie. Oberżystka przeprosiła towarzystwo w kilku zdawkowych słowach, choć nikt nie robił jej wyrzutów, obejrzała się za swoim mężem, który zapewne wobec trudnej sytuacji już dawno gdzieś uciekł, po czym poszła powoli do kuchni, a na K., który pośpiesznie udał się do swego pokoju do Friedy, nie raczyła nawet spojrzeć.

Rozdział 7

Na piętrze K. spotkał nauczyciela. Pokoju ku swej wielkiej radości nie mógł wprost poznać, tak pracowita była Frieda. Pokój był porządnie przewietrzony, w piecu obficie napalono, podłoga wyszorowana, łóżko zasłane, a graty pozostawione przez służące, cała ta obrzydliwa śmieciami[^] z obrazkami włącznie, znikły bez śladu. Stół, który dawniej, dokądkolwiek zwróciłoby się wzrok, rzucał się po prostu w oczy swym zaskorupiałym brudnym blatem, został przykryty białą szydełkową serwetą. Teraz można już było przyjmować gości. To, że niewielki zapas bielizny K., którą Frieda widocznie od rano rano uprała, sechł rozwieszony przy piecu, niewiele przeszkadzało. Nauczyciel i Frieda siedzieli przy stole i wstali, kiedy K. wszedł. Frieda powitała go pocałunkiem, nauczyciel skłonił się z lekka. K., trochę roztargniony i wzburzony rozmową z oberżystką, zaczął się usprawiedliwiać, że nie mógł dotąd złożyć nauczycielowi wizyty; robiło to wrażenie, jakby przypuszczał, iż nauczyciel nie mogąc doczekać się wizyty K. sam go tutaj odwiedza. Nauczyciel natomiast z właściwym mu umiarem dopiero teraz powoli zdawał się przypominać sobie, że kiedyś rozmawiał z K. o jakiejś tam wizycie.

- Pan jest, panie geometro - cedził powoli - tym obcym przybyszem, z którym kilka dni temu rozmawiałem na placu przed kościołem?

- Tak - rzekł K. krótko, ale na to, co wtedy zniósł w swym poczuciu samotności, teraz, w swoim pokoju, nie mógł się zgodzić. Zwrócił się więc do Friedy i zaczął naradzać się z nią, co do jakiejś innej ważnej wizyty, którą miał właśnie zaraz złożyć i do której musiał być możliwie jak najlepiej ubrany. Frieda niezwłocznie, nie pytając K. o pozwolenie, przywołała pomocników, którzy właśnie byli zajęci oglądaniem nowej serwety na stole, i kazała im na dole, na podwórzu, wyczyścić starannie ubranie i buty K., które ten zaraz zaczął zdejmować. Sama zaś ściągnęła koszulę K. ze sznura i pobiegła do kuchni, by ją uprasować.

Teraz K. pozostał sam na sam z nauczycielem, który w milczeniu siedział przy stole; K. nie zważając na jego wyczekującą postawę zdjął koszulę i zaczął myć się w miednicy. Dopiero teraz, zwrócony plecami do nauczyciela, spytał go o powód jego wizyty.

- Przychodzę z polecenia pana wójta - powiedział nauczyciel. K. był gotów polecenia tego wysłuchać, ale ponieważ słów nie można było zrozumieć z powodu pluskania wody, nauczyciel musiał podejść bliżej i oparł się obok K. o ścianę. K. przeprosił za to, że się myje i za pośpiech, tłumacząc się pilnością zamierzonej wizyty. Nauczyciel pominął to milczeniem i rzekł: - Zachował się pan nieuprzejmie wobec pana wójta, takiego starego, zasłużonego,

doświadczonego

1 ogólnie szanowanego człowieka.

- Nic o tym nie wiem, abym miał być nieuprzejmy - odpowiedział K. wycierając się rękawnikiem. - Ale to, że miałem co innego na głowie niż zastanawiać się nad tym, czy moje maniere są delikatne, odpowiada prawdzie, chodziło bowiem o moją egzystencję, zagrożoną przez waszą haniebną biurokrację, której szczegółowo nie potrzebuję panu wyjaśniać, ponieważ sam pan jesteście czynnym pracownikiem urzędu. Czy wójt skarżył się na mnie?

- Wobec kogo miałby się skarżyć? - spytał z kolei nauczyciel. - A nawet, gdyby znalazł kogoś takiego to czyżby poskarżył się? Spisałem jedynie krótki protokół, podyktowany mi przez niego w sprawie waszej rozmowy, i z tego protokołu dowiedziałem się dość wiele o dobroci pana wójta i o tym, jak pan mu odpowiadał.

K. szukając swego grzebieńca, który Frieda podczas sprząwania gdzieś zapodziała, spytał:

- Co? Protokół? I to spisany w mojej nieobecności, już po fakcie, przez kogoś, kto nie był wcale przy naszej rozmowie? To wcale nieźle. I w ogóle po co ten protokół? Czyż to była rozmowa służbowa?

- Nie - odpowiedział nauczyciel - na wpół służbowa i dlatego protokół jest również tylko na wpół urzędowy. Został on spisany jedynie dlatego, że wszystko musi być u nas w należytym porządku. W każdym razie ten protokół już istnieje i nie przynosi panu zaszczytu. K. znalazł wreszcie grzebień, który tkwił gdzieś w łóżku, i powiedział o wiele spokojniej:

- Może tak jest. A pan przyszedł, by mi to oznajmić?

- Nie - rzekł nauczyciel. - Ale nie jestem automatem i musiałem panu powiedzieć, co myślę. Moja misja natomiast jest nowym dowodem dobroci pana wójta; podkreślam przy tym, że dobroć ta jest dla mnie niezrozumiała i że wypełniam polecenie jedynie dlatego, iż jestem zmuszony to zrobić przez wzgląd na moje stanowisko oraz dlatego, że chcę w ten sposób okazać szacunek dla pana wójta.

K. umyty i uczesany siedział teraz przy stole, czekając na koszulę i ubranie; mało go interesowało jaką wiadomość nauczyciel mu przyniósł; był pod wrażeniem tego, że oberżystka tak nisko oceniła wójta.

- Już chyba minęło południe? - spytał z myślą o drodze, którą zamierzał odbyć, potem poprawił się i powiedział: - Pan miał mi coś zakomunikować od wójta?

- No tak - rzekł nauczyciel wzruszając ramieniem, jak gdyby chciał strząsnąć z siebie wszelką odpowiedzialność - pan wójt obawia się, żeby pan, gdyby rozstrzygnięcie jego sprawy zbyt długo się przewlekło, nie przedsięwziął czegoś nie przemyślanego na własną

rękę. Ja ze swej strony nie wiem, dlaczego wójt się tego obawia. Moim zdaniem może pan robić, co się panu żywnie podoba. Nie jesteśmy pańskimi aniołami stróżami i nie mamy obowiązku wszędzie za panem biegać. Ale cóż... Pan wójt inaczej się na to zapatruje. Samego rozstrzygnięcia sprawy, które zależy jedynie od hrabskiego urzędu, nie może on oczywiście przyspieszyć. Chce jednak w zakresie własnej kompetencji powziąć tymczasową iście wspaniałomyślną decyzję. Zależy tylko od pana, by ją pan przyjął: wójt proponuje panu na razie posadę woźnego w szkole.

K. z początku nie zwrócił wcale uwagi na tę propozycję, ale sam fakt, że mu coś proponowano, wydał się czymś ważnym. Oznaczało to, że według opinii wójta K. był w stanie przedsięwziąć we własnej obronie jakieś kroki i aby się przed nimi obronić, można było nawet usprawiedliwić przed gminą pewne wydatki. Jak poważnie traktowano widocznie całą tę sprawę! Nauczyciel, który czekał już od pewnego czasu, a przedtem jeszcze napisał protokół, musiał tu być przez wójta po prostu przygnany. Kiedy zauważył, że K. się namyśla, ciągnął dalej:

- Wysuwałem zastrzeżenia, zwróciłem uwagę, że dotychczas jakoś się w szkole obeszło bez woźnego; żona kościelnego sprząta tam od czasu do czasu pod dozorem panny Gizy, nauczycielki. Mam dość utrapienia z dziećmi, nie chcę mieć jeszcze nowych kłopotów z woźnym. Pan wójt odpowiedział mi na to, że w szkole jest jednak bardzo brudno. Wyjaśniłem, że prawdę mówiąc, nie jest znowu tak źle, a potem spytałem: „Czy będzie lepiej, kiedy tego człowieka przyjmiemy na woźnego? Na pewno nie. Niezależnie od tego, że on wcale na takiej robocie się nie zna, gmach szkolny ma przecież tylko dwie klasy bez żadnych bocznych pomieszczeń, tak że woźny będzie musiał z rodziną mieszkać w jednej z klas, spać tam, a nawet może gotować, co oczywiście nie wpłynie na czystość lokalu”. Pan wójt natomiast powoływał się na to, że posada ta jest dla pana ratunkiem w biedzie i że dlatego doloży pan wszelkich starań, by swoje obowiązki należycie wykonywać; potem wójt dodał jeszcze, że wraz z panem zyskamy dodatkowe ręce do pracy: pana żony i pomocników, tak że nie tylko szkoła, ale i ogród szkolny będą mogły być utrzymane we wzorowym porządku. Z łatwością odparowałem te argumenty, w końcu wójt nie mógł już nic na pańską korzyść przytoczyć, zaśmiał się tylko i nadmienił, że jest pan przecie geometrą i z tej racji potrafi pan w ogrodzie szkolnym specjalnie pięknie i prosto wytyczyć klomby. Na żarty oczywiście nie ma kontrargumentów i dlatego przyszedłem z tym poleceniem do pana.

- Niepotrzebnie się pan o to kłopotuje, panie nauczycielu - rzekł K. - gdyż wcale nie mam zamiaru tej posady przyjąć.

- Wspaniale - odparł nauczyciel - wspaniale, a więc odmawia pan bezapelacyjnie? - Po

czym wziął kapelusz, uklonił się i wyszedł.

Wkrótce potem ze wzburzonym wyrazem twarzy wbiegła na górę Frieda, przyniosła nie uprasowaną koszulę i nie odpowiadała na zadawane jej pytania. Aby ją trochę rozerwać, K. opowiedział jej o nauczycielu i jego propozycji; gdy tylko o tym usłyszała, rzuciła koszulę na łóżko i wybiegła z pokoju. Niebawem wróciła, ale z nauczycielem, który wyglądał na niezadowolonego i wcale się nie uklonił. Frieda poprosiła go o trochę cierpliwości, co widocznie czyniła już kilka razy po drodze, wyciągnęła K. przez boczne drzwi, o których istnieniu wcale nie wiedział, na sąsiadujący z pokojem strych i opowiedziała tam wreszcie, nie mogąc złapać tchu z podniecenia, co się jej przytrafiło. Oberżystka oburzona tym, że poniżyła się wobec K. do zwierzeń i, co było jeszcze o wiele gorsze, do ustępstw w sprawie rozmowy K. z Klammem oraz że nie, jak twierdziła, przez to nie osiągnęła prócz chłodnej i do tego nieuczciwej odmowy, postanowiła K. dłużej w swoim domu nie trzymać; jeśli K. ma jakieś stosunki z zamkiem, to niechże je prędko wykorzysta, gdyż jeszcze dzisiaj musi jej dom opuścić, i to natychmiast, jedynie wyraźny rozkaz urzędowy może ją zmusić do przyjęcia go ponownie. Ma jednak nadzieję, że do tego nie dojdzie, gdyż i ona ma stosunki z zamkiem i potrafi je wykorzystać. Zresztą do ich oberży K. dostał się jedynie na skutek niedbalstwa oberżysty i nie jest wcale w sytuacji bez wyjścia, gdyż jeszcze dziś rano chwalił się, że ma przygotowany inny nocleg. Frieda naturalnie powinna zostać w oberży; jeśli Frieda miałaby razem z K. się wyprowadzić, to ona, gospodyni tej oberży, będzie tym głęboko zmartwiona.

Już teraz na dole w kuchni na samą myśl o tym ta biedna, chora na serce kobieta osunęła się płacząc na ziemię przy palenisku! Bo jakże mogłaby inaczej zachować się teraz, kiedy - przynajmniej zgodnie z jej wyobrażeniem - idzie wręcz o szacunek dla wspomnień o Klammie. Tak przedstawia się więc sprawa z oberżystką. Frieda oczywiście pójdzie za K., gdzie on tylko zechce, po śniegu i po lodzie, nie ma co o tym mówić. Ale w każdym razie sytuacja ich obojga jest nader kiepska i dlatego tak bardzo ucieszyła się z propozycji wójta. Choćby nawet posada ta była dla K. nieodpowiednia, to jednak, jak zostało to wyraźnie podkreślone, będzie to tylko posada tymczasowa, wygra się przez to na czasie i łatwiej znajdzie się inne możliwości, gdyby definitywne rozstrzygnięcie miało wypaść niepomyślnie. - W najgorszym razie - zawołała w końcu Frieda, obejmując już K. za szyję - wyemigrujemy stąd, bo i cóż zatrzymuje nas w tej wsi. Na razie jednak, ukochany, przyjmujemy tę propozycję, prawda? Dlatego sprowadziłam z powrotem nauczyciela, a ty powiedz mu: „przyjmuję” i już. No i przeniesiemy się do szkoły.

- To bardzo niedobrze - rzekł K. nie biorąc jeszcze całej sprawy na serio, gdyż

mieszkaniem niewiele się przejmował, zresztą zmarł był w samej tylko bieliźnie na tym poddaszu, które bez ścian bocznych

1 okien narażone było na zimne przeciągi. - Teraz mamy się wyprowadzać, kiedy nasz pokój tak pięknie urządziłaś... Strasznie mi się nie chce tej posady przyjmować. Już samo, choćby nawet i chwilowe, upokorzenie przed tym małym nauczycielem sprawia mi okropną przykrość, a teraz ma on stać się jeszcze moim zwierzchnikiem. Gdyby można było zostać tu jeszcze trochę; może sytuacja moja zmieni się już dziś po południu. Gdybyś przynajmniej ty tu została, można by było przeczekać i nauczycielowi dać niezdecydowaną odpowiedź. Dla siebie znajdę zawsze jakiś nocleg, jeśli nie gdzie indziej, to rzeczywiście u Bar... Frieda zamknęła mu dłonią usta.

- Tylko nie to! - zawołała z przerażeniem. - Błagam cię, nie mów o tym więcej. Poza tym usłucham cię we wszystkim. Jeśli chcesz, pozostanę tu sama, choć będzie to dla mnie bardzo smutne. Jeśli chcesz, odrzucimy propozycję, choć moim zdaniem byłoby to bardzo nierozsądne, bo zważ tylko: jeśli będziesz miał jakąś inną możliwość, i to może już dziś po południu, to rozumie się samo przez się, że zrzekniemy się natychmiast posady w szkole. Nikt nam w tym nie przeszkodzi. A co do upokorzenia wobec nauczyciela, to już mnie to zostaw, sama będę z nim rozmawiała, a ty będziesz tylko milcząc asystował przy tym - i w przyszłości będzie zawsze tak samo: jeśli nie będziesz tego chciał, nie będziesz musiał z nim rozmawiać. W rzeczywistości tylko ja będę jego podwładną, a właściwie i ja nią nie będę, gdyż znam jego słabości. Nic więc nie jest jeszcze stracone, jeśli posadę przyjmiemy, a bardzo wiele, jeśli odmówimy; przede wszystkim nawet dla siebie samego nie otrzymasz, jeśli dziś jeszcze czegoś z zamku nie uzyskasz, nigdzie, i to naprawdę nigdzie na wsi noclegu, to znaczy noclegu, za który jako twoja przyszła żona nie potrzebowałabym się wstydzić. A jeśli ty noclegu nie dostaniesz, to czy możesz ode mnie żądać, abym spała tu, w ciepłym pokoju, wiedząc, że ty tymczasem błądasz się po nocy i mrozie?

K., który przez cały czas, skrzyżowawszy ręce na piersiach, bił się dłońmi po plecach, by się trochę rozgrzać, rzekł:

- Wobec tego nie pozostaje mi nic innego, jak zgodzić się. Chodź! Kiedy weszli do pokoju, K. stanął szybko pod piecem; na nauczyciela wcale nie zwracał uwagi; nauczyciel, siedząc przy stole, wyciągnął zegarek i powiedział:

- Ale już późno.

- Ale za to zgadzamy się na wszystko, panie nauczycielu - rzekła Frieda. - Przyjmujemy posadę.

- Dobrze - odparł nauczyciel - ale posada została zaproponowana panu geometrze,

więc on sam musi się wypowiedzieć.

Frieda pośpieszyła K. z odsieczą:

- Naturalnie - powiedziała - że on tę posadę przyjmuje. Nieprawdaż, K.?

W ten sposób K. mógł ograniczyć swoją wypowiedź do jednego prostego „tak”, które nawet nie było skierowane do nauczyciela tylko do Friedy.

- Wobec tego - rzekł nauczyciel - nie pozostaje mi nic innego, jak wyliczyć panu jego obowiązki służbowe, abyśmy pod tym względem nie mieli nigdy żadnych nieporozumień. Ma pan, panie geometro, codziennie posprzątać i napalić w obu klasach, dokonywać drobniejszych remontów w całym domu oraz przy sprzętach szkolnych i przyrządach gimnastycznych, usuwać śnieg ze ścieżki ogrodowej, chodzić na posyłki dla mnie i dla pani nauczycielki, a w okresie cieplejszych pór roku wykonywać wszystkie prace w ogrodzie. Za to będzie pan miał prawo zamieszkać w jednej z sal szkolnych, według własnego wyboru; ale będzie pan musiał, jeśli nauka nie będzie się odbywała równocześnie w obu klasach, a państwo będziecie zajmować akurat tę klasę, w której ma być lekcja, przenieść się bezzwłocznie do drugiej. Gotować w szkole nie będzie panu wolno, w zamian za to pan i jego rodzina otrzymają wyżywienie tu w oberży na koszt gminy. O tym, że powinien pan zachowywać się odpowiednio mając zawsze na uwadze godność szkoły, i że nikt, zwłaszcza spośród dzieci, a szczególnie podczas nauki, nigdy nie powinien być świadkiem nieprzyjemnych scen z pana domowego pożycia, napomykam tylko mimochodem, gdyż jako człowiek wykształcony musi pan o tym wiedzieć. W związku z tym pozwolę sobie jeszcze zauważyć, że zależy nam na tym, by pan swoje stosunki z panną Friedą możliwie w jak najkrótszym czasie ulegalizował. We wszystkich tych sprawach i jeszcze kilku innych szczegółach spisemy umowę służbową, którą musi pan niezwłocznie po wprowadzeniu się do budynku szkolnego podpisać.

K. wydawało się to wszystko nieważne, jak gdyby wcale go nie dotyczyło, a w każdym razie do niczego nie zobowiązywało; jedynie bufonada nauczyciela drażniła go, więc powiedział po prostu:

- No tak, to są zwykłe zobowiązania służbowe.

Aby tę jego uwagę nieco złagodzić, Frieda spytała o pensję.

- Czy pobory mają być płacone - rzekł nauczyciel - zastanowimy się dopiero po miesięcznej próbie.

- To bardzo ciężki dla nas warunek - powiedziała Frieda. - Mamy wziąć ślub nie mając prawie wcale pieniędzy i stworzyć nasze gospodarstwo domowe z niczego. Czy nie moglibyśmy więc, panie nauczycielu, napisać podania do gminy o niewielką z góry płatną pensję? Czy pan by nam to doradzał?

- Nie - odparł nauczyciel zwracając się zawsze tylko do K. - Podanie takie uwzględniono by jedynie wtedy, gdybym ja je poparł, a ja tego nie uczynię. Zaproponowanie panu tej posady jest jedynie uprzejmością wobec pańskiej osoby, a uprzejmości, jeśli piastuje się odpowiedzialne stanowisko publiczne, nie należy za daleko posuwać.

Teraz K. wmieszał się do rozmowy niemal wbrew własnej woli.

- Jeśli chodzi o uprzejmość, panie nauczycielu, to zdaje się, że pan się myli. Uprzejmość jest tu chyba raczej z mojej strony.

- Nie - uśmiechnął się nauczyciel, zadowolony, że zmusił wreszcie K. do wzięcia udziału w rozmowie. - Dobrze się w tej sprawie orientuję. Woźny szkolny jest nam niemal tak samo gwałtownie potrzebny jak i geometra! Zarówno woźny szkolny jak i geometra to tylko kula u nogi. Będę musiał jeszcze dobrze się nagłowić, jak te wydatki przed gminą usprawiedliwić. Najlepiej i najbardziej zgodnie z prawdą byłoby rachunek po prostu rzucić na stół i wcale go nie motywować.

- I ja tak mniemam - rzekł K. - Musicie mnie przyjąć wbrew własnej woli. Chociaż kosztuje to was wiele zachodu, musicie mnie przyjąć. Jeśli zaś ktoś jest zmuszony kogoś drugiego przyjąć i ten drugi na to się zgadza, to wyświadcza przez to uprzejmość.

- Nie wiem - rzekł nauczyciel - co by nas mogło zmusić do zaangażowania pana. Jedynie dobre, bardzo dobre serce pana wójta skłania nas do tego. Będzie pan musiał, panie geometro, jak się orientuję, pożegnać się z niejednym wytworem pańskiej wyobraźni, zanim stanie się pan zdatnym do czegoś woźnym szkolnym. Ale jeśli chodzi o przyznanie panu ewentualnych poborów, to tego rodzaju uwagi są mało zachęcające. Również zdaję sobie sprawę, niestety, że pańskie zachowanie przysporzy mi jeszcze wiele kłopotu; przez cały czas pertraktuje pan przecież ze mną - patrzę na to bez przerwy i własnym oczom nie wierzę - w koszuli i kalesonach.

- Rzeczywiście! - zawołał K. ze śmiechem i klasnął w dłonie. - Ach, ci moi okropni pomocnicy! Gdzież oni się zawieruszyli?

Frieda pośpieszyła do drzwi; nauczyciel, który zauważył, że teraz nie da się już dłużej z K. rozmawiać, zapytał Friedę, kiedy mają zamiar przenieść się do gmachu szkolnego.

- Dzisiaj - odparła Frieda.

- Wobec tego przyjdę jutro rano na inspekcję - rzekł nauczyciel, pożegnał się skinieniem ręki i chciał wyjść przez drzwi, które Frieda właśnie dla siebie otworzyła. Zderzył się jednak z dziewczętami, które już wracały, niosąc swe graty, by znowu rozłokować się w swoim dawnym pokoju. Musiał między nimi - gdyż przed nikim by się teraz nie cofnęły - po prostu się przemknąć, Frieda zaś za nim.

- Ależ wam się śpieszy - rzekł K., który z dziewczętami już się pogodził - jeszcze tu jesteśmy, a wy musicie się już wprowadzać?

- Służące nic nie odpowiedziały i tylko z zażenowaniem obracały w rękach swoje tobołki, z których, jak K. zauważył, zwisały dobrze mu znane brudne łachy. - Chyba nigdy nie prałyście waszej bielizny

- rzekł K., zresztą bez złości, a raczej nawet z pewnego rodzaju sympatią. Dziewczęta to zmiarkowały, rozchyliły równocześnie swoje jędrne wargi, ukazując piękne i mocne, niemal zwierzęce zęby, i zaśmiały się bezgłośnie. - No, chodźcie - powiedział K. - i rozłokujcie się, przecież to wasz pokój. - Kiedy wciąż jeszcze się wahały, gdyż pokój wydał się im zbyt zmieniony, K. wziął jedną z nich pod ramię, by ją dalej wprowadzić. Ale natychmiast ją puścił, dojrawszy ich zdziwione spojrzenia, jakich obie - po krótkim wzajemnym porozumieniu - już z niego nie spuszczały. - No, teraz chyba dosyć napatrzyłyście się na mnie - rzekł K., broniąc się przed jakimś nieprzyjemnym uczuciem.

Wziął swoje ubranie i buty, które właśnie przyniosła Frieda w asyście nieśmiałych pomocników, i ubrał się. Wciąż jeszcze nie mógł zrozumieć, i teraz również, cierpliwości, jaką Frieda okazywała wobec pomocników. Po długim szukaniu zastała ich, choć mieli przecież wyczyścić ubranie K. na podwórzu, spokojnie siedzących przy obiedzie, z nie wyczyszczonym ubraniem, zwiniętym w tobołek na kolanach, tak że potem musiała sama wszystko wyczyścić. A mimo to - wiedząc, jak należy kierować prostymi ludźmi - nie wymyślała im, nawet mówiła przy nich o ich wielkiej opieszałości jak o niewinnym żarcie i poklepała jednego z nich leciutko i jakby przypochlebnie po policzku. K. postanowił w najbliższej przyszłości zganić ją za to. Na razie jednak był najwyższy czas, by odejść.

- Pomocnicy tu zostaną, by pomóc przy przeprowadzce

- oznajmił K.

Pomocnicy oczywiście nie chcieli się na to zgodzić; syci i zadowoleni, mieli raczej ochotę zażyć trochę ruchu. Dopiero kiedy Frieda powiedziała: „Oczywiście, zostanieie tu”, przystali.

- Czy wiesz, dokąd teraz idę? - spytał K.

- Wiem - odparła Frieda.

- I nie będziesz mnie już dłużej zatrzymywała? - pytał K. dalej.

- I tak będziesz miał tyle przeszkód - odrzekła - cóż więc znaczyłoby wobec nich moje słowo!

Ucałowała K. na pożegnanie, wręczyła mu, ponieważ nie jadł obiadu, paczuszkę z chlebem i kiełbasą, którą przyniosła dla niego z dołu, przypomniała mu, że nie będzie już

potrzebował tu wracać, lecz ma przyjść prosto do szkoły, i położywszy mu rękę na ramieniu odprowadziła go aż do drzwi oberży.

Rozdział 8

Z początku K. cieszył się, iż udało mu się uciec przed dziewczętami i pomocnikami tłoczącymi się w nagrzanym pokoju, poza tym był zadowolony, że brał lekki przymrozek, śnieg stwardniał i iść było łatwiej. Ale już zapadał zmierzch i K. musiał przyspieszyć kroku.

Zamek, którego kontury zaczęły się już rozpląwać, stał cichy jak zawsze. K. nigdy jeszcze nie dostrzegł tam najmniejszego nawet znaku życia. Może z tej odległości nie można było nic rozpoznać, a jednak oczy rwały się do widoku zamku i nie mogły znieść pustki. Kiedy K. patrzył na zamek, zdawało mu się chwilami, że patrzy na kogoś, kto siedzi spokojnie i spogląda przed siebie, nawet nie pogrążony w myślach i przez to od wszystkiego odcięty, ale swobodny i bez troski, jak gdyby był sam i nikt go nie obserwował, a jednak musi czuć, że jest obserwowany, co zresztą wcale nie przerywa mu jego spokoju. Rzeczywiście, nie było wiadomo, czy była to przyczyna, czy skutek, wzrok obserwatora nie miał się o co zaczepić i ześlizgiwał się. Zapadający zmierzch wzmagał jeszcze to wrażenie - im dłużej K. patrzył, tym mniej rozpoznawał, tym głębiej wszystko zanurzało się w półmrok.

Właśnie kiedy K. przyszedł do nie oświetlonej jeszcze gospody dla oficjalistów z zamku, otworzyło się okno na pierwszym piętrze i młody, tęgi, gładko ogolony pan w futrze wychylił się z okna. Na ukłon K. - jak się wydawało - nie odpowiedział najłżejszym nawet skinieniem głowy. Ani w sieni, ani przy szynkwasiu K. nie spotkał nikogo. Zapach zwiędłego piwa był jeszcze gorszy niż dawniej, coś podobnego nie zdarzało się chyba w oberży „Pod Mostem”. K. podszedł zaraz do drzwi, przez które ostatnio obserwował Klamma, i nacisnął klamkę, ale drzwi były zamknięte; potem starał się namacać miejsce, gdzie było okienko we drzwiach, ale drewniana zatyczka była prawdopodobnie tak dobrze dopasowana, że nie mógł tego miejsca po omacku odnaleźć. Zapalił więc zapalniczkę. Nagle przestraszył go krzyk. W kącie między drzwiami a bufetem, tuż przy piecu siedziała skulona młoda dziewczyna i przy blasku zapalanej zapalniczki wlepiała w niego z trudem otwarte zaspane oczy. Była to widocznie następczyni Friedy. Opanowała się wkrótce, przekreśliła kontakt elektryczny, ale wyraz jej twarzy był jeszcze pełen złości. Nagle poznała K.

- Ach, to pan geometra - powiedziała z uśmiechem, podała mu rękę i przedstawiła się:
- Nazywam się Pepi. - Była mała, rumiana i tryskająca zdrowiem, bujne rudawe włosy miała splecione w gruby warkocz, a kilka niesfornych pukli okalało jej twarz. Ubrana była w bardzo niestosowną, gładko spływającą suknię z popielatego, błyszczącego materiału. Nisko, jakoś dziecinnie i niezgrabnie suknia była ściągnięta jedwabną szarfą z kokardą, tak że utrudniało to

chodzenie. Zapytała o Friedę, czy nie wróci wkrótce. Pytanie to graniczyło ze złośliwością. - Zostałam - powiedziała potem - od razu po odejściu Friedy powołana na to stanowisko, gdyż nie mogli przecież zaangażować pierwszej lepszej, a ja byłam pokojówką, jednak nie uważam, że dobrze wyszłam na tej zmianie. Tu jest wiele do roboty wieczorami, a nawet nocą. To bardzo męczące, chyba temu nie podołam. Nie dziwię się, że Frieda zrezygnowała.

- Frieda była z tej posady bardzo zadowolona - rzekł K., aby zwrócić dziewczynie uwagę na różnicę istniejącą między nią a Friedą,

o której to różnicy widocznie zapomniała.

- Niech pan jej nie wierzy - rzekła Pepi - Frieda umie się opanować jak mało kto. Jeśli nie chce do czegoś się przyznać, to się nie przyzna i nie można przy tym wcale zauważyć, że ma coś do wyznania. Służę tu przecież od kilku lat razem z nią. Zawsze spałyśmy w jednym łóżku, a mimo to nie jestem z nią zżyta. Ona już teraz na pewno nie myśli o mnie. Jedyną jej przyjaciółką jest stara oberżystka z oberży „Pod Mostem”. A to przecież wiele mówi.

- Frieda jest moją narzeczoną - rzekł K., szukając przy tym ciągle okienka we drzwiach.

- Wiem o tym - powiedziała Pepi - i dlatego właśnie wszystko to panu opowiadam. Inaczej nie miałoby to dla pana żadnego znaczenia.

- Rozumiem - rzekł K. - Pani myśli, że mogę być dumny z pozyskania względów tak skrytej dziewczyny.

- Tak - odparła i zaśmiała się zadowolona, jak gdyby zawarła z K. tajne porozumienie odnośnie Friedy.

Ale właściwie nie jej słowa absorbowwały K., przeszkadzając mu w szukaniu okienka, a jej cała powierzchowność oraz to, że była właśnie w tym miejscu. Oczywiście, była o wiele młodsza od Friedy, prawie jeszcze dziecko, a ubiór jej był wprost śmieszny. Widocznie wystroiła się odpowiednio do przesadnego wyobrażenia, jakie miała o ważności roli bufetowej przy szynkwasiu. Przesada ta była u niej do pewnego stopnia zrozumiała, gdyż stanowisko, które wcale nie było dla niej odpowiednie, otrzymała zapewne nieoczekiwanie, niezasłużenie i tylko na tymczasem. Nie powierzono jej nawet skórzanej sakiewki, którą Frieda nosiła zawsze przy pasku. Toteż jej rzekome niezadowolenie ze stanowiska było tylko zarozumiałstwem. A jednak mimo swej dziecięcej naiwności i ona prawdopodobnie miała powiązanie z zamkiem, była przecie, jeśli to nie zwykłe kłamstwo, pokojówką i nic nie wiedząc o tym swoim cennym przywileju, przesypiała tu całe dnie. Wzięcie w ramiona tego drobnego, pulchnego i trochę przygarbionego ciała nie mogło jej tego przywileju odebrać, a jemu mogło to dotknięcie dodać otuchy do dalszej ciężkiej drogi. A więc może było to nie

inaczej niż w wypadku Friedy? Ależ nie, zupełnie inaczej. Wystarczyło pomyśleć o spojrzeniu Friedy, by to zrozumieć. K. przenigdy nie dotknąłby Pepi. Ale teraz musiał na krótką chwilę przymknąć oczy, gdyż zbyt pożądliwie na nią patrzyły.

- Światło jest niepotrzebne - powiedziała Pepi i wyłączyła elektryczność - zapaliłam tylko dlatego, że pan mnie tak bardzo przestraszył. Czego pan tu chce? Czy Frieda coś tu zostawiła?

- Tak - odparł K. i wskazał na drzwi - tu, w tym pokoju obok, białą serwetkę szydełkową na stół.

- Istotnie, tu była jej serweta - powiedziała Pepi. - Przypominam sobie, bardzo piękna robota, nawet ja przy niej pomagałam, ale w tamtym pokoju jej chyba nie ma.

- Frieda sądzi, że jest. Kto tam mieszka? - spytał K.

- Nikt - odpowiedziała Pepi. - To pokój dla panów z zamku, jedzą tam i piją, to znaczy, że pokój jest na to przeznaczony, ale panowie przeważnie zostają na górze w swoich pokojach.

- Gdybym wiedział - rzekł K. - że teraz w pokoju obok nikogo nie ma, chętnie bym tam wszedł i poszukał serwety. Ale nigdy nic nie wiadomo. Klamm na przykład często tam przesiaduje.

- Klamma tam teraz na pewno nie ma - powiedziała Pepi - gdyż właśnie ma odjechać, sanie czekają już na podwórzu.

Momentalnie, bez słowa wytłumaczenia, K. opuścił szynkownię. W sieni zamiast do wyjścia skierował się w stronę wewnętrznego podwórza i po kilku krokach już tam był. *Jakżeż* zdawało się tu cicho i pięknie! Podwórze było czworobokiem, z trzech stron otoczonym budynkami, od ulicy zaś, właściwie zaułka, murem z wielką, ciężką, teraz właśnie otwartą bramą. Od strony podwórza gospoda wydawała się wyższa niż od frontu, przynajmniej pierwsze piętro było tu kompletnie wykończone i miało okazalszy wygląd, gdyż było okolone drewnianą galeryjką, szczelnie oszalowaną, z wąską szparką na wysokości oczu. Na ukos od K., jeszcze w centralnym budynku, ale już w samym rogu, gdzie przeciwległe skrzydło z nim się łączyło, było wejście do gospody, otwarte, bez drzwi. Przed wejściem tym stały czarne kryte sanie, zaprzęgnięte w parę koni. Oprócz furmana, którego obecność K. na odległość i po ciemku raczej wyczuwał, niż mógł stwierdzić, nie było nikogo.

Włożywszy ręce do kieszeni i oglądając się ostrożnie K. obszedł tuż przy murze dwie strony podwórza, aż dobrnął do sań. Furman, jeden z tych chłopów, którzy ostatnio byli przy szynkwasiu, patrzył na niego, otulony w kozuch, z taką obojętnością jak patrzy się na przykład na przemykającego kota. Również kiedy K. stał już przy nim i pozdrowił go, a

nawet kiedy konie trochę się spłoszyły z powodu wynurzającego się nagle z ciemności człowieka, furman wcale nie zareagował. Było to dla K. bardzo pożądane. Oparłszy się o mur, rozwinął paczkę zjedzeniem i pomyślawszy z wdzięcznością o Friedzie, która go tak obficie zaopatrzyła, jął myszkować wzrokiem wewnątrz sieni. Załamane pod kątem prostym schody prowadziły na piętro, na dole zaś wychodziły na niski, ale widocznie długi korytarz. Wszystko było czyste, świeżo wybielone, o wyraźnych i ostrych konturach.

Czekanie trwało dłużej, niż K. się tego spodziewał. Od dawna już skończył jeść, zimno było dotkliwie, a zmierzch przemienił się już w zupełną ciemność, Klamm zaś ciągle jeszcze nie wychodził.

- To może jeszcze bardzo długo potrwać - odezwał się nagle szorstki głos tak blisko, że K. aż drgnął. Był to furman, który, jakby dopiero co obudzony, przeciągnął się i głośno ziewał.

- Co może długo potrwać? - spytał K. raczej wdzięczny za przerwanie długotrwałej ciszy i napięcia, które były już nie do wytrzymania.

- Zanim pan sobie pójdzie - powiedział furman.

K. nie zrozumiał go, ale o nic więcej nie pytał, gdyż przypuszczał, że w ten sposób najpewniej zmusi zarozumiałego furmana do rozmowy. Milczenie tu, w tej ciemności, miało w sobie coś niemal podniecającego. I rzeczywiście furman spytał po chwili:

- Chce pan koniaku?

- Tak - odparł K. nie namyślając się, gdyż propozycja była zbyt kusząca, zwłaszcza że trzęsło nim zimno.

- To proszę otworzyć sanie - rzekł furman. - W bocznym schowku sań jest kilka butelek, proszę wziąć jedną i napić się, a potem mnie ją podać. W kożuchu zbyt mi trudno zejść z kozła.

K. oburzyło to, że musiał wykonać tyle ruchów, ale ponieważ wdał się już w rozmowę z furmanem, usłuchał, ponosząc nawet ryzyko, że Klamm może znienacka zaskoczyć go przy saniach. Otworzył szerokie drzwiczki sań i mógł zaraz ze schowka, który był umieszczony wewnątrz, wyjąć butelkę, ale kiedy sanie były już otwarte, kusiło go bardzo, by wejść do wewnątrz i usiąść tam, choćby tylko na chwilkę. Pośpiesznie więc wśliznął się do środka. W saniach było nadzwyczaj ciepło, i to nawet mimo tego, że drzwiczki były szeroko otwarte. Trudno było stwierdzić, czy trafił na siedzenie, bo właściwie leżał wśród derek, poduszek i baranic. Na wszystkie strony można było się kręcić i wiercić, a wszędzie tonęło się w czymś miękkim i ciepłym. Rozłożywszy ręce i oparłszy głowę o poduszki, które jakby tylko na to czekały, K. spoglądał z sań w ciemne wnętrze gospody. Dlaczego trwa to tak długo, nim

Klamm zejdzie? Odurzony ciepłem po długim staniu w śniegu, K. pragnął, by Klamm wreszcie przyszedł. Jednak obawa, by Klamm nie zastał go w tej sytuacji, niewyraźnie dochodziła do jego świadomości, nieznacznie zakłócając spokój. Temu błogostanowi K. sprzyjało zachowanie się furmana, który przecież musiał wiedzieć, że K. znajduje się w saniach, i pozwalał mu na to, nie dopominając się nawet o koniak. Była to z jego strony delikatność, ale przecież K. chciał mu wyświadczyć przysługę. Niezdarnie, nie zmieniając pozycji, sięgnął do schowka, lecz nie do tego w otwartych drzwiczkach - były zanadto odchylone - ale poza siebie, do schowka w tych drzwiczkach, które były zamknięte, co zresztą było obojętne, bo i tam znajdowały się butelki. Wyciągnął jedną, odkorkował i powąchał. Mimo woli musiał się uśmiechnąć, gdyż zapach był tak słodki i przyjemny, jak zapach kogoś, kogo się kocha, w momencie kiedy słyszy się od niego pochwały i miłe słówka, a wcale się nie wie, o co chodzi, czy nawet nie chce się wiedzieć, gdyż jest się szczęśliwym, że to ta właśnie osoba mówi. „Czyżby to miał być koniak?” - zapytał K. sam siebie z powątpiewaniem i spróbował, raczej z ciekawości. Owszem, dziwnym trafem był to koniak, który palił i rozgrzewał. Ale w jaki sposób to, co było niemal tylko słodkim zapachem, przy picciu zmieniło się nagle w zwykły napój dla furmanów! „Czyż to możliwe?” - spytał K. jakby z wyrzutem sam siebie i pociągnął jeszcze raz. Nagle, kiedy K. łyknął porządny haust, zrobiło się jasno, światło elektryczne zapaliło się wewnątrz na schodach, w korytarzu i w sieni oraz na zewnątrz, butelka wypadła z ręki K., koniak wylał się na baranicę, a K. wyskoczył z sań. Miał jeszcze tylko tyle czasu, by zatrzaskać drzwiczki, co spowodowało straszny hałas, gdy z gospody wyszedł i zaczął *zbliżać* się powoli jakiś pan. Jedyną pociechą zdawało się to, że nie był to Klamm. Ale czy tego właśnie nie należało żałować? Był to ten sam pan, którego K. widział już w oknie pierwszego piętra. Młody, tryskający zdrowiem, biały i różowy, ale bardzo zasępiiony. K. również spojrzał na niego ponuro, ale spojrzenie to odnosiło się raczej do niego samego. O ileż lepiej by było, gdyby przysłał tu swoich pomocników; tak się zachować, jak on teraz, oni by też potrafili. Stojący naprzeciwko niego pan milczał jeszcze, jak gdyby nie mógł złapać tchu w swą potężną pierś, by wypowiedzieć to, co zamierzał.

- Okropne! - zawołał po chwili i zsunął kapelusz na tył głowy.

- Jak to? Ten pan me wiedział jeszcze, że K. przesiadywał w saniach, a już coś nazwał okropnym? Może to, że K. wtargnął aż w podwórze?

- W jaki sposób pan tu się dostał? - spytał nieznajomy oddychając nieco spokojniej i jakby pogodzony z tym, czego nie dało się już zmienić.

O co pytać! Co odpowiedzieć! Czyż K. miał mu jeszcze osobiście potwierdzić, że jego z tyłu nadziejami podjęta droga okazała się daremna? Zamiast odpowiedzi K. podszedł do

sań, otworzył je i wyjął czapkę, którą tam zostawił. Z przykrością zauważył przy tym, że koniak kapie na stopień sań.

Potem K. zwrócił się znowu do owego pana; nie wahał się już przyznać, że był wewnątrz sań, co zresztą było jeszcze nie najgorszą rzeczą; jeśli go spytają - oczywiście tylko wtedy - nie będzie ukrywał, że sam furman, przynajmniej jeśli chodziło o otworzenie sań, do tego go namówił. Naprawdę najgorszą rzeczą było to, że ów pan podszedł tak znienacka, iż K. nie miał już czasu schować się przed nim, aby potem móc bez przeszkód czekać dalej na Klamma. Zresztą zabrakło już K. przytomności umysłu, by pozostać w saniach, zamknąć drzwiczki i czekać tam na Klamma, otuliwszy się baranicą, czy też pozostać tam przynajmniej tak długo, jak długo ów pan zabawi w pobliżu. Oczywiście K. nie miał pojęcia, czy Klamm nie nadejdzie teraz, a w takim wypadku byłoby naturalnie o wiele lepiej móc spotkać się na zewnątrz, nie w saniach. Tak, nad niejednym można się było namyślić, ale już nie teraz, gdy było po wszystkim.

- Proszę ze mną - rzekł pan nie całkiem rozkazująco, ale rozkaz krył się nie tyle w słowach, ile w towarzyszącym im krótkim, ostentacyjnie obojętnym ruchu ręki.

- Czekam tu na kogoś - rzekł K. bez nadziei, że coś wskóra, tylko tak, dla zasady.

- Proszę ze mną - powtórzył pan nie zbity z tropu, jak gdyby chciał okazać, że nigdy w to nie wątpił, iż K. naprawdę na kogoś czeka.

- Ale rozminę się wtedy z tym, na kogo czekam - odparł K. drżąc na całym ciele.

Mimo wszystko miał uczucie, że to, co osiągnął dotychczas, było pewnego rodzaju zdobyczą, posiadał ją wprowadzając tylko pozornie w rękę, ale nie powinien jej oddać na byle rozkaz.

- Rozminie się pan z nim w każdym wypadku, czy pan będzie czekał, czy nie - stwierdził nieznajomy stanowczo, dziwnie wczuwając się w myśli K.

- Tedy wolę z nim się rozminąć czekając - rzekł K. gardo. Same tylko słowa tego młodego pana na pewno nie zdołają go stąd

wyprzeć. Wtedy nieznajomy przymknął na chwilę oczy, wzniesiona w górę głowa nadawała mu wyraz wyższości, jak gdyby chciał od głupoty K. odwołać się do swego własnego rozumu. Zwilżył koniuszkiem języka z lekka rozchylone usta i powiedział do furmana:

- Proszę wyprząc konie.

Furman posłuszny panu, ze złością zerkając na K. musiał jednak w swym ciężkim kozuchu zejść z kozła i zaczął, wahając się, ale nie tak, jakby oczekiwał od swego pana zmiany rozkazu, ale zmiany decyzji ze strony K., cofać konie z saniami ku bocznemu

skrzydłu zabudowań, gdzie widocznie za wielką bramą była stajnia i wozownia. K. poczuł się osamotniony: w jedną stronę oddalały się sanie, w drugą - tą drogą, którą K. przybył - oddalał się młody pan. Odbywało się to powoli, jak gdyby chodziło o to, by okazać K., że jest jeszcze w jego mocy zatrzymać ich.

Może nawet i było to w jego mocy, ale nic by mu z tego nie przyszło. Sprowadzić z powrotem sanie było równoznaczne z wygnaniem samego siebie. Stał więc spokojnie, jako jedyny, który pozostał na placu, ale było to zwycięstwo, które nie sprawiało mu przyjemności. Spoglądał to na nieznanego, to na furmana. Tymczasem nieznanomy pan zbliżył się już do drzwi, przez które K., był wyszedł na podwórze, obejrzał się jeszcze raz i K. wydawało się, że potrząsa głową oburzając się na taką jego krnąbrność, potem odwrócił się zdecydowanie szybkim i stanowczym ruchem, wszedł do sieni i zaraz znikł. Furman pozostał jeszcze jakiś czas na podwórzu, gdyż miał wiele roboty z saniami, musiał otworzyć ciężką bramę stajni, wsunąć sanie na ich miejsce do wozowni, wyprząć konie i zaprowadzić je do żłobu. Wszystko to robił poważnie, ze skupieniem, bez jakiegokolwiek nadziei, by niezadługo miała znowu wypaść jazda. To milczące krzątanie się bez zwracania uwagi na K. wydało mu się o wiele cięższym wyrzutem niż zachowanie się owego pana. Po skończeniu roboty w stajni furman przeszedł na ukos przez podwórze powolnym kołyszącym się krokiem, zamknął bramę, potem wrócił, wszystko to wykonując powoli i dokładnie i obserwując tylko własne ślady na śniegu, wreszcie zamknął się w stajni i pogasił wszędzie światło - bo i dla kogo miałoby świecić. Jedynie na górze błyszczała szparka w drewnianej galeryjce, zatrzymując błakające się spojrzenie. K. wydało się, że przerwano z nim wszelką łączność i że jest teraz jakby wolniejszy, niż był kiedykolwiek, i może tu, na tym skądinąd zakazanym miejscu, czekać, jak długo zechce. Zdawało mu się, że wywalczył sobie wolność, której nikt inny zdobyć by nie potrafił, i nikt nie ma prawa dotknąć go lub wyrzucić, a nawet przemówić do niego. Ale wydawało mu się także - i to przekonanie było co najmniej równie silne - że nie ma nic bardziej bezsensownego i rozpaczliwego niż ta wolność, to czekanie i ta nietykalność.

Rozdział 9

Przemógł się i poszedł do gospody, tym razem nie wzdłuż muru, lecz na przełaj przez śnieg. Spotkał w sieni zarządcę, który mu się milcząc uklonił i wskazał drzwi do sali z szynkwasem. K. poszedł we wskazanym kierunku, ponieważ było mu zimno i chciał zobaczyć ludzi, doznał jednak ogromnego rozczarowania, ujrawszy na sali przy stoliku, widocznie specjalnie w tym celu postawionym, gdyż zwykle zadowalano się beczkami, owego młodego pana, a przed nim stojącą oberżystkę z oberży „Pod Mostem”, co specjalnie go dotknęło. Pepi, dumna, z podniesioną wysoko głową i zawsze z tym samym uśmiechem, mocno przekonana o swej ważności, biegła powiewając warkoczem przy każdym ruchu, tam i z powrotem. Przyniosła piwo a potem atrament i pióro, gdyż pan miał papiery rozłożone przed sobą, sprawdzał dane, które odnajdywał to w tych papierach, to znów w dokumencie leżącym na drugim końcu stołu, i właśnie zabiera się do pisania. Oberżystka z wysokości swego wielkiego wzrostu, z daleka, z rozchyłonymi ustami, jakby odpoczywała, patrzyła z góry zarówno na pana, jak i na jego papiery i wyglądało na to, że już powiedziała to, co trzeba, i że zostało to dobrze przyjęte.

- Nareszcie pan geometra - rzekł nieznajomy ujrawszy K. wchodzącego do pokoju, po czym zagłębił się znowu w swych papierach. Oberżystka również musnęła K. obojętnym i wcale nie zdziwionym spojrzeniem. Pepi zaś, jak się wydawało, teraz dopiero go zauważyła, gdy podszedł do szynkwasu i zamówił kieliszek koniaku.

K. oparł się o szynkwas, zasłonił ręką oczy i nie troszczył się o nic. Skosztował koniaku i odstawił kieliszek, gdyż trunek był nie do przełknięcia.

Ili

- Wszyscy panowie go piją - powiedziała Pepi oschle, wylała resztę, wymyła kieliszek i odstawiła na półkę.

- Panowie mają też i coś lepszego - rzekł K.

- Możliwe - odpowiedziała Pepi. - Ale ja nie.

W ten sposób rozprawiła się z K. i zajęła się znowu obsługiwaniem owego pana, który zresztą niczego nie potrzebował. Pepi krążyła jednak ciągle tam i z powrotem i czyniła pełne szacunku próby zajrzenia przez jego ramię do leżących przed nim papierów; była to jednak tylko pusta ciekawość i bufonada, która gorszyła również oberżystkę, patrzącą na to ze ściągniętymi brwiami.

Nagle oberżystka usłyszała coś i cała zamieniona w słuch utkwiała wzrok w pustą

przestrzeń. K. odwrócił się, lecz nie usłyszał nic szczególnego. Również inni zdawali się nie słyszeć. Oberżystka jednak na palcach, lekkim krokiem podbiegła do drzwi znajdujących się w głębi, a prowadzących na podwórze, spojrzała przez dziurkę od klucza i zwróciła ku pozostałym rozognioną twarz z szeroko rozwartymi oczyma, potem przywołała ich kiwnięciem palca i wszyscy jęli zaglądać kolejno przez dziurkę od klucza. Oberżystka wprawdzie wiodła w tym rej, ale i o Pepi nie zapomniła. Młody pan okazywał stosunkowo najmniejsze zainteresowanie. Toteż Pepi i ów pan niebawem powrócili i tylko oberżystka ciągle spoglądała z wysiłkiem przez dziurkę od klucza, pochylając się nisko, prawie klęcząc. Odnosiło się niemal wrażenie, że modli się teraz do dziurki od klucza, by udało się jej przez nią przejść, gdyż chyba już od dawna nic tam nie było do zobaczenia. Kiedy wreszcie podniosła się, przeciągnęła rękami po twarzy, doprowadziła włosy do porządku i głęboko zaczerpnęła powietrza w płuca, nie bez wstrętu przyzwyczajając oczy do ponownego widoku tego pokoju i obecnych tu ludzi.

K. powiedział nie po to, by doznać potwierdzenia tego, o czym już wiedział, ale by uprzedzić napaść, której niemal się bał, gdyż stał się teraz bardzo wrażliwy:

- To znaczy, że Klamm już odjechał?

Oberżystka milcząco przeszła obok niego, ale młody pan odezwał się zza swego stolika:

- Tak, oczywiście. Ponieważ opuścił pan swój posterunek, Klamm mógł odjechać. *Zadziwia* mnie wprost jego drażliwość. Czy zauważyła pani, pani oberżystko, jak Klamm niespokojnie rozglądał się wokoło? - Oberżystka, zdaje się, wcale tego nie zauważyła, ale pan ciągnął dalej: - No, na szczęście nic już nie było do zobaczenia, furman zatarł nawet ślady stóp na śniegu.

- Pani oberżystka nie zauważyła - wtrącił K., ale nie powiedział tego z jakąś nadzieją, lecz jedynie dlatego, że rozdrażniło go twierdzenie owego pana, umyślnie wypowiedziane tak kategorycznie i bezapelacyjnie.

- Może wtedy właśnie nie byłam przy dziurce od klucza

- powiedziała oberżystka, aby stanąć w obronie owego pana; potem jednak chciała przyznać również Klammowi rację i dodała:

- Zresztą nie wierzę w tak wielką drażliwość Klamma. My naturalnie boimy się o niego i staramy się go chronić, wychodząc przy tym z założenia, że Klamm jest w najwyższym stopniu drażliwy. To jest słuszne i na pewno odpowiada to woli Klamma. Jak jednak naprawdę jest, tego nie wiemy. Oczywiście Klamm z kimś, z kim nie chce rozmawiać, mówić nie będzie, choćby tamten nie wiem jak natrętnie się starał i pchał, ale sam fakt, że

Klamm nigdy nie pozwoli mu do siebie przemówić ani nie ukaże się przed jego oczyma, już wystarczy, bo czemu by Klamm miał naprawdę nie znosić czyjegoś widoku. A przynajmniej nie da się tego dowieść, gdyż nigdy nie dojdzie do próby.

Młody pan potakująco kiwał głową.

- Jest to naturalnie w gruncie rzeczy również i moja opinia - rzekł

- a jeśli wyraziłem się trochę inaczej, to tylko dlatego, by pan geometra mógł lepiej mnie zrozumieć. Prawdą jest wszakże, że Klamm, kiedy wyszedł na dwór, kilkakrotnie rozejrzał się wokoło.

- Może mnie szukał - rzekł K.

- Możliwe - odparł - nie przyszło mi to jednak na myśl. Wszyscy zaczęli się śmiać, a Pepi, która prawie nic z całej rozmowy

nie rozumiała, śmiała się najgłośniej.

- Jeśli już wszystkim nam tak wesoło - powiedział młody pan

- chciałbym pana, panie geometro, pięknie prosić, aby mi pan kilkoma danymi uzupełnił moje akta.

- Bardzo wiele pisze się tu - rzekł K. przypatrując się z daleka aktom.

- Tak, to złe przyzwyczajenie - powiedział młody pan i zaśmiał się znowu - ale prawdopodobnie nie wie pan jeszcze wcale, kim jestem. Nazywam się Momus i jestem wiejskim sekretarzem Klamma.

Po tym oświadczeniu w całym pokoju zapanował uroczysty nastrój; oberżystka i Pepi, choć znały naturalnie owego pana, były jednak jakby speszzone wymienieniem jego nazwiska i piastowanej godności. A nawet i sam młody pan, jak gdyby zbyt wiele powiedział, ponad własną wytrzymałość, i jakby chciał uciec od wynikającego z jego własnych słów uroczego nastroju, zagłębił się w swoje akta i zaczął pisać, tak że w pokoju słychać było jedynie skrzypienie pióra.

- A cóż to takiego „sekretny wiejski”? - spytał K. po chwili. Zamiast Momusa, który teraz, po przedstawieniu się, nie uważał

już za stosowne składać podobnych oświadczeń, odpowiedziała oberżystka:

- Pan Momus jest takim samym sekretarzem Klamma jak każdy inny z jego sekretarzy, ale siedziba urzędowa pana Momusa, a jeśli się nie mylę, również i jego działalność urzędowa... - W tym miejscu Momus, nie przerywając pisania, zaczął gwałtownie potrząsać przecząco głową, wobec czego oberżystka zaraz się poprawiła: - Tylko jego siedziba, a nie działalność urzędowa, jest ograniczona do terenu wsi. Pan Momus załatwia wszystkie potrzebne we wsi pisemne prace za Klamma i pierwszy rozpatruje wszelkie

pochodzące ze wsi podania do Klamma. - Ponieważ K., nie dość jeszcze tym wszystkim przejęty, patrzył na oberżystkę dość bezmyślnym wzrokiem, oberżystka dodała trochę speszona: - Tak tu już jest urządzone, że wszyscy panowie z zamku mają swoich pisarzy wiejskich.

Momus, który przysłuchiwał się temu o wiele uważniej niż K., uzupełnił wypowiedź oberżystki:

- Sekretarze wiejscy przeważnie pracują dla jednego tylko pana, ja zaś pracuję dla dwóch: dla Klamma i Yallabene.

- Tak - powtórzyła oberżystka, jakby ze swej strony dopiero teraz sobie to uprzytomniła. - Pan Momus pracuje dla dwóch panów: dla Klamma i Yallabene, jest więc podwójnym sekretarzem wiejskim.

- A więc podwójnym - zgodził się K. i skinął głową, *zwracając* się do Momusa, który nieco pochylony ku przodowi patrzył teraz prosto na niego, tak jak to robi dziecko, gdy je właśnie ktoś pochwali. Jeśli kryło się w tym ruchu pewne lekceważenie, to albo pozostało nie zauważone, albo nawet było wprost pożądane. Właśnie przed K., który nie był godzien tego, by Klamm choćby tylko przypadkiem go zobaczył, dokładnie wyliczano zasługi człowieka z najbliższego otoczenia Klamma, i to z jawnym zamiarem wywołania szacunku i pochwały ze strony K. A przecież K. wcale tego nie docenił. On, który ze wszystkich sił ubiegał się o jedno spojrzenie Klamma, nie cenił dość wysoko stanowiska takiego na przykład Momusa, któremu wolno było żyć w zasięgu oczu Klamma, daleki był od podziwu, a tym bardziej zawiści, gdyż nie dążył przecie do bliskości Klamma jako takiej, ale do tego, by on, K., tylko on, a nie ktoś inny, ze swoimi, a nie z cudzymi sprawami, mógł do Klamma przystąpić, i to przystąpić do niego nie po to, by się u niego zatrzymać, ale by go ominąć i pójść dalej - do zamku.

Spojrzał więc na zegarek i powiedział:

- Teraz muszę już iść do domu.

Stosunek Momusa do niego od razy zmienił się na korzyść.

- Tak, naturalnie - powiedział Momus - wzywają pana obowiązki woźnego w szkole, ale momencik musi pan jednak poświęcić. Jeszcze kilka krótkich pytań.

- Nie mam na nie wcale ochoty - rzekł K. i chciał podejść do drzwi. Momus jednak uderzył jednym z akt o stół i wstał z miejsca:

- W imieniu Klamma żądam od pana, aby pan odpowiadał na moje pytania.

- W imieniu Klamma? - powtórzył K. - A czyż obchodzą go moje sprawy?

- Co do tego - rzekł Momus - nie mam własnego zdania, a pan chyba tym mniej.

Możemy obaj spokojnie pozostawić to samemu Klamowski. Wzywam jednak pana, pełniąc funkcję powierzoną mi przez Klamma, aby pan został i odpowiadał.

- Panie geometro - wmieszała się do rozmowy oberżystka - nie chciałabym panu już nic więcej doradzać, wszystkie moje dotychczasowe rady, najzyczliwsze, odrzucił pan w niespotykany wprost sposób, a tutaj, do pana sekretarza - nie chcę niczego ukrywać

- przyszedłam tylko po to, aby jak należy poinformować urząd o pańskim zachowaniu się i pańskich zamiarach oraz aby raz na zawsze uchronić się od ponownego zakwaterowania pana u mnie. Taki jest nasz wzajemny stosunek, który już chyba nie ulegnie żadnej zmianie, a jeśli wypowiadam obecnie moje zdanie, to nie robię tego, by panu pomóc, ale by ułatwić trochę panu sekretarzowi ciężkie zadanie pertraktowania z takim człowiekiem jak pan. Mimo to jednak, z powodu mojej zupełnej szczerości - inaczej jak otwarcie nie mogę z panem postępować, dzieje się to nawet wbrew mojej woli

- może pan z moich słów wyciągnąć dla siebie korzyści, jeśli pan tylko zechce. W tym wypadku zwracam pana uwagę tylko na to, że jedyna droga, która może zaprowadzić pana do Klamma, przechodzi przez protokoły pana sekretarza. Nie chcę zresztą przesadzać, może droga ta nie prowadzi aż do Klamma, może urwie się o wiele wcześniej, o czym zadecyduje widzimisię pana sekretarza. W każdym razie jest to jednak jedyna droga, jaka pana może zaprowadzić przynajmniej w kierunku Klamma. I tej jedynej drogi chce się pan wyrzec? I to z żadnego innego powodu, tylko z krnąbrności!

- Ach, pani oberżystko - rzekł K. - ani nie jest to jedyna droga do Klamma, ani też więcej warta niż inne. A pan, panie sekretarzu, ma zadecydować o tym, czy moja ewentualna tu odpowiedź dotrze do Klamma, czy nie?

- Oczywiście - odparł Momus i dumnie opuszczonymi oczyma spojrzął w prawo i w lewo, gdzie nic nie było do zobaczenia. - Inaczej po cóż byłbym sekretarzem.

- A więc widzi pani, pani oberżystko - rzekł K. - nie potrzebuję na razie szukać drogi do Klamma, ale najpierw do pana sekretarza.

- Tę drogę chciałam panu otworzyć - powiedziała oberżystka. - Czyż dziś przed południem nie zaofiarowałam się skierować pańskiej prośby do Klamma? Miało się to stać za pośrednictwem pana sekretarza. Pan jednak odmówił, a teraz nie pozostaje panu nic innego, tylko ta właśnie droga. Zapewne, po pańskim dzisiejszym występie, po próbie napaści na Klamma, szansę pana są jeszcze

o wiele mniejsze. Ale ta ostatnia, najmniejsza, niknąca i właściwie w ogóle nie istniejąca nadzieja jest jednak dla pana jedyną.

- W jaki sposób dzieje się to, pani oberżystko - spytał K. - że początkowo tak bardzo

próbowała pani odwieść mnie od myśli dotarcia do Klamma a teraz traktuje pani moją prośbę tak poważnie

I wydaje się pani, że w razie nieudania się moich planów będę do pewnego stopnia zgubiony. Jeśli dawniej ze szczerego serca można mi było radzić, abym w ogóle nie dążył do Klamma, to jakże jest możliwe, by teraz rzekomo równie szczerze, pchać mnie wprost na drogę do Klamma, choćby droga ta, jak pani przyznaje, wcale do niego nie prowadziła?

- Czy ja pana pcham? - spytała oberżystka. - Czy to się nazywa popychać naprzód, kiedy mówię, że usiłowania pana są beznadziejne? Byłoby to naprawdę krańcową bezczelnością, jeśliby pan w ten sposób chciał przerzucić odpowiedzialność z siebie na mnie. A może obecność pana sekretarza skłania pana do tego? Nie, panie geometro, nie pcham pana do niczego; do jednego tylko mogę się przyznać, a mianowicie do tego, że kiedy pana po raz pierwszy zobaczyłam, przeceniłam go trochę. Pana szybkie zwycięstwo nad Friedą przeraziło mnie, nie wiedziałam, do czego może pan być jeszcze zdolny, chciałam zapobiec dalszemu nieszczęściu i myślałam, że będę mogła to osiągnąć jedynie wzruszywszy pana moimi prośbami i groźbami. Od tego czasu nauczyłam się myśleć o tym wszystkim spokojniej. Może pan robić, co się panu podoba. Pana poczynania mogą pozostawić na podwórzu głębokie ślady w śniegu, ale nic ponadto.

- Rozbieżność nie wydaje mi się jednak w pełni wyjaśniona - rzekł K. - ale mnie wystarcza, że zwróciłem na tę rozbieżność uwagę. Teraz wszakże, panie sekretarzu, proszę mi powiedzieć, czy pani oberżystka ma rację twierdząc, że właśnie ten protokół, który zamierza pan spisać na podstawie moich zeznań, może doprowadzić do tego, bym mógł stanąć przed Klammem? Jeśli tak, gotów jestem niezwłocznie odpowiedzieć na wszystkie pytania. Jeśli o to chodzi, jestem gotów w ogóle na wszystko.

- Nie - odparł Momus - takie powiązania nie istnieją, chodzi tylko o to, by uzyskać dla prowadzonej przez Klamma registratury wiejskiej dokładny opis dzisiejszego popołudnia. Opis ten od dawna już jest gotowy, pozostają jedynie dwie czy trzy luki, które dla porządku pan powinien wypełnić; inny cel w ogóle nie istnieje, dlatego nie może być osiągnięty.

K. spojrzał milcząco na oberżystkę.

- Dlaczego pan tak na mnie patrzy? - spytała oberżystka. - Czy może powiedziałam coś innego? Taki on jest zawsze, panie sekretarzu, taki już jest. Przekręca informacje, które mu się daje,

I twierdzi potem, że go fałszywie poinformowano. Mówiłam mu od dawna, dzisiaj i zawsze, że nie ma najmniejszej szansy być przyjęty przez Klamma. Jeśli więc nie ma żadnej szansy, to i za pośrednictwem tego protokołu jej nie uzyska. Czyż może być coś bardziej

jasnego? Następnie powiedziałam, że protokół ten stanowi jedyną naprawdę urzędową łączność, jaką K. może mieć z Klammem; i to jest przecie dość proste i nie podlega dyskusji. Jeśli on mi jednak nie wierzy i ciągle - nie wiem dlaczego i w jakim celu - ma nadzieję, że dostanie się do Klamma, to - jeśli wejdzie się w tok jego myśli - może pomóc mu tylko ta rzeczywista urzędowa łączność, jaką ma z Klammem, to znaczy ten protokół. Tylko to powiedziałam, a jeśli ktoś twierdzi inaczej, to przekręca złośliwie moje słowa.

- Jeśli tak jest, pani oberżystko - wmieszał się K. - to proszę o przebaczenie, gdyż widocznie panią źle zrozumiałem; myślałem mianowicie - błędnie, jak się teraz okazuje - iż z poprzednich pani słów można wywnioskować, że jednak jakaś mała nadzieja dla mnie istnieje.

- Na pewno - rzekła oberżystka. - Takie jest właśnie i moje mniemanie, a pan znowu przekręca moje słowa, tylko tym razem w odwrotnym kierunku. Tego rodzaju nadzieja dla pana moim zdaniem istnieje i wiąże się oczywiście wyłącznie z tym protokołem. Nie znaczy to jednak, by upoważniało to pana do napastowania pana sekretarza pytaniem: „Czy wolno mi będzie dostać się do Klamma, jeśli udzielę żądanych odpowiedzi?” Jeśli dziecko tak pyta, jest to zabawne, ale jeśli czyni to dorosły - obraźliwe dla urzędu. Pan sekretarz przez delikatność nie udzieli na to odpowiedzi. Nadzieja wszakże, o której mówię, polega właśnie na tym, że za pośrednictwem protokołu będzie pan może miał pewnego rodzaju łączność z Klammem. Czy taka nadzieja panu nie wystarcza? Gdyby zapytano pana o pańskie zasługi, mające go uczynić godnym takiego daru, jakim jest ta nadzieja, to czy mógłby pan wymienić choćby najmniejsze? Oczywiście nic dokładniejszego nie można o tej nadziei powiedzieć, zwłaszcza pan sekretarz w charakterze osoby urzędowej nie będzie mógł zrobić w tej sprawie najmniejszej nawet wzmianki. Jemu chodzi tylko, jak to sam powiedział, o spisanie dzisiejszego popołudnia, i to tylko dla formy; więcej nic nie powie, nawet gdyby pan go zaraz, powołując się na moje słowa, zapytał o to.

- A czy Klamm, panie sekretarzu - spytał K. - będzie ten protokół czytać?

- Nie - odparł Momus. - A dlaczego pan o to pyta? Klamm nie może przecie czytać wszystkich protokółów, a nawet nie czyta żadnego z nich. „Odczepcie się z waszymi protokołami!” ma on zwyczaj mawiać.

- Panie geometro - lamentowała oberżystka - zadręcza mnie pan takimi pytaniami, ale czyż jest to potrzebne lub choćby tylko pożądane, aby Klamm ten protokół czytał i słowo po słowie miał dowiadywać się o nic nie znaczących szczegółach pańskiego życia; czyż nie powinien pan raczej jak najpokorniej prosić, by protokół ten przed Klammem ukryć - choć, nawiasem mówiąc, prośba taka byłaby równie bezsensowna jak poprzednia, bo któż mógłby

coś ukryć przed Klammem - w każdym razie miałyby to o wiele sympatyczniejszy posmak. I czy jest to dla tego czegoś, co pan nazywa swoją nadzieją, niezbędne? Czyż pan sam nie oświadczył, że byłby pan nawet zadowolony, gdyby pan miał choć tylko sposobność mówić w obecności Klamma, i to nawet gdyby on wcale na pana nie patrzył i wcale go nie słuchał? I czyż przez ten protokół nie osiągnie pan przynajmniej tego, a może nawet o wiele więcej?

- O wiele więcej? - powtórzył pytanie K. - A to jakim sposobem?

- Gdyby pan tylko - zawołała oberżystka - nie zachowywał się jak dziecko, które wszystko chce mieć podane od razu w takim stanie, by mogło wziąć to do buzi! Któż może udzielić odpowiedzi na takie pytania? Protokół będzie wciągnięty w registraturę wiejską Klamma. O tym pan słyszał, nic więcej nie można na ten temat powiedzieć. Ale czy orientuje się pan już w znaczeniu tego protokołu, pana sekretarza oraz registratury wiejskiej? Wie pan, co to znaczy, że pan sekretarz pana przesłuchuje? Może - to nawet prawdopodobne - on sam tego nie wie, siedzi sobie tu i wykonuje swoje obowiązki dla porządku, jak sam powiada. Proszę jednak zważyć, że Klamm mianował go na to stanowisko, że pracuje on w imieniu Klamma i że to, co czyni, choćby nigdy nie miało dotrzeć do Klamma, z góry cieszy się jego aprobatą. A czyż mogłoby coś mieć aprobatę Klamma, gdyby nie było w jego duchu? Daleka jestem od tego, aby w ten prostacki sposób chcieć pochlebić panu sekretarzowi. On sam by nawet do tego pewno nie dopuścił, lecz nie mówię o jego osobie jako takiej, ale o tym, czym jest, kiedy ma aprobatę Klamma, jak właśnie w tym wypadku: wtedy jest on tylko narzędziem w ręku Klamma i biada temu, kto go nie usłucha.

Gróźb oberżystki K. nie przstraszył się, a nadzieje, którymi starała się go usidlić, znudziły go. Klamm był daleko. Pewnego razu oberżystka porównała go do orła i wtedy wydało się to K. śmieszne, teraz jednak już go nie śmieszyło; myślał o odległości dzielącej go od Klamma, o jego niedostępnym mieszkaniu oraz o jego ciągłym milczeniu, przerywanym chyba tylko krzykami, jakich K. nigdy jeszcze nie słyszał. Myślał o spojrzeniu, którym patrzył na wszystko z góry i którego nie można było nigdy ani uchwycić, ani odeprzeć, oraz o tym, że mógł być widoczny tylko na krótką chwilę z nizin, gdzie znajdował się K., w niedosiężnych kręgach, które zataczał tam w górze według niezrozumiałych praw. Wszystko to było wspólne zarówno dla Klamma jak i dla orła. Na pewno jednak nie miał z tym nic wspólnego protokół, nad którym Momus, popijając piwo, łamał w tej chwili solony obwarzanek, tak że sól i kminek sypały się na wszystkie papiery.

- Dobranoc! - rzekł K. - Mam awersję do wszelkich przesłuchiwań

- i rzeczywiście skierował się ku drzwiom.

- A więc jednak wychodzi - rzekł Momus do oberżystki niemal z przestachem.

- Nie odważy się - odparła oberżystka.

K. nic więcej nie usłyszał, gdyż znalazł się już w sieni. Było zimno i wiał mocny wicher. Z przeciwległych drzwi wyszedł zarządca gospody, który jak się wydawało, siedział przy okienku w drzwiach i obserwował, co się w sieni dzieje. Musiał owinać wokół brzucha poły swego surduta, gdyż wiatr nawet tu w sieni mu je podrywał.

- Już pan odchodzi, panie geometro? - spytał.

- Pan się temu dziwi? - odpowiedział pytaniem K.

- Tak - rzekł zarządca. - Czy nie będzie pan przesłuchiwany?

- Nie - odparł K. - nie pozwoliłem na to.

- Dlaczego? - spytał zarządca..

- Sam nie wiem - odpowiedział K. - Dlaczego miałbym pozwolić, by mnie przesłuchiwano, i dlaczego miałbym stać się przedmiotem żartów czy też dogadzać biurokratycznym kaprysom. Może innym razem przystałbym na to właśnie dla żartu lub kaprysu, ale dziś - nie.

- No tak, zapewne - zgodził się zarządca. Była to jednak zgoda raczej z uprzejmości niż z przekonania. - Muszę teraz wpuścić służbę do izby z szynkwasem - dodał zarządca. - Już dawno pora na to. Nie chciałem tylko przeszkadzać w przesłuchaniu.

- Pan uważał to za takie ważne? - spytał K.

- O tak - rzekł zarządca.

- A więc nie powinienem był odmówić? - spytał K.

- Nie - odparł zarządca. - Nie wolno było tego panu robić.

- Ponieważ zaś K. milczał, zarządca dodał - czy po to, by go pocieszyć, czy też by prędeż go się pozbyć: - Tak, tak, ale nie ma chyba powodu, by zaraz przewidywać burzę z piorunami.

- Nie - rzekł K. - Wcale się na to nie zanosz. - I rozeszli się uśmiechnięci.

Rozdział 10

Dął szalony wicher, kiedy K. stanął na ganku i utkwiał wzrok w ciemność. Zła, bardzo zła pogoda. Jakoś w związku z tym przypomniało mu się, jak bardzo oberżystka starała się, by zgodził się na spisanie protokołu, i jak on jednak postawił na swoim. Usiłowania jej nie były oczywiście jawne, potajemnie odpychała go równocześnie od protokołu; w końcu nie było wiadomo, czy postawił na swoim, czy też uległ. Co za intrygancka natura, pozornie działająca bezwolnie, jak ten wiatr, według dalekiego obcego nakazu, którego nie da się nigdy odgadnąć.

Ledwie zdążył zrobić kilka kroków gościńcem, gdy nagle ujrzał dwa migoczące w oddali światła; ten znak życia ucieszył go, toteż pośpieszył w kierunku światła, podczas gdy one zbliżały się do niego. Sam nie wiedział, dlaczego poczuł się tak rozczerowany, gdy poznał, że byli to pomocnicy. Szli, wysłani zapewne przez Friedę na jego spotkanie, a latarnie, które wyzwoliły go z ciemności, w jakich szalała wichura, były prawdopodobnie jego własnością. Mimo to poczuł się rozczerowany, gdyż oczekiwał obcych ludzi, a nie tych starych znajomych, którzy mu już obrzydli. Nie byli to jednak sami tylko pomocnicy, z ciemności wyłonił się między nimi również Barnabas.

- Barnabasi! - zawołał K. i wyciągnął do niego rękę. - Czy przychodzisz do mnie? - Niespodzianosc tego spotkania kazała K. zapomnieć na razie o przykrym uczuciu, jakie Barnabas kiedyś w nim wywołał.

- Do ciebie - odrzekł Barnabas z taką jak ongiś uprzejmością. - Z listem od Klamma.

- List od Klamma! - powtórzył K. podnosząc głowę do góry i wziął szybko list z ręki Barnabasa. - Poświećcie! - rozkazał pomocnikom, którzy z prawa i z lewa ciasno do niego przywarli, podnosząc latarnie. By móc czytać, K. musiał złożyć najpierw wielki arkusz papieru listowego w harmonijkę, by go uchronić przed wiatrem, dopiero potem zaczął:

Do pana geometry w oberży „Pod Mostem”

Pomiary, jakie pan dotychczas wykonał, zasługują na moje uznanie. Również praca pańskich pomocników godna jest pochwały. Umie pan ich do pracy nakłaniać. Proszę nie ustawać w pilności! Niech pan doprowadzi poleconą panu pracę aż do pomyślnego zakończenia. Przerwa w pracy bardzo by mnie martwiła. Poza tym niech pan będzie spokojny: sprawa pańskiego wynagrodzenia będzie w najbliższym czasie załatwiona. Nie spuszczam pana z oka.

K. oderwał wzrok od listu dopiero wtedy, gdy o wiele wolniej od niego czytający

pomocnicy dla uczczenia dobrej nowiny zawołali trzy razy „hura!” i zaczęli machać latarniami.

- Uspokójcie się - rzekł K. i zwrócił się do Barnabasa: - To chyba nieporozumienie. - Barnabas nie zrozumiał. - To nieporozumienie - powtórzył K. i uczucie zmęczenia, które dręczyło go od południa, znowu wróciło, droga do budynku szkolnego wydała mu się jeszcze dłuższa, za Barnabasem ukazała się cała jego rodzina, pomocnicy zaś jeszcze ciągle przytulali się do niego tak, że musiał ich odpychać łokciami; jakże Frieda mogła wysłać ich na jego spotkanie, kiedy przecie wyraźnie rozkazał, by pozostali u niej. Drogę do domu znalazłby sam, i to nawet łatwiej niż w tym towarzystwie. Na dodatek jeden z pomocników miał wokoło szyi okręconą chustkę, której końce trzepotały na wietrze i kilka razy uderzyły K. w twarz. Wprawdzie drugi pomocnik swymi długimi, spiczastymi i ruchliwymi palcami niezwłocznie odsuwał chustkę z twarzy K., ale nic to nie pomagało. Obaj pomocnicy wydawali się nawet znajdować przyjemność w tej zabawie, w ogóle zachwycali ich wiatr i niepokój tej nocy.

- Precz! - wrzasnął K. - Kiedyście już przyszli na moje spotkanie, to czemu nie przynieśliście mi mojej laski, żebym mógł wygnać was z powrotem do domu?

Pomocnicy ukryli się za Barnabasem, ale nie byli znowu tak bardzo przerażeni, by nie chciało się im postawić swych latarń na obu ramionach obrońcy. Ten jednak zaraz strząsnął je na ziemię.

- Barnabasie - rzekł K. i było mu bardzo przykro, że Barnabas go widocznie nie rozumie. Martwił się, że w spokojnych czasach kubrak Barnabasa pięknie błyszczał, a kiedy sytuacja stała się groźna, to nie można było liczyć na jego pomoc, natrafiało się jedynie na niemy opór, z którym nie sposób było walczyć, gdyż Barnabas był bezbronny i tylko jego uśmiech promieniał, co zresztą również nic nie pomagało, jak promieniowanie gwiazdy wysoko na niebie wobec wichury na ziemi.

- Zobacz, co pan mi tu pisze - rzekł K. i podsunął mu list pod same oczy. - Pan jest widocznie fałszywie poinformowany. Nie wykonuję przecież żadnych pomiarów, a co warci są moi pomocnicy, sam widzisz. Pracy, której w ogóle nie wykonuję, nie mogę oczywiście przerwać. Nawet niezadowolenia pana nie mogę spowodować, więc jakże mógłbym zasłużyć na jego uznanie! I spokojny nie mogę być nigdy.

- Już ja to załatwię - rzekł Barnabas, który przez cały czas odwracał oczy od listu, zresztą nie mógł go nawet przeczytać, gdyż miał go zbyt blisko przed oczyma.

- Ach - rzekł K. - obiecujesz mi, że wszystko załatwisz, ale czy mogę ci wierzyć? Tak bardzo potrzebuję zaufanego posłańca, a teraz nawet więcej niż kiedykolwiek. - Mówiąc to K. przygryzł wargę ze zniecierpliwienia.

- Proszę pana - rzekł Barnabas miękko skłaniając głowę i znów prawie mu się udało zwieść K., by mu uwierzył - na pewno to załatwię, jak również to, co pan mi ostatnio powierzył.

- Co?! - krzyknął K. - I tamtego jeszcze nie załatwiłeś! Nie byłeś następnego dnia w zamku?

- Nie - odparł Barnabas. - Mój poczciwy ojciec jest już stary, jak pan sam widział, i było akurat wiele roboty, tak że musiałem mu pomóc, ale teraz w najbliższym czasie pójde do zamku.

- Co ty robisz, niesamowity człowieku! - zawołał K. i uderzył się w czoło. - Czy sprawy Klamma nie są ważniejsze od wszystkich innych? Piastujesz wysoki urząd posłańca i sprawujesz się tak haniebnie? Kogóż może obchodzić robota twego ojca? Klamm oczekuje wiadomości, a ty zamiast pędzić na łeb na szyję, wolisz wynosić gnój ze stajni!

- Mój ojciec jest szewcem - rzekł Barnabas zupełnie tym nie stropiony. - Miał obstalunki od Brunswicka, a ja jestem czeladnikiem ojca.

- Szewc... obstahmki... Brunswick! - wrzasnął K. z wściekłością, jak gdyby chciał każde z tych słów unicestwić raz na zawsze. - I kto potrzebuje tu butów na tych wiecznie pustych drogach?! I cóż mnie obchodzi całe to wasze szewstwo! Dostałeś ode mnie zlecenie nie po to, abyś o nim zapomniał lub pomylił, siedząc przy warsztacie szewskim, ale żebyś zaraz je przekazał panu. - Tu K. nieco się uspokoił, gdyż przyszło mu na myśl, że Klamm przecież prawdopodobnie cały ten czas spędził nie na zamku, ale w gospodzie. Lecz Barnabas znowu go rozdrażnił, kiedy zaczął powtarzać słowo w słowo pierwsze zlecenie K. jako dowód, że je zapamiętał.

- Dosyć, nie chcę cię widzieć - rzekł K.

- Niech się pan na mnie nie gniewa, proszę pana - powiedział Barnabas i jak gdyby chcąc nieświadomie ukarać K., nie patrzył na niego, spuścił oczy. A może było to po prostu onieśmienie z powodu krzyku K.

- Nie gniewam się na ciebie - rzekł K. i jego rozdrażnienie zwróciło się teraz przeciwko niemu samemu. - Na ciebie nie, ale jest dla mnie *rzeczą* bardzo przykrą mieć takiego posłańca do załatwiania ważnych spraw.

- Widzisz - rzekł Barnabas i wydawało się, że mówi więcej niż mu było wolno, by obronić swój honor posłańca - Klamm nie czeka przecież na wiadomości, a nawet gniewa się, kiedy przychodzi. „Znowu nowiny!” powiedział kiedyś. Przeważnie wstaje z miejsca, kiedy zobaczy z daleka, że się zbliżam, wychodzi do drugiego pokoju i wcale mnie nie przyjmuje. Nie jest też bynajmniej ustalone, abym miał z każdym zleceniem do niego chodzić. Gdyby to

było ustalone, poszedłbym naturalnie niezwłocznie, ale ponieważ takiego zarządzenia nie było, to nawet gdybym nigdy nie przyszedł, nie otrzymałbym za to nagany. Kiedy załatwiam jakieś zlecenie, robię to dobrowolnie.

- Dobrze - rzekł K. obserwując Barnabasa i umyślnie odwracając się od pomocników, którzy na zmianę wyłaniali się z głębi zza pleców Barnabasa i szybko, naśladując wiatr lekkim gwizdaniem, niby to przerażeni widokiem K., znowu znikali. Zabawiali się tak już dość długo. - Jak się ma rzecz z Klammem, nie wiem i wątpię, czy ty sam możesz się tak dokładnie orientować. Nawet gdybyś mógł, nic w tych sprawach naprawić nie zdołamy. Ale załatwić przekazanie zlecenia możesz, i o to tylko cię proszę. To całkiem krótkie zlecenie. Czy możesz je zaraz jutro załatwić i od razu przekazać mi odpowiedź albo przynajmniej donieść, jak zostałeś przyjęty? Czy możesz i chcesz to zrobić? Byłoby to dla mnie bardzo ważne. Może będę miał jeszcze sposobność odpowiednio ci za to podziękować. Może już teraz masz jakieś życzenie, które mógłbym spełnić?

- Oczywiście wykonam zlecenie - odparł Barnabas.

- A czy postarasz się dobrze je wykonać, przekazać zlecenie samemu Klammowi, wydostać odpowiedź od niego samego, i to od razu, ale tak całkiem od razu, jeszcze przed południem, postarasz się?

- Zrobię wszystko jak najlepiej - odparł Barnabas. - Zresztą ja zawsze tak postępuję.

- Nie będziemy teraz o tym dyskutowali - rzekł K. - Oto zlecenie: Geometra K. prosi pana naczelnika o pozwolenie rozmówienia się z nim osobiście; z góry zgadza się na wszelkie warunki, jakie mogłyby wynikać z takiego pozwolenia. Do tej prośby jest zmuszony, gdyż dotychczas wszyscy pośrednicy całkowicie zawiedli. Jako dowód geometra nadmienia, że dotychczas nie wykonał najmniejszego pomiaru i według tego, co mu powiedział wójt, nigdy go nie wykona. Dlatego też z rozpaczliwym wstydem przeczytał ostatni list pana naczelnika. Tylko osobiste porozumienie się z panem naczelnikiem może tu coś pomóc. Geometra wie, że zbyt wiele żąda, ale dołoży wszelkich starań, aby dla pana naczelnika było to jak najmniej uciążliwe. Dlatego też zgadza się na każde ograniczenie czasu rozmowy, a nawet, jeśli okaże się to potrzebne, na ustalenie ilości słów, których wolno mu będzie w tej rozmowie użyć, sądzi, że dziesięć słów wystarczy. Z głębokim szacunkiem i z najwyższą niecierpliwością oczekuje on rozstrzygnięcia. - K. mówił to w jakimś zapamiętaniu, jakby stał już przed drzwiami Klamma i rozmawiał z portierem. - Zlecenie zrobiło się o wiele dłuższe niż przypuszczałem - powiedział potem. - Ale możesz je i tak ustnie przekazać, listu nie chcę pisać, gdyż musiałby on odbyć nieskończenie długą drogę wszystkich papierów urzędowych. - K. nabazgrał coś na skrawku papieru, jedynie dla Barnabasa, plecy jednego z

pomocników służyły mu za podpórkę, podczas gdy drugi świecił. K. mógł to już pisać pod dyktando Barnabasa, który wszystko zapamiętał i jak dobry uczeń wszystko dokładnie recytował, nie zwracając uwagi na fałszywe podpowiedzi pomocników.

- Masz nadzwyczajną pamięć - rzekł K. i wręczył mu skrawek papieru - ale teraz proszę: okaż się nadzwyczajny i pod innymi względami. A życzenia? Czy nie masz żadnych? Mówię otwarcie, że byłbym spokojniejszy co do przyszłych losów mego zlecenia, gdybyś miał jakieś życzenia w zamian.

Barnabas milczał przez chwilę, po czym powiedział: - Moje siostry prosiły, abym cię pozdrowił.

- Twoje siostry? - powtórzył K. - Ach, te wielkie, tęgie dziewczyny!

- Obie kazały cię pozdrowić, ale szczególnie Amalia - dodał Barnabas. - To ona przyniosła mi dzisiaj ten list dla ciebie z zamku.

Chwyciwszy się tej przede wszystkim wiadomości K. zapytał:

- A czy nie mogłaby ona również przekazać mego zlecenia na zamek? A może pójdziecie oboje i każde z was spróbuje szczęścia na własną rękę?

- Amalii nie wolno wchodzić do kancelarii - rzekł Barnabas.

- Gdyby nie to, bardzo chętnie by się tego podjęła.

- Prawdopodobnie zajdę jutro do was - rzekł K. - ale przedtem musisz przyjść do mnie z odpowiedzią. Czekam na ciebie w szkole. Pozdrów ode mnie twoje siostry.

Obietnica K., jak się zdawało, bardzo ucieszyła Barnabasa. Po uściśnięciu na pożegnanie ręki Barnabas dotknął jeszcze przelotnie ramienia K., jak gdyby wszystko było tak samo jak wtedy, gdy Barnabas w całej swej wspaniałości wkroczył między chłopów do oberży. K. wprawdzie śmiał się z tego, jednak odczuł dotknięcie jako wyróżnienie. Złagodniał nawet i w drodze powrotnej pozwalał pomocnikom wyczyniać, co im się żywnie podobało.

Rozdział 11

Do domu K. wrócił zupełnie przemarznięty. Wszędzie było ciemno, świece w latarniach wypaliły się. K. prowadzony przez pomocników, którzy tu dobrze się orientowali, po omacku przedostał się do klasy szkolnej.

- To pierwszy wasz zasługujący na pochwałę wyczyn - powiedział, przypominając sobie list Klamma.

Frieda na pół przez sen zawołała:

- Pozwólcie K. spać! Nie przeszkadzajcie mu! - Widocznie K. tak absorbował jej myśli, że nawet opanowana sennością nie przestawała na niego czekać. Zapalono światło. Lampy jednak nie można było mocniej podkręcić, gdyż nafty było mało. Młode gospodarstwo cierpiało jeszcze różne niedostatki. W piecu wprawdzie napalono, ale ogrzanie wielkiej sali, która służyła również jako gimnastyczna, o czym świadczyły przyrządy stojące wokoło i zwisające z pułapu, pochłonęło już cały zapas drzewa. Z początku było, jak zapewniano K., przyjemnie i ciepło, niestety, piec *zdążył* już wystygnać. Leżał wprawdzie wielki zapas drzewa w szopie, ale szopa była zamknięta, klucz zaś znajdował się u nauczyciela, który pozwalał używać opału jedynie do palenia podczas lekcji. Wszystko to można by jeszcze znieść, gdyby były łóżka, jakiś schron. Ale jeśli o spanie chodzi, to był tylko jeden siennik, schludnie przykryty - co zasługiwało na pełne uznanie - wełnianą chustką Friedy, ale bez pierzyny, z dwoma ciężkimi i sztywnymi kocami tylko, które prawie nie grzały. I nawet na ten marny siennik pomocnicy spoglądali pożądliwym okiem, choć oczywiście nie mieli nadziei, by kiedykolwiek było im wolno na nim się położyć. Frieda patrzyła lękliwie na K. Już w oberży „Pod Mostem” wykazała, że każdemu pokojowi, nawet najlichszemu, potrafi nadać przytulny wygląd, ale tu nic nie mogła zdziałać, nie mając żadnych środków. - Jediną ozdobą naszego pokoju są przyrządy gimnastyczne - powiedziała uśmiechając się z trudem przez łzy. Ale jeśli chodziło o największe braki: niewygodne posłanie i niedostateczne ciepło, obiecywała z całą pewnością już na dzień następny poprawę i prosiła K., by do tego czasu uzbroił się w cierpliwość. Żadnym słówkiem czy aluzją lub miną nie dawała do poznania, że żywi w sercu wobec K. najmniejszą choćby urazę, chociaż, jak sam przed sobą musiał się przyznać, porwał ją z gospody dla oficjalistów, a teraz również z oberży „Pod Mostem”. Dlatego też K. starał się usilnie znosić wszystko cierpliwie, co zresztą wcale mu tak trudno nie przychodziło, gdyż w myślach wędrował właśnie z Barnabasem i powtarzał słowo po słowie swoje własne zlecenie, lecz nie tak, jak przekazał je Barnabasowi, ale tak jak

wyobrażał sobie, że powinno brzmieć wobec Klamma. Oprócz tego cieszył się oczywiście również szczerze na kawę, którą mu Frieda gotowała na maszynie spirytusowej, i oparty o stygnący piec, śledził szybkie i wprawne jej ruchy, gdy na katedrze nauczycielskiej rozkładała nieodzowny biały obrus, ustawiała na nim filiżankę malowaną w kwiatki, obok niej zaś chleb, smalec i nawet puszkę sardynek. Wkrótce wszystko było gotowe. Frieda też nic jeszcze nie jadła, gdyż czekała na K. Były tam dwa fotele, na których K. i Frieda zasiedli do stołu, pomocnicy zaś u ich stóp na podium. Pomocnicy ani przez chwilę nie zachowywali się jednak spokojnie i przeszkadzali nawet w czasie jedzenia. Choć mieli wszystkiego pod dostatkiem i wcale jeszcze z tym się nie uporali, zrywali się co chwila z miejsc, by sprawdzić, ile jedzenia jest jeszcze na stole i czy mogą się jeszcze czegoś dla siebie spodziewać. K. nie przejmował się nimi wcale, dopiero śmiech Friedy zwrócił na nich jego uwagę. Pieszczotliwie przykrył jej leżącą na stole rękę swoją dłonią i spytał po cichu, dlaczego jest dla nich tak pobłażliwa, a nawet przychylnie przyjmuje ich błazeństwa. W ten sposób nigdy się ich nie będzie mógł pozbyć, podczas gdy stosując w pewnej mierze surowsze i wobec ich zachowania się naprawdę odpowiedniejsze traktowanie, można by było niejedno osiągnąć, okiełznać ich, a co prawdopodobniejsze, jak również i lepsze, obrzydzić im służbę tak, by wreszcie czmychnęli. Chyba ten pobyt w budynku szkolnym nie należał do najprzyjemniejszych; zresztą nie będzie również zbyt długotrwały, wszystkich tych braków można by jednak nie dostrzegać, gdyby pomocnicy sobie poszli i gdyby oni zostali sami we dwoje w tym cichym domu. Czyż Frieda nie dostrzega, że pomocnicy z dnia na dzień stają się coraz bezczelniejsi, jak gdyby zachęceni obecnością Friedy oraz nadzieją, że K. nie będzie przy niej taki surowy, jaki byłby bez niej. Zresztą może istnieją jakieś prostsze środki natychmiastowego pozbycia się pomocników bez zbyt wielkiego zachodu, może zna je nawet Frieda, która przecież z tutejszymi stosunkami jest tak dobrze obeznana. I samym pomocnikom prawdopodobnie wyświadczy się przysługę, jeśli się ich w jakikolwiek sposób oddali, gdyż życie, jakie tu prowadzą, nie jest znowu tak wielką rozkoszą. Nawet to leniuchowanie, które było dotychczas ich udziałem, musi choćby częściowo skończyć się. Pomocnicy będą musieli pracować, gdyż Frieda po trudach ostatnich dni powinna oszczędzać swe siły, zaś K. będzie zajęty szukaniem wyjścia z tej przymuso'wej sytuacji. Gdyby zaś pomocnicy odeszli to K. poczuje taką ulgę, że z łatwością sprostą obowiązkom woźnego w szkole obok wszystkich innych obowiązków.

Frieda, która przysłuchiwała się uważnie, gładząc go wolno po ramieniu, powiedziała, że *zgadza* się z tym wszystkim, ale że K. prawdopodobnie zbyt surowo ocenia błazeństwa pomocników. Są to przecie młodzi chłopcy, weseli i dość jeszcze nieokrzesani, są po raz

pierwszy w służbie u obcego, dopiero co wypuszczono ich spod surowej zamkowej dyscypliny i dlatego stale są nieco podnieceni i zdziwieni. W tym stanie istotnie popełniają czasami jakieś głupstwa, którymi denerwować się jest wprawdzie rzeczą zupełnie naturalną, ale rozsądniej jest z nich się śmiać. Ona na przykład niekiedy wprost nie może się od śmiechu powstrzymać. Mimo to *zgadza* się w pełni z K., że byłoby lepiej odesłać ich i pozostać we dwoje. Przysunęła się bliżej K., ukryła twarz na jego ramieniu i przytulona powiedziała tak niewyraźnie, że aż K. musiał się ku niej pochylić, iż i ona sama nie widzi sposobu na pomocników oraz boi się, że wszystko, co K. proponuje, do niczego nie doprowadzi. O ile wie, K. sam przecież życzył ich sobie, a teraz, kiedy ich ma, to już będzie musiał zatrzymać. Najlepiej chyba nie brać ich tak poważnie, gdyż jest to ludek lekkomyślny. W ten sposób najłatwiej można będzie znieść ich obecność

K. był z tej odpowiedzi niezadowolony; na wpół żartem, na wpół serio stwierdził, że wygląda na to, jakby Frieda była z nimi w zмовie lub co najmniej żywiła dla nich wiele sympatii. Z pewnością są to ładne gagatki, ale przy odrobinie dobrej woli każdego można się pozbyć. K. dowiedzie jej tego na przykładzie pomocników. Frieda odrzekła, że bardzo będzie mu wdzięczna, jeśli to się uda, zresztą obiecuje już się odtąd z nich nie śmiać i nie mówić do nich ani jednego niepotrzebnego słowa. Nawet nie znajduje już teraz w nich nic śmiesznego i na pewno nie należy wcale do przyjemności być stale obserwowaną przez dwóch mężczyzn. Uczyla się już patrzeć na tych dwóch jego oczyma. I rzeczywiście wzdrygnęła się nieco, kiedy pomocnicy znowy wstali, czy to żeby sprawdzić, jaki jest jeszcze zapas jedzenia, czy też by ustalić, jaki był powód tych długich szeptów.

K. wykorzystał to, aby obrzydzić Friedzie pomocników. Przyciągnął ją do siebie i mocno przytuleni skończyli w ten sposób posiłek. Teraz trzeba było iść spać, zwłaszcza że wszyscy byli bardzo zmęczeni. Jeden z pomocników zasnął nawet przy jedzeniu, co bardzo śmieszyło drugiego, który chciał koniecznie zwrócić uwagę państwa na głupi wyraz śpiącego towarzysza, ale mu się to nie udało, gdy K. i Frieda niewzruszeni siedzieli wysoko na swoich fotelach. Z powodu coraz nieznosniejszego zimna ociągali się z pójściem spać. W końcu K. oświadczył, że trzeba jeszcze raz napalić w piecu, gdyż inaczej nie będzie można zasnąć. Potem zaczął szukać jakiejś siekiery. Pomocnicy wiedzieli, gdzie się siekiera znajduje, więc przynieśli ją. Udano się do szopy mieszczącej drzewo. Niebawem lekkie drzwiczki zostały wyważone, a pomocnicy, uradowani, jak gdyby czegoś podobnie pięknego nigdy jeszcze nie przeżyli, goniąc się i popychając, *zaczęli* znosić drwa do klasy. Wkrótce był już wielki stos. Napalono w piecu i wszyscy ułożyli się wokoło. Pomocnicy dostali do przykrycia się jeden wspólny koc, co było zupełnie wystarczające, gdyż ustalono, że jeden z nich będzie czuwał i

podsycał ogień. Wkrótce piec tak się rozgrzał, że wcale nie potrzeba było koców. Zgaszono lampę i K. z Frieda, uradowani ciepłem i ciszą, ułożyli się do snu.

Gdy K. obudził się w nocy z powodu jakiegoś szmeru i pierwszym, niepewnym, na wpół sennym jeszcze ruchem poszukał Friedy, spostrzegł, że zamiast Friedy leży przy nim jeden z pomocników. Rozdrażniony nagłym przebudzeniem, K. poczuł taki strach, jakiego jeszcze dotychczas nie doznał w tej wsi. Z głośnym krzykiem podniósł się nieco i półprzytomnie uderzył pomocnika tak mocno pięścią, że ten zaczął płakać. Wszystko wyjaśniło się zresztą wkrótce. Frieda obudziła się z poczuciem, że jakieś wielkie zwierzę - tak przynajmniej jej się wydawało - prawdopodobnie kot, wskoczyło jej na piersi i zaraz potem uciekło. Wstała więc i ze świecą przeszukała cały pokój, by odnaleźć to zwierzę. Jeden z pomocników wykorzystał to, by na chwilę zaznać rozkoszy leżenia na sienniku - teraz już gorzko tego żałował. Friedzie jednak nie udało się nic znaleźć, może zresztą było to tylko jakieś przywidzenie. Wróciła więc do K. i po drodze, jak gdyby zapomniała o wieczornej rozmowie, pogłaskała skulonego i lamentującego pomocnika po włosach, chcąc go pocieszyć. K. nic na to nie powiedział, polecił jedynie pomocnikom, by przestali palić w piecu, gdyż po zużyciu prawie całego zapasu drzewa zrobiło się już zbyt gorąco.

Rozdział 12

Rano obudzili się wszyscy dopiero wtedy, gdy pierwsi uczniowie znaleźli się już w klasie i z ciekawością otoczyli ich posłanie. Było to nieprzyjemne, gdyż na skutek wielkiego upału, który wprawdzie nad ranem znowu ustąpił przed nieprzyjemnym chłodem, wszyscy rozebrali się aż do koszuli. Właśnie kiedy zaczęli się ubierać, we drzwiach ukazała się Giza, nauczycielka, wysoka, piękna blondynka, może nieco za sztywna. Widocznie wiedziała już o nowym woźnym i przypuszczalnie otrzymała od nauczyciela instrukcję, jak należy postępować, gdyż zaraz od progu powiedziała:

- Tego nie mogę tolerować. Otrzymał pan pozwolenie tylko na spanie w klasie, ale ja nie mam obowiązku odbywania lekcji w pańskiej sypialni. Ładna mi rodzina woźnego, która prawie do południa wyleguje się w łóżkach! Fe!

„No, jeśli o to chodzi, to niejedno dałoby się powiedzieć, zwłaszcza co do rodziny i łóżek” - pomyślał K. szybko przesuwając wraz z Friedą - pomocników nie można było do tego użyć, gdyż leżeli na podłodze i gapili się bezmyślnie na nauczycielkę i dzieci - gumy gimnastyczne i kozioł do skakania. Przykrył je kocami i utworzył w ten sposób mały schron, w którym przynajmniej można się było ukryć przed spojrzeciami dzieci i jakoś ubrać. Spokoju jednak nie mieli ani przez chwilę. Najpierw nauczycielka zrzędziła, że w miednicy nie ma świeżej wody; K. chciał właśnie miednicę wziąć dla siebie i Friedy, ale musiał z tego zrezygnować, by nauczycielki zbytnio nie drażnić. Nic to wszakże nie pomogło, już w chwilę potem powstał wielki rwetes. Niestety, zapomnieli sprzątnąć z katedry resztki kolacji. Nauczycielka zrzuciła wszystko linią wprost na podłogę. To, że oliwa po sardynkach i resztką kawy wylały się, a garnek się stłukł, wcale nauczycielki nie obchodziło - woźny i tak zaraz wszystko posprząta. Jeszcze niezupełnie ubrani, K. i Frieda, oparli się

O drążki gimnastyczne, przyglądali się zniszczeniu swego skromnego mienia, pomocnicy zaś, nie myśląc wcale ubrać się, wyglądali ku wielkiej radości dzieci spod koców. Najwięcej bolała Frieda naturalnie nad stratą garnka do kawy. Dopiero kiedy K., chcąc ją pocieszyć, zapewnił, że niezwłocznie uda się do wójta, zażąda nowego garnka i na pewno dostanie, opanowała się na tyle, że w koszuli jedynie i w halce wybiegła z prowizorycznego schronu, aby zabrać przynajmniej obrus i uratować go przed dalszym poplamieniem. Udało się jej to, chociaż nauczycielka, by ją odstraszyć, bez ustanku waliła linią w stół, co mogło nadwerężyć nawet najsilniejsze nerwy. Kiedy K. i Frieda już się ubrali musieli pomocników, którzy tymi wszystkimi wydarzeniami byli jakby odurzeni, nie tylko zmuszać rozkazami i

szturchańcami do ubierania się, ale nawet własnoręcznie ich ubierać. Potem, kiedy wszyscy byli już gotowi K. rozdzielił najpilniejsze roboty; pomocnicy mieli przynieść drzewa i napalić w piecu, zaczynając jednak od drugiej sali, skąd groziło jeszcze większe niebezpieczeństwo, gdyż prawdopodobnie był tam już nauczyciel, Frieda miała wyszorować podłogę, a K. przynieść wody i w ogóle zrobić porządek. O śniadaniu na razie nie mogło być mowy. Aby zbadać, w jakim nastroju jest nauczycielka, K. postanowił wyjść pierwszy, inni zaś mieli wyjść po nim, gdy na nich zawoła. Zarządził tak z jednej strony dlatego, że nie chciał, by błazeństwa pomocników od samego początku pogorszyły sytuację, z drugiej zaś dlatego, że chciał możliwie oszczędzić Friedzie przykrości, gdyż Frieda miała ambicję, której on nie miał, Frieda była wrażliwa, podczas gdy on wcale nie, Frieda myślała zawsze tylko o bieżących drobnych świństewkach, podczas gdy on - o Barnabasie i przyszłości. Frieda dokładnie stosowała się do wszystkich jego zarządzeń i nie odrywała oczu od niego. Gdy tylko K. się ukazał, nauczycielka zaczęła wrzeszczeć przy akompaniamencie śmiechu dzieci, który teraz w ogóle już nie ustawał.

- No co, wyspał się pan? - A kiedy K. nic nie odpowiedział, gdyż właściwie nie było to żadne pytanie, tylko poszedł prosto do umywalni, nauczycielka spytała: - Coście zrobili mojej Kici? - Wielki, stary, opasły kot leżał leniwie rozciągnięty na stole, nauczycielka zaś oglądała jego trochę widać skaleczoną łapę.

A więc Frieda miała jednak rację. Kot ten wprowadził na nią w nocy nie skoczył, gdyż skakać zapewne już nie mógł, ale przepelzł przez nią, przestraszony obecnością ludzi w pustym zazwyczaj budynku, szybko się ukrył i przy tym niezwykłym dla niego pośpiechu skaleczył się. K. starał się wytłumaczyć to spokojnie nauczycielce, która jednak interesowała się samym skutkiem i powtarzała:

- No tak, okaleczyliście mi Kicię. Tym rozpoczęliście wasz pobyt tu. Niech pan patrzy! - przywołała K. do katedry, pokazała mu łapę kota i nim K. się zorientował, zrobiła mu kocimi pazurami szramę na rękę. Pazury były już wprowadzić tępe, ale nauczycielka, nie dbając o kota, tak mocno je wgniotła w rękę K. że pozostały krwawe ślady. - A teraz niech pan idzie do swojej roboty - rzekła do K. Niecierpliwie i pochyliła się znowu nad swoim kotem.

Frieda, która wraz z pomocnikami przyglądała się temu spoza poręczy gimnastycznej, krzyknęła na widok krwi, zaś K. pokazał dzieciom rękę i powiedział:

- Patrzcie, co mi zrobił ten zły i podstępny kot.

Powiedział to oczywiście nie pod adresem dzieci, których wrzask i głośny śmiech stały się już tak samodzielne, że nie potrzebowały nowych powodów czy podniety; żadne już

słowo nie mogło do nich trafić lub na nie wpłynąć. Ponieważ jednak nauczycielka odpowiedziała na obrazę tylko krótkim spojrzeniem i dalej zajmowała się kotem, co oznaczało, że pierwsza jej złość znalazła zaspokojenie w krwawej zemście na winowajcy, K. zawołał Friedę i pomocników i praca się rozpoczęła.

Kiedy K. wyniósł kubeł z brudną wodą, przyniósł czystej i zaczął sprzątać klasę, jakiś mniej więcej dwunastoletni chłopiec wyszedł z ławki, dotknął ręki K. i powiedział coś, czego z powodu wielkiego hałasu zupełnie nie można było zrozumieć. Potem nagle cały harmider ustał i K. odwrócił się. To, czego obawiał się przez cały ranek, stało się faktem: w drzwiach stał nauczyciel, mimo swego nikłego wzrostu, trzymał w każdej ręce pomocnika za kołnierz. Widocznie złapał ich przy noszeniu drzewa, gdyż potężnym głosem, po każdym słowie robiąc pauzę, wołał:

- Kto ważył się włamać do szopy z drzewem? Gdzie jest ten drab, abym mógł go zbić na kwaśnie jabłko?!

Wtedy Frieda podniosła się z podłogi, którą starała się u stóp nauczycielki wyszorować, spojrzała na K., jak gdyby chciała w ten sposób zaczerpnąć siły, i powiedziała, przy czym było w jej spojrzeniu i postawie coś z jej dawnego poczucia wyższości:

- To ja zrobiłam, panie nauczycielu. Nie wiedziałam, jak sobie inaczej poradzić. Jeśli wczesnym rankiem miało być napalone w obu klasach, to trzeba było szopę otworzyć, ale nie odważyłam się pójść do pana po klucz w nocy, mój narzeczony zaś był w gospodzie dla panów z zamku i przypuszczałam, że pozostanie tam przez całą noc, musiałam więc sama zdecydować. Jeśli źle postąpiłam, przepraszam za mój brak doświadczenia; już mój narzeczony dosyć mi naurągał, kiedy zobaczył, co się stało. Sam nawet zakazał mi palić rano w piecach myśląc, że przez zamknięcie szopy chciał pan zaznaczyć, iż nie życzy sobie, aby było napalone przed jego przyjściem. To, że nie jest napalone, jest więc jego winą, a to, że włamaliśmy się do szopy - moją.

- Kto wyłamał drzwi? - spytał nauczyciel pomocników, którzy ciągle jeszcze starali się uwolnić z jego rąk.

- Ten pan - odpowiedzieli obaj i aby nie mogło być już żadnych wątpliwości, wskazali na K.

Frieda zaśmiała się, a ten śmiech wydał się jeszcze bardziej przekonujący niż jej słowa, potem ścierkę, którą myła podłogę, zaczęła wyżymać nad kubeł, jak gdyby to jej oświadczeniem całe zajście zostało zlikwidowane, zaś zeznania pomocników były tylko spóźnionym żartem. Dopiero kiedy, znowu gotowa do dalszej pracy uklękła, dodała:

- Nasi pomocnicy to dzieci i mimo swych lat powinni siedzieć w tych ławkach

szkolnych. Ja sama otworzyłam przed wieczorem drzwi szopy siekierą, co było zresztą dość łatwe, i nie potrzebowałam do tego pomocników, którzy przeszkadzaliby mi tylko. Kiedy potem w nocy wrócił mój narzeczony i wyszedł na dwór, aby obejrzeć i, jeśli możliwe, naprawić, pomocnicy wybiegli razem z nim, prawdopodobnie dlatego, że bali się tu sami zostać, zobaczyli, że mój narzeczony coś naprawia przy wyłamanych drzwiach i dlatego tak teraz mówią... Ale to są jeszcze dzieci!

Pomocnicy podczas oświadczenia Friedy kręcili jednak głowami, wskazywali na K. i usiłowali minami i gestem przekonać Friedę, że nie ma racji; ponieważ im się to nie udało, podporządkowali się w końcu, przyjęli słowa Friedy za rozkaz i na dalsze pytania nauczyciela już nic nie odpowiadali.

- Tak - rzekł nauczyciel - a więc skłamaliście lub przynajmniej bezpodstawnie oskarżyliście woźnego? - Pomocnicy ciągle milczeli, a ich drżenie i lękliwe spojrzenia zdawały się świadczyć o poczuciu _ Jeżeli tak, to zaraz dam wam w skórę - rzekł nauczyciel

i posłał jedno z dzieci do drugiego pokoju po trzcinkę. Kiedy potem zamierzył się nią, Frieda krzyknęła:

- Pomocnicy powiedzieli prawdę! - wrzuciła z rozpaczą ścierkę do kubła, że aż woda trysnęła wysoko w górę, i pobiegła za drążki gimnastyczne, by się tam ukryć.

- Co za kłamliwy naród! - stwierdziła nauczycielka. Skończyła właśnie opatrywać kotu łapę i wzięła go teraz na kolana, na których ledwie się mieścił.

- Pozostaje teraz na placu tylko pan woźny - rzekł nauczyciel. Odepchnął pomocników i zwrócił się do K., który przez cały ten czas przysłuchiwał się oparty o miotłę. - Ten pan woźny z tchórzostwa spokojnie dopuszcza, by innych oskarżało się fałszywie o jego własne łotrostwa.

- No! - rzekł K., który dobrze zmiarkował, że interwencja Friedy złagodziła pierwszy impet gniewu nauczyciela - gdyby pomocnicy trochę dostali w skórę, nie sprawiłoby mi to zbytnej przykrości; jeśli przy dziesięciu rzeczywistych przewinieniach zostali oszczędzeni, mogą raz odpokutować za winy nie popełnione. Niezależnie od tego wolałbym uniknąć bezpośredniego zatargu z panem, panie nauczycielu, być może i pan by wolał. Ponieważ Frieda poświęciła mnie teraz dla pomocników - w tym miejscu K. zrobił pauzę i w zapadłej na chwilę ciszy słysząc było tylko szlochanie schowanej za drążkami Friedy - cała sprawa musi obecnie, oczywiście, być do końca wyjaśniona.

- To niesłychane! - powiedziała nauczycielka.

- Jestem całkowicie pani zdania, panno Gizo - poparł ją nauczyciel. - Pan, panie woźny, zostaje naturalnie z powodu tego haniebnego przewinienia służbowo z miejsca

zwolniony. Wybór kary, która później nastąpi, na razie sobie jeszcze rezerwuję; a teraz proszę wynosić się natychmiast ze wszystkimi swoimi gratami z tego domu. Sprawi nam to rzeczywistą ulgę i lekcje będą mogły się nareszcie rozpocząć. A więc jazda!

- Nie ruszę się z tego miejsca - rzekł K. - jest pan moim przełożonym, ale nie tym, który mi tę posadę dał. Dał mi ją pan wójt i tylko od niego mogę przyjąć wymówienie. Przypuszczalnie jednak dano mi tę posadę nie po to, abym tu z moimi ludźmi *zamarzł*, ale jak sam pan to już powiedział, aby nie dopuścić do nieopatrnych i rozpaczliwych postępów z mojej strony. Dlatego nagle wyrzucenie mnie stąd byłoby właśnie wbrew woli pana wójta. Póki nie usłyszę z jego własnych ust przeciwnej opinii, nie uwierzę. Będzie to zresztą prawdopodobnie również z wielkim pożytkiem dla pana, jeśli nie usłucham jego lekkomyślnego wymówienia.

- A więc nie zastosuje się pan? - spytał nauczyciel. K. potrząsnął przecząco głową. - Niech pan dobrze się zastanowi - powiedział nauczyciel. - Decyzje pańskie nie zawsze należą do najlepszych; niech pan pomyśli na przykład o wczorajszym popołudniu, kiedy to pan nie zgodził się na przesłuchanie.

- Dlaczego wspomina pan o tym teraz? - spytał K.

- Bo mi się tak podoba - odparł nauczyciel. - A teraz powtarzam po raz ostatni: precz!

Kiedy jednak i to nie wywarło żadnego skutku, nauczyciel podszedł do katedry i zaczął naradzać się szeptem z nauczycielką, która nawet wspomniała coś o policji, ale nauczyciel na to się nie zgodził. W końcu oboje rzecz uzgodnili i nauczyciel kazał dzieciom przejść do drugiej klasy, by tam odbyły wspólną lekcję z pozostałymi dziećmi. Ta zmiana ucieszyła wszystkich i pokój opuszczono wśród śmiechów i krzyków. Nauczyciel i nauczycielka wyszli ostatni. Nauczycielka niosła dziennik klasowy, na którym siedział kot, obojętny w swej otyłości na wszystko. Nauczyciel chętnie by kota tu pozostawił, ale nauczycielka uczynioną w tym kierunku aluzję zdecydowanie odrzuciła, napomykając o okrucieństwie K. W ten sposób prócz wszystkich innych przykrości K. obarczył nauczyciela jeszcze i kotem. Wpłynęło to widocznie na ostatnie słowa, z którymi nauczyciel wychodząc zwrócił się do K.

- Pani nauczycielka opuszcza z dziećmi ten pokój ulegając przemocy, gdyż pan uporczywie nie stosuje się do mego wymówienia, a nikt nie może od niej, młodej dziewczyny, *żądać*, by prowadziła lekcję wśród pańskiego plugawego bałaganu domowego. Pozostaje więc pan tutaj sam i może pan bez przeszkód ze strony oburzonych, lecz przyzwoitych widzów panoszyć się, jak się panu podoba. Ale to długo trwać nie będzie, za to rękę - to mówiąc zatrzęsął drzwiami.

Rozdział 13

Ledwie zdążyli wszyscy wyjść, K. powiedział do pomocników: - Wynoście się! Zdumieni tym nieoczekiwanym rozkazem usłuchali, ale kiedy K. zamknął za nimi drzwi, chcieli znów wrócić, skomlili na dworze i dobijali się do drzwi.

- Jesteście zwolnieni z obowiązków - zawołał K. - Nigdy już nie przyjmę was do służby!

Pomocnicy wszakże nie chcieli się na to zgodzić i tłukli rękami i nogami w drzwi.

- Chcemy wrócić do ciebie, panie! - wołali, jak gdyby K. był stałym lądem, a oni tonęli w odmętach morskich. Ale K. nie znał litości i z niecierpliwością czekał, aż nieznośny hałas zmusi nauczyciela do interwencji. Wkrótce tak też się stało.

- Niech pan wpuści swoich przeklętych pomocników - zawołał nauczyciel.

- Wymówiłem im pracę! - odkrzyknął K.

Miało to pewien uboczny nie zamierzony skutek, a mianowicie udowodniło nauczycielowi, do czego można dojść, jeśli ktoś ma tyle energii, by nie tylko wymówić, ale i wprowadzić to w czyn.

Nauczyciel próbował teraz pomocników po przyjacielsku uciszyć. Niech poczekają tu spokojnie, K. w końcu będzie musiał jednak ich wpuścić. Potem nauczyciel odszedł. I może byłaby zapanowała teraz cisza, gdyby K. nie zaczął wykrzykiwać, że są ostatecznie zwolnieni z obowiązków i nie mogą mieć najmniejszej nadziei na ponowne przyjęcie. Wtedy pomocnicy zaczęli tak samo hałasować jak poprzednio. Znów wrócił nauczyciel, a obecnie nie pertraktował już z nimi, lecz wypędził ich z budynku szkolnego, prawdopodobnie wzbudzając postrach trzcinką.

Wkrótce jednak znowu się ukazali przed oknami sali gimnastycznej, pukali w szyby i krzyczeli; ale słów ich nie można już było zrozumieć. I tam nie pozostali również zbyt długo, gdyż w głębokim śniegu nie mogli skakać tak, jak tego wymagał ich niepokój. Podbiegli więc do sztachet otaczających ogród szkolny, wskoczyli na kamienną podmurówkę, skąd - wprawdzie z daleka - lepiej jednak widzieli wewnątrz pokoju. Biegali tam i z powrotem, trzymając się sztachet, przystawali wyciągając błagalnie złożone ręce ku K. Robili to długo, nie zważając na bezcelowość swych wysiłków; byli jakby odurzeni, nie przestali nawet wtedy, gdy K. spuścił storę, by uwolnić się od ich widoku.

W pokoju pogrążonym obecnie w półmroku K. podszedł do drążków gimnastycznych, by zobaczyć, co się dzieje z Friedą. Czując na sobie jego wzrok, podniosła się,

uporządkowała włosy, otarła łzy z twarzy i zabrała się w milczeniu do zaparzania kawy. Choć już o wszystkim wiedziała, K. poinformował ją jednak oficjalnie o tym, że zwolnił pomocników ze służby. Friedę kiwała tylko głową. K. usiadł w jednej z ławek szkolnych i przyglądał się jej zmęczonym ruchom. Dotychczasowa świeżość i rezolucja przydawały uroku jej wątłej postaci; obecnie urok ten prysł. Niewiele dni współżycia z K. wystarczyło, by do tego doprowadzić. Praca przy szynkwasiu nie była lekka, ale prawdopodobnie bardziej jej odpowiadała. A może rozstanie z Klammem było właściwą przyczyną jej marnego wyglądu? Bliskość Klamma uczyniła ją dla K. tak powabną i w tym powabie K. porwał ją, teraz zaś zwiędła w jego ramionach.

- Friedo - rzekł K.

Od razu odstawiła młynek do kawy i usiadła przy K. na ławce.

- Gniewasz się na mnie? - spytała.

- Nie - odparł K. - Myślę, że nie potrafisz inaczej. Żyłas sobie zadowolona w gospodzie dla panów z zamku. Powinienem był tam cię zostawić.

- Tak - powiedziała Frieda patrząc smutno przed siebie - powinieneś był tam mnie zostawić. Nie jestem godna współżyć z tobą. Uwolniony ode mnie mógłbyś przypuszczalnie osiągnąć wszystko, do czego dążysz. Z mego powodu podporządkowujesz się temu despotycznemu nauczycielowi. Przyjąłeś tę żalosną posadę i w dalszym ciągu starasz się mozolnie o rozmowę z Klammem. Wszystko to czynisz dla mnie. A ja jakżeż marnie wywdzięczam ci się za to.

- Nie - rzekł K. i na pocieszenie objął ją ramieniem. - Wszystko to są drobiazgi, które mnie wcale nie bolą; do Klamma dążę wcale nie tylko

twojego powodu. A jakże wiele dobrego ty dla mnie zrobiłaś. Zanim cię poznałem, błąkałem się tu na pustkowiu. Nikt mnie nie przyjmował, a komu się narzucałem, ten żegnał się ze mną pośpiesznie. Jeśli zaś mogłem u kogoś zaznać trochę spokoju, to byli to ludzie, od których z kolei ja uciekałem, jak na przykład od rodziny Barnabasa.

- Uciekałeś od nich? Naprawdę? Najdroższy! - przerwała Frieda żywo i po usłyszeniu wahającego się „tak” ze strony K. znowu pogłężyła się w swojej apatii.

Ale i K. również zabrakło energii, by wyjaśnić, w jaki sposób związek z Friedą skierował wszystko ku lepszemu. Uwolnił ją powoli z uścisku i siedzieli chwilę w milczeniu, wreszcie Frieda, jak gdyby z ręki K. promieniowało na nią jakieś ciepło, bez którego nie mogła już teraz się obejść, powiedziała:

-Nie zniosę dłużej tego życia tutaj. Jeżeli chcesz, abym została przy tobie, musimy stąd wyemigrować dokądkolwiek, do południowej Francji czy do Hiszpanii.

- Wyemigrować nie mogę - rzekł K. - przybyłem tutaj, aby pozostać i pozostanę. -l
czując sprzeczność, a nie zadając sobie wcale trudu, by ją wytłumaczyć, dodał, jakby mówiąc
do siebie: - Cóż mogło mnie zwabić do tego pustkowia, jeśli nie chęć pozostania tu na
zawsze? - A potem ciągnął dalej: - lecz i ty chcesz tu pozostać, przecież to twoja ojczyzna.
Tylko Klamma ci brak i to nasuwa ci rozpaczliwe myśli.

- Klamma miałoby mi brakować? - rzekła Frieda. - Klamma jest tu pełno, Klamma jest
tu za dużo. Chcę stąd wyjechać, aby przed nim uciec. Nie Klamma mi brak, ale ciebie, z
twojego powodu chcę wyjechać, gdyż nie mogę się tobą nasycić tu, gdzie wszyscy mnie
szarpią. Wolałabym, aby zdarli mi tę piękną maskę, wolałabym, aby ciało moje zmarniało,
bylebym mogła tylko żyć spokojnie przy tobie.

K. wyciągnął jeden tylko wniosek z tego wszystkiego i od razu zapytał:

~ Czy Klamm utrzymuje z tobą jeszcze jakieś stosunki? Czy woła cię do siebie?

- Nic o Klammie nie wiem - odparła Frieda. - Mówię teraz o innych, na przykład o
pomocnikach.

- Ach pomocnicy! - powiedział K. zaskoczony. - Czy oni ciebie Prześladowają?

- A tyś tego nie zauważył? - spytała Frieda.

- Nie - odpowiedział K. i nadaremnie usiłował przypomnieć sobie niektóre szczegóły.

- To natrętni i napastliwi chłopcy, ale żeby się odważyli ciebie zaczepiać, tego nie
zauważyłem.

- Nie zauważyłeś? - powtórzyła Frieda. - Nie zauważyłeś, jak z naszego pokoju w
oberży „Pod Mostem” nie można ich było wyrzucić, jak zazdrośnie obserwowali wszystko, co
się działo między nami. Jak jeden z nich w końcu położył się na moim miejscu na sienniku
oraz jak obecnie przeciwko tobie zeznawali, by spowodować twoje wygnanie i zgubę i
pozostać tylko ze mną. Tego wszystkiego nie zauważyłeś? - K. patrzył na Friedę nie
odpowiadając. Zarzuty wobec pomocników były może nawet słuszne, ale można było im
nadać o wiele bardziej niewinną interpretację: po prostu wytłumaczyć je ich śmiesznym,
dziecinny, niestałym i nieopanowanym usposobieniem. I czyż nie przemawiało przeciwko
wysuwany zarzutom również i to, że zawsze starali się wszędzie iść raczej z K., niż
pozostawać z Friedą? K. chciał coś w tym rodzaju napomknąć, ale Frieda odparła: - To
wszystko obłuda, której nie dostrzegałeś. A dlaczegoś ich wygnał, jeśli nie właśnie z tych
powodów? - I Frieda podeszła do okna, odsunęła storę na bok, wyjrzała, po czym przywołała
K. Pomocnicy trwali wciąż jeszcze przy sztachetach, chociaż widać było, że są już zmęczeni,
od czasu do czasu wyciągali jednak z wielkim wysiłkiem błagalnie ręce w kierunku szkoły.
Jeden z nich nawet, aby nie trzymać się stale sztachety, zaczepił się kurtą o pręt.

- Jacy oni biedni! Jacy biedni! - lamentowała Frieda.

- Czy wiesz, dlaczego ich wygnałem? - spytał K. - bezpośrednim powodem byłaś ty.

- Ja? - zdziwiła się Frieda nie odrywając wzroku od okna.

- Za twoje zbyt życzliwe traktowanie pomocników - rzekł K. - za przebaczenie im ich błazeństw, za śmianie się z nich, za głaskanie ich po włosach i za tę nieustanną twoją litość. „Jacy oni biedni” powtarzasz teraz znowu. Wreszcie przeważyło szalę ostatnie zajście, kiedy nie zawahałaś się mnie poświęcić, by wykupić za tę cenę pomocników od chłosty.

- Otóż to właśnie - powiedziała Frieda. - Właśnie o tym mówię. Otóż to właśnie, co mnie od ciebie oddała, chociaż nie mogę wyobrazić sobie większego szczęścia, jak być przy tobie ciągle, nieustannie, bez końca. Podczas gdy o tym jedynie stale myślę, że na ziemi nie ma spokojnego miejsca dla naszej miłości - ani we wsi, ani gdzie indziej, wyobrażam sobie głęboką i ciasną mogiłę, w której leżymy spleceni uściskiem jak kleszczami. Ja ukrywam swoją twarz przy twojej, a ty swoją przy mojej i nikt już nas nigdy nie ujrzy. Tu wszakże, spójrz na pomocników - nie do ciebie wyciągają oni błagalnie ręce, lecz do mnie.

- I nie ja - rzekł K. - patrzę na nich, ale ty.

- Oczywiście, że ja - odparła Frieda ze złością - o tym przecież ciągle mówię, bo cóż innego mogłoby być powodem, że pomocnicy stale na mnie dybią, choć może i są wysłańcami Klamma.

- Wysłańcami Klamma? - powtórzył K., którego to określenie, choć wydało mu się naturalne, bardzo zdziwiło.

- Wysłańcami Klamma - powiedziała Frieda - może oni są, ale prócz tego są również niedorzecznymi chłopakami, którym do wychowania przyda się jeszcze chłosta. Cóż to za obrzydliwe, podle chłopaczyska! Jak wstrętna jest rozbieżność pomiędzy ich twarzami, które mogłyby należeć również do dorosłych, czy może nawet do studentów, a ich dziecinnym, błazeńskim zachowaniem się! Czy myślisz, że ja tego nie widzę? Wstyd mi za nich. Ale tak już jest, że się nimi nie brzydzę, tylko wstyd mi za nich. Muszę ciągle na nich patrzeć. Kiedy trzeba na nich się gniewać, chce mi się z nich tylko śmiać. Kiedy chciano dać im w skórę, musiałam pogłaskać ich po włosach. A kiedy leżę w nocy przy tobie, nie mogę spać i patrzę ponad tobą, jak jeden z nich mocno owinięty w koc śpi, drugi zaś przed otwartymi drzwiczkami pieca kłęczy i dorzuca dREW, to muszę wtedy przechylać się tak, że prawie ciebie budzę. I nie kot mnie przestraszył, znam koty i pamiętam stale niespokojną drzemkę przy szynkwasiu, nie kot mnie przestraszył, ale ja sama siebie się boję. I nie potrzeba wcale takiego potwora jak ten kot, przy najmniejszym nawet szmerze się wzdrygam. Czasami boję się, że się obudzisz i wszystko będzie skończone, to znowu zrywam się i zapalam świecę, abyś

prędzej się obudził i mógł mnie obronić.

- O tym wszystkim nic nie wiedziałem - przerwał jej K. - przypuszczałem jedynie, że mogło tak być, i dlatego wygnałem pomocników; teraz już ich nie ma, może wszystko będzie dobrze.

- Tak, nareszcie ich nie ma - powtórzyła Frieda, ale wyraz jej twarzy był umęczony, nie radosny. - Nie wiemy tylko, kim oni są.

niyslach nazywam ich dla zabawy wysłannikami Klamma, ale że oni naprawdę nimi są. Ich oczy takie naiwne, a jednak iskrzące się, przypominają mi w jakiś sposób oczy Klamma. Tak, właśnie to właśnie spojrzenie Klamma czasami przeszywa mnie z ich oczu i dlatego nie jest prawdą, gdy mówię, że wstyd mi za nich. Chciałabym tylko, żeby tak było. Wiem, oczywiście, że gdzie indziej i u innych ludzi takie zachowanie byłoby głupie i rażące, u nich jednak tak nie jest. Z szacunkiem i zachwytem patrzę na ich błazeństwa. A jeśli są to wysłańcy Klamma, to któż nas od nici: uwolni? I czy w ogóle byłoby rzeczą pożądaną uwolnić się od nich? Jeśli nie, musiałbyś ich prędko znowu sprowadzić i cieszyć się, będą chcieli wrócić.

- Chcesz, abym ich znowu sprowadził? - spytał K.

- Przenigdy - odparła Frieda. - Jestem daleka od tego. mogłabym już znieść ich widoku, gdyby tu wtargnęli, ich radości, mnie znów widzą, ich podskakiwania - skaczą jak dzieci - oraz ich wyciągania ramion, jak to czynią dorośli mężczyźni. Kiedy znów jednak pomyślę, że ty, pozostając surowy wobec nich, wzbranasz przez to samemu Klammowi dostępu do siebie, chciałabym na wszelki sposób uchronić cię przed konsekwencjami. Wtedy chcę, żebyś ich wpuścił. Wtedy, K., szybko wpuść ich tutaj! Nie zwracaj na mnie uwagi, bo co ci na mnie może zależeć! Będę się broniła, dopóki! będę mogła; jeśli jednak miałabym przegrać, no to przegram, ale w przeświadczeniu, że i to stało się dla twego dobra.

- Umacniasz mnie tylko w moim sądzie o pomocnikach - rzekł K. - Nigdy nie wejdą tu za moją zgodą. To, że się ich pozbyłem, świadczy, iż ostatecznie można ich ujarzmić, a co za tym idzie, że nie mają nic wspólnego z Klammem. Dopiero wczoraj wieczorem otrzymałem od niego list, z którego mogłem się przekonać, że co do pomocników jest zupełnie nie zorientowany, a co za tym idzie, że są mu oni całkiem obojętni, bo gdyby tak nie było, to umiałby na pewno zdobyć o nich dokładne wiadomości. To zaś, że ty w nich widzisz Klamma, niczego jeszcze nie dowodzi, gdyż niestety, ciągle znajdujesz się pod wpływem oberżystki i Klamma widzisz wszędzie. Ciągle jeszcze jesteś kochanką Klamma, a wcale nie moją żoną. Czasami od tego wszystkiego w głowie mi się mąci i wydaje mi się, że wszystko straciłem. Mam wtedy wrażenie, że przed chwilą dopiero przybyłem do wsi, ale nie pełen

nadziei, jaki wtedy naprawdę byłem, lecz świadom tego, że czekają na mnie same rozczarowania i że ten I kielich goryczy będę musiał wypić aż do samego dna. Ale zdarza się to J tylko od czasu do czasu - dodał K. z łagodnym uśmiechem widząc, że Frieda na skutek jego słów omdlewa - i w gruncie rzeczy jest to dowodem czegoś dobrego, a mianowicie tego, jak wiele dla mnie znaczysz. Jeśli teraz żądasz ode mnie, abym dokonał wyboru między tobą, a pomocnikami, to pomocnicy już przegrali. Zresztą cóż to za pomysł wybierać między tobą a pomocnikami! Teraz już chcę ostatecznie się od nich uwolnić, zarówno w słowach jak i w myślach. Kto zresztą wie, czy słabość, która nas oboje opanowała, nie pochodzi stąd, żeśmy jeszcze nie jedli śniadania?

- Możliwe - zgodziła się Frieda, uśmiechając się ze znużeniem, i zabrała się do roboty. K. również chwycił za miotłę.

Po chwili ktoś cichutko zapukał. - Barnabas! - zawołał K., cisnął miotłę i w kilku susach był przy drzwiach. Frieda, bardziej przerażona tym imieniem niż wszystkim innym, patrzyła na K. Niewprawnymi rękami K. nie mógł od razu otworzyć starego zamka. - Już otwieram - powtarzał ciągle, zamiast zapytać, kto właściwie puka. A potem musiał przypatrywać się, jak przez otwarte na oścież drzwi wszedł wcale nie Barnabas, lecz mały chłopaczek, który już przedtem chciał coś K. powiedzieć. K. nie miał jednak wcale ochoty dać po sobie poznać, że go sobie przypomina.

- Czego tu chcesz? - spytał. - Lekcja odbywa się obok.

- Właśnie stamtąd przychodzę - odparł chłopaczek stojąc wyprężony na baczność i spojrzał spokojnie na K. olbrzymimi czarnymi oczyma.

- Więc czego tu chcesz? No prędejsz! - rzekł K. pochylając się z lekka nad nim, gdyż chłopaczek mówił zbyt cicho.

- Czy mogę ci dopomóc? - spytał malec.

- On chce nam dopomóc - powtórzył K. Friedzie, po czym zwrócił się do małego: - Jak ty się nazywasz?

- Hans Brunswick - powiedział chłopaczek - uczeń IV klasy, syn Ottona Brunswicka, mistrza szewskiego z ulicy Świętej Magdaleny.

- Patrzcie go, Brunswick się nazywa - powiedział K. i stał się uprzejmiejszy dla chłopaczka. Okazało się, że Hans tak przejął się krwawą szramą, którą nauczycielka zrobiła K. na rękę, że już wówczas zdecydował się K. pomóc. Obecnie samowolnie, ryzykując ^{stro}gą karę, zdezerterował z sąsiedniej klasy. Wszystko to mogło być PO prostu wytworem chłopięcej wyobraźni, której uległ. O tym też świadczyła powaga, jaką tchnęło wszystko, co robił. Tylko że na początku przeszkadzała mu nieco nieśmiałość, wkrótce jednak

przyzwyczaił się do K. i Friedy, a kiedy dostał gorącej, dobrej kawy, ożywił się i nabrał ufności. Pytania jego były natarczywe i wnikliwe, jakby chciał jak najprędzej dowiedzieć się o wszystkim najważniejszym, aby móc samodzielnie za K. i Friedę decydować. Miał też coś władczego w całym swoim zachowaniu. Było to jednak tak pomieszane z dziecinną niewinnością, że na wpół szczerze i na wpół żartem, chętnie mu się podporządkowywano. W każdym razie skoncentrował on na sobie całą uwagę, wszelka praca ustała, a śniadanie ciągnęło się w nieskończoność. Chociaż chłopaczek siedział w ławce szkolnej, zaś K. wysoko na katedrze, Frieda natomiast na fotelu obok, wyglądało, jak gdyby właśnie Hans był nauczycielem, który egzaminuje i stawia stopnie. Lekki uśmiech na jego łagodnych ustach zdawał się mówić, iż dobrze wie, że chodzi tylko o grę - ale tym poważniej brał się do rzeczy. Może zresztą nie był to wcale uśmiech, ale dziecięce szczęście, igrające na jego ustach. Dziwnie późno przyznał się do tego, że poznał już K. dawniej, kiedy K. wstąpił do domu Lasemanna. K. ucieszył się tym bardzo.

- Bawiłeś się wtedy u stóp kobiety? - spytał K.

- Tak - odparł Hans - to była moja matka. - I teraz musiał coś opowiedzieć o swojej matce, ale uczynił to niechętnie, ulegając kilkakrotnej zachęcie. Okazało się przy tym, że był jeszcze zupełnie małym dzieckiem, przez usta którego, zwłaszcza kiedy pytał, może w przeczuciu przyszłości, a może na skutek złudzenia słuchających w niespokojnym napięciu wydawał się przemawiać energiczny, mądry i przezorny mężczyzna. Potem bez żadnego przejścia mężczyzna stawał się znowu małym uczniem, który pewnych pytań wcale nie rozumiał, inne przekręcał i z typowym dla dziecka nieliczeniem się z innymi mówił zbyt cicho, choć często zwracano mu na to uwagę. W końcu, jak gdyby na złość, pomijał milczeniem wiele pilnych pytań, i to całkiem bez zażenowania, czego dorośli nigdy by nie potrafił. W ogóle wydawało się, jak gdyby według jego zdania tylko on miał prawo pytać, zaś pytania innych łamały jakiś tam regulamin i były tylko stratą czasu. Mógł także długo siedzieć zupełnie cicho, wyprostowany, z opuszczoną głową i wysuniętą dolną wargą. Friedzie to się tak spodobało, że często stawiała mu umyślnie pytania, co do których miała nadzieję, że zmuszą go do takiego właśnie milczenia. Czasem jej się to udawało, ale K. się złościł. A w ogóle dowiedziano się niewiele. Matka była nieco chorowita, ale co to była za choroba, nie ustalono. Dziecko, które wówczas trzymała na kolanach, było siostrzyczką Hansa imieniem Frieda (to, że wypytująca go pani miała to samo imię, bardzo uraziło Hansa). Wszyscy oni mieszkali we wsi, ale nie u Lasemanna, gdzie byli wówczas w odwiedzinach, by się tam wykąpać, gdyż Lasemann posiadał wielką kąpielnię, w której ze szczególnym upodobaniem kąpały się i chlapały małe dzieci, do których Mans już nie należał. O swoim

oicu Hans mówił z szacunkiem lub z lękiem, ale tylko wtedy, kiedy nie mówiło się równocześnie o matce. Wobec matki wartość ojca widocznie była znikoma. Zresztą wszystkie pytania dotyczące ich życia rodzinnego, pomimo wszelkich starań pozostały bez odpowiedzi. Co do pracy zawodowej ojca, dowiedziano się, że był pierwszym szewcem we wsi. Nikt mu nie dorównywał, jak to wynikało z niejednej odpowiedzi na zupełnie inne pytania. Dawał one nawet innym szewcom, na przykład ojcu Barnabasa, pracę do domu. W tym ostatnim wypadku Brunswick robił to chyba ze szczególnej łaski, o tym przynajmniej świadczyło dumne podniesienie głowy Hansa, które skłoniło Friedę do tego, że podbiegła i ucałowała go. Na pytanie, czy był już na zamku, odpowiedział dopiero po kilkakrotnym powtórzeniu tego pytania: „nie”. Na podobne pytania dotyczące matki nie odpowiadał wcale. W końcu K. się zmęczył, i jemu również całe to wypytywanie wydało się bezcelowe. Przyznał pod tym względem chłopcu słuszność, zwłaszcza że było coś żenującego w wyciąganiu tajemnic rodzinnych od niewinnego dziecka. Podwójnie większym wstydem było jednak to, że i w ten sposób niczego się nie dowiedziano. I kiedy K. na zakończenie spytał malca, w jaki sposób chciał im pomóc, nie zdziwił się już słysząc, że Hans chciał tylko pomóc im tu przy pracy, aby nauczyciel i nauczycielka już tak na K. nie wymyślali. K. oświadczył Hansowi, że takiej pomocy nie potrzebuje. Wymyślanie jest zapewne nieodłączne od natury nauczyciela i nawet przez dokładniejszą robotę chyba nie da się temu zapobiec. Sama robota zaś nie jest wcale trudna i tylko na skutek przypadkowych okoliczności K. się z nią dziś spóźnił. Zresztą na K. wymyślanie to nie robi takiego wrażenia, jak na uczniu, otrząsa się z niego, jakby było mu obojętne, i ma nadzieję, że wkrótce będzie mógł całkowicie uwolnić się od nauczyciela. Ponieważ więc chodziło tylko o pomoc przeciwko nauczycielowi, dziękuje serdecznie Hansowi i pozwala mu odejść w nadziei, że Hans nie zostanie z tego powodu ukarany. Chociaż K. wcale tego nie podkreślił, a jedynie mimo woli napomknął, że chodzi tu jedynie o pomoc przeciwko nauczycielowi, bez której można się obejść, zaś sprawa innej pomocy pozostaje otwarta, Hans zorientował się i zapytał K. czy przypadkiem nie potrzebuje innej pomocy; bardzo chętnie by mu bowiem dopomógł, a jeśliby sam nie był w stanie tego zrobić, poprosi o to matkę i wtedy na pewno się uda. Ojciec również kiedy ma jakieś kłopoty, to zawsze prosi matkę o pomoc. A zresztą matka już kiedyś o K. pytała. Sama prawie nie wychodzi z domu i tylko wyjątkowo była wtedy u Lasemanna; on natomiast, Hans, często tam chodzi, by bawić się z dziećmi Lasemannów, i z tego powodu matka go kiedyś spytała, czy nie było tam może znów geometry. Nie wolno wszakże denerwować matki, ponieważ jest słaba i umęczona, i dlatego Hans odpowiedział po prostu, że nie widział tam geometry, a potem nie było już o tym mowy. Kiedy jednak spotkał K. w szkole, chciał do niego zagadać, by o tym donieść

matce. Matka bowiem najbardziej lubi, kiedy bez wyraźnego rozkazu spełnia się jej życzenia. Na to K. odpowiedział po krótkim namyśle, że nie potrzebuje pomocy, bo ma wszystko, czego mu potrzeba, ale jest to bardzo miłe ze strony Hansa, że chce mu pomóc. K. dziękuje mu za dobre chęci i nie uważa za wykluczone, że później będzie jeszcze czegoś potrzebował, a wtedy zwróci się do niego, zwłaszcza że ma jego adres. K. natomiast tym razem może pomóc Hansowi. Jest mu bardzo przykro, że matka Hansa niedomaga i że widocznie nikt się tu na tej chorobie nie może poznać; przy zaniedbaniu zaś choroby może łatwo nastąpić pogorszenie, choć sama choroba zasadniczo nie jest groźna. Otóż K. zna się trochę na medycynie, a co jest jeszcze o wiele więcej warte, ma pewne doświadczenie w pielęgnowaniu chorych. Niejedno, co się nie udało lekarzom, jemu się udało. W domu nazywano go zawsze z powodu jego znachorstwa „gorzkim ziółkiem”. W każdym razie chętnie zobaczyłby matkę Hansa i pomówił z nią. Może uda mu się udzielić jej jakiejś dobrej rady, chętnie uczyni to dla Hansa. Oczy chłopca rozbłyły wobec takiej oferty, zaś K. skusiły do natarczywego nalegania. Ale rezultat był niezadowolający, gdyż Hans odpowiadał na wszystkie pytania, i to nawet nie będąc przy tym bardzo zmartwiony, że do matki nie wolno nikomu obcemu przychodzić w odwiedziny, gdyż trzeba oszczędzać jej siły. Chociaż K. wtedy prawie z nią nie rozmawiał, musiała się potem na kilka dni położyć do łóżka, co zresztą *zdarza* się dość często. Ojciec zaś gniewał się wtedy bardzo z powodu K. i na pewno nigdy nie pozwoli, by K. do matki przyszedł. Ba, kazał nawet wtedy odnaleźć K., aby ukarać go za jego zachowanie, lecz matka powstrzymała go od tego. Przede wszystkim matka nie chce w ogóle z nikim rozmawiać. Jej pytanie o K. nie oznacza wcale wyjątku od reguły, ale przeciwnie - właśnie kiedy była mowa o nim, miała sposobność wypowiedzieć życzenie zobaczenia 20 a jednak tego nie uczyniła i w ten sposób wyraźnie dała do zrozumienia, jaka jest jej wola. Chce tylko coś o K. usłyszeć, ale mówić z nim nie chce. Zresztą nie jest to właściwie żadna choroba, to, na co ona cierpi. Sama zna dobrze przyczynę swego stanu i niekiedy mówi, że prawdopodobnie wszystkiemu winien jest tutejszy klimat. Lecz nie chce opuścić tej miejscowości z powodu ojca i dzieci, a zresztą czuje się już lepiej niż dawniej. Było to wszystko, czego K. się dowiedział. Mans stawał się wyraźnie bardziej logiczny, kiedy musiał bronić matki przed K., przed tym samym K., któremu rzekomo chciał pomóc. Dla dobrego celu, by K. do matki nie dopuścić, zaprzeczał w niejednym swym poprzednim wypowiedziom, na przykład jeśli chodziło o jej chorobę. Mimo to K. miarkował, że i teraz Hans ciągle mu jeszcze sprzyja, tylko gdy chodziło o jego matkę, zapominał o wszystkim; jeśli przeciwstawiało się kogoś jego matce, to od razu tamten nie miał racji. Tym razem był to K., ale mógł to być i ojciec Hansa. K. chciał to wypróbować i powiedział, że jest na pewno bardzo rozsądnie ze strony ojca, iż chroni matkę przed

zakłóceniem jej spokoju, i gdyby K. wtedy coś podobnego przypuszczał, na pewno nie odważyłby się do matki przemówić. Długo jeszcze teraz, już po wszystkim, prosi Hansa, aby za to w domu przeprosił. Nie może natomiast w pełni zrozumieć, dlaczego ojciec, jeśli przyczyna choroby jest tak jasno określona, jak to Hans mówi, nie pozwala matce odpocząć w innym klimacie; można wręcz powiedzieć, że tylko on ją zatrzymuje, gdyż matka nie wyjeżdża stąd z powodu dzieci i męża, a dzieci mogłaby ostatecznie zabrać ze sobą, gdyż nie musiałyby wyjechać ani na długo, ani bardzo daleko. Już na górze zamkowej powietrze jest całkiem inne. Na koszty takiego wyjazdu ojca byłoby stać, gdyż jest przecież najprzedniejszym szewcem we wsi i na pewno on albo matka mają krewnych lub znajomych na zamku, którzy chętnie by ich przyjęli. Dlaczego więc ojciec jej nie puszcza? Nie powinien lekceważyć takiej choroby; K. widział matkę Hansa tylko przelotnie, ale właśnie jej uderzająca bladość i słabość skłoniły go do tego, by do niej przemówić; już wtedy zdziwiło go to, że ojciec pozwolił swojej chorej żonie przebywać w dusznej izbie, gdzie wspólnie kąpano się i prano bieliznę, i że nie potrafi pohamować swych głośnych krzyków. Widocznie ojciec nie orientuje się, o co chodzi; może stan zdrowia chorej ostatnimi czasy trochę się polepszył, takie niedomaganie ma swoje kaprysy, ale w końcu, jeśli się go nie zwalcza, występuje ze zdwojoną siłą i wtedy nic już pomóc nie może. Jeśli K. nie może z matką Hansa mówić, to może byłoby dobrze, gdyby pomówił z jego ojcem i zwrócił mu na to wszystko uwagę.

Hans przysłuchiwał się z napięciem. Prawie wszystko rozumiał, a grozę tego, czego nie rozumiał, odczuwał silnie. Mimo to powiedział, że K. nie może rozmawiać z jego ojcem, gdyż ojciec żywi do niego antypatię i prawdopodobnie obszedłby się z nim tak samo jak nauczyciel. Hans powiedział to z nieśmiałym uśmiechem, kiedy chodziło o K., a z zaciętością i smutkiem, kiedy wspominał o ojcu. Dodał jednak, że K. może będzie mógł pomówić z matką, lecz bez wiedzy ojca. Potem Hans namyślał się przez chwilę, patrząc nieruchomo przed siebie, jak kobieta, która chce popełnić coś zakazanego i szuka sposobności, by zrobić to bezkarnie, wreszcie powiedział, że przypuszczalnie pojutrze będzie to możliwe, gdyż ojciec ma wyjść wieczorem do gospody, aby coś tam omówić, wtedy on Hans, przyjdzie do K. i zaprowadzi go do matki, oczywiście pod warunkiem, że matka się na to zgodzi, co na razie jest jeszcze mało prawdopodobne. Przede wszystkim nie robi ona nic wbrew woli ojca, któremu jest we wszystkim posłuszna, nawet w sprawach bezsensownych w sposób oczywisty. Naprawdę to Hans szukał teraz pomocy K. przeciwko własnemu ojcu. Wydawało się, że sam siebie oszukiwał, kiedy wierzył, że K. może udzielić mu pomocy, podczas gdy w rzeczywistości chciał tylko wybadać, czy - chociaż nikt z dawnego otoczenia matce pomóc

nie mógł - ten obcy, zjawiający się niespodzianie i przez matkę tylko wspomniany pan, potrafi to zrobić. Jakżeż podświadomie skryty, a nawet podstępny był ten chłopaczek! Dotychczas trudno było z jego wyglądu i słów o to go posądzać; dopiero z wypowiedzianych już na samym końcu przypadkowych lub umyślnie wymuszonych wyznań można to było stwierdzić. Teraz w długich rozważaniach z K. malec zastanawiał się nad tym, jakie trudności trzeba będzie pokonać. Mimo najlepszej woli Hansa były to trudności prawie nie do przezwyciężenia; pogrążony w myślach, a mimo to szukający pomocy, niespokojnie mrugającymi oczyma spoglądał ciągle na K.

Nie wolno o niczym mówić matce, póki ojciec nie wyjdzie, gdyż ojciec mógłby się o tym dowiedzieć i wszystko udaremnić. Dlatego dopiero po jego wyjściu Hans będzie mógł matce o tym wspomnieć, ale i wtedy, ze względu na jej stan, nie od razu, nie nagle, lecz powoli i przy odpowiedniej okazji. Potem trzeba będzie poprosić matkę o zgodę i dopiero wówczas sprowadzić K.; ale czy wtedy nie będzie za późno i czy nie będzie zagrażał już nowrót ojca? Nie, jednak to się nie da zrobić. K. natomiast dowodził, że się da. Nie trzeba się obawiać, że czasu będzie za mało, wystarczy krótka rozmowa i krótkie widzenie się, a Hans nie będzie musiał K. sprowadzać, gdyż ten ukryje się gdzieś w pobliżu domu i będzie czekał na umówiony znak Hansa, by zaraz przybyć. - Nie - rzekł Hans - w pobliżu domu K. nie może czekać (znowu wrażliwość w stosunku do matki opanowała go całkowicie). Bez wiedzy matki K. nie może wyruszyć w drogę, a Hansowi nie wolno zawierać z K. takiego układu w sekrecie przed matką. Hans sprowadzi K. ze szkoły, i to nie wcześniej niż matka będzie o tym wiedziała i zezwoli na to. - Dobrze - rzekł K. - ale wtedy będzie to rzeczywiście ryzykowne i jest zupełnie możliwe, że ojciec ich przydybie, a jeśli nawet do tego nie dojdzie, to matka bojąc się, w ogóle nie zgodzi się na przybycie K. i wszystko weźmie w łeb z powodu ojca. Z tym nie zgadzał się znowu Hans i tak spór trwał bez końca.

Od dawna już K. przywołał Hansa z ławki do katedry, posadził go sobie na kolanach i głaskał od czasu do czasu, by go udobruchać. To zbliżenie mimo chwilowego sprzeciwu Hansa doprowadziło jednak do porozumienia. W końcu ustalono, co następuje: Hans najpierw wyzna matce całą prawdę, ale aby ułatwić jej powzięcie przychylnej decyzji, doda, że K. chce pomówić również z samym Brunswickiem, nie w jej sprawie, ale w swoich własnych. Odpowiadało to zresztą prawdzie, gdyż w toku rozmowy przyszło K. na myśl, że Brunswick, chociaż poza tym może i niebezpieczny i zły człowiek, właściwie nie mógł już być jego przeciwnikiem, gdyż - przynajmniej według informacji wójta - on to był przywódcą tych, którzy żądali zaangażowania geometry, prawdopodobnie z powodów politycznych. Przybycie K. do wsi musiało więc być dla Brunswicka raczej pożądane. Przy takiej interpretacji wszakże

złośliwe powitanie w pierwszym dniu i niechęć, o której mówił Hans, stawały się prawie niezrozumiałe. A może Brunswick był tym właśnie urażony, że K. nie zwrócił się najpierw do niego o pomoc? Może zaszło jakieś inne nieporozumienie, które w kilku słowach można będzie wyjaśnić? Jeśli się to stanie, K. będzie mógł łatwo znaleźć w Brunswicku oparcie przeciwko nauczycielowi, a nawet przeciwko wójtowi, a wtedy całe biurokratyczne omamienie - bo czymże to było, jeśli nie omamieniem - którym wójt i nauczyciel odgradzali go od kancelarii zamkowej i zmusili do przyjęcia posady woźnego w szkole, będzie mogło być zdemaskowane. Gdyby teraz doszło do walki między Brunswickiem a wójtem o K., to Brunswick powinien przeciągnąć K. na swoją stronę. K. stanie się gościem w domu Brunswicka, a środki, którymi ten rozporządza, zostaną oddane do dyspozycji K. na złość wójtowi. Kto wie, do czego przez to K. dojdzie, a w każdym razie będzie mógł często przebywać w pobliżu żony Brunswicka. Z takimi marzeniami igrał K., a one z nim, podczas gdy Mans, pogrążony w myślach o swojej matce, z wyrazem troski obserwował milczenie K., jak to się robi w stosunku do lekarza, który rozmyśla nad znalezieniem środka w ciężkim przypadku. Hans przystał na wysuniętą przez K. propozycję rozmówienia się z Brunswickiem w sprawie posady geometry, ale tylko dlatego, że w ten sposób obroniłoby się matkę przed ojcem, ponadto zaś uważał to za ostateczność, do której, miał nadzieję, nigdy nie dojdzie. Spytał tylko jeszcze K., jak wytłumaczy on ojcu tak późną godzinę odwiedzin. Z nieco posępną miną zadowolił się odpowiedzią, że K. powie, iż nieznośna posada woźnego w szkole i obraźliwe odnoszenie się nauczyciela doprowadziły go do nagłej rozpacz i zapomnienia o wszelkich względach.

Kiedy wszystkie w ten sposób - na ile tylko można było przewidzieć - zostało z góry obmyślane i możliwość powodzenia nie była wykluczona, Hans, uwolniony od ciężaru wytężonego myślenia, poweselał i przez chwilę szczebiotał jak dziecko, najprzód z K. a potem z Friedą, która długo siedziała zadumana, jakby myślała o czymś zupełnie innym, i dopiero teraz zaczęła znowu brać udział w rozmowie. Między innymi Frieda zapytała Hansa, czym chce zostać; chłopczyk, nie namysławiając się długo, powiedział, że chce zostać takim mężczyzną jak K. Kiedy zaś spytano go, dlaczego tego pragnie, nie umiał oczywiście odpowiedzieć. Na pytanie zaś, czy chce zostać woźnym w szkole, dał odpowiedź zdecydowanie odmowną. Dopiero kiedy wypytywano go dalej, okazało się, jaką okrężną drogą doszedł on do tego życzenia. Obecna sytuacja K. nie była pod żadnym względem do pozazdroszczenia, raczej smężna i godna pogardy, Hans doskonale w tym się orientował i nie potrzebował nikogo obserwować, by to stwierdzić; sam najchętniej uchroniłby matkę przed każdym spojrzeniem i słowem K. Mimo to jednak przyszedł do K., poprosił go o pomoc i był

uszcęśliwiony, kiedy K. się zgodził. Również u innych ludzi spotkał się, jak mu się zdawało, czymś podobnym, a przede wszystkim przecież sama jego matka wspomniała o K. Dzięki tym sprzecznościom powstało w nim przekonanie, że choć K. jest na razie jeszcze w poniżeniu i sytuacja i o może nawet odstraszać, ale w jakiejś, wprawdzie niesłychanie dalekiej, przyszłości będzie górował nad wszystkimi. I właśnie ta szaleńcza odległość i zaszczytna droga, która miała go do niej zaprowadzić, fascynowały Hansa. Za tę cenę zgadzał się nawet na przyjęcie K. takim, jakim był obecnie. Szczególnie dziecięco przemądrzałe w życzeniu Hansa było to, że patrzył on na K. z góry, jak na młodszego od siebie, którego przyszłość sięga dalej niż jego własna przyszłość małego chłopca. Zmuszony pytaniami Friedy, Hans mówił o tym z ponurą niemal powagą. Dopiero K. trochę rozweselił go twierdząc, że wie, czego mu Hans zazdrości. Prawdopodobnie chodzi mu o piękną sękatą laskę, leżącą na stole, którą Hans bezmyślnie bawił się podczas rozmowy. Otóż K. umie takie laski robić i jeśli ich plan im się uda, zrobi dla Hansa jeszcze piękniejszą. Teraz nie można już było się zorientować, czy Hansowi rzeczywiście tylko o tę laskę chodziło, gdyż bardzo ucieszył się obietnicą K. i wesoło się pożegnał, ściskając mu mocno rękę i mówiąc: - A więc pojutrze!

Był najwyższy czas, by Hans sobie poszedł, gdyż wkrótce potem nauczyciel jednym szarpnięciem otworzył drzwi i widząc K. i Friedę spokojnie siedzących przy stole, krzyknął:

- Przepraszam, że przeszkadzam! Ale powiedzcie mi, kiedy nareszcie tu posprzątaacie? Musimy siedzieć w tamtej klasie ciasno stłoczeni, nauka na tym cierpi, wy zaś rozpieracie się tu i rozpychacie w wielkiej sali gimnastycznej, ażeby mieć jeszcze więcej miejsca wygnaliście nawet pomocników! Ale teraz przynajmniej wstańcie i ruszcie się! - Potem zwrócił się do K.: - Przyniesiesz mi zaraz drugie śniadanie z oberży „Pod Mostem”!

Wszystko to nauczyciel wykrzykiwał ze złością, ale same słowa yty raczej łagodne, nawet to samo przez się ordynarne „ty”. K. gotów był usłuchać, ale aby nauczyciela wybadać, powiedział:

- Przecież jestem zwolniony.

- zwolniony czy nie zwolniony, w każdym razie przynieś mi drugie śniadanie - powtórzył nauczyciel.

- Zwolniony czy nie zwolniony, to właśnie chciałbym wiedzieć - rzekł K.

- Co ty pleciesz? - spytał nauczyciel. - Przecież nie przyjąłeś! wymówienia.

- Czy to wystarczy, aby wymówienie stało się nieważne? - spytał K.

- Dla mnie nie - odparł nauczyciel. - Możesz mi wierzyć, lecz nie wiem, dlaczego wójtowi wystarcza. A teraz jazda, gdyż inaczej naprawdę wylecisz!

K. był zadowolony. Nauczyciel widocznie przez ten czas rozmówił się z wójtem, a

może nawet i nie rozmawiał, ale przewidywał z goryl prawdopodobną opinię wójta, i ta wypadła na korzyść K. Toteż K. chciał niezwłocznie pójść po drugie śniadanie, ale nauczyciel odwołał go już z korytarza; być może, chciał przez wydanie owego szczególnego rozkazu tylko wy badać usłużność K., aby wiedzieć, czego się trzymać w swym postępowaniu, czy też nabrał nowej ochoty do komenderowania nią i ucieszyło go to, iż K. na jego rozkaz szybko wybiegł, a potem, jaki kelner, równie szybko zawrócił z drogi. K. ze swej strony wiedział, że przez zbyt wielką ustepliwość stanie się niewolnikiem i kozłem ofiarnym nauczyciela, ale do pewnych granic godził się teraz na cierpliwe znoszenie jego zachcianek, bo chociaż nauczyciel, jak się teraz okazało, nie miał prawa zwalniać go z posady, mógł jednak uczynić ją przykrą i trudną do zniesienia. A właśnie o tę posadę K. teraz dbał więcej niż przedtem. Rozmowa z Hansem obudziła w nim nowe, sam to j przyznawał - nieprawdopodobne i całkiem nieuzasadnione, ale nie! dające się już stłumić nadzieje. Przesłoniły mu one niemal całkiem! Barnabasa. Jeżeli K. za nimi pójdzie, a nie mógł tego nie uczynić, to! będzie musiał skupić wszystkie swe siły i o niczym innym nie myśleć - ani o jedzeniu, ani o mieszkaniu, ani o wiejskich władzach czy nawet o Friedzie. W gruncie rzeczy zaś szło przecież tylko o Friedę, wszystko! inne obchodziło go jedynie ze względu na nią. Dlatego K. musiał starać się o utrzymanie tej posady, która do pewnego stopnia dawała Friedzie zabezpieczenie i ze względu na ten cel nie wolno mu było żałować, że będzie musiał znieść od nauczyciela więcej, niż bez tego znieść był potrafił. Wszystko to zresztą nie było znów tak bardzo bolesne i należało! do rzędu zwykłych, drobnych przeciwności życiowych. Nie można było j tego porównać z tym, do czego K. dążył, a zresztą nie przybył tu po to, by pędzić życie w zaszczytach i spokoju.

I dlatego tak samo, jak był zdecydowany pójść szybko do oberży, tak teraz gotów był usłuchać zmienionego rozkazu i najpierw przyprowadzić klasę do porządku, by nauczycielka ze swoimi uczniami mogła się tu znowu przenieść. Ale trzeba było ten porządek bardzo szybko zrobić, gdyż potem K. musiał jednak pójść po drugie śniadanie, bo nauczyciel odczuwał już głód i pragnienie. K. zapewnił, że zastosuje się do jego życzeń; nauczyciel przez chwilę obserwował, jak K się śpieszy, jak usuwa pościel, ustawia przyrządy gimnastyczne na miejsce i w mig sprząta, podczas gdy Frieda myje i pastuje podium. Pilność ich zdawała się zadowalać nauczyciela, zwrócił jeszcze uwagę, że przed drzwiami leży przygotowany do palenia stos drzewa - do szopy widocznie nie chciał już K. wpuszczać - i odszedł do dzieci zapowiadając, że wkrótce wróci i wszystko sprawdzi.

Frieda jakiś czas pracowała w milczeniu, potem zwróciła się do K. z zapytaniem, dlaczego jest teraz wobec nauczyciela tak posłuszny. Było to pytanie pełne współczucia i

troski, ale K. pamiętając, jak to Friedzie nie udało się mimo jej początkowych obietnic uchronić go od rozkazów i brutalności nauczyciela, odpowiedział krótko, że kiedy już został woźnym, to musi pełnić swoje obowiązki. Wtedy zapanowało znowu milczenie, aż K., który właśnie dzięki tym kilku słowom uświadomił sobie, że Frieda już dość długo była pogrążona w pełnych troski rozmyślaniach, zwłaszcza podczas całej rozmowy z Hansem, teraz niosąc drzewo zapytał szczerze, co ją tak dręczy. Odpowiedziała, powoli podnosząc na niego wzrok, że nie dręczy jej nic określonego, myśli tylko o oberżystce i o tym, jak przedziwna była jedna z jej wypowiedzi. Dopiero kiedy K. zaczął nalegać, Frieda po pewnym wahaniu odpowiedziała dokładniej, nie przerywając przy tym roboty, nie tyle z pilności, gdyż robota przy tym nie posuwała się wcale naprzód, ile dlatego, by nie musiała patrzeć na K. Opowiedziała teraz, jak początkowo spokojnie przysłuchiwała się rozmowie K. z Hansem, ale potem, przestraszona kilku słowami K., starała się bardziej wnikać w sens tego, co mówił, i jak od tego momentu nieustannie już w słowach K. słyszała potwierdzenie pewnego ostrzeżenia oberżystki, w którego słuszność nie chciała nigdy uwierzyć. K. złościły te ogólnikowe wypowiedzi, a jej nabrzmiały od łez i lamentujący ton więcej go drażnił, niż wzruszał, przede wszystkim dlatego, że oberżystka znowu wchodziła w ich życie - przynajmniej jako wspomnienie - gdy jej osobista interwencja dotychczas nie mogła poszczycić się sukcesem. Rzucił więc na ziemię drzewo, które niósł, usiadł na nim i zażądał w poważnych słowach wyczerpującego wyjaśnienia.

- Już nieraz - zaczęła Frieda - i to od samego początku, oberżystka usiłowała wzbudzić we mnie nieufność do ciebie. Nie twierdziła, że kłamiesz, przeciwnie, mówiła, że jesteś dziecinnie szczerzy, ale twoje usposobienie jest tak różne od naszego, że my, jeśli nawet mówisz otwarcie, nie możemy się przemóc, by ci uwierzyć, i jeśli jakaś życzliwa osoba wcześniej nas nie uratuje, będziemy musieli dopiero na skutek gorzkiego doświadczenia przyzwyczaić się do tego, że można ci wierzyć. Nawet jej, która umie tak wnikliwie na innych ludzi patrzeć, przytrafiło się niemal to samo. Ale po ostatniej rozmowie z tobą w oberży "Pod Mostem" wpadła ona - powtarzam tylko niepochlebne słowa oberżystki - na ślad twoich forteli, teraz nie możesz już jej oszukać, choćbyś nie wiem jak usiłował ukryć swoje zamiary. Ty zresztą nic nie ukrywasz - twierdziła w dalszym ciągu oberżystka, a potem jeszcze dodała: „Postaraj się tylko przy nadarzającej się sposobności rzeczywiście mu się przysłuchać, i to nie powierzchownie, ale naprawdę”. Ona sama nic innego nie robiła i w ten sposób w mojej sprawie usłyszałam, co następuje: podkradłeś się do mnie - tak, użyła właśnie tego hańbiącego słowa - tylko dlatego, że przypadkowo spotkałeś mnie na swojej drodze. Nie byłam ci akurat wstrętna, i uważałeś, bardzo niesłusznie, że dziewczyna od szynkwasy jest z

góry przeznaczona na ofiarę dla każdego gościa który tylko po nią rękę wyciągnie. Poza tym chciałeś wtedy, jak dowiedziała się o tym żona zarządcy gospody, z jakichś tar powodów w tej gospodzie przenocować, lecz nie dało się to osiągnąć inaczej jak za moim pośrednictwem. Wszystko to było wystarczającym powodem, abyś stał się moim kochankiem na ową noc] Chciałeś jednak mieć z tego większe korzyści, potrzebowałeś jeszcze więcej; tym „więcej” był Klammm. Oberżystka nie twierdzi, że wie czego ty od Klammma chcesz, utrzymuje jedynie, że zanim mnie poznałeś, dążyłeś do Klammma równie gwałtownie jak potem. Róż-] nica polegała tylko na tym, że przedtem nie miałeś nadziei, a obecnie wyobrażasz sobie, że masz we mnie pewny środek dotarcia do Klammma skutecznie i szybko, a nawet z poczuciem pewnej wyższości wobec niego. Jakżeż się przeraziłam, choć z początku było to przemijające i pozbawione głębszego uzasadnienia, kiedy dziś powiedziałeś, że zanim zawarłeś ze mną znajomość, błąkałeś się tu po manowcach. Przypuszczalnie są to te same słowa, których użyła oberżystka; i ona również twierdzi, że dopiero od czasu, kiedy mnie poznałeś, wiesz, do czego dążysz. Pochodzi to stąd, że zdobywając myślałeś iż zdobyłeś kochankę Klammma i co za tym idzie posiadasz zastaw, który może być wykupiony tylko za najwyższą cenę. Rokować z Klammmem o tej cenie jest jedynym twoim pragnieniem. Ponieważ nie chodzi ci wcale o mnie, a tylko o cenę, jesteś, jeśli chodzi o moją osobę, gotów na wszelki kompromis, co do ceny natomiast jesteś twardy. Dlatego jest ci wszystko jedno, że utraciłam posadę w gospodzie dla panów z zamku, jest ci wszystko jedno, że muszę opuścić również oberżę „Pod Mostem”, nie przejmujesz się, że będę wykonywała ciężką robotę woźnej w szkole. Nie masz dla mnie czułości ani nawet czasu, odstępujesz mnie pomocnikom, nie czujesz zazdrości, a jedyną wartością, jaką przedstawiam dla ciebie, jest to, że byłam kochanką Klammma. W swojej niewiedzy starasz się, abym nie zapomniała o Klammmie, abym w końcu nie za bardzo się wzbraniała, kiedy nadejdzie decydująca chwila; jednak walczysz też przeciwko oberżystce, o której przypuszczasz jedynie, że może mnie od ciebie odstręczyć. Dlatego doprowadziłeś kłótnię z nią do ostateczności, abyś musiał wraz ze mną opuścić oberżę „Pod Mostem”. Że ja, o ile to tylko ode mnie zależy, w każdym wypadku pozostanę twoją własnością, o tym nie wątpisz. Rozmowę z Klammmem wyobrażasz sobie jako ubicie interesu za gotówkę. Liczysz się z wszelkimi ewentualnościami. Pod warunkiem że osiągniesz cenę, o którą ci chodzi, jesteś gotów wszystko uczynić. Jeśli Klammm zechce mnie mieć, to mnie oddasz; jeśli zechce, żebyś mnie wygnał, to mnie wygnasz, a nawet jesteś gotów grać komedię; jeśli uznasz to za korzystne, będziesz udawał, że mnie kochasz. Będziesz zwalczał jego obojętność, podkreślając twoją własną nicość i zawstydzając go faktem, że jesteś jego następcą, lub powtarzając mu wyznanie miłosne, które rzeczywiście czyniłam w stosunku do

jego osoby, prosząc go, aby mnie znów przyjął, oczywiście pod warunkiem zapłacenia odpowiedniej ceny. A jeśli nic innego nie pomoże, to w imieniu małżonków K. będziesz po prostu zebrał. Kiedy jednak tak zakończyła oberżystka - przekonasz się, że się pomyliłeś zarówno w swoich przypuszczeniach i nadziejach, jak i w swoim wyobrażeniu o Klammie i jego stosunku do mnie, wtedy *zacznie* się dla mnie piekło, gdyż dopiero wtedy stanę się naprawdę jedyną twoją własnością, która musi ci wystarczyć, ale równocześnie własnością, tora okazała się bezwartościowa i którą wobec tego będziesz odpowiednio traktował, gdyż względem mnie nie masz innego uczucia jak uczucie posiadacza.

157

K. przysłuchiwał się z napięciem, z zaciśniętymi ustami. Drwa, na których siedział, rozsunęły się, tak że niemal ześliznął się na podłogę, na co zresztą wcale nie zważał. Dopiero po chwili wstał, usiadł na podium, wziął Friedę za rękę, choć Frieda trochę starała się uwolnić od jego uścisku, i powiedział:

- W twoim opowiadaniu nie zdołałem odróżnić niekiedy zdania oberżystki od twego własnego.

- Wszystko to było wyłącznie zdanie oberżystki - odparła Frieda. - Ja zaś tego wszystkiego tylko wysłuchałam, gdyż oberżystkę poważam; zdarzyło się jednak po raz pierwszy w moim życiu, że jej [opinię całkowicie i zupełnie potępiłam. Tak pożałowania godne wydało mi się wszystko, co ona mówiła, tak dalekie od wszelkiego /rozumienia naszego wzajemnego stosunku. Raczej przeciwieństwo j tego, co mówiła, wydało mi się słuszne. Myślałam o ponurym poranku po naszej pierwszej nocy, kiedy to klęczałeś przy mnie z takim spojrzeniem, jakby wszystko było stracone. I tak potem rzeczywiście się ułożyło, że mimo największych wysiłków nie pomagałam ci, ale przeszkadzałam. Przez mnie oberżystka stała się twoim wrogiem, którego ciągle jeszcze nie doceniasz, przez troskliwość do mnie musiałeś walczyć o swoją posadę, postawiłeś się w niekorzystnej sytuacji wobec wójta, musiałeś podporządkować się nauczycielowi, j byłeś zdany na pastwę pomocników i co najgorsze: z mojej winy może j uchybiłeś Klammowi. Że teraz bez ustanku usiłujesz dotrzeć do Klamma, to jedynie bezsilne dążenie, aby go w jakiś sposób przebłagać. I powiedziałam sobie, że oberżystka, która wie o tym wszystko na pewno o wiele lepiej niż ja, widocznie chciała mnie | swoimi podszeptami ochronić przed zbyt groźnymi wyrzutami mojego własnego sumienia. Był to trud podjęty w dobrej intencji, ale j daremny. Moja miłość do ciebie w końcu pomogłaby mi to przetrwać

i nawet ciebie pociągnęłaby naprzód. Jeśli nie tu, we wsi, to gdzie j indziej. Jeden dowód swej siły już dała: uratowała cię przed rodziną Barnabasa.

- Z tym się wtedy nie zgadzałaś - rzekł K. - A coś się od tego czasu zmieniło?

- Nie wiem - odparła Frieda i spojrzała na rękę K., która trzymała jej rękę - być może, że się nic nie zmieniło; kiedy jesteś tak blisko koło mnie i tak spokojnie pytasz, to wierzę, że nic się nie zmieniło. W rzeczywistości jednak... - mówiąc to cofnęła swą rękę, usiadła sztywno naprzeciw K. i płakała nie zasłaniając twarzy i nie wstydząc

158

się łez, jak gdyby nie płakała nad sobą, bo nie miała przecież nic do ukrywania, lecz z powodu zdrady K. - i jakby dlatego należał mu się wisok jej boleści. - W rzeczywistości jednak wszystko się zmieniło od czasu, kiedy usłyszałam twoją rozmowę z tym chłopaczkiem. Jakżeż niewinnie rozpocząłeś, wypytywałeś o stosunki domowe, o to . tamto; wydawało mi się, że jesteś taki sam jak wtedy, gdyś przyszedł do szynkwasu, uczynny i szczerzy, szukałeś mojego spojrzenia z tak dziecinną żarliwością. Byłeś zupełnie taki jak wtedy i pragnęłam tylko, żeby oberżystka była tu obecna i przysłuchując się tobie, próbowała jeszcze się upierać przy swoim zdaniu. Potem wszakże nagle, nie wiem, w jaki sposób to się stało, zmiarkowałam, w jakich *zamiarach* rozmawiałeś z tym chłopczykiem. Przez swe pełne współczucia słowa zdobywałeś jego niełatwe do zdobycia zaufanie, by potem już bez przeszkód podążać do swego celu, który coraz bardziej stawał się zrozumiały. Celem tym była owa kobieta. Z twoich pozornie troskliwych słów przemawiał całkiem otwarcie wzgląd jedynie na twój własny interes. Oszukiwałeś tę kobietę, zanim ją jeszcze zdobyłeś. Nie tylko moją przeszłość, ale i moją przyszłość ukazałeś mi w tych swoich słowach; wydało mi się, że oberżystka siedzi obok mnie i tłumaczy mi wszystko, a ja usiłuję wszelkimi siłami ją odpędzić, widzę jednak jasno beznadziejność tych wysiłków. A przy tym przecież to jeszcze nie ja byłam oszukiwana, nie ja, ale ta obca kobieta! Kiedy zaś potem zebrałam jeszcze wszystkie siły i spytałam Hansa, kim chce zostać, on zaś odpowiedział, że chce być takim jak ty, a więc należał już całkowicie do ciebie, to cóż za różnica była między tym pocziwym chłopcem, którego tu krzywdzono, a mną wtedy przy szynkwasio?

- Wszystko to - rzekł K., gdy oswoiwszy się już z czynionymi mu zarzutami, opanował się - wszystko co mówisz, jest do pewnego stopnia słuszne; nie jest to kłamstwem, ale jest wrogie. Są to myśli oberżystki, mojego wroga, choć może i zdaje ci się, że są twoje własne, co zresztą mnie uspokaja. Ale to jest pouczające, można się jeszcze niejednego od tej oberżystki nauczyć. Mnie osobiście nigdy tego nie powiedziała, choć poza tym wcale nie chciała mnie oszczędzać; widocznie tobie powierzyła tę broń w nadziei, że użyjesz jej w szczególności dla mnie niepomysłnej lub rozstrzygającej godzinie. Jeśli ja ciebie krzywdzę, to i ona krzywdzi cię w podobny sposób. Teraz jednak, Friedo, zastanów się: nawet gdyby

wszystko było całkiem dokładnie tak, jak mówi oberżystka, byłoby to złe tylko w wypadku, gdybyś mnie nie kochała. Wtedy i tylko wtedy byłoby naprawdę tak że zdobyłem cię wyrachowaniem i chytrą, aby własnością tą frymarzyć. Być może należało to już nawet wtedy do mojego planu gdy wystąpiłem przed tobą trzymając pod ramię Olgę, aby obudzić twoją litość, a oberżystka jedynie zapomniała dodać tego do listy moich przewinień. Jeśli jednak nie było aż tak źle i nie chytra i drapieżna bestia tobą wtedy zawładnęła, ale ty sama szłaś na jej spotkanie, tak zresztą jak i ja na twoje, i odnaleźliśmy się oboje, niepomni na siebie samych, to powiedz, Friedo, jak to w takim razie wygląda? Wówczas przeprowadzam zarówno moją sprawę, jak i twoją; nie ma w tym żadnej różnicy i rozdzielić nas może tylko wróg. Dotyczy to wszystkiego, a więc również i Hansa. Osądzając rozmowę z Hansem, przesadzasz zresztą bardzo w twojej delikatności, gdyż jeśli zamiary Hansa i moje niezupełnie się pokrywają, to rozbieżność nie jest taka, by można było mówić o ich przeciwstawności. Zresztą nie uszła uwagi Hansa niezgodność naszych zdań, a jeśli ci się tak wydaje, to znaczy, że nie doceniasz ostrożności tego małego człowieka, a gdyby nawet wszystko miało pozostać przed nim ukryte, to tuszę, że nikomu nie stanie się z tego powodu krzywda.

- To tak trudno się zorientować, K. - powiedziała Frieda i westchnęła. - Na pewno nie żywiłam nieufności względem ciebie, ale jeśli coś podobnego udzieliło mi się od oberżystki, to z radością to teraz odrzucę i będę na kolanach prosić cię o przebaczenie, jak właściwie już to od dłuższego czasu czynię, choć ciągle jeszcze mówię tak krzywdzące rzeczy. Prawdą pozostaje jednak, że wiele przede mną ukrywasz; ciągle przychodzisz i odchodzisz, nie wiem, skąd i dokąd. Kiedy Hans pukał, wymówiłeś głośno imię Barnabasa. Gdybyś chociaż raz z taką miłością na mnie zawołał, z jaką wtedy z niezrozumiałych dla mnie powodów wykrzyknąłeś tamto nienawistne imię. Jeśli nie masz do mnie zaufania, to jakżeż ma nie powstać we mnie nieufność do ciebie? Jestem przecie wtedy całkowicie *zdana* na łaskę oberżystki, co ty, przez swoje zachowanie, zdajesz się potwierdzać. Nie, wcale nie chcę utrzymywać, że w zupełności to potwierdzasz, ale czy mimo wszystko nie dla mnie wygnałeś pomocników? Ach, gdybyś wiedział, z jakim utęsknieniem we wszystkim, co ty robisz i mówisz, nawet gdy to mi przykrość sprawia, szukam pomyślnej dla siebie treści.

- Przede wszystkim, Friedo - odparł K. - nie ukrywam przed tobą najdrobniejszej nawet rzeczy. Jakżeż ta oberżystka mnie nienawidzi i jakie czyni wysiłki, by mi ciebie odebrać, i to jakimi haniebnymi środkami, a ty, Friedo, jakżeż jej ustępujesz, jak ustępujesz! Powiedz mi, co ja przed tobą ukrywam? O tym, że chcę dotrzeć do Klamma, wiesz, wiesz również o tym, że nie możesz mi w tym dopomóc i że dlatego muszę starać się o to na własną rękę, a że dotychczas mi się to udało, sama widzisz. Czyż muszę, opowiadając o daremnych

próbach, które naprawdę dosyć mnie już upokarzają, upokarzać się podwójnie? Czyż może mam się szczycić, że marznąc przy drzwiczkach sani Klamma, przeczekałem daremnie całe długie popołudnie? Zadowolony, że o takich rzeczach nie potrzebuję już myśleć, śpieszę do ciebie i teraz wszystko to zwraca się groźnie od ciebie do mnie. A Barnabas? Naturalnie, że na niego czekam. Przecie to posłaniec Klamma, nie ja go na to stanowisko mianowałem.

-Znowy Barnabas! - krzyknęła Frieda. - Nie mogę uwierzyć, żeby był dobrym posłańcem.

- Może masz rację - zgodził się K. - ale jest to jedyny posłaniec, którego do mnie przysłano.

- Tym gorzej - odparła Frieda. - Tym bardziej powinieneś się go wystrzegać.

- Dotychczas, niestety, nie dał mi do tego powodów - rzekł K. z uśmiechem. - przychodzi rzadko, a to co przynosi, jest bez znaczenia; tylko bezpośrednia styczność z Klammem może uczynić to wartościowym.

-Ale widzisz-powiedziała Frieda-teraz już nawet Klamm me jest twoim celem i to niepokoi mnie może najbardziej. To, że zawsze dążyłeś do Klamma poprzez moją osobę, było niedobre, ale to, że teraz od Klamma odchodzisz, jest jeszcze o wiele gorsze, czegoś podobnego nawet oberżystka nie przewidywała. Według oberżystki moje szczęście, może nawet wątpliwe, ale przecież bardzo prawdziwe, skończyło się z dniem, w którym ostatecznie zrozumiałeś, że twoja nadzieja na Klamma była daremna. Teraz nawet me czekasz już na taki dzień; nagle wchodzi mały chłopaczek do pokoju i ty zaczynasz z nim walczyć o jego matkę, jak gdybyś walczył o powietrze konieczne ci do życia.

Dobrze rozumiałaś moją rozmowę z Hansem - rzekł K. – Tak było naprawdę. Ale czyż dla ciebie całe twoje dawne życie już tak odeszło w cień (naturalnie z wyjątkiem oberżystki, której nie da się

odpędzić), że już nie pamiętasz, jak walczy się o wydźwigniecie się gorę, zwłaszcza jeśli się pochodzi z samego dołu? Czy zapomniałaś, jak wszystko trzeba wykorzystać, co tylko rokuje jakąkolwiek nadzieję? A owa kobieta pochodzi z zamku, sama mi to powiedziała, kiedy pierwszego dnia zabłądziłem do domu Lasemanna. Cóż było prostszego, jak prosić ją o radę, a może nawet o pomoc; jeśli oberżystka zna dokładnie wszystkie przeszkody, które dzielą nas od Klamma, to owa kobieta zna zapewne drogę do niego, gdyż sama po niej do nas szła.

- Drogę do Klamma? - spytała Frieda.

- Do Klamma, oczywiście, bo jeśli nie, to dokąd? - odparł K., a potem zerwał się na równe nogi. - Ale teraz już najwyższy czas, by przynieść drugie śniadanie.

Żarliwie, o wiele ponad istotną potrzebę, Frieda błagała go, aby został, jak gdyby dopiero przez swoje pozostanie mógł potwierdzić to wszystko, co jej powiedział. K. jednak przypominał o nauczycielu, • wskazał na drzwi, które w każdej chwili mogły znów z trzaskiem otworzyć się, i obiecał, że zaraz wróci. Frieda nie powinna nawet palić w piecu, on sam to załatwi. W końcu Frieda podporządkowała się w milczeniu. Kiedy K. przebiegał się już na dworze przez śnieg - choć droga od dawna powinna być przekopana, ale robota dziwnie powoli postępowała naprzód - ujrzał jednego z pomocników, jak śmiertelnie zmęczony trzymał się sztachety. Tylko jednego, gdzież więc był drugi? Czyż znaczyło to, że K. przełamał przynajmniej opór tego drugiego? Ten, co pozostał, był zresztą nadal strasznie gorliwy. O czym można się było przekonać, gdyż na widok K. ożywił się i od razu zaczął znów dziko wyciągać ramiona i tęsknie łypać oczyma. „Jego nieustępliwość jest wzorowa” - powiedział do siebie K. i musiał od razu dodać: „Z taką nieustępliwością można łatwo przy sztachetach zamarznąć”. Na zewnątrz jednak K. nic nie okazał, tylko pogroził pięścią pomocnikowi, co wykluczało wszelką poufałość, a nawet sprawiło, że pomocnik usunął się lekko jeszcze bardziej do tyłu. Właśnie Frieda otwierała okno, by jak umówili się z K., przewietrzyć przed napaleniem w piecu. Pomocnik od razu dał spokój K. i podkraść się, jakby niepowstrzymanie czymś przyciągnięty, do okna. Frieda zaś, z twarzą wykrzywioną uprzejmym uśmiechem do pomocnika i błagalną bezradnością wobec K., pomachała lekko ręką przez okno - nie można nawet było rozpoznać, czy miała to być obrona, czy powitanie - ale pomocnik nie dał się tym od dalszego przybliżania powstrzymać. Wtedy Frieda szybko zamknęła zewnętrzne okno, pozostała jednak przy nim z ręką na klamce, z przechyloną na bok głową, szeroko otwartymi oczyma i zamarłym uśmiechem na ustach. Czy wiedziała, że w ten sposób pomocnika raczej wabi, niż odstrasza? K. jednak już się nie oglądał, wołał pośpieszyć się, by jak najprędzej wrócić.

Rozdział 14

Zapadał zmrok. Było późne popołudnie. K. nareszcie przekopał ścieżkę przez ogród, odgarnął śnieg wysoko na obie strony, ubił go mocno i tym zakończył pracę dnia. Stał przy furtce ogrodowej. Jak okiem sięgnąć, nie widać było żywej duszy. Pomocnika wygnał przed wielu godzinami, pędził go długi szmat drogi; potem pomocnik schował się gdzieś pomiędzy opłotkami i chałupami, tak że nie można go już było odnaleźć, i od tego czasu więcej się nie pokazał. Frieda była w domu i prała bieliznę, ponadto kąpała kota panny Gizy; był to dowód wielkiego zaufania ze strony tej ostatniej, że Friedzie robotę tę powierzyła, choć było to właściwie obrzydliwe i niestosowne zajęcie, na które K. na pewno by nie pozwolił, gdyby po tylu różnych zaniedbaniach służbowych nie uznał za wskazane wykorzystać każdą sposobność, byle zdobyć sympatię panny Gizy. Panna Giza przyglądała się zyczliwie, jak K. znosił ze strychu małą wanienkę dziecinną, jak grzał wodę i jak wreszcie ostrożnie wkładano kota do wanny. Potem panna Giza oddała nawet kota całkowicie Friedzie pod opiekę, gdyż przyszedł Schwarzer, znajomy K. z pierwszego wieczora. Przywitał się z K. z pewną mieszaniną nieśmiałości, której powodem był ów pierwszy wieczór, oraz niepomiernej pogardy, jaka jego zdaniem należała się woźnemu szkoły, i udał się z panną Giza do klasy obok. Tam też jeszcze oboje siedzieli. Jak opowiadano K. w oberży „Pod Mostem”, Schwarzer, który był przecież synem burgrabiego, mieszkał już od dłuższego czasu na wsi z powodu miłości do Gizy. Przez swoje stosunki uzyskał °, że mianowano go w gminie zastępcą nauczyciela, który to urząd prawował głównie w ten sposób, że nie opuszczał prawie ani jednej °Ji panny Gizy, siedząc albo w ławce pomiędzy dziećmi, albo chętniej na podium u jej stóp. Jego obecność już nikomu nie przeszkadzała, gdyż dzieci dawno się do niego przyzwyczyły, i to tym łatwiej, że Schwarzer nie okazywał im ani sympatii, ani zrozumienia i prawie z nimi nie rozmawiał. Jedynie lekcje gimnastyki przejął od panny Gizy, a poza tym czuł się zadowolony, że mógł żyć blisko niej, oddychać tym samym co ona powietrzem i rozkoszować się ciepłem jej obecności. Jego największą przyjemnością było usiąść przy Gizie i wspólnie sprawdzać zeszyty szkolne. Również i dzisiaj byli tym zajęci. Schwarzer przyniósł cały stos zeszytów, gdyż i nauczyciel odstępował im zeszyty swoich uczniów, i póki było jeszcze jasno, K. widział, jak oboje siedzieli pod oknem przy stoliku i pracowali głowa przy głowie. Teraz widać tam było tylko dwie palące się świece. Poważna, milcząca miłość łączyła tych dwoje. Ton nadawała Giza, której niemrawe usposobienie niekiedy stawało się gwałtowne i zrywało wszelkie tamy, chociaż u kogo innego nigdy by czegoś podobnego nie

ścierpiała. Toteż Schwarzer musiał okiełznać swoją żywą naturę: powoli się poruszać, powoli mówić i wiele milczeć. Ale za to wszystko czuł się, jak to było widać, sownie wynagrodzony pełną prostotą, cichą obecnością Gیزی. Być może, Giza wcale go nie kochała; w każdym razie jej okrągłe, szare, dosłownie nigdy nie mrugające, ale jakby zupełnie nieruchome oczy nie dawały na to pytanie żadnej odpowiedzi. Widoczne było jedynie, że zgadzała się bez sprzeciwu na obecność Schwarzera, ale na pewno nie doceniała zaszczytu, jakim była miłość syna burgrabiego, a swoje bujne kształty obnosiła tak samo spokojnie, czy Schwarzer patrzył na nie, czy nie. Schwarzer natomiast ponosił dla niej nieustanną ofiarę, pozostając na wsi. Posłańców od ojca, którzy nieraz przychodzili po niego, zbywał z takim oburzeniem, jak gdyby już to krótkie, spowodowane przez nich wspomnienie o zamku i obowiązkach synowskich było dotkliwym i niepowetowanym zakłóceniem jego szczęścia. A przecież miał on właściwie bardzo wiele wolnego czasu, gdyż Giza udzielała mu się w ogóle jedynie podczas zajęć szkolnych i przy sprawdzaniu zeszytów, czyniła to zresztą nie z wyrachowania, lecz że ponad wszystko lubiła wygodę, a co za tym idzie i samotność; prawdopodobnie czuła się najszczęśliwsza, kiedy mogła w domu zupełnie swobodnie wyciągnąć się na kanapie mając przy sobie kota, który i wcale nie przeszkadzał, gdyż nie mógł się już prawie poruszać. Toteż J. Schwarzer przez znaczną część dnia obijał się bez zajęcia., ale i to j. sprawiało mu przyjemność, gdyż miał przy tym stale możliwość, którą też bardzo często wykorzystywał, udania się na Lwi Zaulek, którym mieszkała Giza, wejścia na górę pod drzwi jej mansardy i podsłuchiwania, pod tymi stale zamkniętymi drzwiami, a potem szybkiego odwrotu po stwierdzeniu, że w pokoju niezmiennie panuje najzupełniejsza niezrozumiała cisza. I u niego jednak od czasu do czasu choć nigdy w obecności Gیزی, skutki takiego sposobu życia objawiały się w śmiesznych wybuchach obudzonej znów na moment urzędowej manii wielkości, która, przyznać trzeba, właśnie do jego obecnego stanowiska bardzo nie pasowała. Przeważnie wszakże kończyło się to fiaskiem, jak już K. miał sposobność się o tym przekonać.

Dziwne było jedynie to, że w oberży „Pod Mostem” mówiono o Schwarzerze jednak z pewnym poważaniem, nawet gdy chodziło o śmieszne raczej niż godne szacunku sprawy. Również i panna Giza była tym poważaniem objęta. Mimo to Schwarzer nie miał racji, kied na stanowisku zastępcy nauczyciela manifestował swą wyższość nad K., gdyż tej wyższości wcale nie było. Woźny szkolny jest dla ciała pedagogicznego, a zwłaszcza dla nauczyciela w rodzaju Schwarzera, nader ważną osobą, której nie wolno bezkarnie lekceważyć, a jeżeli nie można już ze względu na prestiż swego stanu pewnej pogardy się wyrzec, to przynajmniej należy ją uczynić znośną przez odpowiednie zadośćuczynienie. K. postanowił przy pierwszej

sposobności o tym pomyśleć, zwłaszcza że Schwarzer jeszcze od pierwszego wieczoru miał wobec niego zobowiązanie, które wcale nie /małało przez to, że następne dni właściwie usprawiedliwiały złe pr/yjęcie K. przez Schwarzera. Nie można było zwłaszcza zapomnieć, że przyjęcie to, być może, nadało kierunek temu wszystkiemu, co potem nastąpiło. Za pośrednictwem Schwarzera, i to w sposób jak najgłupszy, cała uwaga urzędu została od razu, od pierwszej godziny skierowana na K., kiedy jeszcze całkiem obcy we wsi, bez znajomych i schronienia, przemęczony drogą i opuszczony, tak jak tam leżał na sienniku, był narażony na wszelkie szykany ze strony władz. Zaledwie o jedną noc później wszystko mogłoby się odbyć już całkiem inaczej, spokojnie i na poły w ukryciu. W każdym razie nikt się o nim nie dowiedział, nikt go podejrzewał, a przynajmniej nie wahałby się przyjąć go do siebie na jeden dzień jako wędrownego czeladnika rzemieślniczego. Potem poznano by się na jego użyteczności i solidności, w sąsiedztwie zaczęto by o nim opowiadać i prawdopodobnie wkrótce znalazłby jako parobek jakiś dach nad głową.

Oczywiście przed urzędem i wtedy by nie uszedł. Ale to była zasadnicza różnica: postawić z jego powodu na nogi w środku nocy kancelarię główną - lub tego, kto był wtedy przy telefonie - i z pozorną pokorą, ale z natrętną natarczywością żądać natychmiastowej decyzji - i w dodatku jeszcze czynił to ten prawdopodobnie tam na górze nielubiany Schwarzer. A zamiast tego wszystkiego K. na drugi dzień w godzinach urzędowych mógł zapukać do wójta i, jak przystoi, zameldować się jako wędrowny czeladnik, który u kogoś z tutejszych już ma nocleg, a jutro przypuszczalnie ruszy dalej. Chyba że zdarzyłby się całkiem nieprawdopodobny wypadek, iż K. znalazłby tu pracę, naturalnie tylko na kilka dni, gdyż dłużej nie miał zamiaru w żadnym razie pozostać. Tak albo podobnie by było, gdyby nie Schwarzer. Władze zapewne dalej by się tą sprawą zajmowały, ale spokojnie, na drodze urzędowej, bez zakłócenia spokoju przez szczególnie zapewne nienawistną im z powodu swej natarczywości klikę. Otóż K. nie ponosił za to wszystko winy, tylko Schwarzer. Lecz Schwarzer był synem burgrabiego i zewnątrz zachował się bez zarzutu, więc można było za wszystko odegrać się na K. A co było śmieszną przyczyną tego wszystkiego? Może zły humor Gیزی owego dnia, który sprawił, że Schwarzer błakał się bezsennie po nocy, żeby potem powetować sobie swoją krzywdę kosztem K. Oczywiście z innej strony można było znów twierdzić, że K. temu zachowaniu się Schwarzera bardzo wiele zawdzięcza. Tylko dzięki temu stało się możliwe, że K. od samego początku, bez żadnych wykrętów, otwarcie, twarzą w twarz przeciwstawił się, o ile było to w ogóle możliwe, urzędowi, czego K. sam nigdy by nie osiągnął, a nawet nie odważyłby się osiągnąć, i na co ze swej strony urząd nigdy by się nie był zgodził. Był to jednak dar złowrogi. Wprawdzie oszczędził on K. wielu

kłamstw i podstępów, ale uczynił go niemal bezbronnym, a w każdym razie postawił w tej walce w niepomysłnej sytuacji, co mogłoby doprowadzić go do rozpacz, gdyby nie potrafił sobie powiedzieć, że różnica między jego możliwościami a potęgą urzędu była tak olbrzymia, że wszelkie kłamstwa i chytrości, do których byłby zdolny, nie mogły tej różnicy istotnie na jego korzyść pomniejszyć. Była to jednak tylko koncepcja, którą K. pocieszał sam siebie. Schwarzer mimo to pozostawał w stosunku do niego dłużnikiem, gdyż mu wtedy zaszkodził. Może w przyszłości będzie mógł mu pomóc, zwłaszcza że K. i nadal będzie potrzebował pomocy w każdej najbliższej sprawie, i to zaraz, już przy stawianiu pierwszych kroków, a Barnabas, jak się wydawało, znowu zawiódł.

Ze względu na Friedę K. wahał się przez cały dzień, czy iść do mieszkania Barnabasa, aby o niego spytać. Aby Frieda nie musiała spotkać się z Barnabasem, pracował teraz umyślnie na dworze i pozostał tu jeszcze dłużej, oczekując na niego, ale Barnabas nie przychodził. Nie pozostało nic innego, jak pójść do jego siostr na krótką tylko chwilę i zapytać zaraz od progu, a potem natychmiast wrócić. K. wbił łopatę w śnieg i pobiegł. Nie mogąc złapać tchu dotarł do domu Barnabasa, po krótkim pukaniu otworzył drzwi na oścież i spytał, nie zwracając uwagi na to, co się w izbie działo:

-Czy Barnabas jeszcze nie wrócił?

Dopiero teraz K. zauważył, że Olgi nie było, oboje zaś starzy znowu drzemali siedząc przy stole w głębi. Nie zorientowali się jeszcze, co się przy drzwiach stało, i dopiero powoli odwrócili się twarzami do K., natomiast Amalia, która leżała pod kołdrą na przypiecku, przerażona zjawieniem się K. zerwała się i przyłożyła rękę do czoła, aby się uspokoić. Gdyby Olga tu była, na pewno natychmiast by odpowiedziała i K. mógłby zaraz znów odejść, a tak musiał podejść przynajmniej kilka kroków do Amalii, podać jej rękę, którą w milczeniu uścisnęła, i poprosić, by powstrzymała spłoszonych rodziców od ucieczki, co też Amalia w kilku słowach uczyniła. K. dowiedział się, że Olga rąbie drzewo na podwórzu, Amalia zaś zmęczona - powodu nie podała - przed chwilą położyła się. Barnabas wprawdzie jeszcze nie przyszedł, ale wkrótce nadejdzie, gdyż nigdy na noc na zamku nie pozostaje. K. podziękował za te informacje i mógł już odejść, ale Amalia spytała, czy nie zechciałby poczekać na Olę. K. odpowiedział, że niestety nie ma czasu. Wówczas Amalia spytała, czy rozmawiał już dziś z Olgą. K. zaprzeczył ze zdziwieniem i spytał, czy Olga ma mu coś szczególnego do zakomunikowania. Amalia z lekkim rozdrażnieniem wydeła usta i skinęła milcząco głową, co miało oznaczać, że go żegna, i znów się położyła. Z pozycji leżącej zmierzyła go wzrokiem, jak gdyby dziwiąc się, że jeszcze tu stoi. spojrzenie jej było zimne, jakby szklane, i nieruchome jak zawsze. Nie było skierowane wprost na to, na co patrzyła, ale - co było

drażniące - szło prawie niedostrzegalnie, ale niewątpliwie gdzieś w bok. Chyba nie słabość ani zażenowanie czy też brak uczciwości to powodowały, ale nieustanna, silniejsza od wszelkich innych uczuć żądza samotności, którą przypuszczalnie ona tylko sama w pełni sobie uświadamiała. K. wydawało się, że pamięta, iż to spojrzenie już Pierwszego wieczora go zainteresowało, ba, nawet prawdopodobnie całe przykre wrażenie, jakie ta rodzina na nim wywarła, sprowadzało się właśnie do tego spojrzenia, które samo w sobie nie było nawet brzydkie, lecz harde i w swej skrytości szczere.

- Jesteś zawsze taka smutna, Amalia - rzekł K. - czy cię coś dręczy? Czy nie możesz tego powiedzieć? Nie widziałem jeszcze takiej dziewczyny wiejskiej jak ty. Dopiero dziś, dopiero teraz zwróciłem właściwie na to uwagę. Czy pochodzisz z tej wsi? Czy tu się urodziłaś?

Amalia przytaknęła, tak jakby K. postawił tylko to ostatnie pytanie, a potem powiedziała:

- A więc będziesz czekać na Olgę?

- Nie wiem, dlaczego pytasz ciągle o to samo - odparł K. - Nie mogę dłużej zostać, gdyż w domu czeka na mnie moja narzeczona.

Amalia podparła się na łokciu i oświadczyła, że nic nie wie o żadnej narzeczonej. K. wymienił imię Friedy, ale Amalia jej nie знаła. Zapytała, czy Olga wie o tych zaręczynach. K. odparł, iż jego zdaniem wie, gdyż widziała go razem z Friedą, no i we wsi tego rodzaju wiadomości szybko się rozchodzą. Amalia zapewniła go jednak, że Olga nic o tym nie wie i że bardzo się tym zmartwi, gdyż jest chyba zakochana w K. Otwarcie o tym nie mówiła, jest bardzo skryta, ale miłość zdradza się mimo woli. K. był przekonany, że Amalia się myli. Amalia się uśmiechnęła i uśmiech ten, chociaż smutny, rozjaśnił jej posępnie skrzywioną twarz i sprawił, że milczenie jej przemówiło, a obecność stała się bliska. Uśmiech ten był jakby ujawnieniem jakiejś tajemnicy, wydaniem jakiegoś dotąd pilnie strzeżonego skarbu, który wprawdzie mógł być znowu odebrany, ale nigdy już całkowicie. Amalia zapewniła, że nie myli się, że wie jeszcze więcej, a mianowicie to, że i dla K. Olga nie jest obojętna, a wszystkie jego wizyty, które mają za pretekst jakieś tam zlecenia dla Barnabasa, w rzeczywistości dotyczą tylko Olgi. Teraz wszakże, kiedy Amalia już o wszystkim wie, nie powinien on tego brać tak rygorystycznie i może przychodzić częściej. Tylko to chciała mu powiedzieć. K. wszakże potrząsnął głową i przypomniał jej o swoich zaręczynach. Amalia zdawała się nie bardzo przejmować tym narzeczeństwem, bezpośrednie wrażenie, jakie wywierał stojący przed nią we własnej osobie K. było rozstrzygające. Spytała tylko, kiedy K. zdążył poznać tamtą dziewczynę, będąc dopiero od kilku dni we wsi. K. opowiedział o

wieczorze w gospodzie dla panów z zamku, na co Amalia tylko krótko zaznaczyła, że była bardzo przeciwna temu, by go do tej gospody wówczas wprowadzać. Przywołała na świadka, że właśnie było, również i Olę, która akurat weszła z wiązką drzewa, świeża zaróżowiona od zimnego powietrza, żywa i jędrna, jak gdyby praca odmieniła jej wygląd, zwykle ociężały, gdy przebywała w dusznym pokoju. Położyła drzewo, przywitała się swobodnie z K. i zapytała od razu u o Friedę. K. rzucił porozumiewawcze spojrzenie Amalii, ale ta nie uważała się za przekonaną. K. nieco tym rozdrażniony dokładniej niż zamierzał, opowiedział o Friedzie, opisał, w jak ciężkich warunkach założyła w szkole mimo wszystko pewnego rodzaju gospodarstwo i zapomniał się w ferworze opowiadania do tego stopnia, że choć miał wracać przecież zaraz do domu, zakończył tym, iż żegnając się, zaprosił obie siostry, by przyszły go kiedyś odwiedzić. Wypowiedziawszy to jednak *przeraził* się i zająknął, podczas gdy Amalia niezwłocznie, nie dając mu przyjść do słowa, zaproszenie przyjęła. Teraz musiała dołączyć się do tego również i Olga, co też uczyniła. K. zaś, pochłonięty myślą o konieczności szybkiego pożegnania się i czując się nieswojo pod spojrzeniem Amalii, nie zawahał się wyznać bez dalszych osłonek, że zaproszenie to było całkiem nie przemyślane i uczynione jedynie z własnego natchnienia, tak że niestety nie może go utrzymać w mocy, wiedząc o wielkiej choć dla niego zupełnie niezrozumiałej wrogości pomiędzy Friedą a rodziną Barnabasa.

- To nie jest wrogość - powiedziała Amalia, wstała z przypiecka i zrzuciła kołdrę. - Nie jest to znów taka ważna sprawa, ale jedynie powtarzanie powszechnej opinii. Ale teraz idź już do swojej narzeczonej, widzę, jak ci się śpieszy, nie obawiaj się, abyśmy przyszły, zgodziłam się z początku jedynie żartem i z przekory. Ty jednak możesz częściej do nas wstępować, nic nie stoi temu na przeszkodzie, możesz przecież zawsze upozorować to zleceniami, które dajesz Barnabasowi. Ułatwię ci to jeszcze informując, że Barnabas, nawet gdy będzie miał do ciebie jakieś nowe zlecenie z zamku, nie będzie mógł iść jeszcze raz do szkoły, aby ci je zakomunikować. Nie może on tak wiele biegać, i tak biedny chłopak zamęcza się służbą. Będziesz musiał więc sam tu po wiadomości przychodzić.

K. nie słyszał jeszcze nigdy, aby Amalia tak wiele naraz powiedziała. W ogóle brzmiało to nawet inaczej niż jej zwykle wypowiedzi, była w tym pewnego rodzaju wyniosłość, którą odczuł nie tylko K., ale widocznie również i Olga, choć była tak zżyta z siostrą. Stała ona ieco z boku, z założonymi rękami, w swojej zwykłej, nieco Przygarbionej pozycji, z szeroko rozstawionymi nogami. Oczy miała zwrócone na Amalię, podczas gdy ta patrzyła tylko na K.

- Mylisz się - rzekł K. - Bardzo się mylisz, jeśli myślisz, iż tylko pozornie czekam na

Barnabasa. Doprowadzić moje sprawy z władzami do porządku to moje najwyższe, a właściwie jedyne pragnienie. Barnabas zaś ma mi w tym pomóc, pokładam w nim wiele nadziei. Wprawdzie już raz srodze mnie zawiódł, ale była to więcej moja niż jego wina, stało się to w zamieszaniu, w pierwszych godzinach. Myślałem wtedy, że wszystko osiągnę jednym wieczornym spacerkiem, a gdy się okazało, że było to niemożliwe, uznałem to za jego winę. Nawet wpłynęło to na moją opinię o waszej rodzinie, ale to już należy do przeszłości, zdaje mi się, że was teraz lepiej rozumiem, jesteście nawet... - K. szukał właściwego wyrazu, nie znalazł go jednak i zadowolił się zdawkowym: - Jesteście, być może, poczciwsi od wszystkich innych mieszkańców tej wsi, o ile ich dotąd poznałem. Ale teraz, Amalio, zdumiewasz mnie znowu tym, że zbyt nisko oceniasz jeśli już nie służbę swego brata, to znaczenie, jakie ona ma dla mnie. Być może nie jesteś wtajemniczona w sprawy Barnabasa, jeśli tak jest, to dobrze, i nie chcę do tego wracać, ale może jesteś wtajemniczona, nawet odnoszę to wrażenie, a wtedy bardzo źle, gdyż oznaczałoby to, że twój brat mnie oszukuje.

- Uspokój się - odparła Amalia. - Nie jestem wtajemniczona, nic nie mogłoby mnie skłonić, abym się na to zgodziła, nic, nawet wzgląd na ciebie, dla którego zrobiłabym niejedno, bo jak powiedziałeś, jesteśmy przecież poczciwi. Ale sprawy mojego brata należą tylko do niego, nie wiem o nich nic prócz tego co przypadkiem i mimo woli tu i tam o nich posłyszę. Natomiast Olga może cię o wszystkim dokładnie powiadomić, gdyż ona jest jego powiernicą.

Powiedziawszy to Amalia podeszła naprzód ku rodzicom, z którymi coś szeptała, potem wyszła do kuchni nie pożegnawszy się z K., jak gdyby wiedziała, że on jeszcze długo tu pozostanie, tak że nie ma się po co żegnać.

Rozdział 15

K. został z nieco ogłupiałą miną, Olga zaś śmiejąc się z niego pociągnęła go na przypiecek. Wydawała się naprawdę . uszczęśliwiona, że mogli teraz sami tutaj siedzieć sobie we dwoje. Było to spokojne szczęście, nie zamaćcone zazdrością. I właśnie ta nieobecność zazdrosnych uczuć, a co za tym idzie, i surowych wymagań, była dla K. miła. Z przyjemnością patrzył w te błękitne oczy, ani kuszące, ani władcze, ale nieśmiało spoglądające i nieśmiało wytrzymujące jego wzrok. Zdawało się, że przestrogi Friedy i oberżystki nie zwiększały jego wrażliwości na wszystko, lecz uczyniły go bardziej uważnym i przebiegłym. Śmiał się więc wraz z Olgą, kiedy ta dziwiła się, czemu nazwał właśnie Amalię pocziwą, gdyż o Amalii można było powiedzieć wszystko, ale nie to, że jest pocziwa. Na co K. oświadczył, że pochwała ta dotyczyła oczywiście jej, Olgi, lecz Amalia ma taki władczy charakter, że nie tylko przywłaszcza sobie wszystko, co się w jej obecności mówi, ale nawet inni dobrowolnie wszystko jej przypisują.

- To prawda - rzekła Olga poważniejąc - nawet większa prawda niż myślisz. Amalia jest młodsza ode mnie oraz młodsza od Barnabasa, ale ona jest tą, która w rodzinie o wszystkim decyduje, zarówno w dobrym, jak i w złym; wprawdzie bierze ona na siebie większy ciężar niż inni, i to zarówno w dobrych rzeczach, jak i w złych.

K. uważał to za przesadę, gdyż Amalia przecież dopiero przed chwilą powiedziała na przykład, że nie troszczy się wcale o sprawy brata, Olga natomiast wszystko o nich wie.

- Jakżeż mam to wytłumaczyć? - spytała Olga. - Amalia nie roszczy się ani o Barnabasa, ani o mnie; właściwie nie troszczy się o nikogo poza rodzicami, którymi opiekuje się dniem i nocą. Teraz też pytała ich, czego sobie życzą, i poszła do kuchni, by im coś ugotować. Z ich powodu przemogła się i wstała, chociaż od południa czuje się chora i leżała tu na przypiecku. Mimo że się nami nie zajmuje, jesteśmy jednak od niej zależni, tak jakby była najstarsza w rodzinie. Jeśliby doradziła nam coś w naszych sprawach, na pewno usłuchalibyśmy, ale ona tego nie czyni, gdyż jesteśmy jej obcy. Jesteś przecież człowiekiem bywałym i przychodzisz z daleka, czyż nie wydała ci się nadzwyczaj mądra?

- Raczej wydaje mi się nadzwyczaj nieszczęśliwa - powiedział K.

- Ale jak pogodzić z waszym respektem dla niej to, że na przykład Barnabas pełni służbę posłańca, której Amalia nie pochwała, a może nawet nią pogardza?

- Gdyby Barnabas wiedział, co potem zrobić z sobą, to rzuciłby natychmiast posadę posłańca, która go wcale nie zadowala.

- A czy nie jest wykwalifikowanym szewcem? - spytał K.
- Oczywiście - zgodziła się Olga - pracuje nawet dodatkowo dla Brunswicka i gdyby tylko zechciał, miałby dzień i noc pracę i suty zarobek.
- A więc? - rzekł K. - Miałby inną pracę zamiast posady posłańca.
- Zamiast posady posłańca? - spytała Olga ze zdziwieniem. - Czyż przyjął ją dla zarobku?
- Może i tak - odpowiedział K. - Ale nadmieniałś przecież, że posada ta go nie zadowala.
- Nie zadowala go, i to z kilku różnych przyczyn - odparła Olga. I
- Ale to przecież służba na zamku, mimo wszystko, rodzaj służby na j zamku, tak to przynajmniej należałoby rozumieć.
- Co? - przerwał K. - I co do tego macie wątpliwości?
- No - powiedziała Olga - właściwie nie; Barnabas chodzi dój kancelarii, obcuje z funkcjonariuszami takimi jak on, widzi z daleka! poszczególnych urzędników, powierza mu się stosunkowo ważnej listy, a nawet ustne zlecenia, to przecież już bardzo wiele i możemy J być z tego dumni, że w tak młodym wieku już tak wiele osiągnął.
- K. skinął potakująco głową, nie myślał już teraz wcale o powrocie J do domu.
- A czy ma własną liberię? - spytał.
- Myślisz o jego kurtce? - spytała Olga. - Nie, to Amalia mu uszyła, zanim został posłańcem. Ale teraz zbliżasz się do bolesnego punktu. Miał już od dawna otrzymać wprowadzić nie liberię, gdyż na ku liberii nie używano, ale służbowe ubranie. Nawet mu je obiecano, ale pod tym względem na zamku się nie śpieszą, a najgorsze
- że nigdy nie wiadomo, co taka zwłoka oznacza. Może ona oznaczać, że sprawa znajduje się w toku urzędowania, może jednak również oznaczać, że tok urzędowania jeszcze się nie rozpoczął i że na przykład Barnabas wciąż jeszcze odbywa okres próbny. Może wreszcie oznaczać nawet, że tok urzędowania został już zakończony, że z jakiegoś tam powodu obietnicę cofnięto i że Barnabas nigdy ubrania nie dostanie. Nic dokładniejszego nie można będzie w tej sprawie się dowiedzieć, chyba dopiero po bardzo długim czasie. Istnieje tu takie powiedzonko, może je nawet znasz: „Urzędowe decyzje są płochliwe jak młode dziewczęta”.
- To świetne spostrzeżenie - rzekł K., który traktował te sprawy jeszcze poważniej niż Olga. - Świetne spostrzeżenie, zwłaszcza że te decyzje mogą mieć jeszcze inne cechy właściwe dziewczętom.
- Być może - zdziwiła się Olga. - Choć właściwie nie wiem, co chcesz przez to

powiedzieć. Może uważasz to nawet za pochwałę. Ale co do ubrania służbowego, jest to właśnie jedna z trosk Barnabasa, a ponieważ nasze troski są wspólne, jest to również i moja troska. Nadaremnie zapytujemy sami siebie, czemu on tego ubrania służbowego nie otrzymuje. A cała ta sprawa nie jest znowu tak całkiem prosta. Urzędnicy na przykład, jak się wydaje, wcale ubrań służbowych nie mają; o ile można się tu zorientować i wnioskuje z tego, co Barnabas opowiada, urzędnicy noszą zwykłe, choć piękne ubrania, zresztą sam widziałeś Klamma. Otóż Barnabas nie jest naturalnie urzędnikiem, choćby najniższej nawet rangi, i nie marzy nawet o tym, by nim zostać, ale również i wyższej rangi funkcjonariusze, których tu na wsi oczywiście w ogóle się nie widuje, nie mają, według informacji Barnabasa, ubrań służbowych. Byłaby to pewna pociecha, gdyby można było mieć pewność, ale złudna, bo czyż Barnabas jest wyższym funkcjonariuszem? Nie, mimo całej życzliwości nie można powiedzieć, żeby nim był, już samo to, że przychodzi na wieś, a nawet tu mieszka, jest kontrargumentem, bo wyżsi funkcjonariusze są jeszcze bardziej powściągliwi w obejściu niż urzędnicy, może i słusznie, gdyż mogą być ważniejsi od niejednego urzędnika, pewne rzeczy za tym przemawiają: mniej pracują i według słów Barnabasa wspaniały to widok, gdy ci doborowi wysocy, silni mężczyźni powoli Przechadzają się po korytarzach. Barnabas zaś nieśmiało przemyka się między nimi. Krótko mówiąc, nie może być o tym mowy, żeby

Barnabas był wyższym funkcjonariuszem. Mógłby więc należeć do najniższej służby, ale ta dostaje właśnie ubrania służbowe, przynajmniej ci, którzy przychodzą ze wsi. Nie jest to właściwie liberia, jest wiele odmian tych ubrań, ale mimo wszystko można natychmiast poznać po takim ubraniu służącego z zamku, sam widziałeś takich ludzi w gospodzie. Najbardziej rzuca się w oczy w tych ubraniach to, że są zazwyczaj bardzo obcisłe, chłopu lub rzemieślnikowi takie ubranie na nic by się nie zdało. Otóż takiego ubrania Barnabas nie ma; jest to coś nie tylko zawstydzającego lub nawet hańbiącego, to można by ostatecznie znieść, ale -zwłaszcza w godzinach smutku, a niekiedy, i to nawet dość często, mamy oboje z Barnabasem takie godziny - każe nam to o wszystkim wątpić. Czy to, co Barnabas robi, jest w ogóle służbą na zamku? - pytamy sami siebie. Oczywiście, chodzi do kancelarii, ale czy te kancelarie stanowią już właściwy zamek? A nawet jeśli kancelarie do zamku należą, to czy są to te kancelarie, do których Barnabas ma wstęp? Chodzi do kancelarii, ale przecież to tylko drobna część wszystkich, dalej są bariery, a za nimi jeszcze inne kancelarie. Nie zakazuje mu się wyraźnie wstępu dalej, ale nie może dalej iść, jeśli odnalazł już swoich przełożonych, którzy jego sprawę załatwili i odsyłają go z powrotem. Poza tym jest stale obserwowany, a przynajmniej tak się wydaje. I nawet | gdyby poszedł dalej, cóż by mu z tego przyszło, skoro nie ma tam żadnej sprawy urzędowej do załatwienia i byłby tylko intruzem? Tych barier nie

możesz też sobie przedstawiać jako określonej granicy, Barnabas zawsze j zwraca mi na to uwagę. Bariery są również w kancelariach, do których on chodzi, są więc także bariery, które on przekracza, i nie wyglądają one inaczej niż te, których jeszcze nigdy nie przekroczył. Dlatego nie można z góry przyjąć, że za tymi ostatnimi barierami znajdują się kancelarie rzeczywiście inne niż te, w których Barnabas już był. Właśnie w owych godzinach smutku tak się wydaje. A potem wątpliwości sięgają dalej i nie można już się przed nimi obronić. Barnabas rozmawia z urzędnikami, Barnabas dostaje zlecenia. Ale co to za urzędnicy i co to za zlecenia? Teraz jest on, jak sam mówi, przydzielony do Klamma i otrzymuje od niego osobiście zlecenia. To przecież byłoby bardzo wiele, nawet wyżsi funkcjonariusze tego nie osiągają, to by było nawet zbyt j wiele, i to właśnie budzi największe nasze obawy. Pomyśl tylko, być przydzielonym osobiście do Klamma i rozmawiać z nim twarzą w twarz. Ale czy jednak tak jest? Dajmy na to, że tak jest, to dlaczego Barnabas w to wątpi, czy urzędnik, którego nazywają tam Klammem, jest nim j naprawdę?

- Olgo - przerwał jej K. - nie chcesz chyba żartować, jakżeż można mieć wątpliwości, jak Klamm wygląda, wszystkim jest przecież wiadomo, jaki jest jego wygląd, ja sam go widziałem.

- Zapewniam cię, K. - odparła Olga - to nie są żarty, ale moje najpoważniejsze zmartwienie. Opowiadam ci to wszakże nie dlatego, by sprawić ulgę swemu sercu, a obciążyć trochę twoje, ale dlatego, że pytałeś o Barnabasa, Amalia zaś poleciła mi to opowiedzieć. Także dlatego, że myślę, iż i dla ciebie może być pożyteczne poznać pewne szczegóły. Czynię to również z powodu samego Barnabasa, abyś nie pokładał w nim zbyt wielkich nadziei i aby cię nie rozczarował, a potem sam z powodu tego rozczarowania nie ucierpiał. Jest on bowiem bardzo wrażliwy; dziś w nocy na przykład wcale nie spał, ponieważ wczoraj byłeś z niego niezadowolony. Podobno powiedziałeś mu, że to bardzo niedobrze dla ciebie mieć tylko takiego posłańca jak Barnabas. Te słowa pozbawiły go snu. Ty sam prawdopodobnie niewiele z tych jego zmartwień zauważyłeś, gdyż posłańcy zamkowi muszą być bardzo opanowani. Ale łatwo mu nie jest, nawet z tobą. Według twojego mniemania nie wymagasz od niego na pewno za wiele, przybyłeś tu z pewnymi ustalonymi pojęciami o roli posłańca i według nich normujesz swoje wymagania. Ale na zamku mają inne pojęcia o roli posłańca, których nie można z twoimi porównać, nawet gdyby Barnabas poświęcił się wyłącznie służbie, do czego, niestety, czasami jest chyba gotów. Trzeba by się było temu podporządkować i ani słówkiem nie protestować, gdyby nie pytanie: czy to, co on robi, jest naprawdę służbą posłańca? Przed tobą nie wolno mu oczywiście przyznać się do swoich wątpliwości byłoby to dla niego równoznaczne z podkopaniem własnej egzystencji, gdyby

coś podobnego uczynił, i brutalnym przekroczeniem prawa, które jak mu się wydaje, jeszcze go obowiązuje. Nawet wobec mnie nie mówi o tym swobodnie, dopiero pochlebstwami i całusami wymuszam od niego przyznanie się do tych wątpliwości i nawet wtedy jeszcze broni się przed uznaniem, że wątpliwości jego są wątpliwościami. Ma on w swojej krwi coś z krwi Amalii. I na pewno wszystkiego mi nie wyjawia, chociaż jestem jego jedyną powiernicą. Ale o Klamie niekiedy wspólnie rozmawiamy; ja Klamma nigdy jeszcze nie widziałam -jak wiesz, Frieda nie bardzo mnie lubi i nigdy popatrzeć mi na niego nie pozwoliła - ale naturalnie wygląd jego jest we wsi znany, po-szczególni ludzie go widzieli, wszyscy o nim słyszeli. Z tego, co na własne oczy, z plotek i pewnych ubocznych, ale celowych fałszerstw, wytworzył się obraz Klamma, który w zasadniczych zarysach jest prawdziwy. Ale tylko w zasadniczych. Poza tym, jest on zmienny, choć może nie tak nawet zmienny, jak rzeczywisty wygląd Klamma. Podobno całkiem inaczej wygląda, kiedy przychodzi na wieś, a inaczej kiedy ją opuszcza; inaczej, zanim napije się piwa, a inaczej, potem; inaczej, kiedy czuwa, a inaczej, kiedy śpi; inaczej kiedy jest sam, a inaczej, kiedy rozmawia, i - co wobec tego jest całkiem zrozumiałe - całkownie inaczej tam na górze, w zamku. Już w tym, co opowiadają we wsi, są pod tym względem wielkie różnice co do wzrostu, postawy, tuszy i zarostu. Jedynie jeśli chodzi o strój, to informacje są na szczęście jednakowe. Nosi on stale jedno i to samo ubranie: czarny surdut z długimi połami. Naturalnie, różnice te nie są skutkiem żadnych czarów, są łatwe do wytłumaczenia, gdyż zależą od chwilowego nastroju, od stopnia zdenerwowania oraz niezliczonych gradacji nadziei i rozpacz, w jakich znajduje się widz, któremu wolno oglądać Klamma przez krótką chwilę. Powtarzam ci to wszystko tak, jak Barnabas mi to często opowiada, i do pewnego stopnia, jeśli się nie jest w tej sprawie osobiście i bezpośrednio zainteresowanym, może to nawet uspokoić. Ale nie nas, gdyż dla Barnabasa jest kwestią egzystencji, czy naprawdę rozmawia z Klammem, czy nie.

- Również i dla mnie - rzekł K. Powiedziawszy to, oboje przysunęli się jeszcze bliżej do siebie na przypiecku.

Wszystkie te niepomyślne nowiny Olgi wprowadziły K. zdziwiły, ale widział on w pewnej mierze zadośćuczynienie w tym, że znalazł tu ludzi, którym, przynajmniej zewnątrz, działo się podobnie jak jemu, do których mógł się przyłączyć i w wielu rzeczach zrozumieć się, a nie tylko w pewnych jak z Friedą. Wprowadzi stopniowo stracił nadzieję co do sukcesu zlecenia danego Barnabasowi, ale im gorsza była sytuacja Barnabasa tam na górze, tym bliższy stawał się on K. tu na dole. Nigdy by K. nie pomyślał, że w całej wsi mogłyby *zrodzić* się takie nieszczęśliwe dążenia jak te, jakie mieli Barnabas i jego siostra. Wprowadzi nie było to jeszcze dostatecznie wyjaśnione i mogło się w końcu obrócić w coś

tamtemu przeciwnego, nie trzeba było bowiem dać się od razu uwieść przez jakieś tam niewinne zachowanie się Olgi ani też wierzyć w szczerość Barnabasa.

- Informacje o wyglądzie Klamma - ciągnęła Olga dalej - Barnabas ma świetne. Wiele ich zebrał i porównał ze sobą, może nawet zbyt wiele, sam widział raz Klamma we wsi przez okno powozu albo wydało mu się, że widział, był więc dostatecznie przygotowany do to go poznać, a mimo to -jak możesz to sobie wytłumaczyć -kiedy przyszedł na zamek, do jednej z kancelarii, i między innymi pokazano mu urzędnika i powiedziano, że to Klamm, Barnabas go nie poznał i potem jeszcze długo nie mógł się pogodzić z myślą, że to był istotnie Klamm. Jeśli jednak spytasz Barnabasa, czym się ów człowiek różnił od wyobrażenia, jakie mamy o Klammie, nie umie odpowiedzieć, a raczej odpowiada i opisuje urzędnika z zamku, ale ten opis pokrywa się dokładnie ze znanym nam opisem Klamma. „A więc Barnabasi - powiedziałam - dlaczego wątpisz i dlaczego się dręczysz?” Na co on z wyraźnym zakłopotaniem zaczął wyliczać szczególne cechy urzędników zamkowych, które jednak, jak mi się wydawało, raczej zmyślał, niż wymieniał i które poza tym były nieważne, dotyczyły na przykład szczególnego sposobu kiwania głową lub odpiętej kamizelki, w żaden sposób nie można było brać tego poważnie. Jeszcze ważniejszy wydaje mi się sposób, w jaki Klamm obcuje z Barnabasem. Barnabas często mi to opisywał, a nawet rysował. Zwykle wprowadza się go do wielkiego pokoju kancelaryjnego, ale nie jest to jeszcze gabinet Klamma, w ogóle nie jest to gabinet jakiegoś określonego urzędnika. Pokój ten jest przedzielony wzdłuż na dwie części przez sięgający od jednej do drugiej ściany pulpit. Jedna część jest wąska, tak że mogą się minąć najwyżej dwie osoby, to jest pomieszczenie dla urzędników, a druga szeroka, przeznaczona dla interesantów, widzów, służby i posłańców. Na pulpicie, jedna przy drugiej, leżą wielkie otwarte księgi, a przy nich przeważnie stoją urzędnicy i coś z nich odczytują. Nie zatrzymują się nigdy długo przy jednej księdze, ksiąg wszakże nie przekładają, lecz zamieniają się miejscami, przy tym Barnabasa najwięcej zdumiewa, jak przy takiej zmianie miejsc muszą się przeciskać z powodu ciasnoty pomieszczenia. Na froncie, tuż przy samym pulpicie, stoją niziutkie stoliki, przy których siedzą pisarze i jeśli któryś z urzędników tego sobie życzy, piszą pod dyktando. Barnabas stale się dziwi, jak to się odbywa. Nie pada bowiem żaden wyraźny rozkaz danego urzędnika i nie dyktuje się głośno, prawie nie można zauważyć, że się dyktuje, wygląda raczej na to, że urzędnik czyta tak samo jak dotąd, tylko że przy tym coś szepcze, a pisarz tego słucha. Często urzędnik dyktuje tak cicho, że pisarz siedząc przy stoliku nie może tego w ogóle słyszeć, wtedy musi ciągle zrywać się z miejsca, dyktowany tekst w lot chwycić, szybko siadać i pisać, potem znów się zrywać i tak ciągle. Jakie to wszystko jest dziwne! Prawie niezrozumiałe. Barnabas oczywiście ma dosyć czasu,

by to wszystko zaobserwować, gdyż w tym pomieszczeniu dla interesantów wystaje godzinami, a niekiedy całymi dniami, zanim spojrzenie Klamma na niego padnie. I nawet kiedy Klamm już na niego patrzy, Barnabas zaś stoi wyprężony na baczność, to jeszcze nie nie znaczy, gdyż Klamm może się znów od niego odwrócić, by zagłębić się w księdze i zapomnieć o nim; często się nawet tak zdarza. Ale cóż to za służba posłańca, która może być aż tak nieważna? Robi mi się smutno, kiedy Barnabas oznajmia mi rano, że idzie na zamek. Ta prawdopodobnie całkiem daremna droga, ten prawdopodobnie stracony dzień, ta prawdopodobnie płonna nadzieja - po co to wszystko? A tu w domu gromadzi się szewska robota, której nikt nie wykonuje i do której Brunswick przynagla.

- No tak - rzekł K. - Barnabas musi długo czekać, zanim jakieś zlecenie otrzyma. To jest zrozumiałe, gdyż jak się wydaje, jest tu za dużo funkcjonariuszy i nie każdy może codziennie otrzymać jakieś zlecenie. Na to nie macie co utyskiwać, gdyż to spotyka chyba każdego. W końcu przecież i Barnabas otrzymuje zlecenie, mnie samemu doręczył już dwa listy.

- Możliwe - zgodziła się Olga - że nie mamy na co utyskiwać, zwłaszcza ja, która wiem o wszystkim ze słyszenia i jako dziewczyna nie mogę tego tak dobrze zrozumieć jak Barnabas, który zresztą niejedno jeszcze ukrywa. Ale teraz posłuchaj, jak to jest z tymi listami, na przykład z listem do ciebie. Listy te Barnabas otrzymuje nie bezpośrednio od Klamma, ale od jednego z pisarzy. Bliżej nieokreślonego dnia, o bliżej nieokreślonej godzinie - dlatego właśnie służba ta, która wygląda na lekką, jest bardzo mecząca, gdyż Barnabas musi nieustannie czuwać - pisarz przypomina sobie o jego istnieniu i kiwa na niego. Klamm, jak się wydaje, wcale tego nie powoduje, gdyż spokojnie czyta dalej w swojej księdze; czasami wszakże i to nawet dość często, przeciera właśnie binokle, kiedy Barnabas wchodzi do pokoju, i możliwe że przy tym go spostrzega, pod warunkiem naturalnie, że bez binokli w ogóle może coś widzieć, o czym Barnabas wątpi, zwłaszcza iż Klamm ma wtedy oczy na półprzymknięte, wydaje się, że śpi i przez sen przeciera binokle. Przez ten czas pisarz wyszukuje w aktach i dokumentach, które ma schowane pod stołem, przeznaczony dla ciebie list, a więc list, którego teraz nie pisał, ale jeśli sądzić po wyglądzie koperty, raczej jakiś bardzo dawny, który długo już tam leżał. Kiedy wszakże jest to taki dawny list, to dlaczego Barnabas musi na niego tak długo czekać? A jeśli chodzi o ciebie? W końcu ten list do ciebie prawdopodobnie jest już nieaktualny. A Barnabas przez to *naraża* się na złą opinię, że est nieudolnym i powolnym posłańcem. Pisarz zaś ułatwia sobie pracę, wręcza Barnabasowi list i mówi: „Od Klamma dla K.” I Barnabas wtedy może odejść. No i potem Barnabas przychodzi do domu, zasapany, ze zdobytym nareszcie listem pod koszulą, na gołym ciele, i siadamy

oboje tu na przypiecku, tak jak obecnie siedzimy. Barnabas opowiada i zastanawiamy się nad każdym szczegółem, oceniamy jego osiągnięcia i wreszcie dochodzimy do wniosku, że jest to bardzo niewiele, i że nawet to niewiele jest wątpliwe. Potem Barnabas odkłada list na bok i nie ma wcale ochoty doręczyć go adresatowi, nie chce mu się jednak również i spać, zabiera się więc do swego szewstwa i potrafi przesiedzieć tak całą noc na zydłu. Tak to jest K., takie są moje tajemnice i teraz zapewne już się nie dziwisz, że Amalia woli z nich zrezygnować.

- A co z listem? - spytał K.

- Z listem? - powtórzyła pytanie Olga. - No, po pewnym czasie, kiedy Barnabasa dosyć nadręczyłam, czasami mijają dnie lub nawet tygodnie, bierze jednak w końcu list i idzie, by go doręczyć adresatowi. W załatwianiu takich formalności jest on ode mnie bardzo zależny. Mogę mianowicie, kiedy już przewyciężyłam pierwsze wrażenie wywołane jego opowiadaniem, znowu się opanować, czego on nie jest w stanie uczynić. Mogę mu więc ciągle wówczas powtarzać: „Czego ty właściwie chcesz, Barnabasi? O jakiej karierze i o jakim celu marzysz? Czy chcesz może zająć tak daleko, abyś musiał nas, to znaczy i mnie, zupełnie opuścić? Czy to jest twoim celem? Czy nie tak powinno mi się zdawać, no bo inaczej byłoby niezrozumiałe, dlaczego jesteś tak strasznie niezadowolony z twoich osiągnięć. Obejrzyj się wokoło, czy ktoś z naszych sąsiadów już tak daleko zaszedł? Oczywiście sytuacja ich jest inna niż nasza, nie mają oni powodu, by dążyć do czegoś poza zakresem ich gospodarstwa. Ale nawet nie porównując można jednak stwierdzić, że u ciebie wszystko jest na najlepszej drodze. Istnieją przeszkody, wątpliwości i rozczarowania, ale znaczy to przecież tylko, o czym zresztą wiedzieliśmy już przedtem, że nic nie otrzymasz za darmo, ale każdą drobnostkę musisz sam sobie wywalczyć. Jest to jeden powód więcej, aby być dumnym, a nie zniechęconym. A poza tym walczysz przecież i o nas.

Czy to nic dla ciebie nie znaczy, czy nie dodaje ci to nowych sił? A fakt, że czuję się szczęśliwa i nieomal dumna z tego, że mam takiego brata, czy to nie wzmacnia twojej pewności siebie? Zaprawdę rozczarowujesz mnie nie w tym, co osiągnąłeś na zamku. Jesteś posłańcem kancelarii, spędzasz całe dni w tym samym pokoju co Klamm, jesteś oficjalnie uznanym posłańcem, należy ci się ubranie służbowe i otrzymujesz ważne papiery do doręczenia. Tym wszystkim jesteś, to wszystko ci wolno, a potem przychodzisz tu na dół, i zamiast żebyśmy płacząc ze szczęścia padali sobie w objęcia, wydaje się, że na mój widok tracisz wszelką odwagę. We wszystko wątpisz, jedynie dratwa cię kusi, a listy, tę rękojmię naszej przyszłości, zaniedbujesz”. Tak przemawiam do niego i kiedy powtarzam to przez kilka dni z rzędu, ciężko wzdychając bierze list i wychodzi. Ale prawdopodobnie nie jest to wcale rezultat moich słów, lecz coś go znowu ciągnie do zamku, a nie załatwiwszy danego mu zlecenia, nie

ważyłby się tam znowu udać.

- We wszystkim, co mi powiedziałaś, masz świętą rację - rzekł K. - Ujęłaś to wszystko wprost w podziwu godny sposób. Jakże zdumiewająco jasny masz umysł!

- Nie - odparła Olga - mylisz się i może ja się mylę. Bo i cóż Barnabas osiągnął? Ma wstęp do jednej kancelarii, ale jak się wydaje, nie jest to nawet kancelaria, ale raczej tylko przedsionek kancelarii, a może nawet nie, może po prostu pokój, gdzie przetrzymuje się tych wszystkich, którzy do prawdziwej kancelarii nie mają wstępu. Podobno Barnabas rozmawia z Klammem, ale czy to jest Klamm? Może to tylko ktoś trochę do niego podobny? Może najwyżej sekretarz, który z wyglądu nieco Klamma przypominając usiłuje się do niego jeszcze bardziej upodobnić i udaje ważnego, naśladowując ospały, marzycielski sposób bycia Klamma. Ta jego cecha jest najłatwiejsza do naśladowania i dlatego wielu próbuje upodobnić się do niego pod tym względem. Co do innych cech oczywiście przezornie wystrzegają się naśladownictwa. I w ten sposób, tak często upragniony, a tak trudno osiągalny człowiek jak Klamm w wyobraźni ludzkiej przyjmuje nader łatwo różne postacie. Klamm ma tu na przykład wiejskiego sekretarza nazwiskiem Momus. Ach, tak? Znasz go? I on też jest bardzo niedostępny, ale widziałam go już kilka razy. Młody, otyły pan, prawda? I przypuszczalnie wcale Klamma nie przypomina. A jednak znajdziesz we wsi ludzi, którzy przysięgną, że Momus to Klamm i nikt inny. W ten sposób ludzie bałamucą sami siebie. A czy na zamku musi być inaczej? Ktoś powiedział Bar-nabasowi, że ów urzędnik to Klamm, i rzeczywiście istnieje pewne podobieństwo między obydwojema, choć Barnabas w to podobieństwo ciągle jeszcze wątpi. I wszystko potwierdza te jego wątpliwości. Czyż Klamm z ołówkiem za uchem tłoczyłby się w ogólnym pomieszczeniu, pomiędzy innymi urzędnikami? Przecież to w najwyższym stopniu nieprawdopodobne. Barnabas ma zwyczaj czasami nieco naiwnie - takie już jego łatwowierne usposobienie - mówić: „Ten urzędnik jest do Klamma bardzo podobny. Gdyby siedział we własnym gabinecie i przy własnym biurku, a na drzwiach byłaby tabliczka z jego nazwiskiem, nie miałbym żadnych wątpliwości”. To jest naiwne, ale i nie pozbawione rozsądku. Jeszcze rozsądniej byłoby oczywiście, gdyby Barnabas, kiedy jest tam na górze, spytał równocześnie kilku ludzi, jak się rzeczy naprawdę mają. Według tego, co opowiada, dosyć ludzi tłoczy się tam w pokoju. I nawet gdyby ich informacje nie były bardziej godne zaufania niż informacje tego, który nie zapytany wskazał Barnabasowi Klamma, to przynajmniej z ich rozbieżności można by wyciągnąć jakieś wnioski i punkty porównawcze. Zresztą to wcale nie mój pomysł, ale pomysł samego Barnabasa, tylko że brak mu odwagi, by wprowadzić go w czyn. Ze strachu, by przez mimowolne przekroczenie nie znanych mu przepisów nie stracić posady, nie śmie on do nikogo przemówić, tak czuje się niepewny. Ten

w gruncie rzeczy żalosny brak pewności siebie naświetla mi jego sytuację lepiej niż wszelkie opisy. Jakżeż wątpliwe i groźne musi mu się tam wszystko wydawać, jeśli nawet boi się otworzyć usta, aby zadać jedno niewinne pytanie. Kiedy się nad tym zastanawiam, oskarżam sama siebie, że pozostawiam go samego w tych nieznanych pokojach, gdzie do tego dochodzi, iż nawet on, który jest raczej zbyt śmiały niż tchórzliwy, prawdopodobnie trzęsie się ze strachu.

- Tutaj, zdaje się, trafiasz w sedno - rzekł K. - To właśnie to. Po tym wszystkim, co powiedziałaś, wydaje mi się, że widzę to jasno. Barnabas jest zbyt młody do tego zadania. Nic z tego, co opowiada, nie może być brane całkowicie na serio. Ponieważ tam na górze umiera ze strachu, nie może dobrze obserwować, a jeśli mimo to zmusza się go tu do opowiedzenia, co widział, otrzymuje się chaotyczne bajki. Nie dziwię się temu wcale. Szacunek dla władzy jest tu u was czymś wrodzonym, potem przez całe życie w różny sposób ze wszystkich stron go się wdraża, a nawet wy sami pomagacie w tym jak możecie. W gruncie rzeczy nie mam nic przeciwko temu. Jeśli jakaś władza jest dobra, dlaczegoż nie ma się mieć dla niej szacunku. Jedynie nie wolno nieświadomionemu młodzieńca jak Barnabas, który nigdy nie wyszedł poza obręb wsi, nagle posyłać na zamek, i wymagać od niego zgodnych z prawdą informacji, każde jego słowo badać jak objawienie i od tego komentowania uzależniać własne szczęście. Nic nie może być bardziej błędne. Wprawdzie ja też, tak samo jak ty, dałem się przez niego wprowadzić w błąd i zarówno pokładałem w nim nadzieje, jak i doznałem z jego winy rozczarowania - jedno i drugie oparte tylko na jego słowach, a więc prawie wcale nie uzasadnione. - Olga milczała. - Nie jest mi lekko - rzekł K. - podważać twoje zaufanie do brata, ponieważ widzę, jak go kochasz i czego się po nim spodziewasz. Ale musi się to stać przede wszystkim właśnie z powodu tej twojej miłości i twych oczekiwań. Bo spojrz tylko, ciągle coś ci staje na przeszkodzie, nie wiem co to jest, abyś w pełni zrozumiała, co Barnabas nie tyle osiągnął, ile co mu zostało darowane. Ma on wstęp do kancelarii albo, jeśli wolisz, do jej przedsionka; otóż niech będzie i przedsionek, ale są w nim drzwi, które dalej prowadzą, i bariery, które można przekroczyć, jeśli ktoś jest dostatecznie zręczny. Dla mnie, na przykład, jest ten przedsionek, przynajmniej na razie, całkiem niedostępny. Nie wiem, z kim tam Barnabas rozmawia, może ten pisarz jest najniższym funkcjonariuszem, ale nawet gdyby tak było, można za jego pośrednictwem trafić z kolei do wyższego, a gdyby nie można było trafić, to w każdym razie można przynajmniej wymienić jego nazwisko, a jeśli nie można wymienić nazwiska, to w każdym razie można się powołać na kogoś, kto może je wymienić. Ów rzekomy Klamm może nie mieć z tym rzeczywistym nic wspólnego, podobieństwo może istnieć jedynie dla oślepych ze zdenerwowania oczu Barnabasa, może jest to najniższy z

urzędników lub nawet w ogóle nie żaden urzędnik, ale w każdym razie ma coś do roboty przy owym pulpicie, coś tam czyta w swej wielkiej księdze, coś do pisarza szepcze, coś myśli, kiedy co pewien czas jego spojrzenie padnie na Barnabasa, a nawet jeśli to wszystko nie jest prawdą i on i jego czyny nie mają żadnego znaczenia, to ktoś go przecież tam postawił i zrobił to w jakimś celu. Przez to wszystko chciałbym powiedzieć, że coś już istnieje, że coś zostało Barnabasowi zaproponowane, przynajmniej cośkolwiek, i że nie jest winą Barnabasa, jeśli nie potrafił on tym sposobem osiągnąć nic więcej poza zwątpieniem, strachem i beznadziejnością. Przy tym wychodziłem stale z najbardziej niepomyślnego założenia, które nawet jest mało prawdopodobne. Mamy bowiem w ręku listy, wprowadzie nie bardzo im ufam, ale o wiele więcej niż słowom Barnabasa. Niech to sobie nawet będą stare listy, bez wartości, które zostały wyciągnięte z pliku tych samych bezwartościowych listów, bez wyboru i zastanowienia, jak kanarki na jarmarkach wybierają kartki z losem dla pierwszego lepszego. Nawet gdyby tak było, listy te mają przynajmniej związek z moją pracą, wyraźnie są do mnie adresowane, choć może nie przynoszą mi korzyści. Listy te są, jak zaświadczyli to wójt i jego żona, napisane własnoręcznie przez Klamma i mają, zgodnie z opinią wójta, wprowadzie prywatne i dość niezrozumiałe, ale jednak wielkie znaczenie.

- Czy wójt to powiedział? - spytała Olga.

- Tak, powiedział - odparł K.

- Powtórzę to Barnabasowi - wtrąciła szybko Olga - doda mu to otuchy.

- Barnabas nie potrzebuje otuchy - rzekł K. - Dodać mu otuchy znaczy przyznać mu, że ma rację i że powinien dalej tak postępować jak dotychczas, ale właśnie tak postępując nigdy do niczego nie dojdzie. Możesz kogoś, kto ma oczy zawiązane, nie wiem jak zachęcać, aby patrzył przez opaskę, a i tak nic nie zobaczy. Dopiero kiedy zdejmie mu się opaskę, może coś ujrzyć. Barnabas potrzebuje pomocy, nie otuchy. Pomyśl tylko: tam na górze znajduje się władza w swej zawilej nie do rozszyfrowania potędze - nim tu przybyłem, zdawało mi się, że mam o niej przybliżone pojęcie, jakże byłem wówczas naiwny - a więc tam na górze znajduje się władza, a Barnabas się jej przeciwstawia, nikt poza nim, tylko on jeden, żałośnie osamotniony. Będzie zaszczytem nie lada, jeśli przez całe życie nie pozostanie upokorzony i zapomniany w ciemnym kącie kancelarii.

- Wierz mi, K. - przerwała mu Olga - że nie doceniamy trudności zadania, którego Barnabas się podjął. Nie brak nam przecie poszanowania dla władzy, jak sam to przyznałeś.

- Jest to jednak fałszywe poszanowanie - rzekł K. - poszanowanie nie na właściwym miejscu, takie poszanowanie obraża przedmiot szacunku. Czy można to w ogóle nazwać poszanowaniem, jeśli Barnabas nadużywa drogiego prawa wstępu do owego pomie-

szczenia, aby spędzać tam beczynnie dni lub jeśli zeszedłszy na dół podejrzewa i pomniejsza tych, przed którymi dopiero co drżał, lub też jeśli z rozpacz czy zmęczenia nie doręczy od razu listów i nie wykona powierzonych mu zleceń? To chyba już nie jest poszanowanie. Ale zarzut sięga jeszcze dalej i dotyczy również i ciebie, Olgo. Nie mogę cię oszczędzać. Chociaż myślisz, że masz poszanowanie dla władzy, posłałaś Barnabasa mimo jego młodości, słabości i osamotnienia na zamek lub przynajmniej od tego go nie powstrzymałaś.

- Zarzut, który mi czynisz - rzekła Olga - i ja sobie już od dawna czynię. Wprawdzie nie to należy mi zarzucać, że Barnabasa posłałam na zamek, gdyż wcale go nie posłałam, on sam poszedł, ale przecież powinnam była wszelkimi środkami, przemocą i podstępem czy namową, odwieść go od tego. Powinnam była go powstrzymać, ^le gdyby dzisiaj był znów ów dzień rozstrzygający i znowu tak samo odczułabym niedolę Barnabasa i niedolę naszej rodziny, jak wtedy czułam i teraz czuję, i gdyby znów Barnabas, świadomy całej odpowiedzialności i niebezpieczeństwa, z łagodnym uśmiechem chciał się uwolnić ode mnie, aby tam iść, również bym go od tego nie powstrzymywała, mimo wszelkich dowiadczeń, które dotychczas zebrałam. Zdaje mi się, że i ty na moim miejscu nie mógłbyś inaczej postąpić. Ty nie znasz naszej niedoli, dlatego niesprawiedliwie sądzisz nas, a zwłaszcza Barnabasa. Wtedy żywiliśmy więcej nadziei niż dzisiaj, ale i wtedy nadzieja nasza, wielka, olbrzymia, była tylko naszą niedolą, którą zresztą i dziś jest. Czyż Frieda nic ci o nas nie opowiedziała?

- Tylko coś niecoś napomknęła - odpowiedział K. - ale nic określonego; już samo wasze nazwisko ją denerwuje.

- I oberżystka nic nie powiedziała?

- Też nic.

- I w ogóle nikt?

- Nikt.

- Naturalnie, jakżeż ktoś mógł o nas cośkolwiek opowiedzieć? Każdy coś wie o nas, prawdę, o ile jest ona ludziom dostępna, albo przynajmniej jakąś zasłyszaną czy nawet zmyśloną plotkę, i każdy zastanawia się nad nami więcej niż trzeba, ale nikt nie będzie tego opowiadał. Wstydziłoby się, gdyby to miało przejść przez ich usta. I mają pod tym względem rację. Ciężko jest to z siebie wydobyć, nawet wobec ciebie, K. Czyż nie jest możliwe, że usłyszawszy odejdziesz i nie będziesz już chciał nic o nas wiedzieć, choćby pozornie wcale to ciebie nie dotyczyło? Wtedy utracimy ciebie, który teraz, muszę się przyznać, znaczysz dla mnie więcej niż dotychczasowa służba Barnabasa na zamku. A jednak - ta rozterka dręczy

mnie już przez cały wieczór - musisz się o tym dowiedzieć, gdyż inaczej nie będziesz miał ogólnego poglądu na naszą sytuację i staniesz się, co byłoby dla mnie szczególnie bolesne, niesprawiedliwy wobec Barnabasa. Brak byłoby nam tej koniecznej, zupełnej jedności i nie mógłbyś nam ani pomóc, ani skorzystać z naszej pomocy, która może być wydatna. Pozostaje jednak jeszcze jedno pytanie: czy ty w ogóle chcesz się o tym dowiedzieć?

- Dlaczego o to pytasz? - rzekł K. - Chcę o tym wiedzieć, jeśli to jest konieczne, ale dlaczego pytasz w ten sposób?

- Jestem przesądna - powiedziała Olga. - Będziesz wciągnięty w nasze sprawy niewinnie, prawie tak jak Barnabas.

- Opowiadaj prędzej - rzekł K. - Nie boję się niczego. Lęklivość kobieca każe ci przedstawiać to gorzej, niż jest naprawdę.

Tajemnica Amalii

- Osądź sam - powiedziała Olga - zresztą to brzmi bardzo zwyczajnie. Nie można od razu pojąć, że mogło mieć aż tak wielkie znaczenie. Jest pewien ważny urzędnik w zamku, który nazywa się Sortini.

- Słyszałem już o nim - rzekł K. - Uczestniczył w moim zaangażowaniu.

- Myślę, że nie - rzekła Olga. - Sortini prawie nigdy publicznie nie występuje. Czy nie mylisz go czasem z Sordinim pisanym przez „d”?

- Masz rację - rzekł K. - tamtem był Sordini.

- Tak - rzekła Olga - Sordini jest powszechnie znany, to jeden z najbardziej starannych urzędników, o którym się wiele mówi. Sortini natomiast prawie się nie udziela i jest na ogół nie znany. Przeszło trzy lata temu widziałam go po raz pierwszy i ostatni. Było to trzeciego lipca, podczas obchodu święta strażackiego, w którym zamek również brał udział i ofiarował nową sikawkę. Sortini, który częściowo zajmował się sprawami straży ogniowej (być może był obecny tylko jako zastępca; urzędnicy często zastępują jeden drugiego i dlatego trudno jest określić kompetencje danego urzędnika), brał udział w akcie przekazywania sikawki. Oczywiście przybyli również inni przedstawiciele zamku, urzędnicy i funkcjonariusze, ale Sortini zgodnie ze swym usposobieniem trzymał się w cieniu. Jest to mały, słaby, wiecznie zamyślony pan; czymś, co wszystkim, którzy go w ogóle zauważyli, wpadło w oczy, był sposób, w jaki marszczył czoło: wszystkie zmarszczki, układały się na czole w kształt wachlarza, sięgając aż do nasady nosa. Nie widziałam jeszcze czegoś podobnego. A więc działo się to w owo święto. My, to znaczy Amalia i ja, cieszyłyśmy się na nie już od wielu tygodni. Nasze świąteczne stroje były jako tako odświeżone, zwłaszcza strój Amalii był piękny. Na jej białej bluzce piętrzyły się z przodu wysoko rzędy koronek, jeden nad drugim. Matka wypożyczyła jej do tego wszystkie swoje koronki. Zazdrościłam wtedy Amalii i przeplakałam całą noc przed tym świętem. Dopiero nad ranem, kiedy przybyła do nas oberżystka z oberży „Pod Mostem” na oględziny...

- Oberżystka z oberży „Pod Mostem”? - spytał K.

- Tak - rzekła Olga - była ona z nami bardzo zaprzyjaźniona. Przybyła i musiała przyznać, że Amalia jest uprzywilejowana, dlatego, aby mnie uspokoić pożyczyła mi własny naszyjnik z czeskich granatów. Później jednak, kiedy byłyśmy już gotowe, Amalia stanęła przede mną i wszyscyśmy ją podziwiali, a ojciec powiedział „Zapamiętajcie sobie moje słowa: dzisiaj Amalia znajdzie sobie narzeczonego”. Wtedy, sama nie wiem, dlaczego

zdejęłam naszyjnik, który stanowił moją dumę, i nałożyłam go Amalii, wcale już jej nie zazdroszcząc. Skapitulowałam przed jej zwycięstwem i wydawało mi się, że każdy musi się przed nią ugiąć. Może zaskoczyło nas to, że wyglądała inaczej niż zwykle. Właściwie nie była piękna, ale jej ponure spojrzenie, które od tego czasu już na zawsze jej pozostało, ciążyło nad nami i niemal dosłownie ugięliśmy się mimo woli przed nią. Wszyscy to zauważyli, również Lasemann i jego żona, którzy przybyli, by nas ze sobą zabrać.

- Lasemannowie? - spytał K.

- Tak, Lasemannowie - odpowiedziała Olga. - Cieszyliśmy się przecież wielkim poważaniem i uroczystość nie mogła rozpocząć się bez nas, gdyż ojciec był trzecim instruktorem straży ogniowej.

- Ojciec był jeszcze rzeński? - spytał K.

- Ojciec? - powtórzyła Olga, jakby niezupełnie zrozumiała. - Trzy lata temu był prawie młodym człowiekiem; podczas pożaru w gospodzie dla oficjalistów na przykład biegiem wyniósł na plecach pewnego urzędnika znanego ze swej tuszy, Galatera. Sama byłam przy tym obecna, wprowadzie nie istniało wcale niebezpieczeństwo pożaru, tylko suche drewno za piecem zaczęło się trochę tlić, ale Galater przestraszył się i wzywał przez okno pomocy. Straż ogniowa przybyła i mój ojciec musiał go wynieść, chociaż ogień był już ugaszony. Otóż Galater jest bardzo nieruchawym człowiekiem i musi w takich wypadkach być bardzo ostrożny. Zaznaczam to tylko ze względu na mego ojca. Nie przeszło od tego czasu więcej niż trzy lata i spójrz, jak on tam siedzi.

K. dopiero teraz zauważył, że Amalia była znów w izbie, ale daleko od nich przy stole rodziców. Karmiła tam matkę, której reumatyzm nie pozwalał ruszać rękami, i uspokajała ojca, by czekał cierpliwie na jedzenie, gdyż niebawem do niego przyjdzie, aby i jego nakarmić. Ale nic nie wskórała swoimi przestrogami, ojciec, żarłocznie spiesząc do swojej zupy, przewyciężył fizyczne niedołęstwo, i starał się zupę chleptać bądź łyżką, bądź pić z talerza, i mruczał gniewnie, kiedy ani jedno, ani drugie mu się nie udawało. Łyżka bowiem była już pusta, zanim doniósł ją do ust, i tylko zwisające wąsy zanurzały się w zupie, rozlewając ją i rozpryskując na wszystkie strony, tak że nic nie trafiało do ust.

-i te trzy lata uczyniły go takim? - spytał K., ale ciągle jeszcze nie potrafił wzbudzić w sobie litości dla starych rodziców i całego tego kąta izby, gdzie stał stół - a jednocześnie czuł obrzydzenie.

- Trzy lata - powiedziała Olga powoli - a właściwie kilka godzin owego święta. Uroczystość odbywała się na łące za wsią, nad strumykiem. Była już wielka ciżba, kiedyśmy tam przybyli; również z sąsiednich wsi przybyło wielu ludzi, tak że ta wrzawa całkiem nas

oszołomiła. Najpierw naturalnie ojciec zaprowadził nas do sikawki. Śmiał się z radości, kiedy na nią patrzył. Nowa sikawka uszczęśliwiała go wprost, zaczął ją obmacywać i objaśniać nam jej konstrukcję, nie tolerując sprzeciwów lub obojętności ze strony widzów. Jeśli było coś do obejrzenia pod spodem, musieliśmy się wszyscy schylać i nieomal wpełzać pod nią. Barnabas, który wzdragał się, dostał w skórę. Tylko Amalia nie interesowała się wcale sikawką i stała wyprostowana w swej pięknej sukni, tak że nikt nie ważył się jej powiedzieć słowa. Podbiegałam do niej raz po raz i brałam ją pod rękę, ale milczała. Nie mogę sobie jeszcze dzisiaj wytłumaczyć, jak do tego doszło, że choć staliśmy długo przed sikawką, dopiero kiedy ojciec odszedł, spostrzegliśmy Sortiniego, który widocznie już od dłuższego czasu stał przy sikawce, oparty o jej dźwignię. Panował wtedy wprawdzie okropny hałas, inny niż zazwyczaj przy tego rodzaju uroczystościach. Zamek ofiarował bowiem straży ogniowej jeszcze kilka trąb, specjalnych instrumentów, z których najmniejszym wysiłkiem (nawet dziecko by potrafiło) można było wydobyć najdziksze tony. Kiedy się ich słuchało, zdawało się, że jest to najazd turecki, i nie można się było do tej muzyki przyzwyczaić, tak że na dźwięk trąb każdy człowiek musiał się wzdrygnąć. Ale ponieważ trąby były nowe, wszyscy chcieli je wypróbować, a że było to święto ludowe, pozwalano na to. Właśnie wokoło nas, może to Amalia ich tu zwabiła, znalazło się kilku trębaczy. Wprost trudno było się skupić, a gdy na rozkaz ojca trzeba było uważać jeszcze na sikawkę, był to już najwyższy wysiłek i Sortini, któregośmy przedtem wcale nie znali, mógł w tych okolicznościach długo pozostać nie zauważony przez nas. „Tam stoi Sortini” - szepnął wreszcie (byłam przy tym) Lasemann do ojca. Ojciec złożył niski ukłon i nam również dał znak, abyśmy się uklonili. Nie znając Sortiniego dotychczas osobiście, ojciec szanował w nim od dawna fachowca w zakresie pożarnictwa i często o nim w domu wspominał. Dlatego było też dla nas niespodzianką i *rzeczą* bardzo ważną ujrzeć Sortiniego na własne oczy. Sortini jednak wcale się o nas nie troszczył (nie było to zresztą specjalną cechą Sortiniego, większość urzędników również na zebraniach publicznych zachowywała się obojętnie), wyglądał na zmęczonego, tylko obowiązek służbowy jeszcze go tu na dole zatrzymywał. Urzędnicy, którzy takie obowiązki reprezentacyjne uważają za specjalnie ciężkie, nie są wcale najgorsi; inni urzędnicy i funkcjonariusze, kiedy tu już byli, bratali się z ludem; on jednak stał przy sikawce i w milczeniu oglądał każdego, kto z jakąś prośbą czy pochlebstwem starał się do niego zbliżyć. Toteż zdarzyło się, że zauważył nas jeszcze później niż my jego. Dopiero kiedy z uszanowaniem ukloniliśmy się, ojciec zaś starał się nas usprawiedliwić, Sortini powiódł po nas zmęczonym wzrokiem, od jednego do drugiego. Wydawało się, że wzdychał, iż jest nas tyle, aż zatrzymał wzrok na Amalii, na którą musiał patrzeć, podnosząc oczy do góry, gdyż była

wyższa od niego. Zdumiał się i przeskoczył przez dyszel sikawki, aby się do Amalii przybliżyć, ale myśmy go z początku nie zrozumieli i chcieliśmy wszyscy pod przewodem ojca do niego podejść. Sortini jednak zatrzymał nas podniesieniem ręki i dał znak, abyśmy sobie odeszli. To było wszystko. Potem dokuczaliśmy Amalii wiele, że rzeczywiście znalazła sobie narzeczonego, i w naszej głupocie przez całe popołudnie byliśmy nader weseli. Amalia jednak była bardziej milcząca niż kiedykolwiek. „Zakochała się bez pamięci w Sortinim”

- żartował Brunswick, który jest zawsze trochę rubaszny i nie potrafi zrozumieć takich natur jak Amalia. Ale tym razem rzucona przez niego uwaga wydała się nam prawie słuszną. Byliśmy w ogóle szaleni tego dnia i wszyscy z wyjątkiem Amalii jakby odurzeni słodkim winem zamkowym, kiedy wróciliśmy po północy do domu.

- A Sortini? - spytał K.

- Ach, tak, Sortini - odpowiedziała Olga - widziałam go podczas uroczystości przelotnie jeszcze kilka razy. Siedział na dyszlu od sikawki, skrzyżował ręce na piersi i pozostał tak, aż przybył po niego powóz z zamku, by go zabrać. Nawet nie poszedł na pokaz ćwiczeń strażackich, na których ojciec wtedy właśnie, w nadziei, że Sortini mu się przygląda, wyróżniał się spośród wszystkich mężczyzn w jego wieku.

- i nie słyszeliście o nim nic więcej? - spytał K. - Wydaje mi się, że dla Sortiniego masz wielki szacunek.

- Tak, szacunek - odpowiedziała Olga. - Tak, i słyszeliśmy jeszcze coś niecoś o nim. Nazajutrz zostaliśmy wyrwani ze snu krzykiem Amalii; podczas gdy inni przewrócili się zaraz na drugi bok i spali dalej, ja, rozbudzona całkowicie, podbiegłam do Amalii. Stała przy oknie z jakimś listem w ręku, podał go jej właśnie przez okno obcy mężczyzna i czekał na odpowiedź. Amalia przeczytała już list, który zresztą był krótki, i trzymała go bezwładnie w zwisającej ręce. Jakżeż kochałam ją wtedy, kiedy była tak zmęczona! Przyklęłam koło niej i przeczytałam list. Zaledwie skończyłam, Amalia, rzuciwszy na mnie krótkie spojrzenie, zaraz mi go odebrała, ale nie mogła się przemóc, by go znów przeczytać, podarła go i cisnęła strzępy owemu mężczyźnie za oknem w twarz. Po czym zatrasnęła okno. Była to rozstrzygająca chwila. Nazywam ją rozstrzygającą, ale każda minuta poprzedniego popołudnia była tak samo rozstrzygająca.

- A co było w tym liście? - spytał K.

- Tak, tego ci jeszcze nie opowiedziałam - rzekła Olga. - List był od Sortiniego, zaadresowany do dziewczyny w naszymniku z granatów. Treści nie potrafię powtórzyć. Było to wezwanie, by przysłała do niego do gospody, i to natychmiast, gdyż za pół godziny Sortini miał wyjechać. W liście roiło się od najordynarniejszych wyrazów, jakich nigdy jeszcze nie

słyszałam i które mogłam tylko na wpół odgadnąć z całego kontekstu. Kto Amalii nie znał, a jedynie przeczytałby ten list, musiałby dziewczynę, do której ktoś śmiał tak pisać, uważać za zhańbioną, nawet gdyby jej nikt nigdy nie tknął. I nie był to list miłosny, nie było tam ani jednego przymilnego słówka. Sortini raczej się gniewał, że widok Amalii wywarł na nim wrażenie i przeszkodził mu w załatwianiu jego spraw. Później komentowaliśmy to w ten sposób, że Sortini prawdopodobnie chciał od razu wieczorem pojechać na zamek, lecz został we wsi jedynie z powodu Amalii, a rankiem, rozgniewany tym, że również podczas nocy nie mógł o Amalii zapomnieć, list ten napisał. Ten list musiał z początku każdego, nawet najbardziej opanowanego, oburzyć, jednak w każdym, prócz Amalii, przeważałby strach, wywołany złym i groźnym tonem listu. U Amalii jednak list wywołał tylko oburzenie, gdyż nie zna ona, co to lęk, ani u siebie, ani u innych. I gdy potem wśliznęłam się do łóżka i powtarzałam sobie w połowie przerwane końcowe zdanie listu: „Przyjdź więc zaraz albo...”, Amalia pozostała na parapecie okna i wyglądała tak, jak gdyby oczekiwała jeszcze na dalszych posłańców i była gotowa każdego potraktować tak samo jak tego pierwszego.

- Tacy więc są ci urzędnicy - rzekł K. z pewnym wahaniem. - Takich gagatków spotyka się między nimi. I jak twój ojciec postąpił? Mam nadzieję, że energicznie poskarżył się, gdzie należało, na Sortiniego, jeśli w ogóle nie wybrał krótszej i pewniejszej drogi do gospody dla oficjalistów. Najohydniejszą sprawą, w tej całej historii nie jest wszakże obraza Amalii, której łatwo by można było zadośćuczynić, i nie wiem w ogóle, dlaczego przypisujesz temu tak przesadnie wielką wagę. Dlaczego list Sortiniego na zawsze mógł skompromitować Amalię? Według tego, co opowiadasz, tak by się wydawało, ale to właśnie jest niemożliwe, gdyż zadośćuczynienie dla Amalii można było łatwo uzyskać i w ciągu kilku dni całe zajście poszłoby w niepamięć. Sortini nie skompromitował Amalii, lecz sam siebie. Sortini więc mnie przeraża i fakt, że może istnieć takie nadużycie władzy. To, co w danym wypadku się nie udało, gdyż było zbyt jasno i wyraźnie powiedziane, tak że nie nasuwało najmniejszych wątpliwości, u Amalii zaś spotkało się ze zwycięską odprawą, może w tysiącu innych wypadków, przy trochę mniej pomyślnych okolicznościach, mogłoby w pełni się udać i ukryć przed wzrokiem każdego, nawet samego pokrzywdzonego.

- Cicho - rzekła Olga. - Amalia na nas patrzy.

Amalia skończyła właśnie karmić rodziców i była zajęta rozbieraniem matki; właśnie rozwiązała jej spódnice, położyła sobie ramiona matki na szyi, podniosła ją nieco do góry, ściągnęła z niej spódnice i posadziła ją łagodnie znowu na krześle. Ojciec, zawsze trochę niezadowolony, że najprzód obsługuje się matkę - co wszakże widocznie tylko z tego powodu się działo, że matka była jeszcze bezradniejsza od niego - usiłował, może również tylko

dlatego, by córkę za jej rzekomą powolność ukarać, sam się rozebrać, ale choć zaczął od tego, co było najbardziej zbędne i łatwe, czyli od zdjęcia zbyt dużych pantofli, w których jego stopy tkwiły dość swobodnie, nic z tego nie wychodziło i nie mógł ich w żaden sposób zdjąć. Wśród ochryplego stękania dał też wkrótce za wygraną i znowu się oparł sztywno o poręcz krzesła.

- Nie potrafisz dostrzec sedna sprawy - rzekła Olga. - Może masz i słuszość we wszystkim, ale sednem sprawy było to, że Amalia nie poszła do gospody dla oficjalistów. To, jak potraktowała ona posłańca, nie było jeszcze najgorsze, gdyż dałoby się zatuszować, to jednak, że do gospody nie poszła, ściągnęło klątwę na całą naszą rodzinę, choć zresztą i potraktowanie posłańca było nie do przebaczenia. Pod naciskiem opinii publicznej wysunięto to nawet na pierwszy plan.

- Co? - krzyknął K., ale zniżył zaraz głos, gdyż Olga podniosła błagalnie ręce. - Ty, siostra, nie chcesz chyba powiedzieć, że Amalia powinna była usłuchać Sortiniego i pobiec do niego do gospody?

- Nie - odparła Olga - niech mnie Pan Bóg broni przed takim podejrzeniem. Jak możesz coś podobnego myśleć? Nie znam nikogo, kto by tak całkowicie jak Amalia miał rację we wszystkim, co robi. Gdyby była poszła wtedy do gospody, przyznałabym jej również rację, ale to, że nie poszła, było bohaterstwem. Co się zaś mnie tyczy, wyznaję ci szczerze, że gdybym taki list otrzymała, tobym poszła. Nie zniosłabym strachu przed konsekwencjami, to potrafiła tylko Amalia. Były przecież różne sposoby wykręcenia się. Inna dziewczyna na przykład pięknie by się wystroiła, co zabrałoby jej sporo czasu, i dopiero potem poszłaby do gospody, by się dowiedzieć, że Sortiniego już nie ma. Być może, wyjechał zaraz po wysłaniu gońca, było to nawet prawdopodobne, gdyż kaprysy wielkich panów są przelotne. Ale Amalia nie zrobiła tego ani nawet nic podobnego. Czuła się zbyt głęboko obrażona i odpowiedziała bez ogródek. Gdyby była chociaż troszkę, dla pozorów, uległa i przeszła tylko na chwilę przez próg gospody, zły los mógłby być odwrócony, mamy tu bowiem bardzo mądrych adwokatów, którzy z niczego potrafią zrobić wszystko, czego dusza zapagnie, ale w tym wypadku nawet tego pomyślnego „nic” brakowało. Przeciwnie - zbezczeszczono list Sortiniego i obrażono jego posłańca.

- Ale o jaki zły los chodzi? - spytał K. - O jakich adwokatów? Nie można przecież było z powodu zbrodniczego postępków Sortiniego oskarżyć Amalii albo nawet jej karać?

- Owszem - rzekła Olga - można było; oczywiście, nie dało się wytoczyć legalnego procesu i nie ukarano jej bezpośrednio, ale ukarano ją inny sposób, ją i całą naszą rodzinę. A jak ciężka jest ta kara, zaczyna ci już chyba świtać. Tobie wydaje się to niesprawiedliwe i

potworne, ale taka opinia jest we wsi całkiem odosobniona. Jest to opinia dla nas bardzo życzliwa i powinna by nas cieszyć. Być może, byłoby tak, gdyby oczywiście nie wywodziła się z przesądów. Mogę ci to łatwo udowodnić. Wybacz, jeśli będę przy tym mówiła o Friedzie, ale między Friedą a Klammem - niezależnie od tego, jaką to formę w końcu przybrało - zaszło coś zupełnie analogicznego jak między Amalią a Sortinim, a ty, choć może początkowo i byłeś trochę przerażony, teraz uważasz, że wszystko jest w porządku. I nie jest to tylko pogodzenie się z losem, gdyż takie pogodzenie się nie może do tego stopnia stępić wrażliwości, kiedy chodzi o zaopiniowanie najprostszych spraw, jest to raczej odrzucanie przesądów.

- Nie, Olgo - przerwał jej K. - nie wiem, dlaczego mieszasz do tej sprawy Friedę. Jej wypadek jest całkowicie inny, nie płacz więc ze sobą tak zasadniczo różnych rzeczy i opowiadaj dalej.

- Proszę cię - powiedziała Olga - nie bierz mi za złe, jeśli się będę upierała przy tym porównaniu. Jest to resztką przesądów w stosunku do Friedy, gdy myślisz, że musisz jej bronić przed takim porównaniem. Nie potrzebujesz jej wcale bronić, raczej powinienes ją chwalić. Jeśli porównuję te oba wypadki, to nie twierdzę przecież, że są identyczne. Mają się one do siebie tak jak kolor biały i czarny, a białym jest Friedą. W najgorszym razie można by się z Friedy śmiać, jak to w sposób nieuprzejmy uczyniłam wtedy przy szynk-wasie, czego zresztą potem żałowałam. Ale kto się z tego śmieje, już przez to wykazuje swoją złośliwość czy zawiść, w każdym razie można się śmiać. Amalią wszakże można, jeśli się nie jest z nią złączonym więzami krwi, jedynie pogardzać. Dlatego są to wprawdzie z gruntu różne wypadki, jak sam mówisz, ale również i podobne.

- Wcale nie są podobne - przerwał jej K. potrząsając gniewnie głową. - Zostaw Friedę w spokoju, Friedą nie dostała wcale takiego „ładnego” listu jak Amalia od Sortiniego, i Friedą naprawdę Klamma kochała. Kto wątpi, może ją o to spytać, ona go kocha jeszcze dzisiaj.

- Czyż to tak wielka różnica? - spytała Olga. - Myślisz, że Klamm nie mógłby tak samo do Friedy napisać? Jeśli tacy panowie raz wstaną od biurka, to już tacy są, że nie mogą się wcale w otaczającym ich świecie zorientować i z roztargnienia mówią najordynarniejsze rzeczy, nie wszyscy, ale wielu. List do Amalii mógł być przecież rzucony na papier w zamyśleniu, w zupełnym niezdawaniu sobie sprawy z tego, co się naprawdę pisze. Cóż możemy wiedzieć o myślach takich panów! Czyś sam nie słyszał lub czy ci nie opowiadano, w jakim tonie Klamm zwracał się do Friedy? Jeśli chodzi o Klamma, to jest powszechnie znane, że jest on bardzo brutalny; podobno godzinami nic nie mówi, a potem nagle potrafi powiedzieć coś tak ordynarnego, że aż dreszcze przechodzą. O Sortinim nie słyszeliśmy

tego, gdyż w ogóle jest on raczej mało znany. Właściwie wiadomo o nim tylko to, że nazwisko jego jest podobne do Sordiniego; gdyby nie to podobieństwo nazwisk, to prawdopodobnie w ogóle by go nie znano. Również jako fachowca od straży ogniowej prawdopodobnie myli się go z Sordinim, który naprawdę jest fachowcem i wykorzystuje to podobieństwo nazwisk, aby obowiązki reprezentacyjne przerzucić na Sortiniego, a samemu móc spokojnie pozostać przy swojej pracy. Jeśli więc taki nieobyty mężczyzna jak Sortini nagle zapala miłością do wiejskiej dziewczyny, to oczywiście przyjmuje to inne formy, niż kiedy zakocha się jakiś czeladnik stolarski z sąsiedztwa. Również trzeba o tym pamiętać, że między urzędnikiem a córką szewca istnieje przecież wielka przepaść, przez którą trzeba dopiero przerzucić pomost. Sortini próbował to zrobić w ten sposób, a inny może zrobić to inaczej. Wprawdzie mówi się, że należymy wszyscy do zamku i dlatego nie ma żadnej przepaści i nie ma potrzeby przerzucania pomostów. Może na ogół tak jest, ale niestety mieliśmy sposobność przekonać się, że właśnie kiedy nam na tym zależy, to tak nie jest. W każdym razie po tym wszystkim sposób postępowania Sortiniego stanie się dla ciebie zrozumiały i mniej potworny. Rzeczywiście, w porównaniu ze sposobem postępowania Klamma jest to o wiele łatwiejsze do zrozumienia, a kiedy jest się bardzo zaangażowanym - nawet nie do zniesienia. Jeśli Klamm napisze delikatny list, to jest to o wiele przykrzejsze niż najordynar-niejszy list Sortiniego. Zrozum mnie przy tym dobrze, nie odważam się osądzać Klamma, a jedynie porównuję, ponieważ ty tak się przed tym porównaniem bronisz. Klamm jest niemal dyktatorem wobec kobiet, rozkazuje raz tej, raz tamtej, aby do niego przyszła. Nie znosi jednak na dłuższy czas obecności żadnej z nich i jak rozkazywał, by przyszła, tak rozkazuje, by odeszła. Ach, Klamm nie zadałby sobie wcale trudu napisania listu. I czy w porównaniu z tym powinno się uważać nadal za coś potwornego to, że żyjący całkiem prywatnie Sortini, którego stosunki z kobietami są co najmniej nie znane, pewnego razu usiądzie i swym pięknym urzędniczym charakterem napisze rzeczywiście obrzydliwy list? I jeśli w tym wypadku brak różnicy na korzyść Klamma, lecz przeciwnie - jest różnica na jego niekorzyść, to czyż uczyniła to miłość Friedy? Stosunek kobiet do urzędników jest, wierz mi, bardzo trudny albo raczej bardzo łatwy do osądzenia. W tym wypadku u kobiet nigdy miłości nie brak. Nieszczęśliwa miłość urzędników w ogóle nie istnieje. Pod tym względem nie jest pochwałą, kiedy się o jakiejś dziewczynie mówi - mam tu na myśli nie tylko Friedę - że oddała się urzędnikowi tylko dlatego, że go kochała. Kochała go i oddała mu się, to prawda, ale nie ma w tym nic do pochwalenia. Amalia jednak Sortiniego nie kochała, jak insynuujesz. No tak, nie kochała go. A może jednak kochała, któż to potrafi rozstrzygnąć? Nawet i ona nie jest w stanie. Jakże może sądzić, że go nie kochała, jeśli go tak stanowczo odrzuciła, jak

prawdopodobnie nigdy jeszcze żaden urzędnik nie został odrzucony? Barnabas mówi, że Amalia jeszcze teraz niekiedy drży na myśl o wzruszeniu, z jakim trzy lata temu zatrzęsnęła okno. To prawda, i dlatego nie wolno jej o to pytać. Zerwała z Sortinim i nie ponadto w tej sprawie nie wie; nie wie, czy go kocha, czy nie. My jednak wiemy, że kobiety muszą kochać urzędników, kiedy ci się do nich raz zwrócą. Ba, one kochają urzędników już przedtem, choćby nie wiem jak chciały temu zaprzeczyć. I Sortini nie tylko zwrócił się do Amalii, ale przeskoczył przez dyszel, kiedy Amalię zobaczył, skoczył swymi zeszytniałymi od pracy biurowej nogami przez dyszel. Amalia stanowi wyjątek, powiesz. Tak, jest wyjątkiem, dowiodła tego kiedy nie chciała pójść do Sortiniego. To jest zaiste dość wyjątkowe. Żeby jednak jeszcze prócz tego nie kochała Sortiniego, to byłoby już zbyt wyjątkowe. Byłoby to wprost nie do pojęcia. Na pewno owego popołudnia byliśmy jakby porażeni ślepotą, ale to, że poprzez przesłaniającą nam oczy mgłę jeszcze coś z zakochania Amalii wówczas można było dostrzec, dowodzi, że zachowaliśmy trochę przytomności umysłu. Jeśli zestawisz to wszystko razem, to cóż za różnica pozostanie między Friedą a Amalią? Jedyne to, że Frieda uczyniła to, czego Amalią uczynić nie chciała.

- Może tak i jest - zgodził się K. - Dla mnie jednak zasadniczą różnicę stanowi to, że Frieda jest moją narzeczoną, Amalią zaś obchodzi mnie w gruncie rzeczy jedynie dlatego, iż jest siostrą Barnabasa, posłańca zamkowego, i jej los jest być może związany z jego funkcją. Gdyby jakiś urzędnik wyrządził jej taką wołającą o pomstę do nieba krzywdę, jak mi się to zgodnie z twoimi opowiadaniem z początku wydawało, to bardzo by mnie to obeszło, ale i to raczej jako sprawa publiczna niż jako osobista krzywda Amalii. Teraz jednak, po twoim opowiadaniu, cały obraz zmienia się w jakiś, wprawdzie dla mnie niezupełnie zrozumiały, ale - ponieważ opowiadającą byłeś ty - dość wiarygodny sposób, więc sprawę tę chętnie całkiem zbagatelizuję. Nie jestem zresztą strażakiem, więc cóż mnie obchodzi Sortini? Obchodzi mnie jednak Frieda, i dlatego dziwię się, że ty, której w pełni zaufałem i nadal chcę ufać, starasz się okrężną drogą, przez Amalię, stale Friedę napastować i czynić ją w moich oczach podejrzaną. Nie myślę, że robisz to z rozmysłem czy ze złej woli, gdyż wtedy musiałbym już dawno sobie stąd pójść. Nie czynisz tego z rozmysłem, to okoliczności skłaniają cię do tego. Z miłości do Amalii chcesz ją wysoko i dostojnie postawić ponad wszystkimi kobietami, a ponieważ w samej Amalii nie znajdujesz zadowalającej ilości potrzebnych w tym celu zalet, pomagasz sobie w ten sposób, że umniejszasz zalety innych kobiet. Postępek Amalii jest dziwny, ale im więcej o tym postępku opowiadasz, tym trudniej rozstrzygnąć, czy zachowała się ona wspaniale, czy małostkowo, mądrze czy głupio, bohatersko czy tchórzliwie. Swoje pobudki Amalią kryje głęboko, nikt nie zdoła ich z niej wydobyć. Frieda natomiast nie

nadzwyczajnego nie zrobiła, poszła jedynie za głosem swego serca. Dla każdego, kto z dobrą wolą to rozpatruje, jest to jasne, każdy może to sprawdzić, na plotki nie pozostaje miejsca. Ja jednak nie chcę ani poniżać Amalii, ani bronić Friedy, chcę ci tylko wytłumaczyć, jaki jest mój stosunek do Friedy i że każda napaść na Friedę jest równocześnie napaścią na moją egzystencję. Przybyłem tu z własnej woli i z własnej woli się tu zaczępiłem, ale wszystko, co od tego czasu się stało, a zwłaszcza moje nadzieje na przyszłość, które chociaż może są mętne, ale w każdym razie jeszcze są, wszystko to zawdzięczam Friedzie. To nie podlega dyskusji. Wprawdzie zostałem tu zaangażowany jako geometra, ale tylko pozornie, bawiono się mną, wypędzano mnie z każdego domu i dziś jeszcze bawią się mną, ale o ileż jest to dziś kłopotliwsze, gdyż do pewnego stopnia porosłem tu w piórka i to już jest coś. Mam, choć może i nie jest to dużo, własne mieszkanie, posadę i rzeczywistą pracę, mam narzeczoną, która jeśli jestem czym innym zajęty, zastępuje mnie w mojej pracy zawodowej, ożenię się z nią i stanę się członkiem gminy. Posiadam poza tym prócz urzędowych jeszcze inne, dotychczas wprawdzie nie wyzyskane, ale osobiste stosunki z Klammem. To chyba nie jest mało? A kiedy do was przychodzę, kogo witacie? Komu z ufnością opowiadasz dzieje swojej rodziny? Od kogo spodziewasz się możliwości uzyskania jakiejś pomocy, choćby możliwość ta była nikła i najbardziej niewiarygodna? Chyba nie ode mnie jako jako geometry, którego tydzień temu Lasemann na przykład i Brunswick gwałtem ze swych domów wyrzucili, ale liczysz na pomoc człowieka, który widocznie posiada już jakieś środki działania. Otóż te środki działania zawdzięczam Friedzie, jej, która jest tak skromna, że jeśli byś spróbowała ją o coś podobnego zapytać, na pewno nie chciałaby o tym słyszeć. I dlatego wydaje mi się po tym wszystkim, że Frieda w swej niewinności uczyniła więcej niż Amalia w całej swej pysze. Bo zważ tylko, mam wrażenie, że szukasz pomocy dla Amalii. I to u kogo? Właściwie u Friedy?

- Czy istotnie mówiłam tak brzydko o Friedzie? - spytała Olga. - Na pewno tego nie zamierzałam i wydaje mi się, że wcale tego nie uczyniłam, ale jest to mimo wszystko możliwe, gdyż sytuacja nasza jest tego rodzaju, że jesteśmy pokłóceni z całym światem, więc kiedy zaczniemy się skarżyć, temperament nas ponosi, sami nie wiemy dokąd. Masz również słuszość, iż obecnie zachodzi wielka różnica pomiędzy nami a Frieda, i dobrze jest to wyraźnie podkreślić. Trzy lata temu ja i Amalia byłyśmy panienkami ze sfery mieszczańskiej, Frieda zaś była sierotą i służącą w oberży „Pod Mostem”. Przechodziłyśmy obok niej nie zaszczycając jej nawet spojrzeniem. Zapewne byłyśmy zbyt dumne, ale tak już nas wychowano. Owego wieczoru w gospodzie dla panów z zamku zorientowałeś się jednak, jak te sprawy dzisiaj stoją: Frieda z biczem w ręku, a ja w gromadzie parobków. Ale jest jeszcze

gorzej. Frieda może nami pogardzać, wiąże się to z jej stanowiskiem, faktyczne okoliczności zmuszają ją do tego. Ale czy tylko ona jedna nami pogardza?! Kto dochodzi do wniosku, że trzeba nami pogardzać, ten od razu dołącza się do tłumu tych, co nami już pogardzają. Czy znasz następczynię Friedy? Nazywa się Pepi. Poznałam ją dopiero przedwczoraj wieczorem; dotychczas była pokojówką. Otóż przewyższa ona nawet Friedę, jeśli chodzi o pogardę dla mnie. Zobaczyła przez okno, że przyszłam po piwo, podbiegła więc do drzwi i zatrzęsnęła je. Musiałam ją długo prosić i obiecać wstążkę, którą miałam na szyi, dopiero mi otworzyła. Kiedy jednak jej potem tę wstążkę dałam, rzuciła ją w kąt. Pepi może mną pogardza, gdyż częściowo jestem zdana na jej łaskę i niełaskę, a ona jest przecież dziewczyną przy szynkwasiu w gospodzie dla panów z zamku. Oczywiście jest tam, tylko tymczasowo i na pewno nie posiada zalet, które są potrzebne, by być zaangażowaną na stałe. Wystarczy posłuchać, jak *zarządca* gospody rozmawia z Pepi, i porównać to ze sposobem, w jaki rozmawiał z Friedą. Ale to nie przeszkadza Pepi pogardzać również i Amalią, tą Amalią, której jedno spojrzenie wystarczyłoby, by całą te małą Pepi ze wszystkimi jej warkoczami i kokardami tak prędko z pokoju wygonić, jak na swych tłustych nóżkach sama nigdy by wybiec nie potrafiła. Cóż za oburzającej paplaniny o Amalii musiałam wczoraj znowu od niej wysłuchać, aż w końcu goście stanęli po mojej stronie w ten sposób, jak to już raz widziałeś.

- Jaka ty jesteś zalękniona - przerwał jej K. - Ja postawiłem tylko Friedę na należnym jej miejscu, ale nie chciałem was wcale poniżać, jak mi to teraz sugerujesz. Coś szczególnego w waszej rodzinie i ja widzę, tego nie mogę przemilczeć. Dlaczego jednak to coś szczególnego ma być powodem do pogardy, tego nie rozumiem.

- Ach, K. - przerwała mu Olga - i ty to jeszcze zrozumiesz, obawiam się. Czyż nie możesz tego w żaden sposób pojąć, że zachowanie się Amalii wobec Sortiniego było pierwszą przyczyną tej pogardy?

- Byłoby to jednak zbyt osobliwe - rzekł K. - Można Amalię za to podziwiać lub potępiać, ale pogardzać? I jeśli się Amalią naprawdę z jakiegoś niezrozumiałego dla mnie powodu pogardza, to dlaczego rozciąga się tę pogardę również na was, na całą jej Bogu ducha winną rodzinę? To na przykład, że Pepi tobą pogardza, jest naprawdę bezczelne i kiedy znów będę w gospodzie dla panów z zamku, to jej za to odpłacę.

- Gdybyś chciał K. - powiedziała Olga - wszystkich tych, którzy nami pogardzają inaczej do nas usposobić, byłoby to nie lada zadanie, gdyż wszystko wywodzi się z zamku. Pamiętam jeszcze dobrze owo przedpołudnie, które nastąpiło po tamtym ranku. Brunswick, który wtedy był naszym czeladnikiem, przyszedł do nas jak co dzień. Ojciec wydzielił mu robotę i odesłał do domu, my zaś siedzieliśmy przy śniadaniu i wszyscy poza Amalią i mną

byli bardzo ożywieni. Ojciec opowiadał ciągle o święcie strażackim, gdyż miał widocznie różne plany co do straży ogniowej. W zamku mianowicie jest odrębna straż, która na to święto również przysłała delegację i niejedną sprawę z nią omówiono. Obecni na uroczystości panowie z zamku widzieli sprawność naszych strażaków, wyrazili się o niej bardzo pochlebnie, porównywali nawet ze sprawnością strażaków z zamku i porównanie to wypadło na naszą korzyść. Poruszono sprawę zreorganizowania straży zamkowej, do czego potrzebni będą instruktorzy ze wsi. Kilka osób było do tego przewidzianych, a ojciec miał nadzieję, że wybór padnie na niego. O tym właśnie mówił, rozsiadłszy się, jak to było jego miłym zwyczajem, wygodnie przy stole i wyciągnąwszy ręce do połowy stołu, a kiedy przez otwarte okno spoglądał ku niebu, twarz jego była taka młoda i ufna. Nigdy więcej nie miałam go już takim widzieć. Wtedy Amalią powiedziała z poczuciem wyższości, któregośmy u niej jeszcze nie znali, że wypowiedziom panów nie można za bardzo ufać, gdyż przy takich okazjach lubią oni prawić uprzejmości, ale znaczy to nie tak wiele, albo zgoła nic. Nim zdążą coś powiedzieć, już o tym zapominają, a mimo tego przy następnej sposobności znowu bierzemy się na ich lep. Matka zakazała jej tak mówić, ojciec zaś tylko się śmiał z jej przemądrzałości i rzekomo wielkiego doświadczenia, potem jednak naraz zdziwił się, zaczął jakby czegoś szukać, czego brak dopiero teraz zauważył, choć nic przecież nie zgubił, i powiedział: „Brunswick opowiadał o jakimś posłańcu i podartym liście i pytał, czy słyszeliśmy coś o tym, kogo to dotyczy i jak z tym było”. Milczeliśmy, Barnabas zaś, który był wtedy jeszcze młodziutki jak jagnię, powiedział coś szczególnie głupiego czy bezczelnego. Zaczęto mówić o czymś innym i rzecz poszła w niepamięć.

Kara Amalii

Ale wkrótce potem zasypano nas ze wszystkich stron pytaniami w sprawie tej historii z listem. Przychodzili do nas przyjaciele i wrogowie, znajomi i obcy, ale nikt długo nie pozostawał, najlepsi przyjaciele żegnali się, jak mogli najszybciej. Lasemann, zwykle tak flegmatyczny i godny, wszedł, jak gdyby chciał tylko sprawdzić wymiary izby, rzucił wzrokiem dookoła i na tym skończył. Wyglądało to na jakąś potworną zabawę dzieciinną, kiedy Lasemann uciekł, ojciec zaś wyrwawszy się z gromady ludzkiej gonił go aż do progu domu, a tam już dał spokój. Potem przyszedł Brunswick i podziękował ojcu za pracę. „Chcę się usamodzielnąć” - powiedział całkiem uczciwie. Mądra głowa, która umiała wyzyskać odpowiedni moment. Po czym przychodzili klienci i odbierali z warsztatu ojca oddane do naprawy buty. Z początku ojciec próbował im to wyperswadować i my wszyscy pomagaliśmy mu w tym, jak kto umiał, ale potem ojciec zrezygnował i w milczeniu pomagał klientom przy wyszukiwaniu obuwia. W księżce z obstalunkami wykreślaliśmy wiersz po wierszu; zapasy skóry, które ludzie mieli u nas, zostały zwrócone, należności wypłacone. Wszystko odbyło się bez najmniejszych zatargów, bo każdy był zadowolony, jeśli mu się tylko udało szybko i całkowicie zerwać z nami wszelkie stosunki, nie zważał nawet na ewentualne straty. I wreszcie, co było do przewidzenia, zjawił się Seemann, naczelnik straży ogniowej; widzę jeszcze tę scenę jak żywą: Seemann, wysoki i otyły, ale nieco przygarbiony, chory na płuca, zawsze poważny - w ogóle nie potrafi się śmiać - stoi przed moim ojcem, którego dotychczas podziwiał i któremu w godzinach poufnych pogawędek obiecywał stanowisko zastępcy naczelnika, stoi i właśnie ma go zawiadomić, że związek go wydała i żąda zwrotu dyplomu. Ludzie, którzy akurat wtedy u nas byli, przestali załatwiać sprawy i stłoczyli się wokoło obu mężczyzn. Seemann nie może nic wykrztusić, klepie tylko mojego ojca po ramieniu, jak gdyby chciał wyklepać z niego te słowa, które sam ma do niego powiedzieć, ale nie może ich znaleźć. Przy tym śmieje się bez ustanku, jak gdyby chciał przez to uspokoić trochę siebie i wszystkich obecnych; ale ponieważ właściwie śmiać się nie umie i nikt nie słyszał jeszcze jego śmiechu, nikomu nie przychodzi na myśl, że to ma być śmiech. Ojciec od owego dnia jest zbyt zmęczony i zrozpaczony, by mógł komuś pomóc. Ba, wygląda nawet na zbyt zmęczonego, aby mógł zastanawiać się nad tym, o co w ogóle chodzi. I my wszyscy byliśmy tak samo zrozpaczeni, ale ponieważ byliśmy młodzi, nie mogliśmy w tak zupełną katastrofę uwierzyć, ciągle myśleliśmy, że wśród tych wielu odwiedzających nas wreszcie ktoś się znajdzie, kto każe wszystko zatrzymać i nada odwrotny bieg całej sprawie. W naszej

naiwności Seemann wydał się nam szczególnie do tego powołany. W napięciu czekaliśmy, aby z tego nieustannego śmiechu w końcu wyrwało się jakieś zrozumiałe słowo. Bo z czego teraz można się było właściwie śmiać, jeśli nie z tej głupiej krzywdy, którą nam wyrządzono. „Panie naczelniku, panie naczelniku, niech pan coś w końcu ludziom powie” - myśleliśmy starając się precyzyjnie do niego jak najbliżej, co zmuszało go tylko do dziwnego kręcenia się w miejscu. W końcu jednak przemówił, wprawdzie nie po to, by spełnić nasze tajemne życzenie, ale by odpowiedzieć na zachęcające lub rozdrażnione nagabywania otaczających nas ludzi. Ciągłe jeszcze łudziliśmy się. Seemann zaczął od wychwalania ojca. Nazwał go ozdobą związku, niedoścignionym wzorem dla przyszłych pokoleń oraz niezastąpionym członkiem straży, którego odejście niemal podważy istnienie całego związku. Byłoby to wszystko bardzo piękne, gdyby na tym zakończył, ale Seemann mówił dalej. Jeśli jednak mimo to związek zdecydował się ojca, oczywiście tylko na pewien czas, prosić o ustąpienie, świadczy to tylko o powadze pobudek, które związek do tego zmusiły. Być może, że bez zademonstrowania wspaniałych wyników pracy ojca na wczorajszym święcie wcale by do tego nie doszło, ale właśnie te wyniki zwróciły na niego specjalną uwagę czynników urzędowych; związek stanął teraz na świeczniku i musi dbać o nie-skazitelną swą opinię jeszcze bardziej niż dotychczas. Tymczasem wydarzyła się ta obraza posłańca i związek nie znalazł innego wyjścia, on zaś, Seemann, podjął się trudnego zadania zakomunikowania nam tego. Niech więc ojciec mu tego nie utrudnia. Jakżeż Seemann się ucieszył, gdy wykrztusił to wreszcie z siebie. Zadufany w sobie, nie starał się nawet o zbytnią delikatność, ale wskazał na dyplom, który wisiał na ścianie, i zrobił znak, że należy go zdjąć. Ojciec skinął głową i podszedł do dyplomu, ale trzęsącymi się rękami nie mógł go zdjąć z haka; weszłam więc na fotel i pomogłam mu. I od tego momentu wszystko się skończyło; ojciec nie wyjął nawet dyplomu z ramek i oddał go tak Seemannowi. Potem usiadł w kącie, nie ruszył się już i z nikim nie rozmawiał. Musieliśmy sami pertraktować z ludźmi, jak się dało.

- A w czym widzisz tu wpływ zamku? - spytał K. - Na razie zamek, jak mi się zdaje, jeszcze nie interweniował. To, o czym dotychczas opowiadałaś, było tylko dowodem bezmyślnego ludzkiego lęku i uciechy z cudzego nieszczęścia oraz kruchości przyjaźni. Są to cechy, które można spotkać u wszystkich, a u twojego ojca oczywiście było to, tak przynajmniej mi się wydaje, dowodem pewnej małostkowości, czym właściwie był ów dyplom? Potwierdzeniem jego zdolności, których przecież przez to nie stracił, a jeśli naprawdę czyniły go one niezastąpionym, to tym lepiej. I zaiste, utrudniłby naczelnikowi zadanie jedynie wtedy, gdyby był mu od razu po drugim zdaniu rzucił dyplom pod nogi. Szczególnie znamienne wydaje mi się jednak to, że wcale nie wspominasz o Amalii, tej

Amalii, która przecież wszystkiemu była winna; prawdopodobnie stała sobie w głębi, spokojnie obserwując całą katastrofę.

- Nie - odrzekła Olga - nikomu nie można nic zarzucić, nikt nie mógł postąpić inaczej, gdyż to wszystko działo się już pod wpływem zamku.

- Pod wpływem zamku - powtórzyła Amalia, która po ułożeniu rodziców do snu niepostrzeżenie weszła do izby od strony podwórza.

- Plotkujecie tu o zamku? Ciągłe jeszcze siedzicie razem! Przecież chciałeś od razu się pożegnać, K., a teraz dochodzi już dziesiąta. Czy w ogóle takie plotki cię interesują? Są tu ludzie, którzy tylko tym żyją, siadają sobie razem, jak wy teraz, i raczą się nimi nawzajem. Nie wydaje mi się, żebyś należał do tych ludzi.

- A jednak - odparł K. - właśnie ja do nich należę, ludzie natomiast, którzy tymi plotkami się nie interesują, lecz pozostawiają to innym, nie mają na mnie żadnego wpływu.

- No tak - powiedziała Amalia - ale zainteresowania ludzkie bywają bardzo rozmaite. Słyszałam kiedyś o pewnym młodzieńcu, który dzień i noc zajmował się rozmyślaniami o zamku, a zaniedbywał wszystko inne, tak że obawiano się o stan jego umysłu, gdyż cały był zaprzątnięty wyłącznie zamkiem. W końcu jednak wydało się, że właściwie nie chodziło mu o zamek, a jedynie o córkę posługaczki z kancelarii zamkowych. No i dostał ją, wtedy wszystko znowu było dobrze.

- Ten człowiek, przypuszczam, podobałby mi się - rzekł K.

- Wątpię, czyby ci się ten człowiek podobał - przerwała mu Amalia

- a może spodobałaby ci się jego żona. Lecz teraz nie przeszkadzajcie sobie, ja idę spać i muszę zgasić światło ze względu na rodziców, którzy od razu mocno zasypiają, ale po godzinie ich sen się kończy, a wtedy najmniejsze światełko im przeszkadza. Dobranoc. - I rzeczywiście zrobiło się zaraz ciemno. Amalia zaś rozłożyła sobie pościel na podłodze przy łóżku rodziców.

- Cóż to za młodzieniec, o którym ona mówiła? - spytał K.

- Nie wiem - odparła Olga. - Może Brunswick, chociaż to, co opowiadała, niezupełnie do niego pasuje, a może kto inny. Trudno ją dobrze zrozumieć, gdyż często nie wiadomo, czy mówi ironicznie, czy serio. Przeważnie mówi nawet z powagą, ale brzmi to ironicznie.

- Przestań dociekać! - rzekł K. - W jaki sposób uzależniłaś się tak bardzo od niej? Czy było tak już przed waszym wielkim nieszczęściem, czy dopiero później? I czy nigdy nie odczuwasz pragnienia, by wyzwolić się spod jej wpływu, i czy to uzależnienie ma jakieś rozsądne powody? Jest przecież młodsza i jako taka powinna ciebie słuchać. Winna, czy nie winna sprowadziła na waszą rodzinę całe to nieszczęście. A teraz zamiast każdego z was

wciąż na nowo przepraszać, nosi głowę wyżej od was wszystkich, nie troszczy się o nic, tyle że jak z łaski opiekuje się rodzicami, nie chce być w nic wtajemniczona, jak ona to nazywa, i jeśli wreszcie z wami rozmawia, to mówi przeważnie serio, a brzmi to ironicznie. Albo może Amalia króluje tu swoją urodą, o której czasami wspominasz? Otóż wszyscy troje jesteście do siebie bardzo podobni, a to czym ona się od was obojga różni, przemawia bezwarunkowo na jej niekorzyść. Już od pierwszego razu, gdy ją tylko zobaczyłem, odstręczyło mnie od niej jej tępe, nieżyczliwe spojrzenie. A poza tym jest ona wprawdzie młodszą siostrą, ale po jej powierzchowności nie można tego poznać, ma ona wygląd kobiet bez określonego wieku, które prawie się nie starzeją, ale też chyba nigdy nie były naprawdę młode. Ty patrzysz na nią co dzień, więc nie dostrzegasz twardego wyrazu jej twarzy. Dlatego też, gdy nad tym się zastanowię, nie mogę traktować poważnie uczucia Sortiniego. Może swoim listem chciał ją tylko ukarać, a nie wezwać.

- O Sortinim nie chcę mówić - rzekła Olga. - U tych panów z zamku wszystko jest możliwe, obojętne, czy chodzi o najpiękniejszą, czy o najszeptniejszą dziewczynę. Poza tym, jeśli chodzi o Ama-lię, to mylisz się kompletnie. Widzisz, nie mam przecież żadnego powodu, aby cię do Amalii dobrze usposabiać, a jeśli mimo wszystko próbuję, czynię to jedynie ze względu na ciebie. Amalia stała się do pewnego stopnia przyczyną naszego nieszczęścia, to jest bezsporne, ale nawet ojciec, który przecież przez to nieszczęście najwięcej ucierpiał i który nigdy nie umiał panować nad swoimi słowami, zwłaszcza u siebie w domu, nawet ojciec w najgorszych czasach nigdy nie zrobił Amalii najmniejszego wyrzutu. I to wcale nie dlatego, żeby pochwalał postępowanie Amalii. Jakżeby on, wielbiciel Sortiniego, mógł je pochwalać. Na odległość nie mógł wcale tego zrozumieć. Sortiniemu chętnie by złożył w ofierze siebie samego i wszystko, co posiadał, oczywiście nie w ten sposób, w jaki to się teraz stało na skutek przypuszczalnego gniewu Sortiniego. Przypuszczalnego gniewu, gdyż nie dowiedzieliśmy się nigdy nic więcej o Sortinim. Jeśli dotychczas pozostawał on w cieniu, to teraz było tak, jakby w ogóle przestał istnieć. A gdybyś widział Amalię w owych czasach! Wiedzieliśmy wszyscy, że nie nastąpi wyraźna kara. Jedynie wszyscy odsunęli się od nas. Zarówno ludzie tutejsi jak i zamek. Tylko gdy wycofanie się miejscowych można było oczywiście zauważyć, to jeśli chodzi o zamek, nie można było nic stwierdzić. Przecież i przedtem nie odczuwaliśmy żadnej opieki ze strony zamku, więc jakżeż mogliśmy zauważyć zmianę. Ten spokój był najgorszy, a nie odejście ludzi, którzy nie zrobili tego przecie z przekonania i być może nie stawiali nam nawet zbyt poważnych zarzutów. Dzisiejsza pogarda jeszcze wówczas wcale nie istniała, tylko ze strachu z nami tak postąpiono, a potem wszyscy czekali, co nastąpi dalej. Również nędzy nie potrzebowaliśmy się jeszcze obawiać, wszyscy

dłużnicy zobowiązania swoje pokryli, saldo rachunków było dodatnie, a jeśli brakło nam czegoś z żywności, pomagali nam w sekrecie nasi krewni, co było łatwe, gdyż nadeszła właśnie pora żniw. Co prawda nie mieliśmy własnego pola i nie pozwolono nam nigdzie najmować się do pracy, tak że byliśmy po raz pierwszy w życiu skazani na zupełne nieróbstwo. Siedzieliśmy więc wszyscy razem przy zamkniętych oknach w upalne dni lipca i sierpnia. Nic się nie działo, żadnego wezwania, wiadomości, informacji czy odwiedzin - nic.

- No więc - rzekł K. - jeśli nic się nie działo i nie należało oczekiwać wyraźnej kary, to czegoście się tak bali? Co z was za ludzie!

- Jakżeż mam ci to wytłumaczyć? - odparła Olga. - Nie baliśmy się przyszłości, bolała nas tylko terażniejszość, znajdowaliśmy się w samym środku kary. Ludzie ze wsi tylko na to czekali, abyśmy się do nich zwrócili, aby ojciec znowu otworzył swój warsztat i aby Amelia, która umiała szyc bardzo piękne suknie, oczywiście tylko dla najwytworniejszych klientów, znowu przyjmowała zamówienia. Wszyscy bowiem żalowali tego, co uczynili. Jeśli we wsi ogólnie szanowana rodzina nagle zostaje od wszystkiego odsunięta, to każdy na tym coś traci. Ludzie, odżegnując się od nas, myśleli, że spełniają w ten sposób swój obowiązek, i my zresztą na ich miejscu inaczej byśmy nie postąpili. A oni przecież dokładnie nie wiedzieli, o co właściwie poszło. Istniała tylko sprawa posłańca, który ze strzępami papieru w ręku wrócił jak niepyszny do gospody dla oficjalistów. Frieda widziała, jak wychodził i jak potem wrócił, zamieniła z nim nawet kilka słów i to, czego się dowiedziała, zaraz rozgłosiła, ale bynajmniej nie z wrogości do nas, lecz po prostu z poczucia obowiązku; każdy poczuwałby się do tego w podobnym wypadku. Dla ludzi, jak to już nadmieniałam, pomyślnie rozwiązanie całej sprawy byłoby najbardziej pożądane. Gdybyśmy nagle oświadczyli im, że wszystko znowu jest w porządku, że nieporozumienie zostało wyjaśnione w międzyczasie, lub że jeśli nawet przestępstwo zaistniało, to zostało już odpokutowane, albo - nawet i to wystarczyłoby ludziom - że przez nasze stosunki na zamku udało się całą sprawę zatuszować - wtedy przyjęto by nas na pewno z otwartymi rękami, byłyby pocałunki, uściski i uroczyste przyjęcia. Widziałam już coś podobnego kilkakrotnie u innych. A nawet niepotrzebna by była taka wiadomość; gdybyśmy wyzwolili się sami, zaproponowano by nam swoje usługi, nie wspominając słowem o całej historii z listem, to by wystarczyło i wszyscy z radością przestaliby gadać o naszej sprawie. Odseparowano się od nas bowiem nie tylko ze strachu, ale przede wszystkim z tego powodu, że sprawa ta była taka przykra, po prostu aby o niej więcej nie słyszeć, nie myśleć i nie mieć z nią żadnej styczności. Jeśli Frieda sprawę tę ujawniła, to nie dlatego, by się z niej cieszyć, ale by siebie i wszystkich innych od niej uchronić oraz by zwrócić uwagę całej gminy na to, że coś się stało, czego należy jak najskrupulatniej unikać.

Nie chodziło tu o nas jako o rodzinę, ale o sprawę, w którąśmy się wplątali, i tylko o nią. Gdybyśmy się więc znowu z tego wyłubudali, pozostawili przeszłość w spokoju i przez swoje postępowanie okazali, żeśmy tę sprawę przewyciężyli, obojętne w jaki sposób, a opinia publiczna doszłaby do przekonania, że sama rzecz, jakakolwiek by ona była, nie wejdzie znowu na forum, to wtedy wszystko byłoby dobrze. Wszędzie znaleźlibyśmy dawną życzliwość, nawet gdybyśmy o całej rzeczy niezupełnie zapomnieli, zrozumiano by to i dopomóżono nam, abyśmy mogli zupełnie zapomnieć. Zamiast tego siedzieliśmy jednak w domu. Nie wiem, na co czekaliśmy, prawdopodobnie na decyzję Amalii, która owego poranka uzurpowała sobie prawo do kierowania rodziną i trzymała ją mocno w garści bez specjalnych zabiegów, rozkazów, czy próśb, niemal tylko przez milczenie. My natomiast mieliśmy wiele do omówienia. Od rana do wieczora nie ustawały szepty, niekiedy ojciec wzywał mnie w napadzie nagłego lęku i spędzałam pół nocy przy jego łóżku. Czasami kucaliśmy wspólnie, jak i Barnabas, który początkowo mało co z tego wszystkiego rozumiał i ciągle natarczywie żądał wyjaśnień, zawsze tych samych wiedząc dobrze, że beztroskie lata, które czekały na innych chłopców w jego wieku, już dla niego nie nadejdą. I tak siedzieliśmy razem, zupełnie podobnie, K., jak my oboje teraz zapominając, że zapadła noc, a potem znowu nastał ranek. Matka była najsłabsza z nas wszystkich, zapewne dlatego, że cierpiała nie tylko z powodu wspólnego nieszczęścia, ale również z powodu indywidualnego nieszczęścia każdego z nas. Mogliśmy więc z przerażeniem obserwować w niej zmiany, które jak przypuszczaliśmy, czekały z czasem całą naszą rodzinę. Ulubionym jej miejscem był róg kanapy, której dawno już nie ma. Stoi dzisiaj w paradnej izbie Brunswicka. Matka siadywała w tym rogu i trudno było powiedzieć, czy drzemie, czy też prowadzi ze sobą rozmowy, jak o tym świadczyły jej poruszające się wargi. Było przecież rzeczą tak naturalną, że ciągle rozprawialiśmy w kółko o historii z listem, z wszelkimi znanymi już szczegółami oraz z wszystkimi ewentualnymi możliwościami, i że prześcigaliśmy się w wynajdywaniu środków szczęśliwego załatwienia tej sprawy. Było to naturalne i nieuniknione, ale niedobre, gdyż w ten sposób pogrążaliśmy się coraz głębiej w to, od czego chcieliśmy uciec. I cóż mogły pomóc najtrafniejsze nawet pomysły. Każdy z nich był niewykonalny bez udziału Amalii. Wszystko to były tylko przedwstępne narady, bezsensowne przez to, że ich wyniki nie docierały wcale do Amalii, a gdyby nawet do niej dotarły, to spotkałyby się tylko z milczeniem. Otóż, na szczęście, rozumiem dzisiaj lepiej Amalię niż wtedy. Ugięła się ona pod ciężarem większym niż my wszyscy. Wprost nie do wiary, że to wszystko zniosła i że jeszcze dzisiaj wśród nas żyje. Matka dźwigała nieszczęście chyba za nas wszystkich, dźwigała, ponieważ na nią spadło, ale niedługo musiała je dźwigać. Czy dziś je jeszcze dźwiga, trudno powiedzieć, bo nawet i

wtedy jej umysł był już zamroczony. Amalia jednak nie tylko znosiła nieszczęście, ale miała również pełną świadomość i zdawała sobie ze wszystkiego dokładnie sprawę. My widzieliśmy tylko skutki, ona zaś dostrzegała przyczynę. My mieliśmy nadzieję na jakieś drobne środki ratunku, ona wiedziała, że wszystko jest już rozstrzygnięte. My mieliśmy o czym szeptać, jej pozostało tylko milczenie. Patrzyła prawdzie w oczy i znosiła to życie, zarówno wtedy jak i dzisiaj. O ileż lepiej wiodło się w całej tej naszej biedzie niż jej! Wprawdzie musieliśmy opuścić nasz dom. Brunswick się do niego wprowadził. Wskazano nam tę oto chałupę. Na ręcznym wózku przewieźliśmy za kilku nawrotami nasz skromny dobytek.

Barnabas i ja ciągnęliśmy, a ojciec i Amalia popychali od tyłu. Matka, którą przewieźliśmy od razu na początku, przyjęła nas siedząc na skrzyni, nieustannie, cichutko lamentując. Przypominam sobie jednak, że nawet podczas tej mozolnej przeprowadzki - bardzo zresztą przykrej, gdyż spotykaliśmy drabiniaste wozy, a idący przy nich ludzie milkli na nasz widok i odwracali oczy - że nawet podczas tej przeprowadzki Barnabas i ja nie mogliśmy przerwać rozmowy o naszych troskach i planach. Zajęci tą rozmową, czasami przystawaliśmy i dopiero nawoływania ojca przypominały nam o naszym obowiązku. Ale wszystkie te rozważania, nawet po przeprowadzce, nic w naszym życiu nie zmieniły, tylko że teraz stopniowo zaczęliśmy również odczuwać i biedę. Zasiłki od krewnych ustały, nasze środki były na wyczerpaniu i właśnie w tym czasie *zaczęła* narastać ta pogarda względem nas, którą poznałeś. Zauważono, że nie mamy dość sił, by wyłabudać się z tej historii z listem, i brano nam to bardzo za złe. Doceniano ciężar naszego losu, choć nikt dokładnie go sobie nie uświadamiał, wiedziano, że nikt nie przeszedłby przez taką próbę lepiej niż my, ale właśnie dlatego odczuwano konieczność całkowitego odseparowania się od nas. Gdybyśmy wyszli z tego zwycięsko, to z pewnością odnoszono by się do nas z odpowiednim szacunkiem, ale ponieważ nam się to nie udało, uczyniono z nami ostatecznie już to samo, co uczyniono dotąd tymczasowo tylko: zerwano wszelkie stosunki. Mówiono o nas teraz nie jak o ludziach, naszego nazwiska rodowego w ogóle nie wymieniano. Gdy o nas musiano mówić, nazywano nas rodziną Barnabasa, który z nas wszystkich najmniej był winny. Nawet nasza chałupa nabrała złej sławy i jeżeli sam się zastanowisz, musisz przyznać, że tobie, kiedy po raz pierwszy przekroczyłeś nasz próg, pogarda ta wydała się słuszna. Później, kiedy znów ludzie czasem do nas zachodzili, kręcili nosem nawet na najmniej ważne drobnostki, na przykład na to, że mała lampka oliwna wisi nad tym stołem. A gdzież miałaby wisieć, jeśli nie nad stołem! Im jednak wydawało się to nie do zniesienia. Jeśli wieszaliśmy lampkę gdzie indziej, to i tak nic się nie zmieniało w ich niechęci. Wszystko, czym byliśmy i co mieliśmy, zostało objęte tą

sama pogarda.

Petycje

A my, cóż zrobiliśmy tymczasem? Uczyniliśmy najgorszą rzecz, jaką mogliśmy zrobić, coś, co zasługiwało bardziej na pogardę niż to, o co naprawdę poszło: zdradziliśmy Amalię, zbuntowaliśmy się przeciwko jej milczącej władzy. Nie mogliśmy już tak dłużej żyć, pozbawieni wszelkiej nadziei, nie mogliśmy egzystować i zaczęliśmy każde na swój sposób błagać lub nachodzić zamek z petycjami o przebaczenie. Wprawdzie wiedzieliśmy, że nie jesteśmy w stanie nic naprawić. Wiedzieliśmy również, że jedyny rokuszący nadzieję kontakt, który mieliśmy z zamkiem, kontakt przez Sortiniego, urzędnika życzliwie usposobionego do naszego ojca, właśnie przez ostatnie wydarzenia został uniemożliwiony. A mimo to zaczęliśmy działać. Ojciec zrobił początek. Zaczęły się bezsensowne pielgrzymki do wójta, do sekretarza, do adwokatów i skrybów. Przeważnie nie przyjmowano go, a kiedy podstępem czy przypadkiem udało mu się jednak dostać i być przyjętym -jakżeż cieszyliśmy się i zacieraliśmy ręce dowiedziawszy się o tym - bardzo szybko odsyłano go z niczym i nigdy już potem nie przyjmowano. Zbyt łatwo było go zbyć, zresztą dla zamku wszystko jest łatwe. Bo czegoż on chciał? Co mu się właściwie stało? Co miano mu przebaczyć? Kiedy i kto ruszył choćby małym palcem przeciwko niemu na zamku? Wprawdzie ojciec zbiedniał, stracił klientelę itd., ale to były wydarzenia powszednie, sprawy rzemiosła i rynku. Czyż zamek ma się o wszystko troszczyć. Naprawdę to zamek troszczył się o wszystko, ale nie mógł przecież brutalnie wtrącać się do rozwoju wypadków tak po prostu i bez żadnego innego celu, jak słuzenie interesom poszczególnej jednostki.

Czyż zamek miał posyłać swoich urzędników w pogoni za klientami naszego ojca, by przemocą sprowadzić ich z powrotem? „Ale” - wtrącał wtedy ojciec (omawialiśmy te wszystkie sprawy dokładnie w domu przedtem i potem, wciśnięci w kąt pokoju, jakby w sekrecie przed Amalią, która wszystko wprawdzie miarkowała, lecz nie sprzeciwiała się) - „ale - wtrącał wtedy ojciec - nie narzekam na to, że zbiedniałem, wszystko, co straciłem, mogę łatwo odrobić, wszystko to stanie się nieważne, jeżeli będzie mi przebaczone”. - „Ale co ma być panu przebaczone?” - odpowiadano. Żaden donos dotychczas nie wpłynął, a przynajmniej nie został zaprotokołowany, w każdym razie nie ma żadnego śladu w protokołach dostępnych dla adwokatów. A co za tym idzie, o ile można było to stwierdzić, nic nie zostało przeciwko niemu wszczęte ani nic nie znajduje się w toku postępowania. Czy nie mógłby on wymienić jakiegoś urzędowego rozporządzenia, które byłoby skierowane przeciwko niemu? Ojciec nie mógł tego uczynić. Albo czy wszczęto jakieś dochodzenie ze

strony któregoś z urzędowych organów? I o tym ojciec nic nie umiał powiedzieć. A więc skoro nic nie wie i skoro nic się nie stało, to o co mu chodzi? Co miano mu przebaczyć, najwyżej to, że teraz niepotrzebnie nachodzi urzędy, ale tego właśnie przebaczyć się nie da. Ojciec nie poddawał się. Był wtedy jeszcze bardzo krzepki, a przymusowa bezczynność pozostawiała mu dużo czasu. „Zwrócę honor Amalii, nie potrwa to już długo” - powtarzał po kilka razy na dzień Barnabasowi i mnie, ale tylko po cichu, gdyż Amalia nie powinna była tego słyszeć. Mówił tak tylko z powodu Amalii, gdyż w rzeczywistości nie myślał wcale o odzyskaniu honoru, ale o przebaczeniu. Aby jednak uzyskać przebaczenie, musiał najpierw stwierdzić winę, a istnieniu winy właśnie w urzędach zaprzeczano. Wtedy wpadł na pomysł, co zresztą było już dowodem osłabienia władz umysłowych, że ukrywają przed nim winę, ponieważ za mało płaci, gdyż dotychczas płacił tylko wyznaczone opłaty, które, przynajmniej jak na nasz stan finansowy, były dość wysokie. Doszedł jednak teraz do przekonania, że musi więcej płacić, co na pewno było niesłuszne, gdyż w naszych urzędach dla uproszczenia i niewdawania się w niepotrzebne rozmowy przyjmuje się łapówki, ale niczego tą drogą nie można uzyskać. Ponieważ jednak stanowiło to dla ojca nadzieję, nie chcieliśmy mu w tym przeszkadzać. Wyprzedaliśmy, cośmy jeszcze posiadali - były to już same niezbędne rzeczy - aby dostarczyć ojcu środków do jego starań, i przez dłuższy czas mieliśmy co rano zadośćuczynienie, że ojciec, wyruszając w drogę, mógł przynajmniej kilku monetami w kieszeni pobrzękiwać. My wprawdzie głodowaliśmy przez cały dzień, jedyną zaś rzeczą, którą za cenę dostarczania ojcu pieniędzy uzyskiwaliśmy, była możliwość utrzymania go w pewnym błogostanie. Jednak to nie był chyba żaden sukces. Ojciec męczył się tymi wszystkimi petycjami i to, co bez tych pieniędzy dawno by się już skończyło, przeciągało się w nieskończoność. Ponieważ przez te dodatkowe opłaty w rzeczywistości nie można było nic nadzwyczajnego wskórać, czasem jakiś skryba próbował przynajmniej pozornie coś załatwić, obiecywał dalsze starania, dawał do zrozumienia, że odnaleziono już pewien ślad, po którym można iść dalej, nie z obowiązku, ale żeby tylko ojcu zrobić przyjemność. Ojciec zaś, zamiast rozpaczać, stawał się coraz ufniejszy. Z taką wyraźnie bezsensowną obietnicą powracał do nas, jak gdyby przynosił znów całkowitą pomyślność dla domu. Przykro było patrzeć, jak ciągle kryjąc się przed Amalią, z krzywym uśmiechem i z szeroko rozwartymi oczyma, wskazywał na nią dając nam do zrozumienia, że ocalenie jej, które nikogo tak nie zdziwi jak ją samą, jest już na skutek jego starań bardzo bliskie, choć wszystko to jest jeszcze tajemnicą, której musimy surowo przestrzegać. I tak ciągnęłoby się to wszystko jeszcze dłuższy czas, gdybyśmy w końcu nie doszli do tego, że nie było skąd wziąć dla ojca pieniędzy. Wprawdzie Barnabas tymczasem po wielu prośbach został przyjęty przez Brunswicka jako czeladnik, z

tym jednak, że miał przychodzić wieczorem po robotę i znowu po ciemku robotę odnosić. Trzeba bowiem przyznać, że Brunswick z naszego powodu ściągnął na swoje przedsiębiorstwo pewne niebezpieczeństwo i dlatego płacił Barnabasowi bardzo mało, choć wykonywana robota była bez zarzutu. Wynagrodzenie to starczało zaledwie, by ratować nas od głodowej śmierci. Bardzo ostrożnie i po starannym przygotowaniu zawiadomiliśmy ojca, że nie będziemy mu już więcej dawali zasiłków pieniężnych. Ojciec przyjął to bardzo spokojnie. Umysłowo nie był już zdolny pojąć beznadziejności swych interwencji, ale ciągle rozczarowania go znużyły. Powiedział wprawdzie (nie mówił już tak wyraźnie jak dawniej, kiedy to mówił aż nazbyt dobitnie), że potrzeba było mu już bardzo niewiele pieniędzy, gdyż jutro, a może nawet dziś ma się o wszystkim dowiedzieć, a teraz wszystko przepadło jedynie z powodu braku gotówki. Ale ton, jakim ojciec to powiedział, świadczył, że sam w to nie wierzy. Od razu miał też jakieś nowe plany. Ponieważ nie udało mu się udowodnić winy i co za tym idzie, nie mógł nic wskórać na drodze urzędowej, teraz musi przejść jedynie na drogę prośb i zwracać się do urzędników osobiście. Na pewno są między nimi ludzie o dobrym i współczującym sercu, któremu wprawdzie nie mogą ulegać w trakcie urzędowania, ale poza urzędem ulegliby, gdyby zaskoczono ich we właściwym momencie.

W tym miejscu K., który dotychczas z wielkim przejęciem wsłuchiwał się w słowa Olgi, przerwał jej opowiadanie pytaniem:

- A ty nie uważasz tego za słuszne? - Wprawdzie dalsze opowiadanie musiałoby mu dać na to odpowiedź, ale K. chciał wiedzieć natychmiast.

- Nie - odparła Olga - o litości albo o czymś w tym rodzaju w ogóle nie może być mowy. Choć byliśmy młodzi i niedoświadczeni, orientowaliśmy się na tyle, tak samo jak i ojciec się orientował, tylko on zapomniał już o tym, tak jak zapomniał prawie o wszystkim. Ułożył sobie plan, że stanie w pobliżu zamku na gościńcu, którędy przejeżdżają pojazdy urzędników, i będzie się starał, jeżeli to się tylko da, doręczyć swoją petycję o przebaczenie. Szczerze mówiąc, był to plan zupełnie nierozsądny, nawet gdyby okazało się możliwe, by prośba ojca rzeczywiście doszła do uszu któregoś z urzędników. Czyż pojedynczy urzędnik może w ogóle przebaczyć? Mogłoby to być tylko sprawą urzędu, ale i ten nie może prawdopodobnie przebaczyć, tylko sądzić. Czy jednak urzędnik w ogóle, nawet gdyby zechciał wysiąść z pojazdu i zająć się tą sprawą, mógł zorientować się w niej na podstawie tego, co ojciec, biedny, znużony, zestarzały człowiek, mruczałby do niego? Urzędnicy są bardzo wykształceni, ale tylko jednostronnie, w swojej specjalności urzędnik odgaduje z jednego słowa od razu cały tok myśli, ale sprawy dotyczące jakiegoś innego działu można mu godzinami tłumaczyć, może i kiwnie uprzejmie głową, ale nie będzie wiedział, o co chodzi.

To wszystko rozumie się samo przez się.

Weźmy choćby drobne urzędowe sprawy, które nas samych dotyczą, drobiazgi, które urzędnik załatwia jednym pociągnięciem pióra, i postarajmy się zgłębić aż do samego sedna, wystarczy nam tego na całe życie, a i tak nie skończymy. Ale gdyby nawet ociec dotarł do kompetentnego urzędnika, to ten i tak nie będzie mógł nic załatwić bez wstępnych dowodów sprawy, no i przede wszystkim nie na gościńcu. W ogóle nie jest on władny przebaczyć, a jedynie załatwić urzędowo, i w tym celu musi skierować sprawę na drogę urzędową, a załatwić coś na tej drodze już przecież ojcu od dawna się nie udawało. Jak dalece musiało już być źle z ojcem, skoro chciał coś tym swoim nowym planem wskórać! Jeśliby podobna możliwość w ogóle istniała, to na gościńcu roiłoby się przecież od petentów, ale ponieważ wypadek taki jest zupełnie niemożliwy, jak każdemu wbija się to już w szkole elementarnej do głowy, na gościńcu jest całkiem pusto. Być może, właśnie ta okoliczność umocniła ojca w jego nadziei, którą podsycił wszelkimi sposobami. To było nawet konieczne. Człowiek o zdrowych zmysłach wcale by się w takie rozważania nie wdawał, gdyż od razu z góry by się zorientować, że jest to niemożliwe. Kiedy urzędnicy jadą na wieś lub wracają na zamek, to nie są to przecież spacery dla przyjemności, zarówno we wsi jak i na zamku czeka na nich robota. Dlatego jadą zawsze tak szybko, jak tylko się da. Nie przychodzi im też na myśl wyglądać przez okno pojazdu, aby szukać na gościńcu petentów, przeciwnie - pojazdy są zapchane aktami, które urzędnicy wertują.

- Ja jednak widziałem - rzekł K. - wewnątrz urzędniczych sań, w których akt wcale nie było. - W opowiadaniu Olgi ukazał mu się tak ogromny, tak niemal niewiarygodny świat, że nie mógł sobie odmówić przyjemności, aby go swymi drobnymi przeżyciami dotknąć i w ten sposób zarówno o jego istnieniu, jak i o swoim własnym dokładniej się przekonać.

- Możliwe - powiedziała Olga - ale wtedy jest jeszcze gorzej, gdyż widocznie urzędnik ma sprawy tak ważne, że dotyczące ich akta są zbyt cenne lub zajmują za wiele miejsca, by je można było ze sobą wozić, a tacy urzędnicy każą wtedy furmanom pędzić cwałem. W każdym razie dla ojca nie mogą już oni mieć ani chwili czasu. A poza tym jest wiele dróg prowadzących do zamku. Raz jedna z nich jest w modzie i wtedy przeważnie nią jeżdżą, to znowu inna, i wtedy wszyscy tamtędy się cisną. Według jakich prawideł taka zmiana następuje, nikomu jeszcze nie udało się dociec. Czasem o ósmej rano wszyscy jadą jedną drogą, w pół godziny później znowu inną, po dziesięciu minutach trzecią, a w pół godziny, być może, znowu tą pierwszą - i tak pozostaje już potem przez cały dzień, ale w każdej chwili istnieje możliwość zmiany. Wprawdzie w pobliżu wsi wszystkie te drogi ze sobą się *łączą*, ale tam powozy po prostu już pędzą, podczas gdy w pobliżu zamku szybkość ich jest nieco

bardziej umiarkowana. Ale tak, jak porządek wyjazdów tą czy inną drogą jest nie ustalony i niemożliwy do przewidzenia, tak samo jest i z ilością pojazdów. Są często dni, kiedy nie można spotkać ani jednego pojazdu; to znowu jadą gromadnie. Wyobraź sobie teraz naszego ojca wobec tego wszystkiego. W swoim najlepszym ubraniu - wkrótce będzie to jego jedyne ubranie - wyrusza co rano z domu, żegnany naszymi błogosławieństwami. Mały znaczek strażacki, który właściwie zatrzymał bezprawnie, zabiera zawsze ze sobą, aby przypiąć go poza obrębem wsi, gdyż w samej wsi boi się go pokazać, choć znaczek jest taki malutki, że na dwa kroki trudno go dojrzeć. Zdaniem ojca znaczek ten ma posłużyć do zwrócenia uwagi przejeżdżających urzędników. Niedaleko od wjazdu na zamek znajdują się zakłady ogrodnicze należące do niejakiego Bertucha, który dostarcza jarzyny na zamek. Tam na wąskim kamiennym podmurowaniu sztachet ogrodowych ojciec obrał sobie miejsce. Bertuch pozwolił, ponieważ dawniej przyjaźnił się z ojcem i należał do jego najwierniejszych klientów, gdyż ma nieco zniekształconą stopę i był przekonany, że tylko ojciec potrafi dopasować mu odpowiedni but. Tam więc przesiadywał ojciec całymi dniami. Była to mglista i dżdżysta jesień, ale ojciec na pogodę wcale nie zważał. Rano, zawsze o tej samej godzinie, z ręką na kłamce, kiwał nam na pożegnanie, a wieczorem wracał - jak się nam wydawało - co dzień coraz bardziej przygarbiony i przemoknięty do nitki i zaszywał się gdzieś w kącie. Z początku opowiadał nam o swoich drobnych przeżyciach, na przykład to, że Bertuch z litości i starej przyjaźni przerzucał mu przez sztachety koc albo że w którymś z przejeżdżających pojazdów rozpoznał, jak mu się wydawało, tego czy innego urzędnika, czy też że od czasu do czasu jakiś furman go poznał, i dla żartów trącił batem. Potem jednak przestał takie rzeczy opowiadać, widocznie nie miał już nadziei osiągnięcia czegokolwiek. Uważał jedynie, że jego obowiązkiem i smutną powinnością jest chodzić tam i spędzać cały dzień. Wtedy zaczęły go męczyć bóle reumatyczne, nadchodziła zima i spadł pierwszy śnieg, gdyż jak wiadomo, zima u nas rozpoczyna się bardzo wcześnie. A on tam siadywał to na mokrych od deszczu kamieniach, to znowu na ośnieżonych. W nocy jęczał z bólu, rano niekiedy się namyślał, czy ma iść, przewycięzał się jednak i wychodził. Matka czepiała się ojca i nie chciała go puścić, on zaś prawdopodobnie z powodu odmawiających mu posłuszeństwa rąk i nóg stał się bojaźliwy i pozwalał jej towarzyszyć sobie, a wtedy i matkę chwyciły bóle. Często chodziliśmy do nich, nosiliśmy im jedzenie lub tylko odwiedzaliśmy ich, by namawiać do powrotu do domu. Jakżeż często zastawaliśmy ich tam opadłych z sił, opartych o siebie na wąskim podmurowaniu, skulonych pod cienkim kocem, który ledwie mógł ich okryć, a wokoło szarość śniegu i mgły, jak okiem sięgnąć, całymi dniami ani człowieka, ani pojazdu... Co za widok, K., co za widok! Aż wreszcie któregoś ranka ojciec nie zdołał już wyciągnąć

szttywnych nóg z łózka. To było rozpaczliwe. W gorączce majaczyło mu się, że właśnie w tej chwili przy ogrodzie Bertucha zatrzymuje się jakiś pojazd, z którego wysiada urzędnik, szuka ojca przy sztachetach, a potem potrząsając gniewnie głową znowu wsiada do powozu. Przy tym ojciec wyprawiał takie krzyki, jak gdyby chciał zwrócić na siebie uwagę tego urzędnika i wytłumaczyć mu, że nie jest jego winą, iż go tam nie ma. I ta jego nieobecność miała długo trwać, już tam nigdy nie wrócił, tygodniami musiał leżeć w łóżku. Amalia podjęła się obsługi, opieki i pielęgniarstwa, właściwie wszystko to z małymi przerwami pełni aż do dzisiejszego dnia. Zna się ona na ziołach leczniczych kojących bóle. Sama nie potrzebuje prawie snu, nic jej nie przeraża, nie boi się niczego i nigdy nie bywa zniecierpliwiona. I tak Amalia robiła wszystko przy rodzicach, podczas gdy my, nie mogąc nic pomóc, wałęsaliśmy się niespokojnie, ona natomiast pozostawała stale chłodna i cicha. Kiedy jednak najgorsze minęło i ojciec ostrożnie podpierany z prawa i z lewa, znowu potrafił wygramolić się z łóżka, Amalia zaraz się usunęła i pozostawiła go nam.

Plany Olgi

Teraz chodziło o to, aby dla ojca znowu znaleźć jakieś zajęcie, do którego byłby jeszcze zdolny, coś co by go przynajmniej utrzymywało w przekonaniu, że przyczynia się do zmazania winy ciążyącej na naszej rodzinie. Znaleźć coś takiego nie było zbyt trudno, gdyż równie celowe, jak siedzenie przy ogrodzie Bertucha, było w gruncie rzeczy wszystko. Ale znalazłam coś, co obudziło nawet we mnie nadzieję. Zawsze kiedy w urzędach lub wśród kancelistów czy gdzie indziej była mowa o naszej winie, to wspominano tylko o obrazie wyrządzonej posłańcowi Sortiniego, dalej nikt nie ważył się sięgać. Otóż powiedziałam sobie, że jeśli opinia publiczna, choćby tylko pozornie wie jedynie o obrazie posłańca, to również pozornie można by wszystko naprawić, gdyby udało się owego posłańca przebłagać. Nie wpłynął przecież żaden donos, jak nam oświadczone, więc żaden urząd nie ma jeszcze tej sprawy w rękach, a więc posłańcowi wolno, jeśli chodzi o jego własną osobę, a przecież o nic innego nie chodzi, przebaczyć. To wszystko nie mogło zresztą mieć żadnego decydującego znaczenia. Było tylko pozorne i nie mogło właściwie dać żadnych rezultatów, ale ojca i tak by to ucieszyło, zaś licznych informatorów, którzy go tak dręczyli, można by przypuszczalnie w ten sposób ku jego zadowoleniu zapędzić w koziego róg. Na początek oczywiście trzeba było odnaleźć owego posłańca. Kiedy przedstawiłam ojcu plan, na razie bardzo się rozgniewał, gdyż stał się niesłuchanie uparty i uważał częściowo - rozwinęło się to u niego podczas choroby - że zawsze przeszkadzaliśmy mu w ostatniej chwili w osiągnięciu sukcesu: nasamprzód przez niewypłacanie mu zasiłków pieniężnych, a teraz przez trzymanie go w łóżku - częściowo zaś dlatego, że już nie był w stanie rozumieć cudzych myśli. Nie zdążyłam planu tego wyłożyć do końca, a już został odrzucony. Zdaniem ojca, powinien był on dalej wyczekiwać przy ogrodzie Bertucha, a ponieważ nie będzie już w stanie sam codziennie tam chodzić, będziemy musieli wozić go w ręcznym wózku. Ale nie dałam za wygraną i ojciec powoli przyzwyczaił się do tej myśli. Raziło go jedynie to, że w tej sprawie będzie zupełnie ode mnie uzależniony, gdyż tylko ja widziałam wtedy owego posłańca, a on go wcale nie znał. Oczywiście jeden służący jest podobny do drugiego i ja również nie byłam całkiem pewna, że owego posłańca poznam. Potem zaczęliśmy chodzić do gospody dla oficjalistów i tam wśród służby go poszukiwać. Był to wprawdzie służący Sortiniego, a Sortini już na wieś nie przyjeżdżał. Panowie często zmieniają jednak swych służących, tak że łatwo można było spotkać tamtego posłańca wśród służby jakiegoś innego pana. Jeśli natomiast nie udałoby się spotkać jego samego, to może ktoś spośród służących mógł coś o nim wiedzieć. W tym celu

trzeba było jednak być co wieczór w gospodzie, a nas nigdzie chętnie nie widziano, a cóż dopiero w takim miejscu. Nie mogliśmy przecież tam wstępować jako goście, którzy płacą. Okazało się wszakże, że mogliśmy być przydatni. Wiesz chyba, jaki kłopot miała Frieda ze służbą. Są to w gruncie *rzeczy* przeważnie spokojni ludzie, ale zdemoralizowani i rozleniwieni lekką pracą. Istnieje powiedzonko wśród urzędników: „Oby ci się tak powodziło jak służącemu”. I rzeczywiście, jeśli chodzi o łatwe życie, służący są podobno prawdziwymi panami na zamku. Umieją oni to ocenić i na zamku, gdzie znajdują się w zasięgu jego praw, zachowują się spokojnie i godnie, jak często mi o tym donoszono. I tutaj między służącymi z zamku natrafia się jeszcze na resztki takiego zachowania, ale tylko na resztki, poza tym są oni przez to, iż prawa zamku na wsi już zupełnie nie obowiązują, jakby odmienieni. Stają się dziką, nieokiełznaną gromadą, podlegającą już nie żadnym prawom, ale własnym nienasyconym żądom. Ich bezwstyd nie zna granic. Jest szczęściem dla wsi, że gospody dla oficjalistów nie wolno im bez wyraźnego rozkazu opuszczać, w samej gospodzie wszakże trzeba było sobie jakoś z nimi radzić. Otóż Friedzie przychodziło to z wielkim trudem i dlatego bardzo była zadowolona, że mogła mnie użyć do mitygowania służących. Od przeszło dwóch lat przynajmniej dwa razy w tygodniu spędzam noc ze służącymi w stajni. Dawniej, kiedy ojciec mógł jeszcze towarzyszyć mi do gospody, zasypiał gdzieś w izbie z szynkwasem i czekał tam na wiadomości, które mu rano przyniosę. Nie było ich wiele. Poszukiwanego posłańca do dzisiaj nie odnaleźliśmy. Podobno służy nadal u Sortiniego, który wysoko go sobie ceni. Kiedy Sortini wycofał się do bardziej odległych kancelarii, to, jak mówią, i jego służący poszedł z nim. Wszyscy inni służący nie widzieli go równie dawno jak my, a kiedy któryś twierdził, że go w międzyczasie widział, to chyba się mylił. I tak mój plan właściwie zawiódł, choć może niezupełnie. Wprawdzie owego posłańca nie odnaleźliśmy, a ojcu, niestety, wyprawy do gospody i nocowanie tam oraz, być może, litość nade mną, o ile do czegoś takiego jest jeszcze zdolny, zadały ostateczny cios. Od blisko dwóch lat jest już w takim stanie, jak widziałeś, ale i tak ma się jeszcze może lepiej od matki, której śmierci oczekujemy codziennie i opóźnia się ona tylko na skutek nadludzkich wysiłków Amalii. W każdym razie w gospodzie jedną rzecz osiągnęłam: zadzierzgnęłam pewne powiązania z zamkiem. Nie pogardzaj mną, kiedy powiem, że nie żałuję tego, co zrobiłam. Jakież to poważne powiązania z zamkiem zadzierzgnęła, pomyślisz sobie i będziesz miał rację. To nie jest poważne powiązanie. Znam teraz wprawdzie wielu służących, niemal od wszystkich panów z zamku, którzy ostatnimi laty przyjeżdżali na wieś, i gdybym miała kiedyś trafić na zamek, to nie będę się tam czuła obco. Wprawdzie są to służący, którzy przybyli na wieś, na zamku są oni zupełnie inni i prawdopodobnie nie przyznają się tam do znajomości z nikim, a zwłaszcza

z kimś, z kim obcowali na wsi, choćby sto razy mi w stajni poprzysięgali, że cieszą się bardzo na zobaczenie mnie kiedyś na zamku. Zresztą już się sama o tym przekonałam, jak mało znaczą wszelkie tego rodzaju obietnice. Ale to wcale nie jest jeszcze najważniejsze. Nie tylko przez samych służących nawiązałam stosunki z zamkiem, ale może, i prawdopodobnie tak jest, ktoś, kto *i* góry na mnie patrzył i obserwował, co robię - a kierowanie tą liczną służbą jest oczywiście niesłychanie ważną i kłopotliwą częścią pracy urzędowej - ktoś, kto mnie obserwował, zapewne będzie mnie łagodniej sądził niż inni, gdyż może zorientuje się, iż wprowadzie w nędzny sposób, ale walczę o dobro mojej rodziny, kontynuując w ten sposób starania mego ojca. Jeśli tak na to spojrzeć, to wtedy każdy mi przebaczy, że przyjmuję od służących pieniądze i wydaję je na utrzymanie rodziny. Ale osiągnęłam jeszcze coś innego, co jednak i ty będziesz mi poczytywał za winę. Dowiedziałam się od parobków jak okrężną drogą, pomijając mozolne i trwające latami oficjalne przyjmowanie do służby zamkowej, można jednak tam się dostać. Wprowadzie nie jest się wtedy oficjalnym funkcjonariuszem, a tylko potajemnym i na wpół tolerowanym. Nie ma się ani praw, ani obowiązków, a to drugie właśnie jest najgorsze. Ale osiąga się przynajmniej to, że się jest blisko wszystkiego. Można wtedy dostrzegać i wykorzystywać pomyślne okoliczności. Nie jest się wprowadzie funkcjonariuszem, ale przypadkowo może się jednak jakaś praca nadarzyć, kiedy właściwego funkcjonariusza nie ma pod ręką i ktoś zawoła. Trzeba pobiec wtedy do niego pośpiesznie i choć przed chwilą nie było się jeszcze funkcjonariuszem, nagle się nim zostaje. Kiedy jednak może nadarzyć się taka okazja? Czasem od razu, zaledwie ktoś przybędzie i zdąży się rozejrzeć, okazja już jest. Nawet nie każdy ma dość przytomności umysłu, aby ją jako nowicjusz od razu wykorzystać. Ale innym razem trzeba czekać więcej lat, niż trwa oficjalne przyjęcie na służbę, a taki na wpół tolerowany służący nie może już potem nigdy być zgodnie z przepisami oficjalnie przyjęty. Nasuwa się więc tu dość wątpliwości, błędną one jednak wobec tego, że przy oficjalnym przyjmowaniu na służbę przeprowadza się bardzo dokładny wybór, tak że członek jakiegś nie cieszącej się najlepszą sławą rodziny z góry jest skazany na odrzucenie. Jeśli jednak ktoś taki mimo to podda się na przykład takiemu badaniu z drzeniem, to potem czeka latami na wynik. I choć ze wszystkich stron od pierwszego dnia pytają go ze zdziwieniem, jak mógł odważyć się na coś tak beznadziejnego, on jednak nie traci nadziei, bo jakżeż mógłby żyć bez niej. Ale po wielu latach, może już jako starzec, dowiaduje się o odrzuceniu jego kandydatury i przekonuje się, że wszystko jest stracone i życie jego było daremne. I tu oczywiście trafiają się wyjątki, dlatego właśnie ludzie dają się tak łatwo skusić. *Zdarza* się, że akurat nie cieszący się dobrą sławą kandydaci zostają w końcu przyjęci. Są bowiem urzędnicy, którzy dosłownie wbrew własnej woli lubią zapach takiej zwierzyny. Przy

badaniach przeprowadzanych w celu przyjęcia na służbę węższą oni w powietrzu, wykrzywiając usta i przewracając oczyma, gdyż właśnie taki człowiek w dziwny sposób niesłychanie zaostrza ich apetyt, tak że muszą kurczowo czepiać się litery prawa, aby móc się ostać. Oczywiście, niekiedy pomaga to delikwentowi nie tyle w przyjęciu, ile w nie kończącym się przewlekaniu procesu przyjmowania, który wówczas w ogóle nie ma końca i dopiero po śmierci kandydata zostaje przerwany. Tak więc zarówno przyjęcie zgodne z przepisami, jak i ten drugi sposób przyjmowania są tak najeżone jawnymi i ukrytymi trudnościami, że zanim ktoś się na to zdecyduje, winien przedtem wszystko dokładnie rozważyć. Nie omieszkaliśmy więc tego uczynić, ja i Barnabas. Za każdym razem, kiedy wracałam z gospody, siadaliśmy razem, ja opowiadałam wszystkie nowiny, o których się dowiedziałam, a potem oboje omawialiśmy je, a tymczasem praca Barnabasa długo leżała nie tknięta. I znów możesz mi to policzyć za winę. Wiedziałam przecież, że opowiadaniom parobków nie bardzo można było ufać. Zdawałam sobie sprawę, że nigdy nie mieli ochoty opowiadać mi o zamku, że zawsze zmieniali temat i o każde słowo kazali się prosić, potem jednak, kiedy się rozgadali, trudno było ich powstrzymać, pletli głupstwa, przechwalali się i prześcigali nawzajem w przesadzaniu i bladze, tak że w całym tym nie kończącym się wrzasku, w którym jeden drugiego przekrzykiwał w ciemnej stajni, mogłam wyłowić w najlepszym razie kilka mizernych aluzji do prawdy. Ja zaś z kolei powtarzałam wszystko Barnabasowi, tak jak zdołałam to sobie zapamiętać, on zaś, niezdolny jeszcze do rozróżniania prawdy od kłamstwa i na skutek sytuacji, w jakiej znajdowała się nasza rodzina, umierający wprost z pragnienia poznania tych rzeczy, wchłaniał wszystko w siebie i gorzał niecierpliwością usłyszenia czegoś więcej. I rzeczywiście na Barnabasie opierał się mój plan. Od parobków nie można już było nic więcej skorzystać. Posłaniec Sortiniego był nie do odszukania i prawdopodobnie już nigdy się go nie odnajdzie. Zarówno Sortini, jak i jego posłaniec zdawali się coraz bardziej oddalać. Często ich wygląd i nazwiska ulegały zapomnieniu i musiałam długo ich opisywać, osiagając przez to tylko tyle, że ktoś sobie z trudem przypominał, że tacy istnieli, ale poza tym nie potrafił nic o nich powiedzieć. A jeśli chodziło o moje współżycie z parobkami, to oczywiście nie mogłam mieć żadnego wpływu na to, jak ludzie to osądzają. Mogłam jedynie mieć nadzieję, że zostanie to zrozumiane tak, jak było pomyślane, że przez to wina ciężąca na naszej rodzinie nieco zmaleje, ale zewnętrznych oznak, że tak było, nie mogłam dostrzec. Mimo to prowadziłam dalej takie życie, gdyż nie widziałam dla siebie innej możliwości uzyskania czegoś dla nas na zamku. Dla Barnabasa jednak dostrzegłam taką możliwość. Z opowiadań parobków mogłam, jeśli miałam na to ochotę, a ochoty takiej mi nie brakowało, wywnioskować, że ktoś, kogo przyjmą do służby zamkowej, może wiele osiągnąć dla swej

rodziny. Chociaż, co w tych opowiadaniach zasługiwało w ogóle na wiarę, nie można było na pewno stwierdzić, ale że było tego niewiele, to jasne. Jeśli bowiem na przykład jakiś parobek, którego nie miałam nigdy już potem ujrzeć lub którego, jeślibym miała nawet zobaczyć, nie poznałabym na pewno, uroczyście mnie zapewniał, że dopomoże mojemu bratu dostać się na służbę do zamku lub że przynajmniej, jeśli Barnabas jakimś innym sposobem na zamek się dostanie, będzie go tam popierał i dodawał otuchy - gdyż według opowiadań parobków zdarza się, iż kandydaci na posadę z powodu przewlekłego czekania mdleją lub tracą zmysły, a wtedy są zgubieni, gdy przyjaciele o nich się nie zatroszczą - kiedy coś takiego lub podobnego mi opowiadano, były to prawdopodobnie uzasadnione przestrogi, wynikające jednak z nich obietnice były całkowicie płonne. Ale nie dla Barnabasa. Wprawdzie przestrzegałam go, aby temu nie wierzył, ale już samo to, że ja mu to opowiadałam, wystarczyło, aby zapalił się do moich planów. Moje argumenty były dla niego o wiele mniej przekonujące, głównie działały na niego opowiadania parobków. I tak byłam zdana jedynie na własne siły, z rodzicami poza Amalią nikt w ogóle nie mógł się porozumieć. Im bardziej starałam się na swój sposób wprowadzić w czyn dawne plany mego ojca, tym bardziej Amalią się ode mnie odwracała. Przy tobie lub przy innych ludziach rozmawia ona ze mną, ale kiedy jesteśmy same, nigdy. Dla parobków w gospodzie stałam się zabawką, którą starali się zniszczyć z pasją. Nigdy w przeciągu dwóch lat nie zamieniłam z żadnym z nich szczerego słowa, a jedynie podstępne, kłamliwe lub bezsensowne. Pozostał mi więc tylko Barnabas, a Barnabas był jeszcze bardzo młody. Kiedy podczas moich sprawozdań dostrzegałam w jego oczach błysk, który od tego czasu w nich pozostał, ogarniało mnie przerażenie, ale nie przerywałam opowiadania, gdyż wydawało mi się, że stawka jest zbyt wielka. Oczywiście nie miałam wielkich, choć płonnych, planów mego ojca, brak mi było jego męskiej stanowczości, uważałam, że wystarczy zadośćuczynienie za obrazę posłańca, i pragnęłam jeszcze, by tę moją skromność policzono mi za zasługę. To wszakże, co mnie samej się nie udało, chciałam teraz za pośrednictwem Barnabasa inaczej i pewniej osiągnąć. Obraziliśmy posłańca i wypłoszyliśmy go z frontowych kancelarii. Cóż było prostszego jak w osobie Barnabasa zaofiarować im w zamian nowego posłańca, kazać mu wykonywać pracę tamtego obrażonego, a obrażonemu umożliwić spokojne przebywanie z dala, jak długo będzie chciał i potrzebował, aby zapomnieć wyrządzoną mu krzywdę. Zmiarkowałam wszakże, że pomimo całej skromności tego planu tkwiła w nim również i pewna zarozumiałość, gdyż mógł wywołać wrażenie, że chcemy urzędowi dyktować, jak ma sprawy personalne załatwiać, lub że wątpimy, czy urząd z własnego natchnienia potrafi powziąć najlepszą decyzję, choć pewnie dawno ją już powziął, zanim wpadliśmy na myśl, że należy coś tu przedsięwziąć. Przy

czym zdawało mi się jednak, że jest niemożliwe, aby urząd mógł mnie tak źle zrozumieć, a gdyby nawet tak być miało, aby ucnił to z rozmysłem, to znaczy, by wszystko co robię, zostało z góry, bez dokładniejszych badań odrzucone. Tak więc nie dawałam za wygraną, a ambicja Barnabasa zrobiła swoje. W czasie tych przygotowań Barnabas stał się tak zarozumiały, iż uznał szewstwo za pracę niegodną przyszłego funkcjonariusza kancelaryjnego. Ba, nawet odważył się przeczyć Amalii, kiedy, choć zdarzało się to nader rzadko, do niego się odezwała, i to przeczyć kategorycznie. Pozwalała mu chętnie na tę przelotną przyjemność, gdyż od pierwszego dnia, kiedy poszedł na zamek, radość jego i duma, jak to było do przewidzenia, od razu prysły. Zaczęła się więc owa pozorna służba, o której ci już mówiłam. Dziwne było to, że Barnabas tak od razu, bez trudności w ogóle dostał się na zamek, a właściwie do owej kancelarii, która jeśli można tak powiedzieć, stała się miejscem jego pracy. Od tego sukcesu omal wtedy nie oszalałam. Wieczorem, kiedy Barnabas po powrocie do domu wiadomość tę mi szepnął, pobiegłam do Amalii, porwałam ją, wcisnęłam w kąt i zaczęłam całować, niemal gryźć, tak że rozplakała się z bólu i przerażenia. Z przejęcia nie mogłam wymówić ani słowa, a ponieważ od dłuższego czasu jużemy ze sobą nie rozmawiały, odłożyłam naszą rozmowę na dzień następny. Nazajutrz jednak oczywiście nie było już nic do powiedzenia, bo tak szybko osiągnięty sukces nie miał dalszego ciągu. Przez dwa długie lata prowadził Barnabas to monotonne, wzbudzające litość życie. Parobcy całkowicie zawiedli, dałam Barnabasowi liścik, w którym polecałam go ich troskliwości i przypominałam im równocześnie dane mu obietnice. Barnabas, ile razy spotykał jakiegoś parobka, wyciągał ów list i pokazywał mu go. Trafiał na parobków, którzy mnie nie znali, lub też znajomi parobcy oburzali się na jego milczący sposób pokazywania owego listu - gdyż nie ważył się tam na górze w ogóle mówić - takie postępowanie było haniebne, nikt mu nie chciał dopomóc. Odczuliśmy więc jak zbawienie, które mogliśmy byli sobie zresztą sami sprokurować od dawna, kiedy pewien parobek, któremu ów list został już kilka razy gwałtem do ręki wcisnięty, zmiął go i wrzucił do kosza. Mógł niemal przy tym, jak mi to na myśl przyszło, powiedzieć: „I wy przecież podobnie postępujecie z listami”. Chociaż cały ten okres nie dał właściwie żadnych rezultatów, na Barnabasa wywarł dodatni wpływ, jeśli można nazwać dodatnim, że przedwcześnie dojrzał i stał się mężczyzną, pod pewnymi względami poważniejszym i bardziej świadomym od niejednego dorosłego. Często zasmuca mnie jego widok, kiedy porównuję go z chłopcem, jakim był jeszcze przed dwoma laty. Przy tym nie znajduję w nim wcale pociechy i oparcia, które mógłby mi on jako mężczyzna dać. Beze mnie prawdopodobnie wcale by na zamek się nie dostał, ale gdy się już tam znalazł, zupełnie się ode mnie uniezależnił. Jestem jego jedyną powiernicą, choć na pewno opowiada mi tylko

drobną cząstkę tego, co mu leży na sercu. Mówił mi wiele o zamku, ale z jego opowiadań i tych drobnych faktów, o których mnie informuje nie mogę w ogóle zrozumieć, jak mogło go to aż tak zmienić. Zwłaszcza nie można pojąć, dlaczego stracił tam na górze, jako mężczyzna, tę śmiałość, której jako chłopiec posiadał tak rozpaczliwie dużo. Wprawdzie to bezcelowe wystawanie i czekanie dzień po dniu, i ciągle znów od początku, i bez żadnej nadziei na zmianę, łamie go wewnątrz, budzi zwątpienie i wreszcie czyni niezdolnym do czego innego, prócz takiego rozpaczliwego wystawania. Ale dlaczego przedtem już nie stawiał żadnego oporu? Zwłaszcza że dość szybko spostrzegł, iż miał rację i że nie może tam nic dla swojej ambicji wskórać, a jedynie może coś zrobić dla poprawienia sytuacji naszej rodziny. Bo wszystko tam, poza kaprysami służących, odbywa się jak najskromniej, ambicja szuka tam zadowolenia jedynie w pracy, a ponieważ przy tym przewagę uzyskuje sama praca, ambicja całkiem się zatracza, gdyż na dziecinne zachcianki nie pozostaje miejsca. Zdawało się wszakże Barnabasowi, według tego co mi opowiadał, że widział wyraźnie, jak wielka jest potęga i wiedza nawet tych bardzo wątpliwych urzędników, do których pokoju wolno mu było wchodzić. Widział, jak dyktowali szybko z na wółprzymkniętymi oczyma, pomagając sobie urywanymi ruchami rąk, a potem skinieniem palca jedynie, bez słowa, wypraszali mrukliwych służących, którzy w takich chwilach ciężko dysząc błogo się uśmiechali. Następnie widział jak urzędnicy wyszukiwali jakieś ważne miejsce w swych księgach, uderzali po nich mocno dłonią, inni zaś, o ile ciasnota na to pozwalała, przebiegali wyciągając z ciekawością szyje. Takie i podobne spostrzeżenia ugruntowały w Barnabasie wysokie pojęcie o tych ludziach i miał wrażenie, że jeśli uda mu się zwrócić na siebie ich uwagę oraz zamienić z nimi kilka słów nie jako obcy, ale jako kolega kancelaryjny, choćby nawet podrzędnego gatunku, to byłoby to dla naszej rodziny nieobliczalne w skutkach osiągnięcie. Ale do tego jeszcze nie doszło, a zrobić coś, co by go do tego mogło przybliżyć, Barnabas się nie odważał, chociaż wie już dokładnie, że pomimo swego młodego wieku dzięki nieszczęsnym okolicznościom zaawansował w naszej rodzinie na odpowiedzialne stanowisko ojca rodziny. A teraz, aby wyznać ci jeszcze i to: przed tygodniem ty do nas przybyłeś. Słyszałam w gospodzie dla panów z zamku, jak ktoś o tym wspomniał, ale mnie to nie zainteresowało; przybył jakiś tam geometra, nawet nie wiedziałam, co to właściwie jest. Ale na drugi dzień wieczorem wraca Barnabas - zwykle wychodziłam o ustalonej godzinie kawałek drogi na jego spotkanie - wcześniej niż zwykle do domu, zastaje Amalię w izbie, wywołuje więc mnie na ulicę, opiera się twarzą o moje ramię i płacze przez minutę. Jest znowu małym chłopcem sprzed lat. Przydarzyło mu się coś ponad jego siły. Wydaje się, że ukazał mu się cały nowy świat, ale szczęściu i troskom wynikającym z tej nowości nie może

podolać. A przy tym nic właściwie innego się nie stało, tylko otrzymał list, by doręczyć go tobie. Ale jest to oczywiście pierwszy list i pierwsza praca, które w ogóle dostał.

Olga urwała nagle. Było tak cicho, że słyhać było jedynie ciężki, czasami rżący oddech rodziców. K. zaś dodał od niechcenia, jakby chciał uzupełnić opowiadanie Olgi:

- Udawaliście przede mną. Barnabas doręczył mi list jak stary, wysłużony posłaniec, a zarówno ty, jak i Amalia, która tym razem była z wami w zмовie zachowywałyście się tak, jakby ta posada posłańca i te listy były dla was całkiem drugorzędną sprawą.

- Powinieneś nas rozróżniać - powiedziała Olga. - Barnabas z powodu tych dwóch listów stał się znowu szczęśliwym dzieckiem, pomimo wszelkich wątpliwości, które jeszcze żywi co do swojej służby. Wątpliwości te zachowuje tylko dla siebie i dla mnie. Wobec ciebie natomiast jego ambicja każe mu zachowywać się jak prawdziwemu posłańcowi, to znaczy, jak według jego wyobrażenia prawdziwi posłańcy winni się zachowywać. Tak na przykład musiałam mu, chociaż jego nadzieja na ubranie służbowe teraz wzrosła, w ciągu dwóch godzin tak przerobić spodnie, by przynajmniej przypominały obcisłe spodnie służbowego ubrania i aby mógł przed tobą, którego pod tym względem łatwo jeszcze nabrać, w nich paradować. Taki jest Barnabas. Amalia natomiast naprawdę pogardza posadą posłańca, a teraz kiedy Barnabas osiągnął, jak się wydaje, pewien sukces, jak mogła się o tym łatwo przekonać z zachowania Barnabasa oraz naszego wspólnego przesiadywania i szeptów, pogardza ona tą posadą jeszcze bardziej niż dawniej. Amelia więc zawsze mówi prawdę i nie powinieneś nigdy wątpić w to. Kiedy jednak, K., ja sama czasami posadę posłańca poniżałam, to nie działo się to z rozmysłu, aby cię wprowadzić w błąd, ale ze strachu. Te dwa listy, które dotychczas przeszły przez ręce Barnabasa, są od trzech lat pierwszą, wprowadzie jeszcze dość wątpliwą oznaką łaski, jaką naszej rodzinie wyświadczone. Ten przełom, jeśli to jest w ogóle przełom, a nie pomyłka tylko - pomyłki zdarzają się częściej niż przełomy - jest związany z twoim tu przybyciem. Nasz los uzależnił się w pewnej mierze od ciebie. Być może te dwa listy są jedynie jakimś początkiem i działalność Barnabasa rozszerzy się przez załatwienie twoich spraw. Miejmy nadzieję, jak długo się da. Na razie jednak wszystko dotyczy tylko ciebie. Tam na górze musimy się zadowolić tym, co nam przypadnie w udziale, tu na dole wszakże możemy chyba także coś na własną rękę zdziałać, a mianowicie: pozyskać twoją przychylność lub przynajmniej ochronić się przed twoją niechęcią lub też, i to jest najważniejsze, w miarę naszych sił i możliwości ciebie strzec, abyś nie utracił powiązania z zamkiem, z którego może my będziemy mogli żyć. Ale jak to wszystko najlepiej zacząć? Trzeba tak zrobić, abyś nas nie podejrzewał, kiedy się do ciebie zbliżamy, bo jesteś przecież tu obcy i dlatego wobec wszystkich podejrzliwy, i to słusznie podejrzliwy. Poza tym wszyscy

tu nami pogardzają i ty na pewno znajdujesz się pod wpływem ogólnej opinii o nas, szczególnie za pośrednictwem twojej narzeczonej. Jakżeż więc mamy do ciebie dotrzeć, nie występując na przykład, choćbyśmy wcale tego nie chcieli, przeciwko twojej narzeczonej, nie urażając przez to twoich uczuć. Przesłane ci listy, które przeczytałam dokładnie, zanim je otrzymałeś - Barnabas ich nie czytał, gdyż jako posłaniec nie śmiał - wydały mi się na pierwszy rzut oka nie bardzo ważne, już nieaktualne i deprecjonujące same siebie przez odwoływanie się do wójta gminy. Jakżeż więc pod tym względem mieliśmy się wobec ciebie zachować? Gdybyśmy podkreślali ważność tych listów, to wzbudzilibyśmy w tobie podejrzenie, że przeceniamy coś wyraźnie nieważnego i zachwalamy, jako doręczyciele listów, gdyż mamy w tym własne swoje, a nie twoje, cele. Ba, przez to moglibyśmy nawet obniżyć w twoich oczach wagę tych nowin i mimo woli cię oszukać. Gdybyśmy jednak nie przypisywali tym listom dość wielkiej wagi, to i wówczas moglibyśmy wzbudzić twoje podejrzenie, gdyż po co mielibyśmy zajmować się doręczaniem nieważnych listów. Dlaczego nasze czyny i nasze słowa miałyby sobie przeczyć nawzajem, dlaczego w ten sposób oszukiwalibyśmy nie tylko ciebie, do którego listy były adresowane, ale również naszego mocodawcę, który na pewno tych listów by nam nie przekazał, gdyby wiedział, że przez nasze komentarze obniżamy ich wartość u adresata. A gdybyśmy zachowali złoty środek pomiędzy obu krańcowościami, to znaczy, gdybyśmy listy chcieli właściwie ocenić, okazałoby się to niemożliwe, gdyż stałe zmieniają one swoją wartość. Rozważania, jakie one powodują, nie mają końca i tylko przypadek określa, gdzie przy tym się zatrzymamy - dlatego i opinia musi być przypadkowa. Jeśli jednak dojdzie jeszcze do tego strach o ciebie, to wszystko się płacze i dlatego nie powinieneś zbyt surowo sądzić moich słów. Kiedy na przykład, jak to już raz się stało, Barnabas przyjdzie z wiadomością, że niezadowolony jesteś z jego usług jako posłańca, i w pierwszym przerażeniu, niestety z właściwym posłańcom przerażeniem proponuje zrzeczenie się swej służby, to aby błąd ten naprawić, będę w stanie kręcić, kłamać i oszukiwać, w ogóle popełniać każde zło, które może pomóc. Ale wtedy będę to wszystko robiła, tak mi się przynajmniej zdaje, zarówno dla ciebie, jak i dla nas.

Rozległo się pukanie. Olga podbiegła do drzwi i otworzyła. Do ciemnej izby wpadło pasmo światła ze ślepej latarki. Zapóźniony gość szeptał jakieś pytania i otrzymywał również szeptem odpowiedzi, nie zadowolając się jednak tym i chciał koniecznie wtargnąć do izby. Olga nie mogła widocznie już go powstrzymać i zawołała Amalię, "W nadziei, że ta zrobi wszystko, aby ochronić sen rodziców, i skłoni gościa do oddalenia się. Rzeczywiście, Amalia niezwłocznie przybiegła, odsunęła Olgę na bok, wyszła na ulicę i zamknęła za sobą drzwi. Trwało to zaledwie krótką chwilę i Amalia wróciła, osiągnąwszy tak szybko to, co dla Olgi

było nieosiągalne.

K. dowiedział się później od Olgi, że była to wizyta do niego, był to jeden z pomocników, szukający go z polecenia Friedy. Olga pragnęła ochronić K. przed pomocnikiem. Jeśli K. będzie chciał przyznać się Friedzie, że był tutaj, to jego rzecz, ale nie powinien być tu nakryty przez pomocnika. K. docenił to. Propozycję Olgi, by spędził u nich noc w oczekiwaniu na Barnabasa, odrzucił. Gdyby tylko o to chodziło, może by i przyjął tę propozycję, gdyż była już późna noc i wydawało mu się, że obecnie, czy chce, czy nie chce, jest już z tą rodziną tak złączony, że nocleg w jej domu, z innych względów może i przykry, jest wobec tego połączenia czymś dla niego w całej wsi najnaturalniejszym. Mimo to odrzucił propozycję. Odwiedziny pomocnika spłoszyły go. Nie mógł zrozumieć jak Frieda, która wiedziała przecie, czego chce, i pomocnicy, którzy nauczyli się go bać, znowu tak dalece doszli do porozumienia, że Frieda nie zawahała się posłać po niego pomocnika, i to tylko jednego, podczas gdy ten drugi przypuszczalnie z nią pozostał. K. spytał Olgę, czy posiada bicz. Okazało się, że bicza nie ma, ale posiada niezgorszą różgę wierzbową. Więc K. wziął różgę i zapytał, czy istnieje jeszcze drugie wyjście z ich domu. Okazało się, że jest takie wyjście przez podwórze, ale trzeba by przeleźć przez płot do sąsiedniego ogrodu i przejść przez ten ogród, by dotrzeć do ulicy. K. postanowił to zrobić. Podczas gdy Olga prowadziła go przez podwórze do owego płotu, K. starał się ją naprędce w jej troskach pocieszyć, oświadczył, że się na nią nie gniewa z powodu drobnych wybiegów, użytych przez nią w opowiadaniu, nawet ją rozumie. Potem podziękował za zaufanie, które mu okazała i o którym świadczyło właśnie to opowiadanie i polecił, by Barnabasa zaraz po jego powrocie przysłała do szkoły, choćby to miało być w nocy. Wprawdzie listy doręczane przez Barnabasa nie stanowią jego jedynej nadziei, ale nie chce w żadnym wypadku tych listów się wyrzec, chce się do nich dostosować, nie zapominając przy tym o Oldze, gdyż jeszcze ważniejsza od tych listów jest dla niego sama Olga z jej odwagą, rozsądkiem, mądrością i ofiarnością dla rodziny. Gdyby miał wybierać między Olgą a Amalią, to nie potrzebowałby wiele się namyślać. Toteż uściśnął serdecznie jej rękę, wskakując na płot sąsiedniego ogrodu.

Rozdział 16

Kiedy K. znalazł się na ulicy, ujrzał, o ile ciemności nocy na to pozwalały, w oddali, przed domem Barnabasa, swojego pomocnika, który przechadzał się tam i z powrotem, niekiedy przystawał i próbował przez zasłonięte firanką okno świecić latarką do wewnątrz. K. zawołał na niego. Pomocnik, choć najwidoczniej przeraził się, przestał czatować koło domu i podbiegł do K.

- Kogo szukasz? - spytał K. próbując równocześnie giętkości wierzbowej różgi na swym udzie.

- Ciebie - odpowiedział pomocnik podchodząc bliżej.

- Kim ty właściwie jesteś? - spytał nagle K., gdyż wydało mu się, że nie jest to pomocnik. Był jakby starszy, bardziej zmęczony i pomarszczony, ale pełniejszy na twarzy. Również jego chód był całkiem inny niż szybki, jakby naelektryzowany w stawach chód pomocników. Chód tego człowieka był powolny, nieco kulejący i dostojnie chorowity.

- Nie poznajesz mnie? - spytał nieznajomy. - Jestem Jeremiasz, twój dawny pomocnik.

- Ach tak - rzekł K. i wyciągnął znowu wierzbową różgę, którą ukrył był za plecami. - Całkiem się jednak zmieniłeś.

- To dlatego, że jestem sam jeden - odparł Jeremiasz. - Odkąd jestem sam jeden, to już po mojej radosnej młodości.

- A gdzie jest Artur? - spytał K.

- Artur? - odpowiedział pytaniem Jeremiasz. - Ten mały piesz-czoszek? Opuścił służbę. Byłeś bowiem nieco za brutalny i surowy wobec nas. Jego delikatna natura tego nie zniosła. Wrócił na zamek i wnosi skargę na ciebie.

- A ty? - spytał K.

- Ja mogłem pozostać - powiedział Jeremiasz. - Artur wnosi skargę również i w moim imieniu.

- A o cóż właściwie ta skarga? - spytał K.

- O to - odparł Jeremiasz - że nie znasz się na żartach. Bo cóż złego uczyniliśmy? Trochę żartowaliśmy, trochę śmialiśmy się i przekomarzali z twoją narzeczoną. Zresztą wszystko zgodnie z poleceniem. Kiedy nas Galater do ciebie posłał...

- Galater? - spytał K.

- Tak, Galater - odparł Jeremiasz. - Zastępował właśnie wtedy Klamma. Posyłając nas do ciebie, dokładnie sobie to zapamiętałem, gdyż akurat na to się powołujemy, powiedział:

„Pójdziecie tam jako pomocnicy geometry”. Odpowiedzieliśmy: „Nie znamy się przecie na tej robocie”. On zaś na to: „Nie jest to najważniejsze; kiedy będzie trzeba, to on was nauczy. Najważniejsza rzecz, żebyście go trochę rozweselili. Jak mnie poinformowano, przejmuję się on wszystkim bardzo. Przybył teraz na wieś i od razu stało się to dla niego wielkim wydarzeniem, gdy w rzeczywistości nie jest to nic ważnego. Powinniście mu to wytłumaczyć”.

- No i - spytał K. - czy Galater miał rację i czy wykonaliście polecenie?

- Nie wiem - odparł Jeremiasz. - W tak krótkim czasie nie było to chyba możliwe. Wiem jedynie, że byłeś bardzo grubiański, i o to cię oskarżamy. Nie rozumiem, jak ty, który jesteś przecież tylko funkcjonariuszem, i to nawet nie funkcjonariuszem zamkowym, nie możesz pojąć, że tego rodzaju służba jest ciężką pracą i że jest to bardzo niesprawiedliwe, samowolne i prawie dziecinne tak ją utrudniać pracownikowi, jakeś to czynił. Ta bezwzględność, z jaką kazałeś nam wtedy marznąć przy sztachetach, albo kiedy Artura, który z powodu złego słowa przez wiele dni cierpiał omal nie zabiłeś pięścią wtedy na materacu lub kiedy mnie po południu ganiałeś na wszystkie strony po śniegu, tak że potem potrzebowałem całej godziny, by mi serce odpoczęło. Przecież nie jestem młody!

- Kochany Jeremiaszu - powiedział K. - masz w tych wszystkich sprawach rację, powinienes jedynie zwrócić się z tym do Galatera. Przecież to on przysłał was tu z własnej woli, gdyż ja wcale go o to nie prosiłem. A ponieważ o was nie prosiłem, to mogłem was odesłać i wolałbym załatwić to w sposób pokojowy, a nie przemocą, ale widocznie wy nie chcieliście inaczej. Zresztą dlaczego od razu, kiedy do mnie przyszlście, nie mówiłeś tak szczerze jak teraz.

230

- Ponieważ byłem na służbie - odpowiedział Jeremiasz - to się samo przez się rozumie.

- A teraz już nie jesteś na służbie? - spytał K.

- Teraz już nie - odparł Jeremiasz. - Artur wymówił na zamku służbę lub co najmniej toczy się dochodzenie, które nas ostatecznie od służby uwolni.

- Ale przecież szukasz mnie jeszcze, tak jakbyś był na służbie - powiedział K.

- Nie - odparł Jeremiasz - szukam cię, tylko aby uspokoić Friedę. Kiedy ją opuściłeś dla dziewcząt Barnabasa, czuła się bardzo nieszczęśliwa, nie tyle z powodu utraty ciebie, ile z powodu twojej zdrady. Wprawdzie przeczuwała to już od dawna i wiele z tego powodu przecierpiała. Przyszedłem pod okna szkoły, aby zobaczyć tylko, czy czasem nie zmądrzałeś. Ale ciebie tam nie było. Jedynie Frieda siedziała w ławce szkolnej i płakała. Wstąpiłem tedy do niej i doszliśmy do porozumienia. Wszystko już zostało załatwione. Zostałem pokojowym

w gospodzie dla oficjalistów, przynajmniej dopóki moja sprawa nie zostanie w zamku zakończona, a Frieda będzie znowu pracowała przy szynkwasio. Dla niej tak będzie lepiej. Nie było mądrze z jej strony, że została twoją żoną. Ty również nie potrafiłeś ocenić ofiary, którą chciała dla ciebie ponieść. Ale pocziwa Frieda ciągle jeszcze ma wątpliwości, czy nie stała ci się krzywda, bo może nie byłeś jednak u tych Barnabasów. Mimo że nie można było mieć żadnych złudzeń co do tego, gdzie jesteś, poszedłem tam, aby to już raz na zawsze ustalić. Po wszystkich tych emocjach Frieda zasługuje na to, by mogła spokojnie zasnąć. Poszedłem więc i nie tylko że cię znalazłem, ale przy tej sposobności mogłem się przekonać, że te dziewczęta tak tańczą, jak im zagrasz, zwłaszcza ta brunetka, istna dzika kotka trzyma twoją stronę. No, są gusta i guściki! W każdym razie niepotrzebnie wybrałeś okrężną drogę przez sąsiedni ogród, gdyż ja ją znam.

A więc stało się to, co było do przewidzenia, ale czemu nie można było przeszkodzić. Frieda go opuściła. Nie musiało to być nieodwołalne, tak źle jeszcze nie było. Friedę można odwojować. Ulegała ona łatwo obcym wpływom, nawet tych pomocników, którzy pozycję Friedy uważali za podobną do swej własnej sytuacji, a teraz, kiedy ich oddalono, namówili Friedę do odejścia. Lecz wystarczyło, by K. przed nią stanął i przypomniał jej o wszystkim, co za nim przemawiało, a na pewno poczułaby skruchę i wróciła do niego. Cóż dopiero, gdyby udało mu się usprawiedliwić swój pobyt u tamtych dziewcząt jakimś sukcesem, który im zawdzięczałby. Ale mimo tych rozważań, którymi chciał uspokoić siebie co do Friedy, nie był jednak spokojny. Tak niedawno chwalił się przed Olgą swoją Friedą, nazwał ją nawet swoim jedynym oparciem. No, i to oparcie nie okazało się najmocniejsze, nie potrzeba było interwencji jakiegoś mocarza, aby K. Friedę odebrać, wystarczył ten niezbyt apetyczny pomocnik, to cielsko, które czasami robiło wrażenie, że nie należy do żywego człowieka.

Jeremiasz zaczął się już wycofywać. K. przywołał go z powrotem.

- Jeremiaszu - powiedział - chcę być wobec ciebie całkiem szczery, ale odpowiedz mi uczciwie na jedno pytanie. Nasz stosunek nie jest już przecież stosunkiem pana do sługi, z czego zresztą nie tylko ty się cieszysz, ale również i ja. Nie mamy więc żadnego powodu wzajemnie się oszukiwać. Tu przed twoimi oczyma łamię różgę, która była dla ciebie przeznaczona, gdyż nie ze strachu przed tobą wybrałem drogę przez ogród, ale aby cię zaskoczyć i tą różgą kilka razy zdzielić. No, nie bierz mi teraz tego za złe, to już należy do przeszłości. Gdybyś nie był służącym nasłanym mi przemocą z urzędu, ale po prostu znajomym, to na pewno, chociaż twój wygląd czasem mnie drażnił, nasze stosunki świetnie by się ułożyły. Zresztą możemy jeszcze teraz nadrobić, cośmy pod tym względem zaniedbali.

- Myślisz? - spytał pomocnik i ziewając przetarł zmęczone oczy. - Mógłbym ci całą tę

sprawę dokładniej wytłumaczyć, ale nie mam czasu. Muszę wracać do Friedy, bo biedactwo na mnie czeka. Nie objęła jeszcze służby. Zarządca gospody na skutek mojej perswazji udzielił jej, choć widocznie dla zapomnienia chciała od razu pogрузić się w pracy, jeszcze krótkiego urlopu. Chcemy go przynajmniej razem spędzić. Co zaś się tyczy twojej propozycji, to oczywiście nie mam powodu cię okłamywać ani też zwierzać ci się. Ze mną jest bowiem inaczej niż z tobą. Dopóki znajdowałem się w stosunku służbowym do ciebie, byłeś dla mnie naturalnie bardzo ważną osobą, nie z powodu swoich zalet, ale z powodu urzędowego zlecenia i zrobiłbym dla ciebie wszystko, czego byś *zażądał*, *teraz* jednak jesteś nu całkowicie obojętny. Również to złamanie różgi wcale mnie nie wzrusza, lecz przypomina mi jedynie o tym, jak brutalnego miałem pana. W każdym razie nie może mnie to do ciebie dobrze usposobić.

- Mówisz do mnie tak - rzekł K. - jak gdyby było całkiem pewne, że nie będziesz już nigdy potrzebował mnie się bać. Właściwie jednak wcale tak nie jest. Prawdopodobnie nie jesteś jeszcze ode mnie uniezależniony, tak prędko żadnej sprawy się nie załatwia.

- Czasami jeszcze prędzej - wtrącił Jeremiasz.

- Czasami - rzekł K. - ale nic na to nie wskazuje, że właśnie tym razem tak się stanie. Przynajmniej dotychczas ani ty, ani ja nie mamy pisemnego załatwienia tej sprawy w ręku. Postępowanie więc jest dopiero w toku i ja nie skorzystałem jeszcze z moich stosunków, by interweniować. Zrobię to jednak na pewno. Jeśli wypadnie to dla ciebie niepomyślnie, to dlatego, że nie bardzo się do tego przyczyniasz, aby pozyskać przychyłność twojego pana. Może nawet niepotrzebnie zламаłem moją wierzbową różgę. A Friedę wprowadzi mi uprowadziłeś, od czego pycha cię rozpiera, ale pomijając należyty twojej osobie respekt, który mam, nawet gdy ty dla mnie już nie masz żadnego, kilka zwróconych przeze mnie do Friedy słów wystarczy, wiem to dobrze, by zniszczyć tę siatkę kłamstw, w którą ją uwikłałeś. Bo tylko kłamstwa mogły zrazić Friedę do mnie.

- Twoje groźby wcale mnie nie przerażają - rzekł Jeremiasz. - Nie chcesz mnie przecież wcale mieć za pomocnika, boisz się mnie jako pomocnika, boisz się pomocników w ogóle i jedynie ze strachu pobiłeś tego pocziweg) Artura.

- Być może - rzekł K. - ale czy z tego powodu mniej go to bolało? Przypuszczalnie będę mógł w podobny sposób okazać mój strach przed tobą jeszcze nieraz. Jeśli zobaczę, że służba pomocnika nie sprawia ci przyjemności, to pomimo całego strachu będzie mnie niesłychanie bawić, gdy cię do niej zmuszę. A tym razem specjalnie o to się postaram, aby ciebie samego, bez Artura, dostać. Będę mógł wtedy poświęcić ci więcej uwagi.

- Myślisz - spytał Jeremiasz - że czuję choć odrobinę strachu przed tym wszystkim?

- Myślę, że chyba tak - odparł K. - Odrobinę strachu odczuwasz na pewno, a jeśli jesteś mądry, to nawet dużo, bo inaczej - dlaczego dotąd nie poszedłeś do Friedy? Powiedz, czy ty ją kochasz?

- Czy ją kocham? - odpowiedział pytaniem Jeremiasz. - Jest ona dobrą, rozgarniętą dziewczyną i była kochanką Klamma, a więc w każdym razie zasługuje na szacunek. A że nieustannie mnie błagała, abym ją od ciebie uwolnił, czemu nie miałbym jej wyświadczyć tej usługi, zwłaszcza że przez to i tobie nie wyrządzam krzywdy, ponieważ pocieszyłeś się już z tymi przekłętymi dziewczętami od Barnabasa.

- Teraz właśnie widzę twój strach - powiedział K. - Całkiem politowania godny strach. Próbujesz zaskoczyć mnie swoimi kłamstwami. Frieda prosiła tylko o jedno: o uwolnienie jej od rozwścieczonych, lubieżnych jak psy pomocników. Niestety, nie miałem czasu, by w pełni zadośćuczynić jej prośbie, i oto skutki mego niedopatrzenia.

- Panie geometro, panie geometro! - wołał ktoś biegnąc ulicą. Był to Barnabas. Przybiegł bez tchu, ale nie zapomniał uklonić się K.

- Udało mi się - rzekł.

- Co ci się udało? - spytał K. - Czy doręczyłeś Klammowi moją prośbę?

- Tego nie mogłem zrobić - odparł Barnabas. - Robiłem, co mogłem, ale to było niemożliwe, wysforowałem się naprzód, stałem przez cały dzień, choć nikt mnie do tego nie upoważnił, tak blisko pulpitu, że jeden z pisarzy, któremu zasłaniałem światło, nawet odsunął mnie na bok. Kiedy Klamm patrzył w moją stronę, podnosiłem rękę, by zwrócić na siebie uwagę, choć jest to wyraźnie zakazane. Pozostałem najdłużej w kancelarii, tak że byłem tam już tylko ze służącymi. Miałem nawet przyjemność zobaczyć, jak Klamm jeszcze raz wrócił, ale nie z mojego powodu. Chciał tylko coś w jakiejś księdze szybko sprawdzić i zaraz odszedł. W końcu jeden ze służących, kiedy ciągle nie ruszałem się z miejsca, musiał mnie niemal miotłą wymieść za drzwi. Wyznaję to wszystko, abyś znowu nie był ze mnie niezadowolony.

- Cóż mi może pomóc cała ta twoja pilność, Barnabasie - rzekł K.

- skoro nie miała żadnego skutku?

- Ale odniosłem pewien sukces - rzekł Barnabas. - Kiedy wyszedłem z mojej kancelarii - nazywam ją moją - widzę, jak z głębi korytarza powoli zbliża się jakiś pan. Nie było już nigdzie żywej duszy, gdyż zrobiło się bardzo późno. Postanowiłem na niego poczekać. Była to dobra sposobność, by jeszcze tam pozostać, najchętniej pozostałbym tam w ogóle, aby nie być zmuszonym do składania ci teraz tego niepomysłnego sprawozdania. Ale i niezależnie od tego warto było na tego pana poczekać. Był to Erlanger. Nie znasz go? To

jeden z pierwszych sekretarzy Klamrna. Malutki pan, trochę kulawy, poznał mnie od razu, jest sławny ze swojej pamięci i znajomości ludzi. Marszczy tylko brwi i to mu wystarcza, by każdego poznać, często nawet ludzi, których nigdy nie widział, a o których tylko słyszał lub czytał. Mnie na przykład chyba nigdy nie widział. Ale chociaż poznaje on od razu każdego człowieka, zapytuje zawsze najpierw, jak gdyby nie był pewny. „Czy nie jesteś przypadkiem Barnabasem?” - spytał, a potem mówił dalej: „Czy nie znasz geometry?” A potem dodał: „To dobrze się składa, jadę teraz do gospody, niech geometra tam mnie odwiedzi. Mieszkam w pokoju Nr 15. Ale niech przyjdzie od razu. Mam tam tylko kilka rozmów do przeprowadzenia i o piątej rano znowu odjadę. Powiedz mu, że bardzo mi na tym *zależy*, by się z nim rozmówić”.

Nagle Jeremiasz ruszył biegiem. Barnabas, który w swoim podnieceniu dotąd go niemal nie zauważył, spytał:

- Czego ten Jeremiasz chce?

- Chce być przede mną u Erlangera - rzekł K. i biegł już za Jeremiaszem, chwycił go za rękę, uwiesił się u jego ramienia i powiedział: - Czy to tęsknota za Friedą tak cię nagle porwała? Moja tęsknota za nią nie jest mniejsza, a więc dotrzymamy sobie kroku.

Rozdział 17

Przed zupełnie ciemną gospodą dla oficjalistów stała niewielka gromadka mężczyzn. Dwóch czy trzech miało latarki ręczne, tak że niektóre twarze można było rozpoznać. K. dostrzegł tylko jednego znajomego, woźnicę Gerstackera. Gerstacker pozdrowił go pytaniem:

- Jesteś jeszcze ciągle we wsi?

- Tak - odparł K. - przybyłem tu na stałe.

- Nic mnie to nie obchodzi - powiedział Gerstacker, zakaszał gwałtownie i zwrócił się do pozostałych.

Okazało się, że wszyscy czekali na Erlangera. Erlanger już przyjechał, ale przed przyjmowaniem interesantów naradzał się jeszcze z Momusem. Rozmowy oczekujących kręciły się wokół tego, że nie wolno im było czekać pod dachem, ale musieli stać tu na dworze w śniegu. Wprawdzie nie było bardzo zimno, lecz mimo to takie przetrzymywanie ludzi, może nawet całymi godzinami, przed domem było oznaką nieliczenia się z nimi. Wprawdzie nie była to wina Erlangera, który odznaczał się raczej uprzejmością, zapewne nic o tym nie wiedział i bardzo by się gniewał, gdyby mu o tym doniesiono. Winę ponosiła żona zarządcy gospody, która w swoim wręcz chorobliwym dążeniu do wykwintu nie mogła znieść, aby większa liczba interesantów znajdowała się równocześnie w gospodzie. „Jeśli już tak być musi i oni muszą tu przychodzić - mawiała ~ to na miłość boską, niech przychodzą zawsze jeden po drugim”.

I w końcu doprowadziła do tego, że interesanci, którzy początkowo czekali po prostu na korytarzu, potem na schodach, później w sieni, a ostatnio przy szynkwasio, zostali wyrzuceni na ulicę. I to nawet jej nie wystarczyło. Nie znosiła uczucia, że we własnym domu jest ciągle „oblężona”, jak się wyrażała. Nie rozumiała w ogóle po co przyjmuje się interesantów: „Aby zaśmiecać schody wejściowe” - odpowiedział kiedyś jeden z urzędników na jej pytanie, prawdopodobnie ze złości. Ale jej przemówiło to bardziej do przekonania i chętnie tę wypowiedź cytowała. Ubiegała się o to i była pod tym względem w zgodzie z życzeniami interesantów, aby naprzeciwko gospody wzniesiono budynek, w którym mogliby czekać. Za najlepsze uważałyby, gdyby przyjmowanie oraz przesłuchiwanie odbywały się poza gospodą, lecz sprzeciwili się temu urzędnicy, a kiedy urzędnicy czemuś się poważnie przeciwstawiali, to oczywiście żona zarządcy gospody nie mogła postawić na swoim, chociaż w sprawach mniejszej wagi, dzięki swej niezmordowanej, a przy tym po kobiecemu delikatnej natarczywości, uprawiała coś w rodzaju małej tyranii. Załatwianie stron i prze-

sluchiwania będzie jednak musiała żona zarządcy przypuszczalnie i nadal tolerować w gospodzie, gdyż panowie z zamku nie zgodzili się w sprawach urzędowych udawać się z gospody na wieś. Zawsze im się spieszyło i jedynie z musu przybywali na wieś, więc nie mieli najmniejszej ochoty przedłużać swego pobytu ponad konieczne minimum czasu. Wobec tego nie można było od nich wymagać, aby tylko ze względu na zgodę rodzinną zarządcy przenosili się na jakiś czas ze wszystkimi swoimi papierami przez ulicę do jakiegoś innego domu, tracąc przy tym wiele czasu. Najchętniej bowiem urzędnicy załatwiali sprawy urzędowe w izbie z szynkwasm lub we własnych pokojach, a jeżeli to możliwe, nawet jedząc lub leżąc w łóżku wieczorem przed zaśnięciem lub rano, kiedy im się jeszcze nie chciało wstać i woleli trochę poleżeć w łóżku. Sprawa wybudowania specjalnej poczekalni wydawała się jednak zbliżać do pomyślnego rozwiązania. Bardzo dotkliwą karą dla żony zarządcy było przy tym to - z czego się trochę wyśmiewano - że właśnie sprawa budowy poczekalni wymagała licznych pertraktacji i korytarze w gospodzie prawie nigdy nie stały pustką.

O wszystkich tych sprawach rozprawiano półgłosem wśród czekających. K. uderzyło to, że wprawdzie nie brak było niezadowolenia, nikt jednak nie ważył się powiedzieć nic przeciwko temu, że Erlanger wzywa strony w środku nocy. K. zapytał o to i otrzymał odpowiedź, że należy się za to Erlangerowi nawet specjalna wdzięczność. Wyłącznie jego dobra wola i wysokie wyobrażenie, jakie ma on o swoim urzędzie, skłoniły go do tego, by w ogóle na wieś przybywał. Mógł przecież, gdyby zechciał, nawet może byłoby to bardziej zgodne z regulaminem, przysłać jednego z podsekreтары i kazać mu spisać protokoły. Ale Erlanger przeważnie nie życzył sobie tak postępować, gdyż chciał wszystko sam zobaczyć i usłyszeć i w tym celu musiał poświęcać swoje noce, gdyż w jego rozkładzie urzędowania nie był przewidziany specjalny czas na wyjazdy na wieś. K. zaznaczył, że przecież nawet Klammm niekiedy przybywa w dzień na wieś i pozostaje tam przez kilka dni. Czy więc Erlanger, który jest tylko sekretarzem, może być na zamku bardziej od Klammm niezastąpiony? Na to jedni z czekających zaśmieli się dobrodusznie, inni zaś milczeli zdumieni. W końcu ci ostatni uzyskali przewagę i nieomal przestano K. odpowiadać. Tylko jeden powiedział po namyśle, że Klammm jest oczywiście niezastąpiony zarówno na zamku jak i na wsi.

Nagle drzwi gospody się otworzyły i ukazał się Momus między dwoma niosącymi lampy służącymi.

- Pierwsi, którzy będą dopuszczeni przed pana sekretarza Erlan-gera - oznajmił - są: Gerstacker i K. Czy są tu obaj?

Wezwani zameldowali się. Ale jeszcze przed nimi wyrwał się Jeremiasz wołając: Jestem tu pokojowym! i przywitany przez Momusa wesołym poklepaniem po ramieniu, znikł

w gospodzie. „Będę musiał na tego Jeremiasza więcej uważać” - powiedział do siebie K. Przy czym był nadal przekonany, że Jeremiasz jest prawdopodobnie o wiele mniej niebezpieczny od Artura, który intrygował przeciwko niemu na zamku. Może byłoby nawet mądrzej dać się raczej dręczyć im jako własnym pomocnikom, niż pozwalać im wałęsać się bez kontroli i uprawiać swobodne intrygi, do których wydawali się specjalnie uzdolnieni.

Kiedy K. przeszedł obok Momusa, ten ostatni uśmiechnął się, że teraz dopiero poznał w nim geometrę.

- Ach to pan geometra! - wykrzyknął - ten, który tak niechętnie godził się na przesłuchanie, a teraz sam się spieszy. U mnie wtedy byłoby to o wiele prostsze, ale oczywiście niełatwo wybrać właściwe przesłuchanie. - Kiedy K. usłyszawszy tę wypowiedź chciał przystanąć, Momus dodał: - Niech pan idzie, niech pan idzie! Wtedy pańskie odpowiedzi przydałyby mi się na coś, ale teraz już nie.

Mimo to K. zirytowany zachowaniem się Momusa powiedział:

- Wy myślicie tylko o sobie. A ja właśnie z urzędowych powodów nie odpowiadam ani wówczas, ani dzisiaj.

Momus na to:

- O kim mielibyśmy myśleć? Kto tu w ogóle jeszcze jest? Niech pan idzie!

W sieni spotkał ich służący i poprowadził znaną już K. drogą na przełaj przez dziedziniec, potem przez wrota do niskiego, prowadzącego nieco pochyło w dół korytarza. Na wyższych piętrach mieszkali widocznie tylko wyżsi urzędnicy, sekretarze natomiast mieszkali przy tym korytarzu, również i Erlanger, choć był między nimi jednym z głównych. Służący zgasił swoją latarkę, gdyż paliło się tu jasne światło elektryczne. Wszystko tu było niewielkie, ale ozdobnie wykończone. Przestrzeń wykorzystano do ostatniej możliwości. Korytarz ledwie tak wysoki, iż można było iść przezeń nie schylając głowy. Po obu stronach jedne drzwi niemal dotykały drugich. Boczne ściany nie sięgały sufitu, widocznie ze względu na wentylację, gdyż pokoiki przy niskim, niemal piwnicznym korytarzu nie miały chyba wcale okien. Złą stroną tych niezupełnie sięgających sufitu ścian było to, że zarówno w korytarzu, jak z konieczności również i w pokojach, panował pewien niepokój. Wiele pokoi wydawało się zajętych. Przeważnie jeszcze tam nie spano, słychać było głosy, uderzenia młotkiem i brzęk kieliszków. Nie robiło to jednak wrażenia specjalnej wesołości. Głosy były przytłumione, ledwie można było od czasu do czasu zrozumieć jakieś słowo. Jak się zdawało, nie były to zresztą rozmowy, prawdopodobnie ktoś dyktował lub czytał na głos, a z pokoi, z których dochodził dźwięk kieliszków i talerzy, nie było słychać ani słowa. Uderzenia młotkiem zaś przypominały K. o tym, co mu kiedyś opowiadano, że niektórzy urzędnicy, aby

odpocząć od nieustannego napięcia umysłowego, dorywczo zajmowali się stolarką, ślusarką i podobnymi robotami. Korytarz był pusty, tylko przed jednymi drzwiami siedział blady, szczupły i wysoki pan w futrze, spod którego widać było nocną koszulę; widocznie w pokoju było mu za duszno, więc usiadł przed drzwiami i czytał tam gazetę, nieuważnie jednak, ziewając i przerywając co chwila czytanie, pochylając się ku przodowi i patrząc w głąb korytarza. Być może oczekiwał interesanta, którego wezwał i który zwlekał z przyjściem. Kiedy minęli owego pana, służący powiedział do Gerstackera wskazując na niego: - To Pinzgauer!

- Gerstacker przytaknął głową. - Dawno już go na dole nie było - rzekł.

- Już bardzo dawno - potwierdził służący.

W końcu podeszli do jakichś drzwi, które niczym się nie różniły od pozostałych, poza którymi jednak, jak oznajmił służący, mieszkał Erlanger. Służący poprosił K., aby go wziął na ramiona, wtedy będzie mógł zajrzeć do pokoju przez lukę między ścianą a sufitem.

- Leży na łóżku - powiedział zeskakując na ziemię - ale leży w ubraniu, choć wydaje mi się, że drzemie. Czasami nachodzi go zmęczenie, tutaj we wsi, wobec zmienionego trybu życia. Będziemy musieli trochę poczekać. Kiedy się obudzi, zadzwoni. Choć, oczywiście, zdarzyło się już, że cały czas swego pobytu we wsi przespał, a po obudzeniu musiał zaraz wracać na zamek. Przecież jego praca tu jest dobrowolna.

- Wolałbym, żeby teraz już spał do rana - powiedział Gerstacker - bo kiedy po obudzeniu pozostaje mu trochę czasu do pracy, bardzo się gniewa na to, że spał, stara się wszystko załatwić jak najprędzej i prawie nie pozwala innym dojść do słowa.

- Pan przychodzi w sprawie zadysponowania zwózki materiałów na budowę? - spytał służący.

Gerstacker skinął głową, odciągnął służącego na bok i coś do niego szeptał. Służący jednak prawie nie słuchał, patrzył ponad Gers-tackerem, od którego był wyższy o całą głowę, i poważnie, powoli przyglądał sobie włosy.

Rozdział 18

Nagle K., rozglądając się bezcelowo, ujrzał z daleka na zakręcie korytarza Friedę. Udawała, że go nie poznaje, patrzyła na niego tępym wzrokiem, w ręku niosła tacę z pustymi naczyniami. K. powiedział służącemu, który jednak wcale na niego nie zwrócił uwagi - im więcej do niego mówiono, tym bardziej wydawał się roztargniony - że zaraz wróci i pobiegł do Friedy. Kiedy już był przy niej, chwycił ją za ramiona, jak gdyby znowu brał ją w swoje władanie, postawił jej kilka nieważnych pytań, usiłując przy tym badawczo zajrzeć jej w oczy. Ale w sztywnym zachowaniu się Friedy niemal nic się nie zmieniło. Machinalnie próbowała kilka razy przestawić naczynia na tacy, a potem powiedziała:

- Czego właściwie ode mnie chcesz? Idź sobie do tamtych, no... wiesz przecie, jak się nazywają, przychodzisz właśnie od nich, znać to po tobie.

K. szybko zmienił temat rozmowy. Tych spraw nie powinno się było tak od razu poruszać i zaczynać od najgorszego, od tego, co było dla niego najmniej pomyślne.

- Myślałem, że jesteś przy szynkwasiu - powiedział.

Frieda spojrzała na niego ze zdziwieniem i wolną ręką pogładziła go delikatnie po czole i policzku. Wydawało się, że zapomniała, jak K. wygląda, i chciała wskrzesić jego obraz w swej świadomości. Również jej oczy miały zamglony wyraz wytężonego przypominania sobie.

- Myślałem, że jesteś przy szynkwasiu - odpowiedziała powoli, jak gdyby to, co mówiła, było nieważne, ale poza tymi słowami kryła się jeszcze inna rozmowa z K., która była o wiele ważniejsza. - Ta praca tutaj wcale mi nie odpowiada. Każda inna dziewczyna może ją wykonywać, każda, która potrafi posłać łóżko z uprzejmym wyrazem twarzy i nie obawia się nagabywać gości, a nawet je prowokuje. Każda taka może być pokojówką. Ale przy szynkwasiu to coś całkiem innego. Dlatego przyjęto mnie od razu do szynkwasu, chociaż wtedy nie bardzo chwałebnie opuściłam to stanowisko, wprawdzie tym razem miałam protekcję. Zarządca gospody ucieszył się jednak z tej protekcji, gdyż ułatwiło mu to przyjęcie mnie z powrotem. Było nawet tak, że musieli na mnie nalegać, abym objęła to stanowisko. Jeśli zważysz, o czym mi ten szynkwias przypomina, to łatwo zrozumiesz. W końcu posadę przyjął. Tutaj jestem tylko na zastępstwie. Pepi prosiła mnie, abym nie robiła jej tego wstydu, by musiała szynkwias tak od razu opuścić. Ponieważ była pilna i wszystko tak załatwiała, jak jej zdolności na to pozwalały, zgodziliśmy się na dwudziestoczworgodziną zwłokę.

- Wszystko to jest świetnie zaaranżowane - rzekł K. - ale raz już z mojego powodu ten twój szynkwias opuściłaś, a teraz, tuż przed naszym ślubem, znowu chcesz tam wrócić?

- Nie będzie żadnego ślubu - odparła Frieda.

- Ponieważ ja byłem niewierny? - spytał K. Frieda skinęła potakująco głową.

- Widzisz Friedo - rzekł K. - o tej rzekomej niewierności już kilka razy mówiliśmy i zawsze w końcu musiałaś przyznać, że to tylko niczym nie usprawiedliwione podejrzenia. Od tego czasu z mojej strony nic się nie zmieniło, wszystko pozostało tak, jak było i jak nie może być inaczej. Musiało więc coś się zmienić z twojej strony, dzięki obcym podszeptom lub czemuś innemu. W każdym razie wyrządzasz mi krzywdę. Bo posłuchaj, jak ma się sprawa z tamtymi dwiema dziewczętami. Jedna z nich, brunetka - wstyd mi niemal, że muszę tak szczegółowo się bronić, ale ty mnie do tego prowokujesz - ta brunetka więc wywiera na mnie równie przykre wrażenie jak i na tobie. Jeśli jakimkolwiek sposobem mogę się od niej trzymać z daleka, to czynię to, i ona mi to ułatwia. Nie można być bardziej powściągliwym niż ona.

- Tak! - krzyknęła Frieda, a słowa padały jakby wbrew jej woli, K. zaś ucieszył się widząc, że Frieda skierowała uwagę w inną stronę, że jest inna, niż chciała być. - Tak! możesz ją uważać za powściągliwą, ją, największą bezwstydnicę, nazywasz powściągliwą i choć jest to wprost niewiarygodne, mówisz to szczerze. Wiem, że nic nie udajesz.

Oberżystka z oberży „Pod Mostem” mówi o tobie: „Nie cierpię go, ale również nie mogę opuścić. Nie można bowiem się powstrzymać, widząc małe dziecko, które nie umie jeszcze dobrze chodzić, ale wyrwa się naprzód i trzeba interweniować”.

- Pójdź teraz za jej wskazówkami - rzekł K. uśmiechając się.

- O tamtej dziewczynie - czy jest ona powściągliwa, czy bezwstydną, to możemy na razie pozostawić na boku - nic nie chcę słyszeć.

- A więc dlaczego nazywasz ją powściągliwą? - spytała Frieda nieprzejednana. K. uznał to jej zainteresowanie za pomyślny objaw.

- Czy wypróbowałaś tę jej powściągliwość, czy chcesz inne kobiety przez to poniżyć?

- Ani jedno, ani drugie - odparł K. - nazywam ją tak z wdzięczności, gdyż ułatwia mi to niedostrzeganie jej i ponieważ, gdyby częściej mnie nagabywała, nie mógłbym się na tyle przezwyciężyć, aby znowu do nich iść, co przecież stanowiłoby dla mnie wielką stratę, gdyż muszę tam chodzić z powodu naszej wspólnej przyszłości, jak o tym dobrze wiesz. I dlatego muszę również rozmawiać z tą drugą dziewczyną, którą wprowadzi z powodu jej tężyzny, rozwagi i bezinteresowności wysoko cenię, ale o której chyba nikt nie może powiedzieć, żeby była natrętna.

- Parobcy są innego zdania - rzekła Frieda.

- Pod tym względem, jak i pod wielu innymi - powiedział K.

- z chuci parobków chcesz wnioskować o mojej niewierności? Frieda umilkła i pozwoliła K., aby wziął z jej ręki tacę i postawił na

podłodze, następnie ujął ją pod ramię i zaczęli powoli przechadzać się po ciasnym pomieszczeniu tam i z powrotem.

- Nie wiesz, co to wierność - powiedziała trochę się od niego odsuwając - i nie jest najważniejsze, jak się w stosunku do tych dziewcząt zachowujesz. Już samo to, że w ogóle do tej rodziny chodzisz i wracasz stamtąd w ubraniu przesiąkniętym zapachem ich izby, jest dla mnie hańbą nie do zniesienia. Wybiegasz ze szkoły bez opowiedzenia się i pozostajesz u nich przez pół nocy. A kiedy ktoś o ciebie pyta, każesz tym dziewczętom zapierać się ciebie, namiętnie zapierać, zwłaszcza tej nieźrównanie powściągliwej. Potem wymykasz się potajemną drogą z ich domu, może nawet w tym celu, by uratować reputację tych dziewcząt, ich reputację! No, nie mówmy już o tym.

- O tym nie - zgodził się K. - ale o czymś innym, Friedo. O tym nie ma właściwie nic do powiedzenia. Sama wiesz, po co tam muszę bywać. Nie przychodzi mi to łatwo, ale przezwyciężam się. Nie powinnaś mi tego jeszcze utrudniać, bo i tak jest ciężko. Dzisiaj zamierzałem tam pójść tylko na chwilę i zapytać, czy Barnabas, który miał już od dawna przynieść mi ważną wiadomość, nareszcie wrócił. Ale on długo nie przychodził. Miał jednak, jak mnie zapewniono, i co zresztą było całkiem wiarygodne, wkrótce nadejść. Nie chciałem, aby przychodził do mnie do szkoły i naprzykrzał ci się swoją obecnością. Godziny mijały, a jego, niestety, ciągle nie było. Przyszedł jednak kto inny, kto był mi nienawistny. Nie miałem ochoty, aby mnie szpiegował, więc uciekłem przez sąsiedni ogród. I przed nim nie chciałem wcale się ukrywać, a potem na ulicy wyszedłem otwarcie na jego spotkanie, co prawda z giętką różgą wierzbową, do czego się przyznaję. To wszystko. Poza tym nic nie mam o tej sprawie do powiedzenia. Mam natomiast o czymś innym. Jak ma się rzecz z pomocnikami, o których samo wspomnienie jest dla mnie równie obrzydliwe jak dla ciebie wspomnienie o tamtej rodzinie? Porównaj twój stosunek do nich z tym, jak ja się do tej rodziny ustosunkowuję. Pojmuję twój wstręt wobec tej rodziny i nawet go podzielam. Jedynie dla załatwienia mojej sprawy do nich chodzę i czasem prawie mi się wydaje, że wyrządzam im krzywdę wykorzystując ich. Ty i pomocnicy natomiast! Wcale temu nie przeczyłaś, że oni na ciebie dybią, i przyznałaś się, że czujesz do nich pociąg. Nie gniewałem się na ciebie za to, gdyż rozumiałem, że wchodzi tu w grę siły, którym nie możesz sprostać, cieszyłem się już z tego, że przynajmniej się bronisz, i pomagałem ci w tej obronie. A teraz jedynie dlatego, że na

kilka godzin przestałem to czynić, ufając twojej wierności, no i w nadziei, że dom jest na pewno zamknięty, a pomocnicy ostatecznie wygnani - boję się, iż ich ciągle nie doceniam - jedynie dlatego, że przez kilka godzin przestałem to czynić, a ten Jeremiasz, okazujący się z bliska chorowitym, podstarzałym jegomościem miał czelność podejść do okna - tylko dlatego miałbym ciebie, Friedo, utracić i na powitanie usłyszeć od ciebie: „Nie będzie w ogóle żadnego ślubu”. Czyż to nie ja właściwie miałbym prawo robić ci wyrzuty, a jednak ich nie robię, to znaczy - jeszcze ich nie robię.

K. znowu uznał za słuszne zająć uwagę Friedy czymś innym i poprosił ją, aby mu przyniosła coś do jedzenia, gdyż od południa nic nie jadł. Frieda, widocznie również ucieszona tą prośbą, skinęła głową i pobiegła, by coś przynieść, ale nie dalej korytarzem w kierunku, gdzie, jak myślał K., znajdowała się kuchnia, lecz w bok, kilka schodów w dół. Wkrótce przyniosła talerz z wędliną i butelkę wina, ale chyba były to resztki jakiegoś posiłku; poszczególne kawałki były na nowo tak ułożone, by nie można było tego poznać, lecz zapomniano widocznie o skórkach ze zjedzonej kiełbasy, zaś butelka była w trzech czwartych opróżniona. K. nic jednak na to nie powiedział i wziął się z apetytem do jedzenia.

- Byłaś w kuchni? - spytał. - Nie, w moim pokoju - odpowiedziała

- mam tu na dole swój pokój. - Mogłaś mnie przecież z sobą tam zabrać - rzekł K. - Zaraz tam zejdę, by zasiąść do jedzenia.

- Przyniosę ci tu fotel - odparła Frieda i już chciała pobiec.

- Dziękuję - powstrzymał ją K. w biegu - ani tam nie zejdę, ani tu nie potrzebuję fotela.

Frieda krnąbrnie zareagowała na jego grę, spuściła nisko głowę i zagryzła wargi.

- No tak, on jest tam na dole. Czy spodziewałeś się czegoś innego? On leży w moim łóżku, przeziębził się, ma dreszcze i prawie nic nie jadł. W gruncie *rzeczy* to twoja wina. Gdybyś nie był wygnał pomocników i nie pobiegł do tamtych ludzi, moglibyśmy teraz spokojnie siedzieć u nas w szkole. Wyłącznie ty zburzyłeś nasze szczęście. Czy myślisz, że Jeremiasz, póki był na służbie, odważyłby się mnie uwieść? Jeśli tak myślisz, to widocznie nie orientujesz się zupełnie w tutejszych obyczajach. Pożądał mnie, męczył się i czyhał na mnie, ale była to tylko gra, jak zabawa głodnego psa, który chciałby wskoczyć na stół, ale nie śmie. Tak samo było i ze mną. Ciągnęło mnie do niego, to towarzysz moich lat dziecińczych. Bawiliśmy się wspólnie na zboczach góry zamkowej, były to piękne czasy, ale ty nigdy nie pytałeś o moją przeszłość. Lecz to wszystko nie było rozstrzygające, dopóki Jeremiasz był trzymany w ryzach jako służący, a ja wiedziałam, jaki jest mój obowiązek jako twojej przyszłej żony. Potem jednak wygnałeś pomocników i nawet się tym chwaliłeś, jak gdybyś

przez to coś dla mnie zrobił. No tak, do pewnego stopnia odpowiada to prawdzie. Wobec Artura twój plan się udał, oczywiście tylko na razie. On jest delikatny i nie posiada namiętności Jeremiasza, który nie cofa się przed niczym. Zadany mu owej nocy ciosem twej pięści, ciosem skierowanym zresztą przeciwko naszemu szczęściu, o mało co go nie zabiłeś. Uciekł na zamek, aby tam się poskarżyć, i chociaż wkrótce Powróci, to jednak teraz go tu nie ma. Jeremiasz jednak pozostał. W czasie służby boi się mrugnięcia oka swego pana, ale poza służbą jest nieustraszony. Przyszedł więc i wziął mnie. Opuszczona przez ciebie i ujarzmiona przez niego, przyjaciela dawnych lat, nie zdołałam się oprzeć. Nie otworzyłam drzwi szkoły, ale on zbił szybę i wyciągnął mnie przez okno na dwór. Potem uciekliśmy tu, *zarządca* gospody go szanuje, a gościom również nic tak nie odpowiada, jak mieć takiego służącego. Zostaliśmy więc przyjęci i on mieszka u mnie, mamy wspólny pokój.

- Mimo wszystko - przerwał jej K. - nie żałuję, że wyrzuciłem pomocników ze służby. Jeśli stosunki były takie, jak je opisujesz, a twoja wierność była jedynie uwarunkowana służbową zależnością pomocników, to stało się dobrze, że to wszystko się skończyło. Szczęście małżeńskie pośród tych dwóch dzikich bestii, które jedynie bicza słuchają, nie byłoby zbyt wielkie. Jestem więc tamtej rodzinie wdzięczny za to, że choć nieumyślnie, przyczyniła się do naszej rozłąki. - Oboje umilkli i przechadzali się znowu tam i z powrotem obok siebie, przy czym nie można było stwierdzić, kto pierwszy zaczął. Frieda, idąc blisko K., wydawała się gniewać, iż nie chciał jej znowu wziąć pod ramię.

-i tak wszystko byłoby w porządku - ciągnął K. - i moglibyśmy się pożegnać, ty pójdziesz do swojego pana Jeremiasza, który prawdopodobnie przeziębził się jeszcze w szkolnym ogrodzie i którego już choćby ze względu na to pozostawiasz zbyt długo samego, a ja pójdę sobie do szkoły lub, ponieważ bez ciebie nie mam tam nic do roboty, pójdę dokądkolwiek, gdzie zechcą mnie przyjąć. Jeśli jednak mimo to waham się, to dlatego, że mam swoje powody, by niezupełnie w to wierzyć, co mi tu opowiedziałaś. O Jeremiaszu mam całkiem odmienne zdanie. Dopóki był w służbie, nagabywał cię tylko, ale nie wydaje mi się, aby zależność służbowa mogła go powstrzymać na długi czas od napastowania cię. Teraz jednak, kiedy już nie jest na służbie, wszystko się odmieniło. Wybacz, jeśli wytłumaczę ci to w następujący sposób: od czasu, kiedy nie jesteś już narzeczoną jego pana, nie jesteś już dla niego tak ponętna jak przedtem. Może i jesteś jego przyjaciółką z lat dziecińczych, ale on - znam go właściwie tylko z krótkiej rozmowy dzisiejszej nocy - według mojego mniemania nie przypisuje wielkiej wagi tego rodzaju sentymentom. Nie wiem, dlaczego widzisz w nim namiętny charakter. W stosunku do mojej osoby otrzymał on jakieś prawdopodobnie nie bardzo korzystne dla mnie polecenie od Galatera, które stara się wykonać z pewną

gorliwością służbisty, co muszę mu przyznać - taką gorliwość służbisty spotyka się tu dość często - w zakres tego polecenia wchodzi zerwanie naszego stosunku. Być może, Jeremiasz próbował uczynić to rozmaitymi sposobami; jeden z nich polegał na tym, że usiłował przez swoją lubieżną żądzę skusić ciebie - w czym pomagała mu oberżystka - drugi na tym, że plótł androny o mojej niewierności. Jego zamach mu się udał, prawdopodobnie wspomnienie Klamma, które go otacza, mogło mu w tym pomóc. Wprawdzie stracił posadę, ale chyba właśnie w momencie, kiedy jej już nie potrzebował. Teraz zbiera żniwo swoich wysiłków i wyciąga cię przez okno ze szkoły. Tym samym jednak zadanie jego zostało wykonane i straciwszy gorliwość służbisty, poczuje zmęczenie. Wolałby być na miejscu Artura, który wcale się nie skarży, ale zbiera pochwały i nowe zlecenia. Tu jednak musi ktoś pozostać, aby śledzić dalszy rozwój wypadków. Dość przykry obowiązek stanowi opieka nad tobą. Miłości do ciebie nie ma tu śladu, Jeremiasz otwarcie mi się do tego przyznał. Jako dla byłej kochanki Klamma, ma dla ciebie naturalnie pewien szacunek i zagnieździć się w twoim pokoju, i czuć się niby mały Klamm jest mu na pewno bardzo przyjemnie. Ale na tym koniec, ty jako taka nic teraz dla niego nie znaczysz. Sprowadzenie cię tu stanowi tylko epilog jego głównego zadania. Aby ciebie nie niepokoić, sam tu pozostał, ale tylko chwilowo, dopóki nie otrzyma nowych wiadomości z zamku i jego przeziębienie nie zostanie przez ciebie wyleczone.

- Jakież oszczerstwa na niego rzucasz! - krzyknęła Frieda i zacisnęła swoje małe piąstki.

- Oszczerstwa? - spytał K. - Nie, wcale nie chcę go szkalować. Być może, że jestem wobec niego niesprawiedliwy, jest to oczywiście możliwe. Tego, co o nim powiedziałem, nie widzi się jasno na pierwszy rzut oka, można to również inaczej skomentować. Ale szkalować? Oszczerstwa mogłyby mieć jedynie za cel zwalczanie twojej miłości do niego. Gdyby zaszła tego potrzeba, a oszczerstwo byłoby właściwym środkiem, to nie zawahałbym się takiego środka użyć. Nikt nie mógłby mnie za to potępić, dzięki swoim mocodawcom ma on taką przewagę nade mną, że mnie, zdanemu tylko na własne siły, wolno chyba użyć drobnego oszczerstwa. Byłby to stosunkowo niewinny i ostatecznie dość słaby sposób obrony. Nie groź więc mi piąstkami. - Co powiedziawszy K. wziął rękę Friedy w swoją. Frieda chciała mu ją wyrwać, ale śmiejąc się i nie wysilając się zbytnio. - Nie potrzebuję wcale uciekać się do oszczerstwa - rzekł K. - gdyż ty go przecież nie kochasz, jedynie tak ci się zdaje i będziesz mi jeszcze wdzięczna za to, jeśli cię od okłamywania samej siebie uwolnię. Widzisz, jeśli ktoś chciałby mi ciebie zabrać bez użycia przemocy, ale z możliwie starannym obliczeniem szans, to musiałby uczynić to za pośrednictwem obu pomocników. Pozornie poczciwi chłopcy, naiwni, weseli i pozbawieni wszelkiego poczucia odpowiedzialności, jakby przywiani tu z

góry, z zamku, a do tego trochę wspomnień z lat dziecińczych - wszystko to jest może bardzo miłe, zwłaszcza że ja jestem tego całkowitym przeciwieństwem, biegam przy tym ciągle za własnymi sprawami, które są dla ciebie nie całkiem zrozumiałe i dlatego cię drażnią, mnie zaś zmuszają do stosunków z ludźmi, którzy są tobie nienawistni, co częściowo, mimo mojej całkowitej niewinności, przenosi się również i na mnie. Wszystko to jest tylko złośliwym, ale bardzo sprytnym wykorzystaniem braków w naszym stosunku. Wszelki stosunek ma swoje braki, zwłaszcza nasz, przecież każde z nas pochodzi z zupełnie innego świata, a od czasu kiedyśmy się poznali, życie każdego z nas weszło na całkiem nowe tory, tak że czujemy się jeszcze niepewni, bo wszystko jest aż nazbyt nowe. Nie mówię o sobie, to zresztą nie jest tak ważne, w gruncie rzeczy byłem stale obserwowany od momentu, kiedy po raz pierwszy zwróciłaś na mnie swe oczy, a do sytuacji stale obserwowanego łatwo jest się przyzwyczaić. Ty jednak, pomijając wszystko inne, zostałaś oderwana od Klamma. Nie mogę ocenić, co to znaczy, ale słabe pojęcie o tym już stopniowo zdobyłem. Człowiek się gubi i nie może się połapać. Chociaż zawsze byłem gotów przyjąć cię, nie zawsze byłem obecny, a nawet kiedy byłem przy tobie, twoje marzenia opanowywały cię czasem całkowicie lub coś jeszcze bardziej konkretnego, na przykład oberżystka. Krótko mówiąc, były momenty, kiedy ode mnie się oderwałaś, jakbyś tęskniła za czymś podświadomym, biedne dziecko, i wystarczyło, aby w takich przejściowych momentach stanął ktoś odpowiedni w zasięgu twojego wzroku, a już zakochałaś się w nim. Uległaś złudzeniu, że to, co było jedynie przelotnymi momentami, upiorami i dawnymi wspomnieniami, a więc właściwie przeszłym i coraz bardziej oddalającym się życiem z dawnych czasów, że to wszystko jest jeszcze twoim rzeczywistym dzisiejszym istnieniem. Pomyłka, Friedo, to tylko ostatnia, w gruncie rzeczy godna pogardy przeszkoda na drodze do naszego definitywnego połączenia. Ocknij się i opanuj! Chociaż może i myślałaś, że pomocników przysłał Klamm - co zresztą jest zupełnie nieprawdą, gdyż przyszli oni od Galatera - i jeśli przy pomocy tego szalbierstwa mogli cię tak oczarować, że nawet w ich plugastwie i rozpuszcie odnajdywałaś, jak ci się zdawało, ślady Klamma - tak jak ktoś w kupie gnoju chce odnaleźć zgubiony ongiś kamień drogocenny, którego tam w rzeczywistości odnaleźć nie można, nawet gdyby tam naprawdę był - to jednak są oni tylko czymś w rodzaju parobków ze stajni, choć nie mają zdrowia parobków. Trochę świeżego powietrza przyprowadza ich o zaziębienie i kładzie do łóżka, które jednak z parobczańską chytryością umieją sobie dobrze wybrać. Frieda oparła głowę o ramię K. i złączeni uściskiem przechadzali się w milczeniu tam i z powrotem.

- Gdybyśmy wtedy - powiedziała Frieda powoli, spokojnie i prawie z przymileniem, jak gdyby wiedziała, że tylko na krótką chwilę dane jej jest odpocząć na ramieniu K., i chciała

tę chwilę aż do końca wykorzystać - gdybyśmy wtedy, jeszcze owej nocy, stąd wywędrowali, moglibyśmy być teraz w jakimś bezpiecznym miejscu, zawsze razem, twoja ręka byłaby stale tak blisko, że mogłabym jej dotknąć. Bo jakżeż potrzebuję twojej bliskości, bo jakżeż czuję się od czasu, kiedy ciebie poznałam, bez twojej bliskości opuszczona; twoja bliskość, wierzę mi, jest jedynym marzeniem, o którym śnię, i nie mam innego.

Nagle rozległo się wołanie w bocznym korytarzu. Był to Jeremiasz. Stał tam na najniższym stopniu schodków, w koszuli jedynie, owinięty szalem Friedy. Kiedy tak stał z rozczochranymi włosami, z rzadką brodą, jak gdyby mokrą od deszczu, z oczyma błagalnie i z wyrzutem szeroko otwartymi, z policzkami zwiotczalymi, okrytymi ciemnym rumieńcem, niby kawałki mięsa, oraz z gołymi nogami, trzęsącymi się z zimna, tak że długie frędzle szala trzęsły się wraz z nimi, wyglądał na chorego, który uciekł ze szpitala, tak że patrząc na niego nie można było myśleć o niczym innym, jak o tym, by go z powrotem wsadzić do łóżka. I Frieda tak to zrozumiała. Wyrwała się K. i stanęła zaraz na dole przy tamtym. Jej bliskość i troskliwość, z jaką owinęła go mocniej szalem, oraz pośpiech, z jakim chciała go zaraz z powrotem wepchnąć do pokoju, zdawały się dodawać mu trochę sił. Wyglądało na to, że dopiero teraz poznaje K.

- Aha, pan geometra - powiedział dla udobruchania głaszcząc po policzku Friedę, która nie chciała pozwolić na dalszą rozmowę. ~ Przepraszam, że przeszkodziłem. Ale czuję się niedobrze i to mnie usprawiedliwia. Zdaje mi się, że mam gorączkę i muszę dostać herbaty, by się wypocić. Te przekłète sztachety przy ogrodzie szkolnym, o których chyba nigdy nie zapomnę, a potem, choć przeziębiony, biegałem jeszcze nocą po dworze. Poświęca się, nie zdając sobie z tego sprawy, zdrowie dla rzeczy, które nie są tego warte. Pan jednak, panie geometro, nie potrzebuje się mną krępować. Proszę wejść do nas do pokoju, odwiedzi pan chorego i będzie mógł przy tej okazji powiedzieć Friedzie, co pan jeszcze ma jej do powiedzenia. Jeśli dwoje ludzi, którzy się ze sobą zżyli, rozchodzi się, to naturalnie mają sobie w ostatniej chwili tyle do powiedzenia, że ktoś trzeci, zwłaszcza gdy leży w łóżku i czeka na obiecaną herbatę, nie może tego ogarnąć. Ale proszę tylko wejść, będę się całkiem cicho zachowywał.

- Dostyc już, dostyc - przerwała mu Frieda, szarpiąc go za ramię.

- On ma gorączkę i nie wie, co mówi. A ty K. nie idź z nami, proszę cię. To pokój mój i Jeremiasza lub raczej tylko mój, i zabraniam ci tam wchodzić. Prześladowiesz mnie K., ach, dlaczego ty mnie prześladowiesz! Nigdy, przenigdy do ciebie nie wrócę, napelnia mnie zgrozą sama myśl o takiej możliwości. Idź sobie do swoich dziewcząt. W samych koszulach wysiadują one tam na przypiecku po obu twoich stronach, jak mi opowiadano, a kiedy ktoś

przychodzi, by cię wywołać, rzucają się z pianą na ustach na przychodzącego. Widocznie czujesz się tam jak w domu, jeśli cię tam tak ciągnie. Zresztą powstrzymywałam cię od odwiedzania ich, z małym skutkiem co prawda, ale powstrzymywałam. Teraz to się już skończyło i jesteś wolny. Czeką cię piękne życie; o jedną z tych dziewcząt będziesz musiał może stoczyć bójkę z parobkami, ale jeśli chodzi o tę drugą, to chyba nie ma nikogo ani na ziemi, ani na niebie, kto by ci jej pozazdrościł. Ten związek z góry jest pobłogosławiony. Nie przecz mi. Zapewne, możesz wszystkie zarzuty odeprzeć, ale w końcu nic nie będzie odparte. Pomyśl tylko, Jeremiaszu, on wszystkiemu zaprzeczył! - Przy tym oboje kiwali do siebie głowami i uśmiechali się porozumiewawczo. - Ale przyjmijmy nawet - ciągnęła Frieda - że udało mu się wytłumaczyć, iż tak nie było, to cóż by się przez to osiągnęło, co mnie to w końcu obchodzi? To, co się tam u nich dzieje, jest wyłącznie ich i jego sprawą, ale nie moją. Moją sprawą jest cię pielęgnować, dopóki znów nie będziesz zdrow, jak byłeś dawniej, kiedy K. cię dręczył z mojego powodu.

- A więc pan naprawdę nie chce pójść z nami, panie geometro?

- spytał Jeremiasz, lecz został przez Friedę, która już wcale na K. nie spoglądała, nareszcie zabrany. Na dole widać było małe drzwiczki, jeszcze niższe niż tu, w korytarzu - aby przez nie przejść, nie tylko Jeremiasz, ale i Frieda musieli się pochylić - wydawało się, że wewnątrz jest jasno i ciepło. Potem słychać było jeszcze jakieś szepty, prawdopodobnie przymilne perswazje, by Jeremiasz, znów się do łóżka położył, po czym zamknięto drzwi.

Dopiero teraz K. zauważył; jaka cisza zaległa w korytarzu, i to nie tylko w tej części, w której rozmawiał z Friedą i która wydawała się przylegać do pomieszczeń gospodarczych, ale również i w tej drugiej, dłuższej już części, przy pokojach, do niedawna jeszcze tak ożywionych. A więc panowie przecież w końcu posnęli. Również K. był bardzo zmęczony, być może, iż właśnie z powodu zmęczenia nie bronił się przeciwko Jeremiaszowi tak, jak należało. Może byłoby mądrzej naśladować Jeremiasza, który wyraźnie przesadzał ze swoim przeziębieniem. Jego żalosny wygląd nie był bowiem spowodowany przeziębieniem, lecz był mu przyrodzony i żadne ziółka pite dla zdrowia nic by na to pomóc nie mogły. Byłoby mądrzej naśladować Jeremiasza i, tak samo jak on, swoje rzeczywiście duże zmęczenie wystawiać na widok publiczny, zemdleć tu na korytarzu, co samo przez się wywarłoby już korzystne wrażenie, trochę podrzęmać, a potem może nawet być trochę pielęgnowanym. Tylko nie wypadłoby to tak dobrze, jak u Jeremiasza, który w tym współzawodnictwie o litość niewątpliwie i na pewno słusznie zwyciężyłby, jak zresztą w każdej walce. K. czuł się tak zmęczony, że przyszło mu na myśl, czy nie dałoby się wejść do jednego z tych pokojów, z których kilka na pewno stało pustką, i w porządnym łóżku się przespać. Mogłoby to jego

zdaniem być nagrodą za niejedno. Na tacy, którą Frieda zostawiła na podłodze, stała niewielka karafka rumu. K. nie zawahał się wrócić i wypił ją do dna.

Teraz przynajmniej poczuł się na siłach, by stanąć przed Erlangerem. Zaczął szukać drzwi jego pokoju, ale ponieważ służącego i Gerstackera nie było już nigdzie widać, a wszystkie drzwi były do siebie podobne, nie mógł ich znaleźć. Wydawało mu się jednak, że pamięta, w którym miejscu korytarza najczęściej drzwi się znajdowało, i postanowił otworzyć drzwi będące prawdopodobnie tymi, których szukał. Próba ta nie mogła być zbyt niebezpieczną. Jeśli to był pokój Erlangera, to ten na pewno zaraz go przyjmie, jeśli zaś kogoś innego, to będzie miał zawsze możliwość przeprosić i wycofać się, a jeśliby gość, co było najbardziej prawdopodobne, spał, to wizyta K. pozostałaby w ogóle nie zauważona. Najgorzej by było, gdyby pokój okazał się pusty, gdyż wtedy K. nie potrafiłby oprzeć się pokusie położenia się do łóżka i spania bez końca. K. rozejrzał się jeszcze raz na prawo i na lewo wzdłuż korytarza. Może jednak ktoś nadejdzie, kto wskaże mu drzwi, i wtedy ryzyko nie będzie potrzebne. Ale długi korytarz stał cichy i pusty. Potem K. zaczął nasłuchiwać pod drzwiami. I tam nie było nikogo. Zapukał tak cicho, że śpiący mogłby się nie obudzić, a kiedy i teraz nic się nie stało, otworzył z najwyższą ostrożnością drzwi. Ale wtedy powitał go cichy okrzyk.

Pokoik był niewielki i większą jego część zajmowało szerokie łóże. Na szafce nocnej paliła się elektryczna lampka, przy niej stała walizka. Na łóżu ktoś całkowicie przykryty kołdrą poruszał się niespokojnie i szepnął przez szparę między kołdrą a prześcieradłem:

- Kto tam? - Teraz K. nie mógł już tak po prostu odejść. Z niezadowoleniem obserwował przez chwilę puszystą pościelą przykryte, ale niestety zajęte łóżko, potem przypomniał sobie pytanie i wymienił swoje nazwisko. Wywołało to, jak mu się wydawało dobre wrażenie. Człowiek na łóżu zsunął trochę kołdrę z twarzy, ale widać było, że w każdej chwili gotów był ze strachu znowu się nakryć, gdyby poza obrębem łóżka coś się stało. Potem jednak zrzucił kołdrę bez namysłu i usiadł wyprostowany. Na pewno to nie był Erlanger. Był to jakiś mały, dobrze wyglądający pan, w którego twarzy widniała jakaś sprzeczność przez to, że policzki jego były dziecinnie puchowate i oczy dziecinnie wesołe, ale wysokie czoło, spiczasty nos, wąskie usta, których wargi ledwo się domykały, oraz cofnięty podbródek nie były wcale dziecinne, lecz zdradzały poważne myśli. Może właśnie zadowolenie z tego, zadowolenie z siebie, pozwoliło mu zachować tę sporą dawkę zdrowej dziecięcości.

- Czy zna pan Friedricha? - zapytał. K. zaprzeczył. - Ale on pana zna - powiedział tamten z uśmiechem. K. skinął głową. Ludzi którzy go znali, nie brakowało, była to nawet jednak z głównych przeszkód na jego drodze. - Jestem jego sekretarzem - powiedział tamten.

- Nazywam się Biirgel.

- Przepraszam - rzekł K. i sięgnął po klamkę - niestety, pomyliłem pańskie drzwi z innymi. Jestem bowiem wezwany do pana sekretarza Erlanger a.

- Jaka szkoda - rzekł Biirgel - ale nie dlatego, że jest pan wezwany w inne miejsce, lecz że pan pomylił drzwi. Ja bowiem, raz obudzony, 11.1 pewno nie potrafię już zasnąć. Ale to me powinno pana martwić, jest to moje osobiste nieszczęście. Dlaczego zresztą drzwi nie zamyka się na klucz? Ma to oczywiście swój powód. Ponieważ według starej maksymy drzwi sekretarza powinny stać zawsze otworem. Ale tak dosłownie nie powinno się tego oczywiście rozumieć- Burgel spojrział na K. pytającym i rozbawionym spojrzeniem; jakby dla zaprzeczenia swemu narzekaniu, wyglądał na bardzo wypoczętego. Tak zmęczony jak K. teraz Burgel chyba nigdy jeszcze w życiu nie był. - Dokąd więc teraz chce pan się udać? - spytał Burgel. - Jest czwarta godzina w nocy. Każdego, do kogo chciałby pan iść, musiałby pan obudzić, a nie każdy jest do takiego zakłócania spokoju tak przyzwyczajony jak ja i nie każdy tak cierpliwie to zniesie. Sekretarze to nerwowy ludek. Niech pan chwilkę się zatrzyma. Około piątej zaczynają tu wstawać, wtedy będzie pan mógł stawić się na wezwanie. Proszę nareszcie puścić tę klamkę i niech pan gdzieś usiądzie. Wprawdzie me ma tu wiele miejsca, najlepiej więc będzie, gdy pan usiądzie na brzegu łóżka. Dziwi się pan może, że nie ma tu ani foteli, ani stołu? No, nie miałem wyboru: albo całkowicie umeblowany pokój z wąskim łóżkiem hotelowym, albo to wielkie łóżo i nic więcej prócz umywalki. Wybrałem to wielkie łóżo, bo przecież w sypialni łóżko jest najważniejsze! Ach, jeśli by ktoś potrafił wyciągnąć się i mocno usnąć, łóżko to dla dobrego śpiocha byłoby wprost nieocenione. Ale nawet dla mnie - a więc kogoś, kto stale jest zmęczony, lecz spać me może -jest ono istną rozkoszą. Spędzam w nim większą część dnia, załatwiam w nim całą korespondencję i przyjmuję interesantów. Świetnie mi to idzie. Wprawdzie interesanci nie mają miejsca do siedzenia, ale wybaczą to, bo i im jest przyjemniej, kiedy stoją, protokolant zaś lepiej się czuje tak, niż czułby się, gdyby oni wygodnie siedzieli i im by wymyślano. Mam więc tylko to miejsce na brzeżku łóżka do zaproponowania, ale nie jest to miejsce urzędowe i przeznaczam je jedynie na nocne rozmowy. Ale czemu pan wciąż milczy, panie geometro?

- Jestem bardzo znużony - rzekł K., który przyjął od razu zaproszenie i brutalnie, bez należytego respektu wpakował się na łóżko i oparł o wezglowie.

- Naturalnie - rzekł Burgel ze śmiechem - tu każdy jest znużony. Ja na przykład odwałem wczoraj nie byle jaką robotę, dzisiaj również. Jest całkiem wykluczone, abym teraz mógł zasnąć, ale jeśli by ta jak najbardziej niemożliwa rzecz jednak się stała i miałbym, póki pan tu jeszcze będzie, zasnąć, to wtedy proszę zachowywać się cicho i nie otwierać drzwi.

Ale nie ma się pan czego obawiać! Na pewno nie zasnę, a w najlepszym wypadku tylko na kilka minut. Ze mną bowiem rzecz ma się tak: ponieważ jestem bardzo przyzwyczajony do załatwiania interesantów, najłatwiej zasypiam, kiedy mam towarzystwo.

- Niech pan więc sobie zaśnie, bardzo proszę, panie sekretarzu

- rzekł K. uradowany tym obwieszczeniem - a wtedy i ja, jeśli pan pozwoli, trochę się zdrzemnę.

- Nic z tego - zaśmiał się Biirgel - na zamówienie, niestety, nie potrafię zasnąć, jedynie w toku rozmowy może to nastąpić, gdyż najprędzej usypia mnie właśnie rozmowa. Tak, nasze zajęcie wyczerpuje nerwy. Ja na przykład jestem sekretarzem od koordynowania. Nie wie pan, co to jest? Otóż ja stanowią najmocniejszą koordynację.

- mówiąc to Burgel zaczął z mimowolną wesołością zacierać ręce łączącą Friedricha ze wsią. Ja reprezentuję koordynację między jego zamkowymi a wiejskimi sekretarzami. Przeważnie przebywam na wsi, ale nie stale. W każdej chwili muszę być gotów do udania się na zamek. Widzi pan tę walizkę podróżną? Takie niespokojne życie nie każdemu odpowiada. Z drugiej strony prawdą jest, że bez tego rodzaju pracy nie potrafię się już obejść, każda inna wydaje mi się jałowa. A więc jak stoi sprawa z pańskimi pomiarami?

- Nie wykonuję żadnej takiej roboty i nie zostałem zatrudniony jako geometra - odparł K. Myśłami swymi był raczej nieobecny i właściwie pragnął, by Burgel zasnął, ale i to czynił jedynie z poczucia obowiązku wobec samego siebie, gdyż wewnętrznie mocno był przekonany, że moment zaśnięcia Burgela jest jeszcze niesłychanie odległy.

- To zdumiewające - rzekł Burgel i z energicznym ruchem głowy wyciągnął notes spod kołdry, by coś w nim zapisać. - Jest pan geometrą i nie wykonuje pan prac związanych ze swoim zawodem.

- K. skinął machinalnie głową. Na oparciu łóżka położył wyciągniętą lewą rękę i wsparł na niej głowę. Już na różne sposoby usiłował przybrać wygodną pozycję, ale ta wydawała mu się najwygodniejsza. Teraz dopiero mógł trochę lepiej uważać na to, co Burgel mówił.

- Jestem gotów - ciągnął Burgel - sprawę tę kontynuować. Tak jak rzeczy u nas stoją, nie możemy sobie pozwolić, aby nie wykorzystywać fachowej siły. I dla pana również musi to być przykre. Czy pan z tego powodu nie cierpi?

- Cierpię - odpowiedział K. powoli i uśmiechnął się do siebie, gdyż właśnie w tej chwili wcale nie cierpiał. Również propozycja Burgela nie zrobiła na nim zbyt wielkiego wrażenia. Była ona bowiem całkowicie niekompetentna. Nie wiedząc nic o okolicznościach, w jakich nastąpiło zaangażowanie K., oraz o trudnościach, z jakimi spotkał się w gminie i na

zamku, jak również o komplikacjach, które już podczas pobytu K. tutaj powstały lub miały powstać, nic o tym wszystkim nie wiedząc, a nawet nie okazując tego, że on, co z uwagi na to, iż był sekretarzem, można było z góry przypuszczać, ma przynajmniej jakiegokolwiek o tym pojęcie, zaofiarował się za jednym zamachem z pomocą swego notesika całą tę rzecz na zamku uregulować.

- Wydaje się, że doznał pan wielu rozczarowań - powiedział Biirgel, okazując przez to znów pewną znajomość ludzi; zresztą K. w ogóle od chwili, kiedy wszedł do pokoju, od czasu do czasu upominał siebie, by Biirgela nie lekceważyć, ale w jego obecnym stanie trudno było coś poza własnym zmęczeniem słusznie ocenić. - Nie - rzekł Burgel, jak gdyby odpowiadał na jakąś myśl K. i chciał, powodowany delikatnością, zaoszczędzić mu wysiłku wypowiedzenia się. - Nie powinien pan się dać odstraszyć rozczarowaniami. Niejedna rzecz wydaje się tu być specjalnie na to nastawiona, aby odstraszyć, i kiedy ktoś pierwszy raz tu przybywa, przeszkody wydają mu się nie do przebycia. Nie chcę badać, jak to się naprawdę przedstawia, może pozory faktycznie odpowiadają rzeczywistości, Gdy patrzę z mojego stanowiska, brak mi odpowiedniej perspektywy, by to stwierdzić. Ale niech pan zważy, jak czasami powstają pewne okoliczności, które nie odpowiadają całokształtowi sytuacji, okoliczności, w których jednym słowem, spojrzeniem lub oznaką zaufania można więcej osiągnąć niż trwającymi przez całe życie wyczerpującymi wysiłkami. Z pewnością tak jest. Oczywiście te okoliczności odpowiadają wtedy całokształtowi sytuacji o tyle, że nikt ich nie wykorzystuje. Ale dlaczego się ich nie wykorzystuje, pytam nieustannie? - K. tego nie wiedział, wprowadził zmiarkował, że to o czym Burgel mówi, prawdopodobnie blisko jego dotyczy, ale odczuwał obecnie wielką niechęć do wszystkich spraw, które go dotyczyły. Odsunął głowę trochę na bok, jak gdyby chciał tym ruchem dać wolną drogę pytaniom Burgela, tak aby już o niego nie zawadziły. - Jest tak - mówił Burgel dalej, przeciągając się i ziewając, co stanowiło oszałamiający kontrast z powagą jego słów -jest tak, że sekretarze narzekają na to, iż są zmuszeni większość przesłuchań na wsi przeprowadzać nocą. Dlaczego jednak na to narzekają? Może dlatego, że ich to zbytnio męczy? Może woleliby wykorzystywać noc na spanie? Nie, na to oczywiście nie narzekają. Naturalnie wśród sekretarzy są zarówno pilni, jak i mniej pilni, jak zresztą wszędzie. Ale na wielkie przemęczenie nikt z nich nie narzeka, zwłaszcza przed ludźmi. Po prostu nie jest to w naszym stylu. Jeśli o to chodzi, nie rozróżniamy zwykłego czasu od czasu pracy. Takie zróżnicowanie jest nam całkowicie obce. Cóż więc mogą sekretarze mieć przeciwko nocnym przesłuchiwaniami? Może wzgląd na interesantów? Nie, i to nie wchodzi w grę. Wobec interesantów sekretarze są bezwzględni, wprowadzą ani odrobinę mniej niż wobec samych siebie, ale zupełnie tak samo. Właściwie

bezwzględność nie jest niczym innym, jak żelazną dyscypliną w wykonywaniu swych obowiązków, a więc najdalej idącym uwzględnieniem życzeń, o jakich interesanci mogą marzyć. W gruncie rzeczy, choć powierzchowny obserwator oczywiście tego nie zauważy, cieszy się to powszechnym uznaniem. Ba, w tym wypadku na przykład właśnie nocne przesłuchiwanie są dla stron wielce pożądane, tak że nie wpływają żadne zasadnicze skargi z tego powodu. A więc skąd bierze się ta niechęć do sekretarzy? - I tego K. nie wiedział. Tak mało się orientował, że nawet nie rozróżniał, czy Burgel na serio, czy tylko pozornie żądał od niego odpowiedzi. „Jeśli pozwolisz mi położyć się do twego łóżka - myślał - to jutro w południe, albo nawet lepiej dziś wieczór odpowiem na wszystkie twoje pytania”. Ale Burgel wydawał się na niego wcale nie zważać, zbyt absorbowało go zagadnienie, które sam sobie postawił: - O ile się orientuję i o ile sam na sobie tego doświadczyłem, sekretarze mają wobec nocnych przesłuchiwań mniej więcej następujące zastrzeżenia: noc jest dlatego do załatwiania stron mniej odpowiednia, że nocą trudno jest lub zgoła niemożliwe zachować urzędowy charakter postępowania. Przy tym nie chodzi tu o pozory, formy mogą być, naturalnie, jeśli ktoś chce, surowo przestrzegane w nocy i w dzień. Nie o to więc chodzi. Ale wydawane nocą decyzje szwankują. Mimo woli jest się skłonny w nocy osądzać sprawy z bardziej prywatnego punktu widzenia, argumenty stron stają się bardziej ważne, niż na to zasługują, do decyzji wkradają się uboczne względy na dawniejszą sytuację stron, na ich cierpienia i troski. Konieczny dystans pomiędzy interesantami a urzędnikami, choćby zewnątrz był bez zarzutu, rozluźnia się i czasami tam, gdzie zwykle powinny następować po sobie jedynie pytania i odpowiedzi, zachodzi dziwna i całkowicie nieodpowiednia zamiana ról. Tak przynajmniej twierdzą sekretarze, a więc ludzie, którzy dzięki swemu zawodowi obdarzeni są zupełnie niezwykłą subtelnością w takich sprawach. Ale nawet oni, jak się mówiło już o tym w naszych kołach, w czasie nocnych przesłuchań słabo rozpoznają te ujemne wpływy. Przeciwnie, z góry usiłują im się przeciwstawić i w końcu sami w to wierzą, że osiągnęli szczególnie pomyślne wyniki. Kiedy jednak później odczytuje się te protokoły, nie można się często wprost nadziwić ich wyraźnym mankamentom. I te usterki są przeważnie na wpół nieuzasadnionymi zyskami stron, które przynajmniej według naszych przepisów na zwykłej, prostej drodze nie mogą już być odrobione. Na pewno będą jeszcze kiedyś przez jakiś urząd kontrolny skorygowane, ale będzie to tylko z pożytkiem dla samej sprawiedliwości, owym stronom natomiast nie będzie mogło to już nic zaszkodzić. Czyż w takich okolicznościach narzekanie sekretarzy nie jest bardzo słuszne? - K. przez krótką chwilę już był się zdrzemnął, teraz znowu się obudził. „Po co to wszystko? Po co to wszystko?” - pytał sam siebie i obserwował spod na wpółprzymkniętych powiek Biirgela, nie jako urzędnika, który omawia z

nim trudne zagadnienia, ale jedynie jak coś, co przeszkadza mu w spaniu i czego sensu poza tym nie mógł znaleźć. Biirgel wszakże, całkiem pochłonięty tokiem swych myśli, uśmiechał się, jak gdyby mu się udało wyprowadzić trochę K. w pole. Ale był on również gotów niezwłocznie wprowadzić go z powrotem na właściwą drogę. - No - powiedział - całkiem usprawiedliwionymi nie można tych skarg również nazywać. Nocne przesłuchiwanie nie są wprawdzie wprost nakazane, więc nie jesteśmy w sprzeczności z przepisami, kiedy staramy się ich unikać, ale stosunki, nadmiar pracy, rodzaj zajęć urzędników na zamku, trudny do nich dostęp oraz przepis, że przesłuchiwanie stron mogą nastąpić jedynie po całkowitym zakończeniu innych badań, tylko wtedy już niezwłocznie, wszystko to oraz jeszcze inne względy uczyniły nocne przesłuchiwanie niezbędną koniecznością. Kiedy jednak stały się one konieczne - twierdzą - to są przynajmniej skutkiem, choćby pośrednim, samych przepisów i sarknąć na istotę nocnych przesłuchiwań byłoby prawie równoznaczne - oczywiście trochę przesadzam i tylko w tej formie mogę to wypowiedzieć - równoznaczne z sarkaniem na same przepisy. Sekretarzom natomiast można pozwolić, aby w granicach przepisów zabezpieczali się przed nocnymi przesłuchiwaniami oraz ich, może pozornie, szkodliwymi skutkami w miarę sił i możliwości, co też czynią, i to w jak najszerszej skali. Dopuszczają tylko do spraw, które pod każdym względem są mało niebezpieczne, zaznajamiają się wszakże z nimi dokładnie przed rozprawą, odraczają, jeśli wynik tych badań tego wymaga, jeszcze w ostatniej chwili całą rozprawę, wzmacniają swoją pozycję, wzywając często interesanta aż dziesięć razy, zanim go naprawdę przesłuchają. Chętnie dają w zastępstwie siebie kolegów, którzy w danej sprawie są niekompetentni i dlatego mogą ją z większą lekkomyślnością rozpatrywać i wyznaczają rozprawę na początek lub koniec nocy, pomijając środkowe godziny. Tego rodzaju sposobów jest jeszcze znacznie więcej. Sekretarze utrudniają wstęp do siebie, są bowiem tak samo uparci jak obraźliwi.

K. spał. Nie był to właściwie sen, gdyż słyszał słowa Biirgela, może nawet lepiej niż poprzednio, podczas czuwania w śmiertelnym znużeniu. Słowo po słowie uderzało w jego ucho, ale przykra świadomość znikła. Czuł się wolny, nie Burgeł go trzymał, ale on wystawiał macki w kierunku Biirgela. Nie znajdował się jeszcze na dnie snu, był jedynie jakby weń zanurzony. Nikt nie mógł mu już tego odebrać i zdawało mu się, że odniósł przez to wielkie zwycięstwo. Nawet zebrało się już towarzystwo, by je uczcić i on sam, czy też ktoś inny, podniósł kielich szampana na cześć tego zwycięstwa. I aby wszyscy wiedzieli, o co chodzi, zarówno walka jego jak i zwycięstwo miały być jeszcze raz powtórzone, a może nawet nie powtórzone, może dopiero teraz się rozgrywały, chociaż już je czczono przedtem, i to czczono nieustannie, gdyż wynik walki był na szczęście z góry wiadomy. Jakiś sekretarz, nagi

i całkiem podobny do posągu greckiego boga, był w tej walce przez K. srodze trapiiony. Było to bardzo zabawne i K. uśmiechał się słodko przez sen widząc, jak sekretarz musiał ciągle ustępować przed jego ciosami ze swojej dumnej pozycji, szybko wyciągając w górę rękę z zaciśniętą pięścią, by się zasłonić, i mimo wszystko ciągle nie nadawał. Walka nie trwała długo; krok za krokiem, a były to wielkie kroki, K. posuwał się naprzód. Czyż w ogóle była to walka? Sekretarz nie stawiał wcale poważnego oporu, tylko od czasu do czasu piszczał. Ten grecki bóg piszczał jak dziewczynka, którą ktoś łaskocze. W końcu sekretarz znikł. K. znajdował się sam w wielkim pokoju i gotów do dalszej walki odwrócił się, szukając przeciwnika. Ale już nikogo nie było. Również całe towarzystwo się rozbiegło, a kielich od szampana leżał rozbity na podłodze. K. rozdeptał go do reszty. Stłuczone szkło jednak kłuło i K. obudził się dygocąc. Było mu źle, jak małemu dziecku, kiedy się budzi. Mimo to na widok obnażonej piersi Burgela musnęła go pochodząca jeszcze ze snu myśl: „Oto masz tu swojego greckiego boga! Wyrzuć go betów!”

- Istnieje jednak - rzekł Burgel, spoglądając z namysłem na sufit, jak gdyby szukał w pamięci przykładów, ale nie mógł ich znaleźć - istnieje jednak mimo wszelkich środków ostrożności szansa wyzyskania przez strony na swoją korzyść nocnej słabości sekretarzy, oczywiście, jeśli to można tak nazwać. Wprawdzie szansa taka zdarza się bardzo rzadko, właściwie nie zdarza się prawie nigdy. Polega ona na tym, że interesant przybywa w środku nocy nie zameldowany. Dziwi się pan zapewne, że choć to wydaje się takie łatwe, zdarza się jednak tak rzadko. No, tak, pan jest z naszymi stosunkami mało obeznany. Ale chyba już i panu rzuciła się w oczy bezbłędność organizacji urzędowej. Z tej bezbłędności wynika, że każdy, kto ma jakąś sprawę do załatwienia lub z jakichś innych powodów ma być w jakiejś sprawie przesłuchany, otrzymuje niezwłocznie, zazwyczaj nawet zanim się do sprawy przygotował lub nawet zanim o niej się dowiedział, wezwanie urzędowe. Za pierwszym razem nie zostaje wcale przyjęty, przeważnie nie zostaje przyjęty, gdyż sprawa jeszcze do tego nie dojrzała, ale wezwanie już otrzymał. Dlatego nie może już przyjść nie zameldowany, najwyżej może przyjść nie w porę, wtedy zwraca mu się uwagę na datę i godzinę wezwania, kiedy miał przyjść, a gdy potem przyjdzie we właściwej porze, to z reguły go się odsyła, z czym nie ma już żadnej trudności. Wezwanie w rękę interesanta oraz notatka w aktach są dla sekretarzy może nie zawsze wystarczającymi, ale poważnymi środkami obrony. Dotyczy to, naturalnie, tylko kompetentnego w danym wypadku sekretarza. Nachodzić w nocy znienacka innych sekretarzy wolno każdemu. Ale chyba nikt tego nie robi, gdyż jest to niemal bez sensu. Po pierwsze bardzo by to rozgoryczyło kompetentnego w danym wypadku sekretarza, bo my, sekretarze, wprawdzie nie jesteśmy między sobą o pracę zazdrośni, każdy dźwigał

ciężar pracy ponad miarę, nałożonej nań naprawdę bez wszelkiej małości, ale wobec stron nie możemy w żadnym wypadku ścierpieć pomieszania w kompetencjach. Niejeden sprawę swoją już przegrał, ponieważ myślał, że w kompetentnym urzędzie nie potrafi jej pchnąć naprzód, i próbował przemknąć się niewłaściwą drogą. Tego rodzaju próby muszą zresztą skończyć się porażką również i z tego powodu, że niekompetentny sekretarz, nawet gdy go się w nocy zaskoczy i kiedy ma najlepszą wolę pomóc, właśnie z powodu braku kompetencji nie może skuteczniej interweniować niż pierwszy lepszy adwokat, a w gruncie rzeczy nawet o wiele mniej, gdyż - nawet gdyby mógł coś załatwić, znając lepiej tajniki prawa niż wszystkie adwokackie indywidua razem wzięte - brak mu po prostu czasu na sprawy, które nie wchodzą w zakres jego działania i którym nie może poświęcić ani minuty. Któż więc przy takich horoskopach chciałby marnować swoje noce, aby występować w roli niekompetentnych sekretarzy, a zresztą i interesanci mają czas całkiem wypełniony, jeśli przy swych innych obowiązkach zawodowych muszą jeszcze stosować się do wezwań kompetentnych sekretarzy i zgłaszać się na każde ich skinienie. Interesanci mają „czas całkowicie wypełniony”, oczywiście w ich rozumieniu, co naturalnie wcale nie jest równoznaczne z „całkowitym wypełnieniem czasu” w rozumieniu sekretarzy. - K. skinął głową, uśmiechając się, zdawało mu się, że teraz dopiero wszystko dokładnie rozumie, i to nie dlatego, że to go obchodziło, ale dlatego, że był przekonany, iż za chwilę mocno zaśnie, tym razem bez majaczeń i koszmarów. Pomiędzy kompetentnymi sekretarzami z jednej strony a niekompetentnymi z drugiej oraz w obliczu gromady zapracowanych interesantów pogrąży się w głęboki sen i w ten sposób uniknie wszystkiego. Do cichego głosu Biirgela, wyrażającego zadowolenie i zupełnie nadaremnie chcącego ukołysać go do snu, K. już na tyle się przyzwyczaił, że głos ten raczej go usypiał, niż przeszkadzał w zaśnięciu. „Klekocz, wiatraku, klekocz - myślał - klekocz tylko dla mnie”.

- Gdzie jest teraz - spytał Biirgel, bębniąc dwoma palcami po dolnej wardze, patrząc szeroko rozwartymi oczyma i wyciągając naprzód szyję, jak gdyby po mozolnej wędrówce *zblizal* się do zachwycającego widoku - gdzie jest teraz ta rzadka, prawie nigdy nie zdarzająca się szansa, o której pan wspomniał? Tajemnica tkwi w przepisach o kompetencji. Nie jest bowiem tak, i w wielkiej żywej organizacji nie może tak być, by dla każdej sprawy kompetentny był tylko jeden określony sekretarz. Ale jest tak, że jeden posiada główną kompetencję, a wielu innych ma również do pewnego stopnia kompetencje, choć nieco mniejsze. Któż mógłby sam, nawet gdyby był najbardziej pracowity, przechowywać wszystkie dane, dotyczące choćby najdrobniejszej sprawy na swoim biurku? Nawet to, co powiedziałem o głównej kompetencji to już za wiele. Czyż w najmniejszej kompetencji nie

jest zawarte wszystko? Czyż nie rozstrzyga tu zapal, z jakim ujmuje się sprawę? I czyż nie jest on zawsze taki sam, zawsze w pełnym natężeniu? We wszystkim mogą być różnice pomiędzy sekretarzami i takich różnic jest bez liku, ale nie w zapale. Żaden z nich nie zdoła się powstrzymać od zajęcia się sprawą, gdy wpłynie doń wezwanie, choćby do takiej sprawy posiadał najmniejszą kompetencję. Na zewnątrz trzeba zorganizować uporządkowany tok urzędowania i dlatego wobec stron występuje zawsze na pierwszy plan jeden określony sekretarz, którego urzędowo należy się trzymać. Nie musi to jednak być nawet ten, który posiada do danej sprawy największe kompetencje, rozstrzyga tu organizacja i jej szczególne bieżące wymogi. Taki jest stan rzeczy. I teraz niech pan rozważy, panie geometro, możliwość, że interesant, dzięki jakimś okolicznościom, mimo opisanych tu paru całkiem wystarczających przeszkód, zdoła w środku nocy zaskoczyć jakiegoś sekretarza, który posiada pewną kompetencję do rozpatrzenia danej sprawy. Zapewne nie myślał pan jeszcze o takiej możliwości? Chętnie w to uwierzę. Bo też nie potrzeba o niej myśleć, gdyż taka możliwość niemal nigdy się nie zdarza. Cóż za dziwnie i osobliwie uformowaną, małą i zwinną drobinką musiałby być taki interesant, by mógł przesmyknąć się przez to doskonale sito! Pan myśli zapewne, że to nie może się zdarzyć? Ma pan rację, to nie może się zdarzyć. Ale pewnej nocy- kto może za to ręczyć - jednak to się przytrafia. Wprawdzie między moimi znajomymi nie widzę nikogo, komu by się to już przydarzyło, ale to jeszcze niczego nie dowodzi. Grono moich znajomych w porównaniu z liczbą wchodzących tu w rachubę interesantów jest bardzo ograniczone. Poza tym nie jest wcale pewne, że sekretarz, któremu coś takiego się przydarzyło, będzie się chciał do tego przyznać. Jest to bowiem w każdym razie bardzo osobista sprawa, która w pewnej mierze poważnie dotyczy jego urzędowego poczucia wstydu. W każdym razie doświadczenie moje, być może, wykazuje, że chodzi tu o rzecz tak rzadką i właściwie znaną tylko ze słyszenia, ale niczym nie potwierdzoną, że bać się jej jest wielką przesadą. Nawet gdyby taka rzecz miała naprawdę się stać, można by ją, jak mi się zdaje, formalnie unieszkodliwić dowodząc, co wcale nie jest trudne, że nie ma dla niej na tym świecie miejsca. W każdym razie jest to coś wprost chorobliwego, gdy się ze strachu przed nią ukrywa pod kołdrą i nie śmie spod niej wyjrzeć. I gdyby nawet to zupełnie nieprawdopodobieństwo nagle stało się ciałem, czyż wszystko byłoby już wtedy stracone? Wprost przeciwnie, to, żeby wszystko było stracone, jest jeszcze mniej prawdopodobne niż największe nieprawdopodobieństwo. Oczywiście, kiedy interesant jest w pokoju, to jest bardzo niedobrze. Serce się ściska. „Jak długo będziesz mógł się bronić?” pyta każdy sani siebie, choć wie, że wcale nie będzie mógł się bronić. Proszę tylko dobrze całą sytuację sobie wyobrazić. Nigdy nie widziany, stale oczekiwany, naprawdę upragniony i stale na skutek

rozsądnych przesłanek uważany za nieosiągalnego interesant siedzi przed nami. Już samą swoją niemą obecnością zachęca, by wtargnąć do jego żalosnego życia, rozejrzeć się w nim jak we własnym gospodarstwie i na skutek jego daremnych żądań razem z nim cierpieć. Takie zaproszenie wśród ciszy nocnej jest oszałamiające. Ulega mu się i właściwie przestaje się być osobą urzędową. Powstaje sytuacja, w której wkrótce staje się rzeczą niemożliwą, by jakąś prośbę odrzucić. Ściśle rzecz biorąc, jest się bliskim rozpacz, lecz biorąc ją jeszcze ściślej, jest się szczęśliwym. Jest się bliskim rozpacz, gdyż bezbronność, z jaką się tu siedzi, czeka na prośbę interesanta i wie, że skoro tylko on ją wypowie, trzeba ją będzie spełnić, chociaż o ile można się w tym zorientować, zburzy to formalnie całą organizację urzędową - ta bezbronność jest chyba najgorsza ze wszystkiego, co może się przytrafić w praktyce. Zwłaszcza niezależnie od wszystkich innych względów i tylko dlatego, że jest to przekraczający wszelkie pojęcia awans, który tu na chwilę uzurpuje się dla siebie. Nasze stanowisko nie upoważnia nas przecież wcale do spełniania takich prośb jak te, o które tu chodzi, ale z powodu zażyłości z interesantami, jaką wytwarza nocna pora, rosną do pewnego stopnia i nasze możliwości urzędowe i zobowiązujemy się do rzeczy, które leżą poza zakresem naszej kompetencji. No i wykonujemy je. Interesant zmusza nas nocą, jak rozbójnik w lesie, do ofiar, do których poza tym nie bylibyśmy nigdy zdolni. No więc dobrze, tak jest teraz, dopóki interesant jest obecny, dopóki dodaje nam sił, przymusza nas i przynagla i wszystko na pół świadomie się toczy. Jak jednak będzie później, kiedy wszystko już minie? Interesant nasycony i niefrasobliwy nas opuszcza, my zaś pozostajemy samotni i bezbronni wobec przekroczenia kompetencji urzędowej. Tego wprost nie można sobie wyobrazić! A mimo to jesteśmy szczęśliwi. Jakże samobójcze może być szczęście! Możemy się wysilać, by przed interesantem ukryć prawdziwą sytuację. Interesant bowiem sam chyba nigdy nic nie zauważy. Udało mu się według własnego mniemania - prawdopodobnie tylko z jakichś przypadkowych i obojętnych powodów - przemęczonemu, rozczarowanemu, bezzwłędnemu i obojętnemu z tego przemęczenia i rozczarowania

- udało mu się wtargnąć do czyjegoś pokoju, tak jak tego chciał, i teraz siedzi tam nieświadomy i zajęty własnymi myślami, jeśli w ogóle jest czymkolwiek zajęty, ze swymi omyłkami lub ze swym znużeniem. Czy nie można by go tak pozostawić? Nie, to się nie uda. Z gadulstwem ludzi szczęśliwych trzeba takiemu wszystko wyjaśnić. Musimy, nie mogąc w najmniejszym nawet stopniu siebie oszczędzać, wyjaśnić mu dokładnie, co się stało i z jakich powodów tak się stało oraz jak niesłychanie rzadką i jedyną w swoim rodzaju jest jego szansa. Trzeba pokazać, jak interesant po omacku wpadł na tę szansę z całą bezradnością, do jakiej żadna istota nie jest zdolna, tak jak właśnie taki interesant, i jak teraz ten interesant,

jeśli zechce, panie geometro, może wszystko zdobyć składając jedynie w jakiś tam sposób swoją prośbę, której spełnienie już czeka gotowe i po które wystarczy wyciągnąć rękę. Wszystko to trzeba mu pokazać. Jest to czarna godzina dla urzędnika. Kiedy się jednak to już robi, to, panie geometro, najkonieczniejsze zostało dokonane. Trzeba poprzestać na tym i czekać.

K. spał, odseparowany od wszystkiego, co się działo. Jego głowa, którą początkowo oparł na lewej ręce spoczywającej na oparciu łóżka, zsunęła się we śnie i zwisała bezwładnie, opadając powoli coraz niżej. Ręka, podtrzymująca ją dotychczas, już nie wystarczała, toteż K. mimo woli utworzył sobie nową podpórkę, oparłszy się prawą ręką o kołdrę, przy czym przypadkowo uchwycił za wystającą spod kołdry stopę Biirgela. Biirgel spojrzał na niego i pozostawił mu swoją stopę, chociaż musiało to być dla niego przykre.

Nagle rozległo się kilka mocnych uderzeń w boczną ścianę. K. podskoczył z przerażenia i spojrzał na nią.

- Czy nie ma tam pana geometry? - spytał jakiś głos.

- Jest - odparł Biirgel, uwolnił swoją stopę z ręki K. i przeciągnął się mocno, jak mały chłopiec.

- No, to niech nareszcie przyjdzie - mówił dalej głos, nie zwracając uwagi na Biirgela oraz na to, czy K. będzie mu jeszcze potrzeby.

- To Erlanger - szepnął Biirgel, przy czym wyglądało na to, że obecność Erlangera w sąsiednim pokoju wcale go nie zaskoczyła.

- Niech pan postara się go udobruchać. On ma mocny sen, ale widocznie rozmawialiśmy zbyt głośno. Nie można ani siebie, ani swego głosu opanować, kiedy mówi się o pewnych rzeczach. No, niechże pan idzie, wydaje się, że pan nie potrafi obudzić się ze snu. Niech pan idzie, co pan tu jeszcze robi? Z tego, że chce się panu spać, nie potrzebuje pan się usprawiedliwiać, bo i po cóż? Siły fizyczne wystarczają jedynie do pewnej granicy. Kto może za to odpowiadać, że akurat ta granica jest tak ważna? Nie, za to nikt nie może odpowiadać. W ten sposób świat koryguje sam siebie w swoim biegu i zachowuje równowagę. Jest to doskonale, wciąż jeszcze niesłychanie doskonałe urządzenie, chociaż pod innymi względami beznadziejne. No, niechże pan idzie, nie wiem, czemu pan tak na mnie patrzy. Jeśli pan długo jeszcze będzie zwlekał, Erlanger skieruje swoją złość na mnie, a tego chciałbym uniknąć. Niechże pan idzie. Nie wiadomo, co tam na pana czeka. Wszystko tu jest pełne szans, chociaż są to oczywiście szansę, które do pewnego stopnia nie są za wielkie, by mogły być wykorzystane, są sprawy, które rozbijają się same o siebie. Tak, to jest godne podziwu, zresztą mani nadzieję, że uda mi się teraz na chwilę zasnąć. Wprawdzie to już piąta

i niebawem *zaczną* się hałasy. Żeby chociaż chciał pan sobie już pójść!

Oszołomiony nagłym przebudzeniem z-głębokiego snu i jeszcze bezgranicznie senny, z ciałem w każdym miejscu obolałym z powodu niewygodnej pozycji K. długo nie mógł zdecydować się na wstanie, trzymał się za czoło i patrzył w dół. Nawet nieustające słowa pożegnania Biirgela nie były w stanie go nakłonić, by poszedł, jedynie poczucie całkowitej bezużyteczności dalszego przebywania w tym pokoju skłoniło go powoli do tego. Nieopisanie pusty wydawał mu się ten pokój. Czy stał się taki, czy też zawsze był taki, K. nie wiedział. Nawet nie udało mu się znowu tu usnąć. To zdecydowało. Uśmiechając się z lekka, wstał i opierając się o wszystko, co tylko mogło mu posłużyć za oparcie: o łóżko, o ścianę, czy też o drzwi, wyszedł z pokoju bez pożegnania, jak gdyby już od dawna z Biirgelem był się pożegnał.

Rozdział 19

K. prawdopodobnie byłby przeszedł równie obojętnie obok pokoju Erlangera, gdyby Erlanger nie stał właśnie . w otwartych drzwiach i nie dał mu znaku. Było to krótkie, jednorazowe skinienie wskazującym palcem. Erlanger był już całkiem gotowy do wyjazdu. Miał na sobie czarne futro, z wysoko zapiętym pod szyją, za ciasnym kołnierzem. Służący właśnie podawał mu rękawiczki i trzymał w pogotowiu futrzaną czapkę.

- Powinien pan być już dawno do mnie przyjść - rzekł Erlanger. K. chciał się wytłumaczyć, ale Erlanger, przymykając pełnym zmęczenia ruchem oczy, dał mu do zrozumienia, że nie wymaga tego. Chodzi o rzecz następującą - powiedział. - Przy szynkwasiu była dawniej niejaka Frieda. Pamiętam tylko jej imię, osobiście jej nie znam i nic mnie ona nie obchodzi. Ta Frieda podawała czasem piwo Klam-mowi; teraz siedzi tam jakaś inna dziewczyna. Otóż zmiana ta jest oczywiście bez znaczenia dla każdego, a dla Klamma w szczególności. Im jakaś robota jest jednak cięższa, a praca Klamma jest oczywiście najcięższa, tym mniej pozostaje sił do obrony przed zewnętrznym światem i co za tym idzie, każda najmniej nawet ważna zmiana w najmniej ważnych rzeczach może poważnie przeszkadzać. Najmniejsza zmiana na biurku, na przykład usunięcie znajdującej się tam od niepamiętnych czasów plamy, może przeszkadzać. Tak samo i nowa kelnerka. Otóż Klammmowi wszystko to nie przeszkadza, podczas gdy każdemu innemu przy pracy by przeszkadzało. Tu nie może być o tym mowy. Ale mimo to czujemy się w obowiązku czuwać nad wygodą Klamma i usuwać nawet takie przeszkody, które dla niego nie są przeszkodami, bo zresztą prawdopodobnie nie istnieją dla niego żadne przeszkody. Przeszkody te usuwamy nie ze względu na niego lub na jego pracę, ale ze względu na nas samych, na nasze sumienie i spokój. Dlatego owa Frieda musi niezwłocznie wrócić do szynkwasu. Być może właśnie przez swój powrót będzie ona przeszkadzała, to wtedy znów ją usuniemy, na razie jednak musi koniecznie wrócić. Pan z nią żyje, jak mi wiadomo, proszę więc natychmiast spowodować jej powrót. Na uczucia osobiste nie można przy tym zważać, to się samo przez się rozumie, dlatego też nie rozwodzę się dłużej nad tą sprawą. Już i tak robię o wiele więcej niż potrzeba, kiedy pana napomykam, bo jeśli pan w tej drobnostce nie zawiedzie, będzie to okazja dla pańskiej kariery nader pożyteczna. Oto wszystko, co miałem panu do powiedzenia.

- Rzekłszy to, skinął K. na pożegnanie głową, włożył na głowę podaną mu przez służącego czapkę i w towarzystwie tegoż służącego poszedł szybko, trochę kulejąc, w dół korytarza. Niekiedy wydawano tu rozkazy, które były bardzo łatwe do wykonania, ale łatwość ta

bynajmniej K. nie cieszyła. Nie tylko dlatego, że rozkaz ten dotyczył Friedy i choć był wypowiedziany jako rozkaz, to w uszach K. brzmiał jak kpina, ale przede wszystkim dlatego, że z rozkazu tego dla K. przebijała daremność wszystkich jego wysiłków. Nad jego głową przechodziły rozkazy zarówno niepomysłne, jak i pomysłne, ale nawet te najpomysłniejsze miały w gruncie rzeczy sens niepomysłny. W każdym razie wszystkie przechodziły nad nim górami, on zaś stał o wiele za nisko, by móc do nich się mieszać lub nawet zmusić je do milczenia, by znaleźć posłuch dla własnego głosu. „Kiedy Erlanger żegna się z tobą, to co możesz zrobić, a gdyby się nawet nie pożegnał, to co mógłbym mu powiedzieć?” Wprawdzie K. uświadomił sobie, że jego zmęczenie bardziej mu dzisiaj zaszkodziło, niż wszystkie niepomysłne okoliczności razem wzięte, ale dlaczego on, który przypuszczał, że może liczyć na swoją siłę fizyczną, i bez tego przekonania wcale by w drogę nie ruszył, dlaczego właśnie on nie mógł przetrzymać kilku przykrych i nie przespanych nocy. Dlaczego akurat tu poczuł takie nieprzewidywane zmęczenie, gdy nikt nie był zmęczony, a raczej może każdy i był stale przemęczony, ale nie przeszkadzało mu to w jego pracy, coś, co na zewnątrz wygląda jak przemęczenie, ale w gruncie rzeczy jest głębokim spokojem. Kiedy w południe jest się trochę zmęczonym, należy to do szczęśliwego naturalnego przebiegu dnia. „Panowie urzędnicy zaś mają tu przez cały dzień południe” - powiedział do siebie K.

I bardzo to odpowiadało temu, że teraz o piątej rano wszędzie, po obu stronach korytarza budziło się życie. Ten gwar w pokojach miał w sobie coś niesłychanie wesołego. Czasami brzmiał on jak okrzyki radości dzieci, które przygotowują się do wycieczki. Innym znów razem, jak ranne wyruszenie drobiu z kurnika, jak radość wynikająca z pełnej harmonii budzącego się dnia. Gdzieś nawet jeden z panów naśladował pianie koguta. Sam korytarz wprawdzie był jeszcze pusty, ale drzwi były już w ruchu, raz po raz uchylały się z lekka, to znowu się przymykały. Przez cały korytarz przechodził cichy szmer od tego otwierania i zamykania drzwi. Tu i tam widział K. przez szparę nie sięgających do sufitu ścian ukazujące się rozczochrane od snu głowy, które zaraz znowu zniknęły. Z dala podjechał powoli mały, pchany przez służącego wózek, naładowany aktami. Obok wózka siedł drugi służący, trzymając w ręku listę i widocznie porównując na niej numery drzwi z numerami na aktach. Prawie przed każdymi drzwiami wózek się zatrzymywał, drzwi się otwierały i odpowiednie akta podawano do pokoju, choć czasem była to tylko pojedyncza kartka i wtedy nawiązywała się krótka rozmowa między pokojem i korytarzem, widocznie robiono służącemu zarzuty. Kiedy drzwi zastawano zamknięte, akta układano starannie na progu. W takich wypadkach wydawało się K., że ruch drzwi w najbliższym otoczeniu nie ustawał, a nawet się wzmacniał, mimo że tam akta zostały już doręczone. Być może, że inni urzędnicy spoglądali podejrzliwie

na akta leżące nie wiadomo dlaczego na progu, nie odebrane, jak gdyby nie mogli zrozumieć, że ktoś potrzebuje tylko otworzyć drzwi, by sięgnąć po swoje akta, a jednak tego nie czyni. Być może, było to nawet prawdopodobne, że definitywnie nie odebrane akta rozdzielano później między pozostałych panów, którzy już teraz przez częste spoglądanie chcieli się przekonać, czy akta te ciągle jeszcze leżą na progu oraz czy istnieje jeszcze nadzieja, że je dostaną. Zresztą pozostawione akta składały się przeważnie ze specjalnie grubych plików. Dlatego K. przypuszczał nawet, że nie odbierano ich przez pewnego rodzaju chępliwość czy złośliwość, jakby usprawiedliwioną i zachęcającą kolegów do współzawodnictwa. W mniemaniu tym umacniało go to, że niekiedy, zawsze wówczas, gdy nie patrzył w tę stronę, plik akt, który widocznie już dość długo był wystawiony na pokaz, zostawał nagle i szybko wciągnięty do pokoju i drzwi znowu tak samo pozostawały zamknięte jak przedtem. Wtedy również drzwi w sąsiedztwie uspokajały się, jak gdyby rozczarowane czy zadowolone z tego, że przedmiot nieustannej pokusy został w końcu usunięty. Potem jednak stopniowo drzwi znowu zaczynały się poruszać. K. obserwował to wszystko nie tylko z zaciekawieniem, ale i z przejęciem. Czuł się niemal dobrze w tym rwetesie, spoglądał to tu, to tam, podążał, choć oczywiście w należytej odległości, za służącymi, którzy jednak już kilka razy odwracali się za nim z surowym spojrzeniem, i przypatrywał się ich pracy rozdzielczej ze spuszczoną głową i rozchylonymi ustami. Im dalej praca ta postępowała, tym na większe natrafiała trudności: albo lista się zupełnie nie zgadzała, albo służący nie mogli odnaleźć właściwych akt, lub też panowie wysuwali z innych powodów jakieś zastrzeżenia. W każdym razie dochodziło do tego, że do niektórych doręczonych już akt trzeba było powracać i wtedy wózek jechał z powrotem i rozpoczynały się w na wpółuchylonych drzwiach pertraktacje o zwrot mylnie doręczonych papierów. Pertraktacje te już same w sobie były połączone z wielkimi trudnościami i zdarzało się często, iż gdy chodziło o zwrot akt, drzwi, które dawniej znajdowały się w największym ruchu, teraz były nieubłaganie zamknięte, jak gdyby nie chciano nic o całej sprawie wiedzieć. Wówczas dopiero zaczynały się istotne trudności. Ten, komu się zdawało, że akta te mu się należą, tracił cierpliwość i hałasował w swoim pokoju, klaskał w dłonie, tupał nogami i wykrzykiwał przez szczelinę w drzwiach ciągle ten sam numer akt, aż rozlegało się po całym korytarzu. Wówczas wózek często stał zupełnie opuszczony. Jeden służący był zajęty udobruchiwaniem zniecierpliwionego urzędnika, drugi awanturował się przed zamkniętymi drzwiami o zwrot akt. Zadanie obu było niełatwe. Zniecierpliwiony urzędnik często na skutek prób udobruchania stawał się jeszcze niecierpliwszy, nie chciał w ogóle słuchać próżnych słów służącego i powtarzał, że nie chce pociechy, lecz akt. Jeden z takich panów wylał kiedyś przez szczelinę w drzwiach całą

miednicę wody na służącego. Drugi służący, widocznie starszy rangą, miał jeszcze więcej trudności. Jeśli dany urzędnik zgadzał się w ogóle na pertraktacje, to rozmowa przybierała rzeczowy charakter: służący powoływał się na swoją listę, urzędnik zaś na swoje notatki oraz na same akta, które miał zwrócić i które na razie mocno trzymał w garści, tak że pożądlive oczy służącego mogły dojrzeć zaledwie ich brzeżek. Służący, w poszukiwaniu nowych dowodów, musiał wówczas biec z powrotem do wózka, który po lekko pochyłym korytarzu zdążył już o własnej sile przetoczyć się trochę dalej, lub też musiał iść do pana, który akt się domagał, by wyłuszczyć tam zastrzeżenia obecnego ich właściciela i podać nowe argumenty. Takie pertraktacje trwały zwykle bardzo długo. Czasem dochodzono do zgody, urzędnik zwracał część akt lub otrzymywał jako odszkodowanie inne, gdyż widocznie zaszła jedynie pomyłka w ich doręczeniu. Zdarzało się jednak, że ktoś musiał rezygnować w ogóle ze wszystkich akt. Działo się tak albo dlatego, że dowody służącego przekonywały go, albo dlatego, że długotrwałe pertraktacje go znużyły. Wtedy jednak nie oddawał akt służącemu, ale wyrzucał je na skutek nagłej decyzji na korytarz, tak że sznurki pękały, papiery fruwały w powietrzu i służący musieli się dobrze natrudzić, by znów wszystko uporządkować. Ale wszystko to było jeszcze stosunkowo bardziej proste niż kiedy służący na swoją prośbę o zwrot akt w ogóle nie otrzymywał odpowiedzi. Wtedy stał przed zamkniętymi drzwiami, prosił, zaklinał, powoływał się na swoją listę oraz na różne przepisy, ale wszystko na próżno. Z pokoju nie dolatywał żaden głos, służący zaś widocznie nie miał prawa wchodzić tam bez pozwolenia. Wówczas nawet ten doskonały skądinąd służący przestawał panować nad sobą, wracał do swego wózka, siadał na aktach, ocierał pot z czoła i przez chwilę nic nie robił bezradnie huśtając nogami. Zainteresowanie sprawą było wokoło bardzo żywe, wszędzie szeptano, wszystkie drzwi były w ruchu, na górze zaś, nad gzymsem ściany, śledziły każde zajście dziwne, niemal całkowicie owinięte w ręczniki twarze, które ani na chwilę nie pozostawały w jednym miejscu. Wśród tego niepokoju K. uderzyło, że drzwi Biirgela pozostały przez cały czas zamknięte: choć służący minęli już tę część korytarza, żadnych mu akt nie przydzielili. Być może Biirgel jeszcze spał w takim hałasie, co świadczyłoby o zdrowym śnie. Dlaczego jednak Biirgel nie otrzymał żadnych akt? Tylko niewiele pokoiów, i to prawdopodobnie pokoiów nie zamieszkanych, pozostało pominiętych. Tymczasem w pokoju Er-langera przebywał już nowy i szczególnie niespokojny gość. Musiał po prostu Erlangera w nocy z pokoju wygnąć. Nie odpowiadało to chłodnemu i formalistycznemu usposobieniu Erlangera, ale to, że musiał on oczekiwać K. na progu, wskazywało, że tak było.

Od tych wszystkich postronnych obserwacji K. wciąż powracał do obserwowania samego służącego. Jego bowiem z całą pewnością nie dotyczyło to, co K. w ogóle

opowiadano o służących z zamku, o ich nieróbstwie, wygodnym życiu i zarozumialstwie. Widocznie były wyjątki wśród służby zamkowej lub - co prawdopodobniejsze - istniały różne grupy wśród nich, gdyż tutaj, jak K. zdążył już to zauważyć, było wiele rozgraniczeń, o których dotychczas mógł mieć tylko słabe pojęcie. Zwłaszcza nieustępliwość tego służącego bardzo mu się spodobała. W walce z tymi małymi, upartymi pokoikami - K. wydawało się często, że jest to właśnie walka z pokojami, gdyż mieszkańców ich prawie nie było widać - służący nie dawał za wygraną. Wprawdzie opadał z sił, bo któż by nie opadł w takiej sytuacji, ale wkrótce otrząsał się ze zmęczenia, ześlizgiwał się z wózka i ruszał wyprostowany, zaciskając zęby, na zdobywanie dalszych drzwi. I zdarzało się, że choć odtrącony dwa czy trzy razy w najprostszy sposób przez przekłute milczenie, w końcu jednak nie ponosił porażki. Ponieważ wiedział, że wstępnym bojem nic nie wskóra, próbował innym sposobem, na przykład, jeśli K. dobrze to rozumiał, podstępem. Pozornie odchodził od drzwi, do pewnego stopnia pozwalał im jakby wyczerpać do dna ich milczenie, szedł do innych drzwi, ale po chwili znowu wracał, przyzywał drugiego służącego, a wszystko to robił umyślnie głośno, i zaczynał na progu przed zamkniętymi drzwiami układać akta, jak gdyby zmienił zdanie

- danemu urzędnikowi nie należy nic odejmować, lecz przeciwnie

- trzeba mu jeszcze dodać. Potem służący szedł dalej, nie spuszczać oczu z drzwi, i kiedy urzędnik, jak to się zwykle zdarzało, wkrótce uchylał ostrożnie drzwi, by wciągnąć akta do pokoju, służący podbiegał doń w kilku susach, wstawiał stopę między drzwi i zmuszał w ten sposób danego pana przynajmniej do pertraktacji z nim twarzą w twarz, co w końcu zwykle doprowadzało do jakiegoś kulawego kompromisu. A gdy się to nie udawało lub gdy przy jakichś drzwiach sposób taki wydawał mu się mało skuteczny, próbował inaczej. Cały nacisk na przykład wywierał na owego pana, który akt się domagał, potem zaś odsuwał na bok drugiego służącego, który pracował mechanicznie i był widocznie całkiem bezwartościowym pomocnikiem, i *zaczynał* sam do owego urzędnika przemawiać szeptem, tajemniczo, wsuwając głowę głęboko do pokoju. Prawdopodobnie czynił mu jakieś obietnice i zapewniał go, że przy przyszłym rozdziale akt tamten drugi urzędnik otrzyma odpowiednią karę. Przy tym wskazywał co najmniej kilka razy na drzwi antagonisty i śmiał się, o ile pozwalało mu na to zmęczenie. Poza tym jednak były jeszcze wypadki, jeden czy dwa, kiedy służący dawał za wygraną, ale K. myślał, że nawet wówczas była to rezygnacja tylko pozorna lub przynajmniej usprawiedliwiona, gdyż służący szedł dalej już spokojnie, nie zważając na hałasowanie poszkodowanego urzędnika. Tylko przymknięcie oczu na dłuższą chwilę wskazywało, że służący boleje nad tym. Wkrótce jednak krzyczący urzędnik stopniowo się uspokajał. Tak jak nieustanny płacz dziecka stopniowo przechodzi w urywane szlochanie, tak

działo się i z tym krzykiem. Ale również po nastaniu całkowitej ciszy rozlegał się jeszcze pojedynczy krzyk lub przelotne otwieranie i zatraskiwanie drzwi. W każdym razie okazywało się, że służący prawdopodobnie i w tym wypadku postąpił całkiem słusznie. W końcu pozostał tylko jeden urzędnik, który nie chciał się uspokoić. Długo milczał, ale tylko, by odpocząć a potem znowu zaczął krzyczeć, wcale nie ciszej niż poprzednio. Nie było całkiem jasne, dlaczego tak wrzeszczał i narzekał. Być może wcale nie z powodu rozdziału akt. Tymczasem służący kończył swą pracę. Na wózku pozostały z winy pomocnika tylko jedne jedyne akta, właściwie mały papierek, kartka z notesu, i nie wiadano, komu ją doręczyć. „Może to moje akta?” - przeszło K. przez głowę. Wójt przecież zawsze mówił o tym, że to taka mało ważna sprawa. I K., chociaż swoje przypuszczenie uważał w gruncie rzeczy za dowolne i śmieszne, usiłował zbliżyć się do służącego, który oglądał ową kartkę z namysłem. Nie było to znów takie łatwe, gdyż służący nie odpłacał się K. wzajemnością za jego sympatię dla niego. Nawet wśród najcięższej pracy miał jeszcze tyle czasu, by ze złością spoglądać na K. Dopiero teraz, po zakończeniu rozdzielania akt, wydało się, że zapomniał trochę o K. czy też stał się bardziej obojętny. Jego wielkie zmęczenie było dostatecznym powodem po temu, by nie przejmował się zbytnio kartką, może jej nawet wcale nie czytał, a tylko udawał, i chociaż tu na korytarzu prawdopodobnie mieszkańca każdego pokoju, uszczęśliwiłby tą kartką, to jednak postanowił inaczej, gdyż doręczanie akt już mu się znudziło. Trzymający wskazujący palec na ustach, dał swemu towarzyszowi znak, by milczał... i nim K. zdążył do niego podbiec - podarł kartkę na drobne strzępki, które potem schował do kieszeni. Była to chyba pierwsza nieformalność, jaką K. w tutejszym urzędowaniu zauważył, zresztą możliwe, że i to mogło być tylko źle przez niego zrozumiane. I nawet jeśli była to nieformalność, można ją było przebaczyć, bo przy stosunkach, jakie tu panowały, służący nie mógł bezbłędnie pracować; nagromadzona złość i niepokój musiały wreszcie wybuchnąć, jeśli wyładowywały się jedynie w podarciu małej karteczki, nie było to znów taką wielką winą. Ciągłe jeszcze rozlegał się w korytarzu głos nie mogącego w żaden sposób uspokoić się urzędnika, a jego koledzy, którzy pod innymi względami nie odnosili się do siebie zbyt przyjaźnie, wydawali się, jeśli chodziło o ten hałas, całkowicie go aprobować. Powoli można było dojść do przekonania, że urzędnik ten wziął na siebie zadanie hałasowania za wszystkich, a inni pobudzali go okrzykami i przytakiwaniem głową, by nie przestawał. Ale teraz służący już się wcale tym nie przejmował. Praca jego była skończona. Wskazał więc drugiemu służącemu na dyszel wózka i oddalili się tak, jak przyszli, tylko jakby trochę bardziej zadowoleni, i tak szybko, że pchany przez nich wózek podskakiwał. Jeszcze tylko jeden raz drgnęli i obejrzeni się, kiedy ciągle wrzeszczący urzędnik, przed którego drzwiami

K. się wałęsał, gdyż chętnie dowiedziałby się, o co mu właściwie chodzi, uznawszy widocznie, że krzyczenie jest nie wystarczające, odnalazł prawdopodobnie dzwonek elektryczny i uszczęśliwiony, że to go odciąża, zamiast wrzeszczeć, zaczął nieustannie dzwonić. Odpowiedział mu na to z innych pokoi głośny pomruk, co wydawało się oznaczać aprobatę. Widocznie urzędnik zrobił coś, na co wszyscy już dawno mieli ochotę, a czego z niewiadomych przyczyn nie robili. Może urzędnik dzwonił tak na służbę, może na Friedę? Mógł tak długo dzwonić, Frieda bowiem była zajęta otulaniem Jeremiasza w mokre prześcieradła, a nawet gdyby Jeremiasz był już zdrow, to i tak nie miałyby czasu, gdyż wtedy leżałaby w jego objęciach. Dzwonienie jednak odniosło natychmiastowy skutek. Już pędził z daleka zarządca gospody w czarnym ubraniu, zapięty jak zawsze pod szyję. Wydawało się jednak, jak gdyby zapomniał o swej godności, tak prędko pędził. Ręce miał na wpół wyciągnięte, jak gdyby był wzywany z powodu jakiegoś wielkiego nieszczęścia i przybywał, by je objąć i zdusić, przyciskając do piersi. Każda nawet najmniejsza nierównomierność w dzwonieniu powodowała, że robił krótki skok i jeszcze bardziej się śpieszył. W znacznej odległości za nim ukazała się również jego żona, tak samo z wyciągniętymi rękami, ale robiąca małe, afektowane kroczyki, tak że K. myślał, iż na pewno się spóźni i przybędzie, kiedy jej mąż już wszystko załatwi co trzeba. Żeby więc nie przeszkadzać mu w biegu, K. przywarł szczelnie do ściany, ale zarządca gospody przystanął przy K., jak gdyby to on był celem jego pośpiechu, również i żona zarządcy była już przy nim, po czym oboje zasypali go zarzutami, których K. w pośpiechu i zaskoczeniu nie rozumiał, zwłaszcza że i dzwonienie urzędnika zagłuszało wszystko, a nawet inne dzwonki zaczęły dzwonić, już nie z konieczności, ale jakby dla zabawy i z nadmiaru radości. Toteż K., dbając o to, by winę swoją zrozumieć, zgodził się, by zarządca wziął go pod ramię i wyprowadził z tego harmideru, który się ciągle wzmagał, gdyż za nimi - K. nie oglądał się wcale za siebie, bo zarządca z jednej strony, a jego żona z drugiej mówili coś do niego nieustannie - drzwi się otwierały i cały korytarz się ożywił: zaczął się tam jakiś ruch, jak w ciasnym zaułku, a drzwi, jak gdyby tylko na to cierpliwie czekały, by K. je wreszcie minął i by mogły wypuścić czekających za nimi panów. W to wszystko wpadał odgłos dzwonków, które wciąż na nowo zaczynały dzwonić, jak gdyby chciały uczcić jakieś zwycięstwo. Potem nareszcie, kiedy znów byli na cichym, białym podwórzu, gdzie czekało kilkoro sań, K. uświadomił sobie stopniowo, o co chodzi. Ani zarządca gospody, ani jego żona nie mogli zrozumieć, że K. mógł się na coś podobnego odważyć. „Ale cóż ja takiego uczyniłem?” - pytał K. raz po raz samego siebie, ale długo nie mógł się dopytać, podczas gdy dla nich obojga jego wina była aż nazbyt wyraźna i dlatego wcale nie wierzyli w jego dobrą wolę. Bardzo powoli K. zrozumiał wszystko. Nie miał prawa

znajdować się w tym korytarzu, najwyżej, i to z łaski i do odwołania, wolno mu było przebywać przy szynkwasiu. Jeśli go jeden z panów wezwał, to naturalnie musiał przed nim się stawić, ale powinien był stale o tym pamiętać - był przecież przy zdrowych zmysłach - że znajduje się gdzieś, gdzie być nie powinien, dokąd wezwał go pan urzędnik, i to bardzo niechętnie, i jedynie dlatego, że wymagała tego i usprawiedliwiała to sprawa urzędowa. Powinien był szybko się stawić i poddać się przesłuchaniu, ale potem możliwie jak najprędzej się oddalić. Bo czyż tego nie rozumiał, że jego obecność na tym korytarzu jest w najwyższym stopniu niestosowna? Ale jeżeli miał takie uczucie, to *jakżeż* mógł tak długo się wałęsać, jak jakieś bydlę na pastwisku? Czyż nie był wezwany na nocne przesłuchanie i czy nie wie, w jakim celu nocne przesłuchiwanie zostały wprowadzone? Te przesłuchiwanie - i w tym miejscu K. odnajdywał nowe wytłumaczenie ich sensu - miały przecież tylko jeden cel: chodziło o to, by panowie urzędnicy mogli przesłuchiwać interesantów, których widok przy świetle dziennym był dla nich nie do zniesienia, w nocy, szybko, przy sztucznym świetle, tak by od razu po przesłuchaniu zapomnieć o całej ich szpetocie, jak o jakimś złym śnie. Zachowanie się jednak K. urągało wszelkim zasadom ostrożności. Nawet upiory znikają nad ranem, K. zaś pozostał tam z rękami w kieszeniach, jak gdyby nie chcąc się oddalić, i oczekiwał, że oddali się cały korytarz wraz ze wszystkimi pokojami i znajdującymi się w nich panami. I na pewno tak by się stało - mógł być tego pewien - gdyby w ogóle należało to do możliwości, gdyż delikatność panów urzędników nie ma granic. Żaden z nich nie wygnałby K. i nie powiedziałby mu, co byłoby przecie jak najbardziej zrozumiałe, że musi wreszcie sobie pójść; nikt by tego nie zrobił, chociaż na pewno podczas obecności K. wszyscy trzęśli się z podniecenia, że poranek, ta najmilsza dla nich pora, zostaje im zatruty. Zamiast występować przeciwko K., wołali oni jednak cierpieć, przy czym pewną rolę odgrywała nadzieja, że K. musi z czasem zrozumieć bijącą w oczy prawdę i odpowiednio do cierpienia panów urzędników sam będzie aż do niemożliwości boleć, że tak przeraźliwie niestosownie, widoczny dla wszystkich, stoi tu o porannej godzinie na korytarzu. Płonna nadzieja. Nie wiedzą oni lub nie chcą w swej życzliwości i wyrozumiałości wiedzieć, że istnieją również nieczułe, twarde i nie liczące się z żadnym szacunkiem serca. Czyż nawet ćma nocna, ten biedny owad, nie wyszukuje sobie o świetle cichego kącika? Rozpłascza się tam i najchętniej by w ogóle zniknęła, bolejąc nad tym, że uczynić tego nie potrafi. K. natomiast stanął tam, gdzie najbardziej był widoczny, i gdyby przez to mógł nie dopuścić do nastania dnia, to na pewno byłby to zrobił. Nie dopuścić nie może, ale opóźnić i utrudnić, niestety, potrafi. Czyż nie asystował przy rozdziale akt? przy funkcji, przy której nikomu nie wolno asystować z wyjątkiem zainteresowanych, funkcji, której ani zarządca gospody, ani jego żona nie mają

prawa przyglądać się w swoim własnym domu. Było to coś, o czym wiedzieli jedynie ze słyszenia, jak na przykład dziś od tych służących. Czyż K. mógł nie zauważyć, z jakimi trudnościami odbywało się doręczanie akt, coś, co jest samo w sobie niezrozumiałe, bo przecież każdy z panów urzędników służy tylko sprawie, a nigdy nie myśli o własnej korzyści i dlatego z całych sił musi się o to starać, by rozdział akt - ta ważna, podstawowa praca - odbywał się szybko, łatwo i bezbłędnie. I czyż K. naprawdę nie zaświtała myśl, iż główną przyczyną wszystkich tych trudności jest to, że podział musi się odbywać niemal przy zamkniętych drzwiach bez możliwości bezpośredniego obcowania między sobą urzędników, którzy naturalnie mogliby się ze sobą porozumieć w jednej chwili, podczas gdy pośrednictwo służących musi zabierać długie godziny, nigdy nie może się odbyć bez narzekania i stanowi nieustanną mękę zarówno dla panów, jak i dla służących, połączoną prawdopodobnie ze szkodliwymi dla późniejszej pracy skutkami. Ale dlaczego panowie urzędnicy nie mogą ze sobą obcować? Czyż K. naprawdę tego jeszcze nie rozumie? Coś podobnego nie przytrafiło się jeszcze zarządczyni gospody oraz jemu samemu, jak to stwierdził, a przecież mieli już do czynienia z niejednym niesfornym człowiekiem. Rzeczy, których zazwyczaj nie ma się odwagi wypowiedzieć, trzeba mu mówić bez osłonek, gdyż inaczej nie rozumie nawet najzwyczajniejszych. A więc, gdy trzeba to już powiedzieć, to zarządca z żoną stwierdzają: że z jego powodu, i to wyłącznie z jego powodu, panowie urzędnicy nie mogli wyjść ze swoich pokojów, gdyż rano, gdy ledwo obudzą się ze snu, są zbyt wstydliwi i drażliwi, by mogli się narażać na spojrzenia obcych ludzi. Czują się, choć może i są całkowicie odziani, jakby byli zbyt obnażeni, by móc się pokazać. Trudno powiedzieć, dlaczego się wstydzą. Może ci niezmordowani pracownicy wstydzą się tylko z tego powodu, że w ogóle spali. Ale może jeszcze bardziej niż pokazywać się, wstydzą się patrzeć na obcych ludzi; temu, co za pomocą nocnych przesłuchiwań szczęśliwie przezwyciężyli, to znaczy widokowi nieznośnych dla nich interesantów, nie chcą teraz nagle i bezpośrednio rano w całej nagiej prawdzie na nowo pozwolić, aby na nich oddziaływało. Po prostu nie czują się na siłach. Cóż to musi być za człowiek, który nie czuje przed nimi respektu! Otóż to musi być człowiek taki jak K., ktoś, kto stawia się ponad wszystkim, ponad prawem, ponad najzwyczajszą ludzką delikatnością, tępo i ospale, ktoś, komu wcale o to nie chodzi, że niemal uniemożliwił rozdział akt, kto uwłacza dobrej sławie tego domu i kto doprowadza do czegoś, czego nigdy jeszcze nie było, że zrozpaczeni urzędnicy zaczęli sami bronić się z nadludzką siłą, przezwyciężali się, by dzwonić i wołać o pomoc, byle wygnać K., którym w inny sposób nie da się wstrząsnąć! Oni, panowie, wołają o pomoc! Czyż zarządca gospody i jego żona oraz cały personel od dawna by nie przybiegli, gdyby tylko śmieli, nie powołani, o rannej godzinie ukazać się przed

panami, choćby tylko po to, by pośpieszyć im z pomocą i potem zaraz się oddalić. Trzęsąc się z oburzenia nad K. i niepocieszeni z powodu własnej niemocy, czekali tu przy wejściu do korytarza i dopiero nieoczekiwane dzwonienie stało się dla nich wybawieniem. Teraz najgorsze minęło! Żeby tylko rzucić okiem na radosne ożywienie wyzwolonych nareszcie panów. Oczywiście dla K. jeszcze nie wszystko minęło, na pewno będzie musiał za to, co tu narobił, odpokutować.

Tymczasem doszli już do samego szynkwasu. Dlaczego zarządca gospody mimo całego swego gniewu K. tu przyprowadził, nie było wcale jasne. Może zrozumiał, że znużenie K. uniemożliwia mu na razie opuszczenie gospody. Nie czekając na zaproszenie, by usiąść i zaczekać, K. po prostu osunął się na jedną z beczek. Tam w ciemności poczuł się dobrze. W wielkiej sali paliła się tylko słaba lampka elektryczna nad kranami do nalewania piwa, a na dworze panowała jeszcze głęboka ciemność. Zdawało się, że szaleje zadymka śnieżna. Jeśli zaś siedziało się tu w cieple, to należało być wdzięcznym i starać się, by nie zostać wygnanym. Zarządca gospody i jego żona stali ciągle jeszcze przed K., jak gdyby stanowił on dla nich w dalszym ciągu pewne niebezpieczeństwo i jak gdyby przy jego zupełnej nieodpowiedzialności nie było wykluczone, że znowu tam pójdzie i będzie próbował wdrzeć się na korytarz. Również i oni oboje byli zmęczeni z powodu nocnych strachów i zbyt wczesnego wstania, zwłaszcza zarządczyni. Miała na sobie brązową suknię ze sztucznego jedwabiu, szeleszczącą i szeroką u dołu, niedokładnie pozapinaną i krzywo przewiązaną szarfą, nie wiadomo skąd wyciągniętą i narzuconą naprędce. Głowę, jakby nadłamaną w karku, oparła o ramię męża i cieniutką chusteczką ocierała oczy, rzucając na K. raz po raz dziecinne gniewne spojrzenia. Aby tę parę uspokoić, K. wyjaśnił, że wszystko, co mu teraz opowiedzieli, stanowi dla niego zupełną nowość, ale że mimo tej nieświadomości nie pozostałby tak długo w korytarzu, gdzie naprawdę nie miał nic do roboty i na pewno nie chciał nikogo dręczyć, lecz że wszystko to stało się jedynie z powodu strasznego przemęczenia. Jest im wdzięczny, że zakończyli tak przykrą scenę, a gdyby pociągnięto go do odpowiedzialności, będzie to dla niego nawet bardzo pożądane, gdyż tylko w ten sposób będzie mógł przeszkodzić ogólnemu przekręcaniu sensu jego zachowania. Tylko zmęczenie i nic ponadto było powodem wszystkiego. Przemęczenie to wszakże pochodzi stąd, że jest one jeszcze nie przyzwyczajony do wysiłku, jaki pociąga za sobą przesłuchanie. Jest przecie tutaj od niedawna. Jeśli nabędzie już pewnego doświadczenia, to coś podobnego nie będzie mogło się powtórzyć. Być może, że zbyt przejmuję się tymi przesłuchiwaniami, samo przez się nie jest to przecie nic złego. Musiał przejść przez dwa przesłuchania, jedno po drugim, pierwsze u Burgela, drugie o Erlangera. Zwłaszcza to pierwsze bardzo go wyczerpało, drugie wprawdzie

nie trwało długo, gdyż Erlanger prosił go tylko o wyświadczenie pewnej drobnej uprzejmości, ale oba razem, i to w ciągu jednej nocy, były dla niego nie do zniesienia. Być może, że i ktoś inny, na przykład sam pan zarządca gospody, również nie wytrzymałby. Z drugiego przesłuchania K. wyszedł zataczając się. Był to rodzaj zamroczenia. Przecież widział obu tych panów po raz pierwszy i słyszał o nich również po raz pierwszy, a jednak musiał im odpowiadać. Wszystko, o ile się orientuje, wypadło dobrze, ale potem przytrafiło się to nieszczęście, które jednak wobec tego, co było przedtem, nie może być mu poczytywane za winę. Niestety, tylko Erlanger i Burgel orientowali się, jaki jest jego stan, i na pewno byliby nim się zaopiekowali i nie dopuścili do tego wszystkiego, co potem zaszło, ale Erlanger zaraz po przesłuchaniu musiał wyjść, prawdopodobnie by pojechać na zamek, Burgel zaś widocznie zmęczony tym przesłuchaniem, którego i K. nie mógł przetrzymać bez osłabnięcia, zasnął i przespał nawet cały rozdział akt. Gdyby K. miał podobną możliwość, to z przyjemnością by ją wykorzystał i chętnie zrezygnował z wszelkiego niedozwolonego podglądania, i to tym łatwiej, że w gruncie rzeczy nie był w stanie nic dojrzeć i dlatego najwrażliwsi nawet panowie urzędnicy mogli bez obawy mu się pokazać.

Napomknięcie o obu przesłuchaniach, zwłaszcza u Erlangera, i respekt, z jakim K. mówił o panach urzędnikach, dobrze usposobiły do niego zarządcę gospody. Chciał już nawet spełnić prośbę K. i położyć na beczkach deskę, na której K. mógłby do brzasku się przespać, lecz żona zarządcy była wyraźnie temu przeciwna. Dopiero teraz uświadomiła sobie, że suknia jej była w nieładzie i raz po raz daremnie ją poprawiała, kręcąc ciągle głową. Widocznie lada chwila mógł wybuchnąć spór, dotyczący domowego spokoju. Dla K. z powodu jego przemęczenia rozmowa pary małżeńskiej nabierała zbyt wielkiego znaczenia. Wydało mu się, że gorszym od wszystkich dotychczasowych przeżyć nieszczęściem byłoby, gdyby go teraz stąd wygnali. Nie wolno było do tego dopuścić, nawet kosztem pogodzenia się zarządcy i jego żony. Przyciął się, skulony na beczce, i przyglądał obojgu, aż żona zarządcy w swej niezwykłej wrażliwości, którą K. już dawno zauważył, szybko odeszła na bok i choć prawdopodobnie już o czymś innym mówiła, nagle wykrzyknęła:

- Jak on na mnie patrzy! Wypędź go stąd wreszcie!

K. jednak wykorzystując okazję i całkowicie, aż do zupełnej obojętności przekonany, że pozostanie tu, gdzie jest, powiedział:

- Nie na ciebie patrzę, ale na twoją suknię.

- Dlaczego na moją suknię? - spytała zarządczyni z przejęciem. K. wzruszył ramionami. - Chodź - rzekła do męża. - On jest pijany, ten gbur! Niech prześpi się tutaj i wytrzeźwieje!

A potem zwracając się do Pepi, która zawołana wyłoniła się z ciemności, rozczochrana, zmęczona, trzymając niedbale miotłę w ręku, kazała jej rzucić K. jakąś poduszkę.

Rozdział 20

Kiedy K. się obudził, zdawało mu się z początku, że prawie wcale nie spał. Pokój był nadal pusty i ciepły, wszystkie ściany pogrążone w ciemności, jedyna żarówka nad kranami od piwa zgaszona, a za oknami noc. Kiedy jednak wyciągnął się, poduszka spadła, a prowizoryczne łóżko i beczki zatrzeszczały. Zaraz podeszła Pepi i dopiero teraz K. się dowiedział, że już jest wieczór i że spał ponad dwanaście godzin. Żona zarządcy gospody kilka razy w ciągu dnia pytała o niego, jak również Gerstacker, który rano, kiedy K. rozmawiał z zarządczynią, czekał po ciemku przy piwie, a potem już nie śmiał K. niepokoić. Przyszedł tylko raz, aby zobaczyć, co się z K. dzieje. W końcu podobno i Frieda tu była, stała przez chwilę przy K., ale chyba nie z jego powodu tu przyszła, lecz dlatego, że miała sporo do przygotowania, ponieważ wieczorem znów miała objąć swe dawne stanowisko.

- Ona już chyba o ciebie nie dba? - spytała Pepi podając kawę i ciastka. Ale nie pytała złośliwie jak dawniej, lecz ze smutkiem, jak gdyby sarna już poznała złość świata, wobec której własna złość zawodzi i traci sens. Mówiła do K. jak do towarzysza niedoli, a kiedy skosztował kawy i zauważyła, że wydaje mu się nie dość słodka, pobiegła i przyniosła mu pełną cukiernicę. Smutek jednak nie przeszkodził jej wystroić się dziś może bardziej jeszcze niż ostatnim razem. Miała mnóstwo kokardek i wstążeczek wplecionych we włosy, które nad czołem oraz na skroniach były starannie ufryzowane. Na szyi miała zawieszony łańcuszek ginący w głębokim wycięciu bluzki. Kiedy K., zadowolony z tego, że wreszcie się wyspał i mógł napić się dobrej kawy, skrycie wyciągnął rękę do jednej z kokardek i starał się ją rozwiązać, Pepi zmęczonym głosem powiedziała: - Daj mi spokój - i usiadła przy nim na beczce. I K. nie potrzebował wcale

O jej zmartwienie pytać, gdyż sama zaczęła zaraz opowiadać, mając oczy utkwione w filiżance K., jak gdyby potrzebowała jakiegoś odwrócenia uwagi, nawet kiedy opowiadała, i jak gdyby nie mogła, nawet kiedy była zaprzątnięta własnym nieszczęściem, oddać mu się całkowicie, gdyż było to ponad jej siły. Najprzód K. się dowiedział, że właściwie on był winien całemu nieszczęściu Pepi, ale że ona się za to na niego nie gniewa. Podczas całego opowiadania kiwała z zapalem głową, by nie dopuścić do sprzeciwu z jego strony. Nasamprzód K. zabrał Friedę od szynkwasu i przez to umożliwił awans Pepi. Nie można sobie wyobrazić, by coś poza tym mogło skłonić Friedę do opuszczenia stanowiska. Siedziała przecież tu przy szynkwasiu, jak pajak w swej sieci, i snuła na wszystkie strony nici, sobie tylko znane. Usunąć ją stąd wbrew jej woli było całkiem niemożliwe i tylko miłość do kogoś

o wiele od niej niższego, a więc coś, czego nie można było pogodzić z jej stanowiskiem, mogła ją z tego miejsca wygnać. A Pepi? Czyż przyszło jej kiedy na myśl, że będzie mogła to stanowisko zdobyć? Była pokojówką, miała nieważną posadę, bez żadnych szans. Oczywiście, jak każda dziewczyna marzyła o wspaniałej przyszłości, gdyż marzeń nie można sobie zakazać, ale poważnie nie myślała o awansie, zadowolając się tym, co już osiągnęła. I wtedy Frieda nagle zniknęła od szynkwasu i raptem przytrafiło się tak, że zarządca gospody nie miał pod ręką odpowiedniej zastępczyni, zaczął się rozglądać i spojrzenie jego padło na Pepi, która oczywiście w odpowiedni sposób wysunęła się naprzód. W owym czasie kochała ona K., jak jeszcze nikogo w życiu. Miesiącami przesiadywała w malutkiej, ciemnej izdebce i była gotowa tam całe lata, a w najgorszym razie nawet całe życie, spędzić przez nikogo nie zauważona, i wtedy nagle zjawił się K., bohater, wybawiciel dziewic, i utorował jej drogę wzwyż. Oczywiście nie wiedział on wcale o jej istnieniu i nie uczynił tego z jej powodu, ale to nie obchodziło jej wdzięczności. W noc poprzedzającą objęcie posady - wtedy jeszcze niepewnej, ale już prawdopodobnej - spędziła długie godziny na marzeniach o tym, by z nim rozmawiać i szeptać mu do ucha o swojej wdzięczności. A jego czyn podnosiło w jej oczach jeszcze to, że właśnie Frieda była tą, której los K. wziął na swoje barki. Było w tym coś niepojęcie bezinteresownego, że K., aby podciągnąć w górę Pepi, zrobił z Friedy swoją kochankę i to właśnie z Friedy, tej nieładnej, podstarzałej, chudej dziewczyny, z krótkimi, sterczącymi jak strzecha włosami, a poza tym nieszczerą i wiecznie mającą jakieś sekrety, co zresztą chyba ma związek z jej powierzchownością. Jeśli na jej twarz i na całą postać niewątpliwie przykro było spojrzeć, to musi przecież posiadać przynajmniej jakieś ukryte powaby, których nikt nie mógł zbadać, na przykład jej rzekomy stosunek z Klammem. Nawet takie myśli przychodziły wtedy Pepi do głowy: czyż to możliwe, by K. naprawdę kochał Friedę, czy oszukuje on sam siebie, czy może tylko Friedę, i może jedynym skutkiem tego wszystkiego będzie awans Pepi, a wtedy K. zauważy swoją pomyłkę lub nie będzie chciał jej ukrywać - i będzie widział już nie Friedę, lecz tylko ją, Pepi, co przecież nie jest wcale jakimś wariackim pomysłem, gdyż Pepi z Friedą, jako dziewczyna z dziewczyną, może chyba rywalizować, temu nikt nie zaprzeczy. Przede wszystkim bowiem stanowisko Friedy i ten blask, który Friedą potrafiła mu nadać, oślepiły K. na krótki czas. I Pepi tylko o tym marzyła, że K., kiedy ona już obejmie to stanowisko, przyjdzie do niej błagając, do niej zaś będzie należał wybór: wysłuchać K. i stracić posadę, albo odmówić mu i zaawansować wyżej. Przy tym ułożyła sobie, że zrezygnuje ze wszystkiego i zniży się do K., by nauczyć go prawdziwej miłości, której on przy Friedzie nigdy nie zazna i która jest niezależna od stanowisk najbardziej zaszczytnych na świecie. Ale potem stało się inaczej. I czyjaż to wina? przede

wszystkim wina K., a następnie, oczywiście, przewrotności Friedy. Ale przede wszystkim K. Gdyż czego on właściwie chce, cóż to za dziwny człowiek. Do czego dąży, cóż to za ważne *rzeczy*, które go tak absorbują i każą mu zapominać o tym, co najbliższe, najlepsze, najpiękniejsze? Pepi stała się ofiarą i wszystko jest takie głupie, wszystko stracone. Jeśliby ktoś czuł się na siłach całą tę gospodę dla oficjalistów podpalić, tak by zgorzała całkowicie, jak papier w piecu, by ślad po niej nie został, ten zostałby dziś wybrańcem Pepi.

No i Pepi przyszła do szynkwasu cztery dni temu na krótko przed obiadem. Praca tu nielekka, niemal ponad siły ludzkie, ale to co można osiągnąć, również jest nie do pogardzenia. Pepi i dawniej nie żyła z dnia na dzień i chociaż nigdy w najśmielszych nawet marzeniach nie pretendowała do takiego stanowiska, poczyniła jednak sporo obserwacji. Orientowała się, na czym to stanowisko polega, tak że nie można powiedzieć, by objęła posadę bez przygotowania. Zresztą bez przygotowania nie można się wcale jej podjąć, gdyż utraciłoby się ją w ciągu pierwszych paru godzin. Zwłaszcza jeśliby chciało się tu zachowywać w sposób właściwy pokojówce!

Jako pokojówka człowiek po pewnym czasie czuje się zagubiony i zapomniany. Jest to praca jak w kopalni. Przynajmniej w korytarzu sekretarzy tak jest; całymi dniami widzi się tam tylko dziennych interesantów, którzy snują się tam i z powrotem, nie ważąc się nawet podnieść oczu. Nie widzi się nikogo poza dwiema, trzema innymi pokojówkami, które są podobnie zgorzkniałe. Rano nie wolno w ogóle wyjść z pokoju, gdyż sekretarze chcą być sami wśród swoich. Jedzenie przynoszą im parobcy z kuchni; pokojówki zazwyczaj nie mają z tym nic wspólnego. Również w czasie spożywania posiłków nie wolno się pokazywać w korytarzu. Jedynie gdy panowie urzędnicy pracują, wolno pokojówkom sprzątać, ale naturalnie nie w zajętych, lecz tylko w pustych pokojach i sprzątanie musi się odbywać w zupełnej ciszy, by nie przeszkadzać panom w ich pracy. Ale czyż możliwe jest cicho sprzątać, kiedy panowie zajmują pokoje po kilka dni, a poza tym i parobcy, ta brudna hałastrą, tam się krzątają, tak że taki pokój, kiedy nareszcie pokojówka ma do niego wolny dostęp, znajduje się w takim stanie, że nawet potop by go nie wymył do czysta. Rzeczywiście, są to dostojni panowie, ale trzeba z trudem przezwyciężyć obrzydzenie, by móc po nich sprzątać. Pokojówki nie mają zresztą nawału pracy, ale ta, jaką mają, jest uciążliwa. I nigdy nie usłyszysz dobrego słowa, zawsze tylko zarzuty, zwłaszcza ten jest najprzykrzejszy i najczęstszy, że przy sprzątaniu zginęły jakieś akta. W rzeczywistości nic nie ginie, każdy najmniejszy paperek oddaje się zarządcy gospody, a jednak akta giną, choć wcale nie z winy dziewcząt. Potem przybywają komisje i dziewczęta muszą opuszczać swoje pokoje, zaś komisje szperają w ich łóżkach. Dziewczęta nie mają wielkiego majątku, trochę osobistych rzeczy przechowują

w koszykach, ale komisje mimo to przeszukują pokój godzinami. Oczywiście nic nie znajdują, gdyż skąd akta miałyby się tam dostać? Cóż pokojówkom po aktach? W rezultacie otrzymuje się znowu za pośrednictwem zarządcy gospody jedynie wymyślenia i groźby ze strony zawiedzionej w swych oczekiwaniach komisji. I nigdy się nie ma spokoju, ani we dnie, ani w nocy, harmider do północy od wczesnego rana. Gdyby przynajmniej nie trzeba było tam mieszkać, ale jest to przymusowe, gdyż w godzinach pozasłużbowych pokojówki winny w miarę zamówień przynosić różne drobiazgi z kuchni, zwłaszcza nocą. Raz po raz rozlega się nagłe uderzenie w drzwi izby pokojówek, potem dyktowane jest zamówienie, trzeba zbiegać na dół do kuchni, wytrząsać sen z zaspanych kuchcików i stawiać tacę z zamówionym jedzeniem przed drzwiami izby pokojówek, skąd parobcy ją zabierają. Jakżeż to wszystko jest smutne. Ale to jeszcze nie najgorsze. Najgorzej jest wtedy, kiedy nie ma żadnych zamówień, a głęboką nocą, gdy wszystko już powinno spać i większość gości pogrążona jest rzeczywiście we śnie, coś zaczyna wałęsać się pod drzwiami izby pokojówek. Wtedy dziewczęta wychodzą ze swych łóżek, które umieszczone są jedne nad drugimi, gdyż wszędzie jest za mało miejsca, i cała izba dziewcząt jest właściwie jedną wielką szafą z trzema półkami. Dziewczęta podsłuchują pod drzwiami, klękają i tulą się do siebie w strachu. I ciągle słyszy się to coś, co skrada się pod drzwiami. Wszystkie byłyby już szczęśliwe, gdyby to nareszcie już weszło, ale nic się nie dzieje i nikt nie wchodzi do pokoju. Przy tym trzeba powiedzieć, że nie zagraża tu żadne bezpośrednie niebezpieczeństwo. Może to tylko ktoś, kto przechadza się pod ich drzwiami, namyślając się, czy zrobić jakieś zamówienie, i w końcu na to się nie decyduje. Może to tylko to, a może zupełnie coś innego. Właściwie nie zna się tych panów wcale, prawie się ich nie widziało. W każdym razie dziewczęta w swoim pokoju umierają ze strachu i kiedy wreszcie za drzwiami się uciszy, opierają się o ścianę i nie mają dosyć siły, by wrócić do swych łóżek. Takie życie czeka znów Pepi; już dziś wieczór ma ona zająć swe miejsce w izbie pokojówek. I dlaczego? Z winy K. i Friedy. Znowu musi wrócić do tego życia, z którego ledwo umknęła, z którego, wprawdzie z pomocą K., ale również i z największym własnym wysiłkiem umknęła. Gdyż w tamtej służbie dziewczęta się zaniedbują, nawet najbardziej staranne. Bo i dla kogo miałyby się stroić? Nikt ich nie widzi, najwyżej personel kuchenny. Której to wystarczy, niech się stroi. Poza tym muszą ciągle przebywać w swojej izdebce lub w pokojach panów urzędników, do których wejść czysto ubraną byłoby lekkomyślnością i marnotrawstwem. Ciągłe też przebywają w sztucznym oświetleniu i dusznym powietrzu - wciąż się tam pali w piecu - i właściwie są stale przemęczone. Jedyne wolne popołudnia spędza się najchętniej zaszywszy się w jakiś zakamarek w kuchni i śpi spokojnie i beztrako. Po cóż się więc stroić? Właściwie prawie się nie ubieramy.

I nagle Pepi zostaje przeniesiona do szynkwasu, gdzie, jeśli się chciało tam zostać, trzeba było robić właśnie coś przeciwnego, gdzie ciągle jest się na oczach ludzi, i to czasem panów bardzo wybrednych i uważających na wszystko, oraz gdzie z tego powodu należy możliwie subtelnie i przyjemnie wyglądać. Tak, to był przełom. I Pepi ma prawo o sobie powiedzieć, że niczego nie zaniedbała. Jak później wszystko się rozwinie, o to się Pepi nie troszczyła. Wiedziała, że posiada zdolności potrzebna na tym stanowisku, była nawet całkiem tego pewna. Tę pewność ma ona jeszcze i teraz i nikt nie może jej tego odebrać, nawet dzisiaj, w dniu jej klęski. Jedyną trudną rzeczą było okazać swoje umiejętności od razu na początku, gdyż była tylko ubogą pokojówką bez sukienek i świecidełek, panowie zaś nie mają cierpliwości czekać, aż ktoś się wyrobi, ale chcą natychmiast mieć bufetową jak się należy, a jeśli nie, to się zrażają. Można by pomyśleć, że ich wymagania nie są znów takie wielkie, jeśli Frieda mogła je zaspokoić. Ale to nie jest słuszne. Pepi często się nad tym zastanawiała, a nawet niekiedy spotykała się z Frieda i przez pewien czas spała z nią w jednym łóżku. Nie jest rzeczą łatwą wydostać coś od Friedy, a jeśli ktoś nie jest bardzo uważny - a kto z panów na takie rzeczy uważa? - tego ona łatwo nabierze. Nikt nie wie lepiej niż sama Frieda, jak żałośnie wygląda, kiedy na przykład po raz pierwszy rozpuści swoje włosy, wtedy można ręce załamać i wydaje się, że taka dziewczyna, gdyby wszystko odbywało się sprawiedliwie, nie powinna być nawet pokojówką. Wie też ona o tym i przeplakała z tego powodu niejedną noc, przytuliwszy się do Pepi i owinąwszy jej włosami swoją głowę. Kiedy jednak Frieda jest na służbie, to całe jej zwątpienie znika, uważa się za najpiękniejszą i umie to każdemu we właściwy sposób narzucić. Zna się na ludziach i na tym polega cała jej sztuka. Kłamie szybko i oszukuje, by ludzie nie mieli czasu dokładniej jej się przyjrzeć, oczywiście nie wystarcza to na długo, gdyż ludzie mają oczy i te w końcu muszą zwyciężyć. Ale w momencie kiedy tylko Frieda takie niebezpieczeństwo zmiarkuje, ma już inny fortel na podorędziu, jak na przykład ostatnimi czasy swój stosunek z Klam-mem. Jej stosunek z Klammem! Jeśli nie wierzysz, to możesz sprawdzić, idź do Klamma i zapytaj. Jakżeż to chytrze z jej strony, jak chytrze! A jeśli się nie odważysz z takim pytaniem pójść do Klamma albo jeśli nawet z nieskończonej ważniejszymi pytaniami tam cię nie wpuszczą i dostęp do Klamma będzie przed tobą całkowicie zamknięty - oczywiście tylko przed tobą, i takimi jak ty, gdyż Frieda na przykład wpada do niego, kiedy jej się podoba - jeśli nawet tak będzie, to i tak możesz to sprawdzić, musisz tylko trochę poczekać! Klammm przecież nie będzie długo znosił, by krążyła o nim tego rodzaju fałszywa plotka, i na pewno bardzo się tym denerwuje, co o nim opowiadają przy szynkwasiu i w gościnnych pokojach gospody. To wszystko ma dla niego wielką wagę i jeśli nie jest prawdą, od razu to sprostuje. Ale on tego nie prostuje; a więc widocznie nie ma nic do

sprostowania, widocznie jest to szczerą prawdą. Widzimy tylko, że Frieda nosi piwo do pokoju Klamma i wychodzi stamtąd z zapłatą. A właściwie ona wcale tego nie opowiada, gdyż nie wolno jej wypaplać takiej tajemnicy. Nie! Tajemnice wokoło jej osoby same się ujawniają, a skoro już są ujawnione, to i Frieda już się nie wstydi o nich mówić, choć robi to skromnie, nie twierdząc nic na pewno i powołując się tylko na to, o czym wszyscy wiedzą. Oczywiście nie na wszystko, na przykład

O tym, że Klamm od czasu, kiedy ona jest przy szynkwasiu, pija mniej piwa niż dawniej, nie o wiele mniej, ale w każdym razie znacznie mniej, o tym nie mówi, gdyż może to mieć różne przyczyny. Może po prostu nadszedł taki czas, w którym piwo Klammowi mniej smakuje lub też zapomina o piciu piwa z powodu Friedy. W każdym razie Frieda, choć może wydawać się to bardzo dziwne jest kochanką Klamma. A czegoś, co Klammowi wystarcza, dlaczego inni nie mieliby podziwiać. I w ten sposób Frieda, nim się ktoś pomiarkował, zyskała sławę wielkiej piękności, czego właśnie potrzebuje dziewczyna urzędująca przy szynkwasiu. A nawet uchodzi za zbyt piękną i zbyt ponętą i szynkwas już jej nie wystarcza. I rzeczywiście ludzie dziwią się, że ona jeszcze ciągle jest przy szynkwasiu. Być bufetową to wiele. Z takiej pozycji związek z Klammem wydaje się bardzo prawdopodobny. Kiedy jednak bufetowa jest już kochanką Klamma, dlaczego pozostawia on ją, i to tak długo, czy szynkwasiu? Dlaczego nie wprowadza jej na wyższy stopień? Można ludziom tysiąc razy mówić, że nie ma w tym żadnej sprzeczności i że Klamm ma określone powody po temu, by właśnie tak postępować, lub że kiedyś nagle, może już w najbliższym czasie, dalszy awans Friedy stanie się faktem - to wszystko nie robi już żadnego wrażenia. Ludzie mają swoje określone pojęcia i żadne machinacje na dłuższy czas ich od tych pojęć nie odwołają. Nikt już nie wątpi, że Frieda jest kochanką Klamma, nawet tym, którzy uważali się za najlepiej poinformowanych, widocznie się znudziło w to powątpiewać, „Bądźżeż sobie, do diabła, kochanką Klamma - myśleli - ale kiedy już raz nią jesteś, to chcielibyśmy to poznać po twoim awansie”. Ale nic się nie dało zauważyć i Frieda była nadal przy szynkwasiu na swoim dotychczasowym stanowisku. W sekrecie bardzo się nawet z tego cieszyła, że wszystko pozostawało po staremu, u ludzi jednak traciła na znaczeniu, czego nie mogła oczywiście nie zauważyć, zwłaszcza że przeczuwa zazwyczaj rzeczy, zanim one w ogóle zaistnieją. Rzeczywiście piękna i ujmująca dziewczyna, kiedy już raz się zadowoli przy szynkwasiu, nie potrzebuje używać żadnych sztuczek. Póki trwa jej piękność, pozostanie ona bufetową, chyba że zajdzie jakiś szczególnie niepomyślny przypadek. Taka dziewczyna jak Frieda natomiast musi stale drżeć o swoją posadę. Naturalnie jest na tyle mądra, że nie okazuje tego, a nawet woli narzekać i swoją posadę przeklinać. Ale w skrytości nieustannie obserwuje

nastroje. Ukazanie się Friedy nie robiło już wrażenia, ludzie nie raczyli podnosić na nią oczu, nawet parobcy już się nią nie interesowali, woleli przestawać z Olgą lub tego rodzaju dziewczętami. Również po zachowaniu się zarządcy gospody można było zmiarkować, że Frieda była coraz mniej niezastąpiona, zwłaszcza że ciągle nowych historyjek o Klammmie nie można było wymyślać. Wszystko ma swoje granice, więc pocziwa Frieda zdecydowała się na coś nowego. Ale kto był w stanie od razu przeniknąć jej zamiary! Pepi to przypuszczała, ale i ona, niestety nie przejrzała Friedy na wylot. Frieda postanowiła popełnić coś skandalicznego. Ona, kochanka Klamma, rzuca się pierwszemu lepszemu, najchętniej najnędnieszemu ze wszystkich na szyję. To wywoła poruszenie, o tym będzie się długo mówiło i wreszcie ludzie znowu przypomną sobie, co to znaczy być kochanką Klamma i co to znaczy zaszczytem tym wzgardzić w zamroczeniu nowej miłości. Trudność polegała jedynie na znalezieniu odpowiedniego człowieka, z którym można byłoby odegrać tę mądrą grę. Nie mógł to być znajomy Friedy, nawet nikt spośród parobków, gdyż taki wytrzeszczyłby chyba tylko na nią oczy i poszedłby dalej, a przede wszystkim nie potrafiłby zachować dostatecznej powagi. Mimo całego jej krasomówstwa nie dałoby się rozgłosić, że Frieda została przez niego napadnięta, że nie mogła się przed nim obronić i w chwilowym zamroczeniu uległa. Choćby to miał być człowiek najnędnieszy, musiałby jednak być kimś, co do kogo można by uwierzyć, że mimo swej tępoty i nieokrzesania nie pożądał nikogo innego, tylko właśnie Friedy, i że niczego tak nie pragnie, jak - o wielkie nieba! - ożenić się z Friedą. Ale choćby to miał być nawet człowiek nieokrzesany, jeśli to możliwe jeszcze niższej kondycji niż parobek, nawet o wiele niższej, to jednak musiałby to być ktoś, z powodu kogo nie natrząsałaby się z niej każda dziewczyna, ktoś, w kim również i inna rozsądna dziewczyna mogłaby dojrzeć coś pociągającego. Gdzie jednak można znaleźć takiego mężczyznę? Inna dziewczyna prawdopodobnie szukałaby go przez całe życie nadaremnie. Ale Friedzie szczęśliwy los przyprowadza geometrę do szynk-wasu, i to może tego wieczora, kiedy cały ten plan po raz pierwszy przyszedł jej do głowy. Geometra! A o czym myśli K.! Jakież to szczególne sprawy zaprzatają jego głowę? Czy osiągnie coś szczególnego? Dobrą posadę czy odznaczenie? Czy pragnie czegoś takiego? Jeśli tak, to powinien był od samego początku na coś innego stawiać. Przecież K. jest niczym, wprost litość bierze, gdy się przyjrzymy jego sytuacji. Jest geometrą, jest to już coś, a więc czegoś się uczył, ale jeśli nie potrafi tego wykorzystać, to i tak nic z tego. A przy tym ma on wymagania i to bez najmniejszych podstaw, wymagania, których może wyraźnie nie stawia, ale od razu można zmiarkować, że ma wymagania, i w tym jest właśnie coś pociągającego. Czy on wie o tym, że nawet pokojówka już coś mu z siebie daje, kiedy dłużej z nim rozmawia. I z tymi wszystkimi szczególnymi wymaganiami wpada K. od

razu, pierwszego wieczora w najordynarniejszą pułapkę. Czyż mu nie wstyd? Cóż go w tej Friedzie tak urzekło? Teraz może się przecież przyznać. Bo czyż mogła mu się ona naprawdę podobać, takie mizerne, żółtawe stworzenie? Ależ nie, on na nią wcale nie patrzył, powiedziała mu tylko, że jest kochanką Klamma, i miało to dla niego urok nowości, i już był zgubiony! Ona wszakże musiała się wtedy wyprowadzić, gdyż oczywiście nie było już dla niej miejsca w gospodzie dla panów z zamku. Pepi widziała ją jeszcze owego ranka przed wyjazdem. Cały personel się zbiegł, bo każdy był ciekaw popatrzeć. Jej znaczenie było jeszcze tak wielkie, że jej żałowano, i to wszyscy, nawet nieprzyjaciele. Tak słuszny okazał się już na początku jej rachunek. Rzucić się na szyję takiemu mężczyźnie wydawało się wszystkim rzeczą niezrozumiałą i ciężkim ciosem. Dziewczątka z kuchni, które oczywiście podziwiają każdą bufetową, były niepokieszone. Nawet Pepi to wzruszyło, nawet ona nie mogła się od tego uchronić, choć jej uwaga była właściwie zaprzątnięta czymś innym. Zdziwiło ją, że Frieda prawie nic sobie z tego nie robi. Było to przecież w gruncie *rzeczy* okropne nieszczęście, to co Friedę spotkało, zresztą nawet udawała nieszczęśliwą, ale nie dość dobrze, ta gra nie mogła Pepi oszukać. Cóż dodawało Friedzie otuchy? Może szczęście nowej miłości? Otóż takie przypuszczenie z góry odpadało. A więc co mogło być innego? Co dodawało Friedzie siły, by zachowała swoją zwykłą ozięble życzliwą postawę nawet wobec Pepi, która już wówczas uchodziła za jej następczynię? Pepi wtedy nie miała dosyć czasu, by się nad tym wszystkim zastanowić, miała za dużo roboty, przygotowując się do objęcia nowej posady. Miała ją bowiem prawdopodobnie objąć za kilka godzin, a brak jej jeszcze było wykwintnego uczesania, eleganckiej sukni, cienkiej bielizny i porządnych trzewików. Wszystko to musiała sobie załatwić w kilka godzin. Gdyby nie można było porządnie się wyekwipować, to lepiej w ogóle posady się wyrzec, gdyż i tak straciłoby się ją na pewno w ciągu pierwszej połowy godziny. No i po części jej się to udało. Do fryzowania jest ona specjalnie zręczna, raz nawet żona zarządcy gospody wezwała ją, by ufryzowała jej włosy. Taką lekką rękę ma już od urodzenia, poza tym jej bujne włosy układają się od razu tak, jak tylko chce. Również jeśli chodzi o suknię, znalazła się pomoc. Obie jej koleżanki były jej wiernie oddane, a zresztą i dla nich stanowiło to pewien zaszczyt, że dziewczyna z ich paczki zostaje bufetową, a prócz tego Pepi, kiedy z czasem dojdzie do wpływów, będzie mogła wyświadczyć im wiele dobrego. Jedna z dziewczyn przechowywała od dawna kosztowny materiał. To był jej skarb, często pokazywała go koleżankom, by go podziwiały, marzyła o tym, że go kiedyś wspaniale wykorzysta dla siebie, i niewątpliwie było bardzo ładnie z jej strony, że go zaofiarowania Pepi teraz, kiedy był jej bardzo potrzebny. Potem obie koleżanki pomogły jej jak najchętniej przy szyciu i trzeba stwierdzić, że gdyby dla siebie miały szyć, nie

uczyniłyby tego starannie. Była to nawet bardzo wesoła, uszczęśliwiająca praca. Dziewczęta siedziały, każda na swoim łóżku, jedna nad drugą, szyły i śpiewały, podając sobie nawzajem wykończone części i dodatki krawieckie w górę i w dół. Kiedy Pepi teraz o tym myśli, to serce jej kraje się coraz bardziej, że wszystko to było daremne i że z pustymi rękami wraca do swoich przyjaciółek! Cóż to za nieszczęście i jakżeż lekkomyślnie spowodowane, ale przede wszystkim przez K.! Jakżeż się wtedy wszystkie cieszyły z tej sukni, która wydawała się rękojmnią powodzenia, i kiedy później znalazło się jeszcze miejsce na wstążeczki, wątpliwości pierzchły. I czyż suknia ta naprawdę nie jest piękna? Teraz jest już trochę zmięta i poplamiona, gdyż Pepi nie ma innej sukni i musi tę nosić dzień i noc, ale ciągle jeszcze widać, jaka ta suknia jest ładna; nawet ta przeklęta Barnabaszanka nie potrafiłaby lepiej uszyć. I to, że można tę suknię, jeśli się chce, ściągnąć raz mocniej, raz luźniej, u góry i u dołu, sprawia, że choć ma się tylko jedną - można ją jakoś zmieniać. Na tym polega jej szczególna zaleta; Pepi sama to wymyśliła. Zresztą szyć na nią nie jest wcale trudno. Pepi nie chce się tym chwalić, ale młodym, zdrowym dziewczętom we wszystkim jest do twarzy. O wiele trudniej było sprawić sobie bieliznę i trzewiki - i tu zaczyna się właściwa porażka. Również i w tym pomogły jej przyjaciółki jak tylko mogły, ale same wiele nie miały. Cała bielizna, jaką udało się jej zgromadzić i pocerować, była ordynarna, zamiast zaś trzewików na wysokich obcasach, musiała zadowolić się rannymi pantoflami, które raczej się ukrywa, niż pokazuje. Pocieszano Pepi, że i Frieda również nie była zbyt elegancka i czasami snuła się tak zaniedbana, że goście woleli być obsłużeni przez piwnicznych niż przez nią. Tak było faktycznie, ale Frieda mogła sobie na to pozwolić, gdyż opływała już w laski i zaszczyty. Kiedy dama jest czasem trochę ubrudzona i zaniedbana w stroju, może to nawet dodawać jej pewnego powabu, ale nie takiej nowicjusze jak Pepi. Poza tym Frieda nie mogła dobrze się ubrać, gdyż brak jej jest zupełnie gustu. Jeśli ktoś ma pożółkłą skórę, to nie ma na to rady, ale po coś wkładać, jak Frieda, do tego kremową bluzkę z głębokim dekoltem, tak że cała ta żółtość aż oczy razi. Nawet gdyby tak nie było, to Frieda była zbyt skąpa, by mogła dobrze się ubrać; wszystko, co zarabiała, skrzętnie chowała, nie wiadomo po co. Na służbie nie potrzebowała w ogóle pieniędzy, wystarczały jej kłamstwa i różne sztuczki. Pepi jednak tego przykładu nie chciała i nie mogła naśladować i dlatego całkiem było słuszne, że tak się wystroiła, by od razu na początku pokazać swoją wartość. Gdyby Pepi dysponowała poważniejszymi środkami, to mimo całej chytryści Friedy i całej głupoty K. na pewno odniosłaby zwycięstwo. Zaczęło się nawet bardzo pomyślnie. Kilka niespodzianych chwytów i trochę umiejętności przyswoiła sobie jeszcze dawniej. Zaledwie stanęła przy szynkwasiu, już poczuła się jak u siebie w domu. W ciągu pracy nikt nie zauważył nieobecności Friedy.

Dopiero na drugi dzień niektórzy goście pytali, co się właściwie z nią stało. Nie popełniono żadnej omyłki, zarządca gospody był zadowolony. Pierwszego dnia miał tyle obaw, że nie odchodził od szynkwasu, potem wpadał już tylko od czasu do czasu, w końcu przekazał Pepi wszystko, ponieważ kasa była w porządku, a przeciętne wpływy były nawet trochę wyższe niż za czasów Friedy. Pepi wprowadziła nawet pewne ulepszenia. Frieda nie tyle z pilności, ile ze skąpstwa, chęci panowania i ze strachu, by ktoś nie uszczuplił jej praw, dozorowała również parobków, przynajmniej jeśli ktoś na to patrzył. Pepi natomiast przekazała to całkowicie piwniczym, którzy zresztą o wiele lepiej do tego się nadawali. Przez to pozostawało jej o wiele więcej czasu, który mogła poświęcić pokojom dla panów, i goście byli o wiele szybciej obsłużeni. Mimo to mogła zamienić jeszcze z każdym kilka słów, nie tak jak Frieda, która rzekomo całkowicie poświęcała się Klammmowi i uważała każde słowo czy czyjeś zbliżenie do niej za obrazę Klamma. Było to zresztą mądre, gdyż jeśli już kogoś do siebie dopuszczała, to uchodziło to za niesłychaną łaskę. Pepi natomiast nienawidzi takich sztuczek, które zresztą z początku na nic się nie przydają. Pepi była wobec każdego życzliwa i każdy odpłacał jej życzliwością. Wszyscy wydawali się cieszyć tą zmianą. Kiedy przepracowani panowie urzędnicy mogli wreszcie na chwilę zasiąść przy piwie, to można ich było jednym słówkiem, jednym spojrzeniem czy wzruszeniem ramion dosłownie odmienić. Tak chętnie ręce wszystkich gładziły loki Pepi, że musiała chyba z dziesięć razy na dzień poprawiać swoją fryzurę, temu powabowi jej loków i koronek nikt się nie ostoja, nawet ten skądinąd bezmyślny K. W ten sposób mijały podniecające i pracowite, ale uwieńczył powrotem dzień. Oby tak prędko nie mijały, oby było ich trochę więcej! Cztery dni to za mało, nawet gdy kto wysila się do ostatecznego wyczerpania. Może już piąty dzień by wystarczył, ale cztery dni, to stanowczo za mało. Pepi wprawdzie już w ciągu tych czterech dni pozyskała opiekunów i przyjaciół. Gdyby mogła wszystkim spojrzeniom zaufać, to *można* by powiedzieć, że kiedy tak szła z kuflami piwa, nurzała się wprost w morzu życzliwości. Jeden z pisarzy, nazwiskiem Bartmeier, jest w niej po uszy zakochany. Podarował jej ten oto łańcuszek z medali onikiem, w którym jest jego fotografia, co zresztą było bezczelnością z jego strony. A więc wiele już się stało, ale mimo wszystko były to tylko cztery dni. W ciągu czterech dni, choćby Pepi nie wiem jak się starała, Frieda mogła być prawie, ale nie całkowicie zapomniana. I byłaby pewnie zapomniana, i to może nawet wcześniej, gdyby przezornie, dzięki swemu wielkiemu skandalowi, nie przetrwała w rozmowach ludzi. Przez to stała się dla wszystkich nowością i dlatego byli ciekawi znów ją zobaczyć. To co wydawało się im nudne aż do obrzydzenia, teraz nabrało dla nich, dzięki całkiem obojętnemu K, świeżego powabu. Oczywiście, nie oddaliby za to Pepi, póki stała między nimi i oddziaływała

samą swoją obecnością, ale są to przeważnie już starsi panowie, trudno zmieniający raz nabyte przyzwyczajenia, zanim przywykną do nowej dziewczyny przy szynkwisie, trzeba kilku dni, choćby to była zmiana zdecydowanie na lepsze. Mimo ich własnej chęci trwa to kilka dni, może nawet pięć, bo cztery nie wystarczą. Pepi mimo wszystko uchodziła ciągle jeszcze tylko za zastępczynię. Wreszcie, i to może było największe nieszczęście, podczas tych czterech dni Klamm, chociaż w ciągu pierwszych dwu dni był na wsi, wcale do jadalni nie zszedł. Gdyby zszedł, byłaby to dla Pepi próba ogniowa. Zresztą próba, której najmniej się obawiała i na którą nawet raczej się cieszyła. Pepi nie została by - takich spraw najlepiej nie ubierać w osłonki - nie została by kochanką Klamma, nie blagowałaby nawet, że nią została, ale umiałaby, co najmniej równie przymilnie jak Frieda, postawić przed nim na stole kufel piwa. Ukłoniłaby się, bez natręctwa Friedy, pięknie i pięknie by się pożegnała. Tak że, jeśli Klamm w ogóle szuka czegoś w oczach dziewczyny, to w oczach Pepi znalazłby to aż do przesytu. Ale dlaczego Klamm nie zszedł? Czy był to przypadek? Pepi wówczas też tak myślała. W ciągu dwóch dni czekała na niego nieustannie, nawet w nocy czekała. „Teraz Klamm nadejdzie” - myślała bez przerwy i biegła tam i z powrotem, pędzona niepokojem oczekiwania oraz pragnieniem ujrzenia go jako pierwsza, skoro tylko wejdzie. To nieustanne rozczarowanie bardzo ją męczyło. Może dlatego nie sprawiała się tak dobrze, jak powinna była się sprawiać. Kiedy miała tylko chwilkę czasu, wymykała się w górę do korytarza, na który wstęp personelowi był surowo zakazany. Tam wciskała się w niszę i czekała. „Oby Klamm teraz nadszedł - myślała. - Gdybym tak mogła go zabrać z jego pokoju i na własnych rękach zanieść na dół do jadalni. Pod takim brzemieniem nie opadłabym z sił, nawet gdyby było bardzo ciężkie”. Ale Klamm nie nadchodził. W tym korytarzu na górze jest tak cicho, że nie można sobie tego w ogóle wyobrazić, kiedy się tam nie jest. Jest tak cicho, że nie można tam długo wytrzymać, ta cisza po prostu człowieka wygania. Ale Pepi wciąż na nowo, dziesięć razy wyganiana, dziesięć razy wracała. Nie miało to sensu. Gdyby Klamm zechciał zejść, toby zszedł, a jeśli nie chciał, to Pepi go nie zwabi, nawet gdyby od silnego bicia serca na wpół udusiła się w swej niszy. To nie miało sensu, ale jeśli by Klamm nie przyszedł, to prawie wszystko nie miałoby sensu. A jednak nie przyszedł. Dzisiaj Pepi już wie, dlaczego Klamm nie przyszedł. Frieda miałaby wspaniałe używanie, gdyby mogła zobaczyć Pepi na górze w korytarzu, kiedy tak stała w swojej niszy, trzymając się obu rękami za serce. Klamm nie zszedł, bo Frieda do tego nie dopuściła. Wskórała to nie swoją prośbą, gdyż prośby jej do Klamma nie dochodziły, ale ona, ten pajak, ma jakieś stosunki, o których nikt nie wie. Kiedy Pepi mówi coś do jakiegoś gościa, to mówi otwarcie, tak że mogą tego słuchać i przy sąsiednim stoliku. Frieda zaś nie ma nic do powiedzenia, stawia kufel z piwem na stole i

odchodzi. Tylko jej jedwabna halka -jedyna rzecz, na którą wydaje pieniądze - szeleści. Kiedy już coś mówi, to nie otwarcie, lecz szeptem, pochylając się nad gościem tak, że przy sąsiednim stoliku tylko uszu nastawiają. To, co mówi, jest prawdopodobnie bez znaczenia, ale nie zawsze, gdyż ma ona stosunki i jeszcze je wzmacnia innymi, a jeśli przeważnie nie - bo i któż troszczyłby się o Friedę - to jednak niektóre z nich okazują się trwałe. Stosunki te zaczęła teraz Frieda wykorzystywać. K. jej to umożliwił; zamiast przy niej tkwić i pilnować, niemal wcale w domu nie przebywa, włóczy się wszędzie, przeprowadza rozmowy tu i tam, zwraca na wszystko uwagę, tylko nie na Friedę, i wreszcie, jak gdyby chciał dać jej jeszcze większą swobodę przenosi się z oberży „Pod Mostem” do pustej szkoły. Ładny początek miodowych miesięcy! Ale Pepi jest na pewno ostatnią, która miałaby robić K. jakieś wyrzuty za to, że nie może przy Friedzie wytrzymać. Bo też nie można przy niej wytrzymać. Ale czemu jej w takim razie całkiem nie opuścił, czemu ciągle do niej wraca, czemu przez swoje wędrówki stworzył pozory, że o nią walczy? Wyglądało na to, że K. przez zetknięcie się z Friedą dopiero odkrył swoją nicość, że chce być Friedy godzien i pragnie się jakoś do góry wywindować. Dlatego na razie rezygnuje ze stałego z nią przebywania, by potem móc bez przeszkód zadośćuczynić sobie za tę rezygnację. Frieda tymczasem nie traci czasu, siedzi sobie w szkole, dokąd K. ją prawdopodobnie skierował, i obserwuje zarówno gospodę dla panów z zamku, jak i samego K. Przy tym ma świetnych gońców pod ręką - pomocników K., których on jej, doprawdy nie można tego zrozumieć, pozostawia do całkowitej dyspozycji. Frieda posyła ich do starych swych przyjaciół, przypomina im o swoim istnieniu, skarży się, że znajduje się w niewoli u takiego człowieka jak K., szczuje przeciwko Pepi, zapowiada swój rychły powrót, prosi o pomoc, zaklina, by nic nie zdradzić przed Klammem, i udaje, że należy Klamma oszczędzać i dlatego w żadnym wypadku nie można dopuścić do tego, by zszedł na dół do izby z szynkwasem. To, co wobec jednych nazywa oszczędzaniem Klamma, wobec zarządcy gospody wykorzystuje jako własny sukces i zwraca uwagę na to, że Klammm już nie przychodzi. Bo jakżeż mógłby przychodzić, skoro tam na dole tylko taka Pepi służy? Wprawdzie zarządca gospody nie ponosi za to żadnej winy, gdyż ta Pepi mimo wszystko była jeszcze najlepszą kandydatką, jaką można było na zastępstwo znaleźć, ale i tak nie nadaje się, nawet na tych kilka dni.

O całej tej działalności Friedy K. nic już nie wie, bo jeśli nie włóczy się gdzieś, to leży u jej stóp nic nie podejrzewając, podczas gdy ona liczy tylko godziny, które dzielą ją od szynkwasu. Ale nie tylko służbę gońców pełnią ci pomocnicy, zadaniem ich jest również budzić w K. zazdrość i przez to podsycać jego namiętność! Frieda zna tych pomocników od wczesnego dzieciństwa, na pewno nie ma tajemnic między nimi, ale na benefis K. zaczynają

wzajemnie do siebie tęsknić i w pojęciu K. powstaje niebezpieczeństwo, że zmieni się to w wielką miłość. I K. dla przypodobania się Friedzie czyni wszystko, nawet jak najbardziej wbrew sobie samemu pozwala, by pomocnicy dawali mu powód do zazdrości, a równocześnie pozostawia ich we troje, podczas gdy sam wyrusza na włóczęgę. Wychodzi wprost na to, że jest Friedy trzecim pomocnikiem. Wreszcie Frieda decyduje się na podstawie swych obserwacji na wymierzenie mu ostatecznego ciosu: postanawia wrócić. Jest naprawdę po temu ostatnia chwila, można wprost podziwiać, jak ta sprytna Frieda rozpoznaje to i wykorzystuje. Ta siła obserwacji i szybkość decyzji są kunsztem Friedy, któremu nikt nie potrafi dorównać. Gdyby Pepi ten kunszt posiadała, jakżeż inaczej jej życie by się ułożyło! Gdyby Frieda pozostała jeszcze dzień czy dwa dłużej w szkole, to Pepi nie można by już było stąd wypędzić, gdyż stałaby się definitywnie przez wszystkich lubianą i szanowaną bufetową. Miałaby wtedy dosyć pieniędzy, by wspaniale uzupełnić istniejące jeszcze braki w swej toalecie. Jeszcze dzień, dwa i już żadnym fortem nie dałoby się Klamma od zejścia do jadalni powstrzymać - przyszedłby, wypił, czułby się dobrze i może by nawet wcale nieobecności Friedy nie zauważył, zadowolony ze zmiany bufetowej. Potem jeszcze dzień, dwa i Frieda ze swoim skandalem, stosunkami, pomocnikami i wszystkim byłaby raz na zawsze zapomniana i nigdy by już nie powróciła. Wtedy, być może, mogłaby tym mocniej do K. przylgnąć i - gdyby oczywiście była do tego zdolna - naprawdę by go pokochała. Ale gdzie tam! Również i K. nie potrzebuje już więcej niż jednego dnia, by mu Frieda obrzydła i aby poznał, jak haniebnie go nabiera i to wszelkimi sposobami: rzekomą urodą, wiernością, a przede wszystkim rzekomym uczuciem do Klamma. Najwyżej jeszcze dzień, nie więcej, jest mu potrzebny, aby wygnał ją z domu z całym jej plugawym towarzystwem tych pomocników. Pomyśleć tylko: K. nawet więcej czasu nie potrzebuje. I wtedy pomiędzy tymi dwoma niebezpieczeństwami, gdy mogła już się faktycznie zaczyna nad nią zamykać, K. w swojej naiwności pozostawia jej jeszcze ostatnią wąską dróżkę otworem i wówczas Frieda wieje. Nagle - tego chyba nikt nie oczekiwał, gdyż jest to wbrew naturze - nagle, właśnie nie kto inny, tylko Frieda wygania kochającego ją wciąż jeszcze i idącego za nią jak cień K. i pod naciskiem przyjaciół oraz pomocników ukazuje się zarządcy gospody jako wybawicielka. Popelniony przez nią skandal nadaje jej o wiele więcej powabu, niż go miała przedtem, gdyż dowodzi, że jest ona obiektem pożądania zarówno dla najnędzniejszych, jak i dla najwyższej stojących. Oddaje się nędzarszowi, ale tylko na chwilę, i wkrótce go odtrąca, jak przystało na taką, i staje się zarówno dla niego, jak i dla wszystkich innych znów nieosiągalna jak przedtem. Tylko że przedtem były powody, by w to wątpić, ale teraz Frieda znów wszystkich przekonała. I tak ona powraca, a zarządca gospody, zerkając na Pepi, waha się czy ma

poświęcić ją, która okazała się na wysokości zadania. Wkrótce jednak zarządca daje się przekabacić, gdyż zbyt wiele argumentów przemawia za Frieda, a przede wszystkim to, że ona jedna potrafi odzyskać Klamma dla gospody. Na tym zatrzymaliśmy się dziś wieczór. Pepi nie będzie jednak czekać, aż Frieda się zjawi i z przyjęcia posady uczyni własny triumf. Pepi już zdała kasę zarządczyni gospody i może odejść. Na dole, w izbie dla dziewcząt, czeka na nią piętrowe łóżko. Pepi zaraz tam zejdzie, powitana przez płaczące koleżanki. Zrzuci sukienkę, powyrywa wstążki z włosów i wetknie to wszystko w jakiś kąt, gdzie będzie leżało głęboko ukryte, by nie przypominało o dniach, o których trzeba zapomnieć. Potem weźmie wielkie wiadro i miotłę, zaciśnie zęby i pójdzie do roboty. Na razie jednak musiała to wszystko K. powiedzieć, by on, który bez obcej pomocy i teraz by się nie zorientował, by wreszcie wyraźnie się przekonał, jak brzydko wobec niej postąpił i jak bardzo ją skrzywdził. Wprawdzie i on sam został przy tym oszukany.

Pepi skończyła. Westchnęła i otarła kilka łez z oczu i policzków, a potem spojrzała na K., kiwając głową, jak gdyby chciała powiedzieć, że w gruncie rzeczy nie chodzi wcale o jej nieszczęście. Ona potrafi je znieść i nie potrzebuje ani pomocy, ani pociechy od nikogo, a zwłaszcza od K., gdyż mimo swojego młodego wieku zna dobrze życie. Jej nieszczęście jest tylko potwierdzeniem jej doświadczeń. Ale chodzi jej o K., któremu chciała odmalować jego własny wizerunek. Jeszcze zanim wszystkie jej nadzieje się załamią, uważa za konieczne tak uczynić.

- Jakąż ty masz bujną wyobraźnię, Pepi - rzekł K. - Nie jest wcale prawdą, że dopiero teraz te wszystkie rzeczy odkryłaś. To po prostu majaki senne nawiedzające was w waszej ciemnej, ciasnej izbie dziewcząt. Tam są one na miejscu, ale tutaj, na swobodzie, przy szynkwasię wyglądają dziwnie. Z takimi myślami nie mogłaś się tu ostać, to się samo przez się rozumie. Już twoja sukienka i twoje uczesanie, którym się tak szczycisz, są tylko wytworami tamtego mroku i tamtych łóżek w waszym pokoju. Tam wydają się one na pewno bardzo piękne, tu jednak każdy w sekrecie lub otwarcie z nich się śmieje. I cóż jeszcze opowiadasz? A więc ja miałem być skrzywdzony i oszukany? Nie, kochana Pepi, nie zostałem ani skrzywdzony ani oszukany, tak samo zresztą jak i ty. Prawdą jest, że Frieda obecnie mnie opuściła lub jak się wyrażasz, zwała ode mnie z jednym z moich pomocników. Iskierkę prawdy dostrzegasz. Jest to rzeczywiście mało prawdopodobne, żeby Frieda została jeszcze kiedyś moją żoną, ale jest całkowitą nieprawdą, że mi obrzydła, że wygnałbym ją zaraz na drugi dzień, czy też że mnie oszukała, jak kobiety oszukują mężczyzn. Wy, pokojówki, przywykłyście do podglądania przez dziurkę od klucza i stąd pochodzi wasz sposób myślenia, wnioskuje o całości zarówno wspaniale, jak i fałszywie. Skutkiem tego ja

na przykład w tym wypadku o wiele mniej wiem niż ty. Daleki jestem od tego, by móc tak wyraźnie jak ty twierdzić, że wiem, dlaczego Frieda mnie opuściła. Najbardziej prawdopodobnym wyjaśnieniem wydaje mi się to, o którym napomknęłaś, choć w pełni tego nie wykorzystywałaś: że ja ją zaniedbywałem. Jest to, niestety, prawda, zaniedbywałem ją, ale były po temu szczególne powody, które nic z tym wspólnego nie mają. Byłbym szczęśliwy, gdyby Frieda do mnie wróciła, ale od razu zacząłbym ją znowu zaniedbywać. Tak to już jest. Dopóki była ona u mnie, nieustannie znajdowałem się na wyśmianych przez ciebie włóczęgach. Teraz, kiedy jej nie ma, jestem nieomal bez zajęcia, czuję się zmęczony i coraz bardziej łaknę zupełnej beczynności. Czyż nie możesz nic mi w tym pomóc, Pepi?

- Oczywiście - odpowiedziała i z nagłym ożywieniem chwyciła K. za ramiona - my oboje jesteśmy oszukani, trzymajmy się więc razem. Chodź ze mną na dół do dziewcząt!

- Dopóki narzekasz na to, że cię oszukali - odparł K. - nie mogę się z tobą dogadać. Wciąż chcesz być oszukana, gdyż ci to pochlebia i wzrusza cię. Prawdą jest natomiast, że na tę posadę wcale się nie nadajesz. Jak wyraźne musi być twoje nienadawanie się, skoro nawet ja, który według twego mniemania w niczym się nie orientuję, to zauważyłem. Jesteś dobrą dziewczyną, Pepi. Ale nie jest wcale łatwo o tym się przekonać; ja na przykład z początku uważałem cię za okrutną i wyniosłą, a ty wcale taka nie jesteś, tylko twoje stanowisko cię peszy, gdyż się na nie nie nadajesz. Nie chcę przez to powiedzieć, że to stanowisko dla ciebie jest zbyt wysokie. Nie jest ono wcale nadzwyczajne, może, jeśli dokładnie się przyjrzeć, jest nieco bardziej zaszczytne niż twoja dawna posada, ale na ogół różnica jest niewielka, oba stanowiska trudno od siebie odróżnić. Ba, można by nawet twierdzić, że służba pokojówki jest lepsza od funkcji bufetowej, gdyż tam obcuje się tylko z sekretarzami, tu natomiast, chociaż w pokojach gościnnych można usługiwać nawet ich przełożonych ma się do czynienia z ludźmi najniższego stanu, na przykład ze mną. Ja przecież zgodnie z przepisami nie mogę w ogóle przebywać gdzie indziej, tylko przy szynkwasiu, czyż więc obcowanie ze mną miałooby być znów tak bardzo niezaszczytne? Otóż tobie się to tylko tak wydaje i może nawet masz po temu pewne powody. Ale właśnie dlatego nie nadajesz się na to stanowisko. Jest to posada jak każda inna, dla ciebie zaś jest to królestwo niebieskie. Dlatego spełniasz każdą funkcję z przesadnym zapalem, stroisz się tak, jak według twego mniemania stroją się anieli - w gruncie rzeczy są oni jednak całkiem inni - drżysz o tę posadę, czujesz się stale prześladowana, starasz się przez przesadną usłużność pozyskać każdego, kto twoim zdaniem może ci dopomóc, i przez to zrażasz i odpychasz wszystkich, gdyż każdy szuka w gospodzie spokoju, a nie powiększenia swych trosk troskami dziewczyny od szynkwasu. Jest tylko możliwe, że po odejściu Friedy nikt z dostojnych gości wydarzenia tego w ogóle nie

zauważył, dziś jednak wszyscy o tym wiedzą i tęsknią naprawdę za Friedą, gdyż ona chyba wszystko inaczej prowadziła. Jakakolwiek by ona była i wszystko jedno, czy dbała o swoją posadę, czy nie, w służbie była obyta, chłodna i opanowana. Sama to podkreślasz, choć oczywiście z tej nauki nic nie skorzystałaś. Czyś zauważyła kiedy jej spojrzenie? To nie było już spojrzenie bufetowej, to było prawie spojrzenie jakiejś oberzystki. Friedą widziała wszystkich i każdego z osobna, a spojrzenie, które miała dla poszczególnego gościa, było jeszcze na tyle silne, że ujarzmiło go całkowicie. Cóż mogło znaczyć, że była odrobinę za chuda i za leciwa, że można było sobie wyobrazić włosy lepiej umyte; to są drobnostki w porównaniu z zaletami, jakie naprawdę miała, i ten, kogo te jej niedociągnięcia raziły, okazałby przez to tylko, że brak mu upodobania do ważniejszych rzeczy. Klammowi na pewno nie można tego zarzucić i tylko błędny kąt widzenia młodej, niedoświadczonej dziewczyny nie pozwala ci uwierzyć w miłość Klamma do Friedy. Klamm wydaje ci się - i to całkiem słusznie - nieosiągalny i dlatego myślisz, że również Friedą nie mogła się zbliżyć do niego. Mylisz się. Pod tym względem wierzyłbym twierdzeniu samej Friedy, nawet gdybym nie miał bezspornych dowodów prawdy. Choć może ci się wydawać to niewiarygodne i chociaż nie możesz tego połączyć z twoim pojęciem o świecie, o stanie urzędniczym, o wykwincie i oddziaływaniu urody niewieściej, jest to jednak taka sama prawda, jak to, że siedzimy tu obok siebie i że biorę teraz twoją rękę w moje ręce. Tak samo przesadywali chyba obok siebie, jakby to było dla nich najnaturalniejszą rzeczą na świecie również Klamm i Frieda. Klamm dobrowolnie tu schodził, a nawet śpieszył się na dół. Nikt nie czyhał na niego w korytarzu i nie zaniedbywał przez to innej roboty. Klamm musiał sam się trudzić, by tam zejść, i usterki w stroju Friedy, które ciebie by przeraziły, wcale mu nie przeszkadzały. Ale ty nie chcesz jej wierzyć! I nie wiesz, jak przez to się zdradzasz, jak przez to właśnie oszukujesz swój brak doświadczenia! Nawet ktoś, kto nic by o jej stosunku do Klamma nie wiedział, musiałby poznać po jej manierach, że ktoś nadał im ten polor, ktoś, kto jest czymś więcej niż ty czyja, czy też wszyscy ludzie we wsi. Rozmowy Friedy stały na wyższym poziomie niż żarty, które zazwyczaj wymieniają między sobą goście i kelnerki, a które tobie wydają się być celem twego życia. Ale jestem wobec ciebie niesprawiedliwy. Sama widzisz dobrze zalety Friedy, dostrzegasz jej dar obserwacji, szybkość decyzji, oraz wpływ na otoczenie, tylko że tłumaczysz to oczywiście błędnie, myślisz, że Frieda wykorzystuje to wszystko samolubnie, jedynie dla swego dobra lub dla złych celów czy też jako broń przeciwko tobie. Nie, Pepi, nawet gdyby Frieda miała takie strzały do wystrzelenia, to na tak bliską odległość nie mogłaby ich wystrzelić. Przez samolubstwo? Raczej można by powiedzieć, że poświęcając to co już miała, i to czego mogłaby się spodziewać, dała nam

obojgu szansę do okazania się godnymi wyższych stanowisk, my zaś zawiedliśmy jej oczekiwania i zmuszamy ją wprost do tego, by tu powróciła. Nie wiemy, czy tak jest, jak również i moja wina nie jest całkiem jasna, ale jeśli się z tobą porównuję, to coś w tym rodzaju mi świta. Wydaje mi się, że oboje ubiegaliśmy się zbyt usilnie, hałaśliwie, dziecinnie i bez żadnego doświadczenia o coś, co na przykład przy spokoju i rzeczowości Friedy jest łatwe, niepostrzeżenie łatwe do osiągnięcia. Ubiegaliśmy się przy pomocy płaczu, drapania i szarpania - jak dziecko, które szarpie za obrus i nic przez to nie uzyskuje, a jedynie ściąga na ziemię całą wspaniałość zastawy i czyni ją w ten sposób dla siebie na zawsze nieosiągalną. Nie wiem, czy tak jest w istocie, ale raczej jest tak niż tak, jak ty opowiadasz, to wiem na pewno.

- No tak - powiedziała Pepi. - Jesteś zakochany we Friedzie, ponieważ od ciebie uciekła, i nietrudno być w niej zakochanym, kiedy jej nie ma. Ale niech będzie tak, jeśli ci się to podoba. Miej sobie rację we wszystkim, nawet w tym, że mnie ośmieszasz. Co masz zamiar teraz zrobić? Frieda cię opuściła. Ani moje wyjaśnienia, ani twoje nie dają ci nadziei, że do ciebie wróci, a nawet gdyby miała wrócić, musisz tymczasem gdzieś się ulokować. Jest zimno i nie masz ani pracy, ani łóżka. Chodź więc do nas! Moje przyjaciółki ci się spodobają. Uprzejmimy ci pobyt. Będziesz nam pomagał w pracy, która dla dziewcząt jest oczywiście zbyt ciężka. My, dziewczęta, nie będziemy już zdane na własne siły, a w nocy nie będzie już nas nękał strach. Chodź do nas! Moje przyjaciółki również znają Friedę, opowiemy ci o niej różne historyjki, aż w końcu ci ona obrzydnie. No, chodź! Mamy również fotografie Friedy i pokażemy ci je. Wtedy Frieda była jeszcze skromniejsza niż dzisiaj, trudno ci ją będzie poznać, chyba po oczach, w których już wtedy coś się czaiło. No, przyjdiesz do nas?

- A czy to jest dozwolone? Przecież wczoraj wywołało to skandal, gdy przyłapano mnie w waszym korytarzu.

- Bo cię przyłapano. Lecz kiedy będziesz u nas, to cię nie przyłapią. Nikt nie będzie o tobie wiedział z wyjątkiem nas trzech. Ach, jak będzie wesoło! Już teraz życie wydaje mi się tam o wiele znośniejsze niż przed chwilą. Może nie stracę teraz tak wiele przez to, że muszę stąd odejść. Wiesz, i we trójkę nie było nam nudno. Gorzkie życie trzeba sobie osładzać. Już za młodu czynią nam je gorzkim, ale nasza trójka trzyma się razem i żyjemy sobie tak pięknie, jak się tylko da. Zwłaszcza Henrietta będzie ci się podobała, również Emilia. Już im

O tobie opowiedziałam. W takie historie tam się nie wierzy, jak gdyby poza naszą izdebką właściwie nic się dziać nie mogło. Jest tam ciepło i ciasno, i przytulamy się jeszcze ciaśniej do siebie. Nie, chociaż jesteśmy zdane tylko na siebie, nie obrzydliśmy sobie. Przeciwnie, jeśli myślę o moich przyjaciółkach, to prawie się cieszę, że do nich wracam.

Dlaczego mam szybciej awansować niż one? Łączyło nas właśnie poczucie, że dla wszystkich trzech przyszłość była tak samo zamknięta, ale w końcu wyrwałam się od nich, zostałam od nich odłączona. Wprawdzie nie zapomniałam o nich i najbliższą moją troską było móc dla nich coś zrobić. Moje własne stanowisko było jeszcze niepewne - choć nie wiedziałam, że było aż tak dalece niepewne - a już wstawiałam się przed zarządcą gospody za Henrietta i Emilią. Co do Henrietty, to zarządca był nawet dość ustępliwy, jednak co do Emilii, która jest od nas o wiele starsza, mniej więcej w wieku Friedy, nie robił mi żadnej nadziei. Ale pomyśl tylko, one nie chcą wcale odejść, wiedzą że życie, jakie tam się prowadzi, jest nędzne, ale już zrezygnowały, pocziwe dusze. Zdaje mi się, że ich łzy przy pożegnaniu ze mną były spowodowane przede wszystkim żalem, że muszę opuścić naszą wspólną izdebkę i wyjść na zimno - wszystko wydaje się nam zimne, co jest poza obrębem naszego pokoju - że będę musiała torować sobie drogę przez wielkie obce pokoje pełne wielkich obcych ludzi, i to tylko w tym celu, by jakoś to życie przeżyć, co przecież i dotąd udawało mi się w naszym wspólnym gospodarstwie. Moje przyjaciółki prawdopodobnie wcale się nie zdziwią, kiedy teraz wrócę, i tylko aby mi się przypodobać, trochę popłaczą nad moim losem, polamentują. Ale potem ciebie zobaczą i zauważą, że przecież dobrze się stało, iż byłam nieobecna. To, że będziemy teraz miały mężczyznę jako pomocnika i opiekuna, uszczęśliwi je, a zwłaszcza będą zachwycone, że wszystko musi pozostać w tajemnicy i że dzięki tej tajemnicy będziemy jeszcze ściślej ze sobą związane niż dotychczas. Przyjdź, proszę cię, przyjdź do nas, przecież to do niczego nie zobowiązuje, nie będziesz do naszej izdebki przykuty na zawsze, tak jak my. Kiedy z czasem nadejdzie wiosna i znajdziesz jakieś schronienie gdzie indziej, to jeśli ci się u nas przestanie podobać, będziesz mógł odejść. Tylko że tajemnicę będziesz musiał nadal zachować i nie zdradzić nas, gdyż wybiłaby wtedy nasza ostatnia godzina w gospodzie dla panów z zamku; poza tym będziesz musiał, kiedy już będziesz u nas, zachowywać ostrożność, nie pokazywać się nigdzie, zwłaszcza tam, gdzie uznamy to za niebezpieczne, i w ogóle stosować się do naszych wskazówek. To jedynie będzie cię obowiązywało, powinno ci zresztą na tym tak samo jak nam zależeć. Poza tym będziesz całkowicie niezależny. Praca, którą ci przydzielimy, nie będzie ciężka, nie potrzebujesz się tym martwić. A więc przyjdziesz?

- Jak daleko jeszcze mamy do wiosny? - spytał K.

- Do wiosny? - powtórzyła pytanie Pepi. - Zima bywa u nas długa, bardzo długa i monotonna. Na to jednak tu na dole się nie skarżymy, przeciwko zimie jesteśmy zabezpieczeni. No, ale kiedyś nadejdzie wiosna i lato i będą miały swój czas trwania. Jednak we wspomnieniach wiosna i lato wydają się teraz tak krótkie, jak gdyby trwały najwyżej dwa

dni i nawet w ciągu tych dwu dni, i to przy najpiękniejszej pogodzie, popada jeszcze czasem śnieg.

Nagle otworzyły się drzwi, Pepi drgnęła, w myślach zbyt już oddaliła się od szynkwasu, ale nie weszła Frieda, lecz żona zarządcy gospody. Zarządczyni okazała zdziwienie, że K. jeszcze tu zastała. K. usprawiedliwiał się tym, że czekał na nią, a równocześnie dziękował za to, że pozwolono mu tu przenocować. Żona zarządcy nie zrozumiała, dlaczego na nią czekał. K. wyjaśnił, że odniósł wrażenie, iż chciała z nim jeszcze porozmawiać, i prosi o przebaczenie, jeśli się pod tym względem omylił. Zresztą musi już naprawdę iść, gdyż za długo przebywa poza szkołą, gdzie jest przecie woźnym. Wszystkiemu są winne wczorajsze wezwania do urzędu, on zaś ma jeszcze zbyt mało doświadczenia w tych sprawach. Drugi raz już się to na pewno nie powtórzy, by pani zarządczyni miała z jego winy takie nieprzyjemności jak wczoraj. Po czym uklonił się i chciał odejść. Żona zarządcy obrzuciła go spojrzeniem, jak gdyby była pogrążona we śnie. Tym spojrzeniem K. został dłużej zatrzymany niż pragnął. Potem uśmiechnęła się lekko i spostrzegłszy dopiero teraz zdziwioną twarz K., jakby się ocknęła. Wydawało się, iż oczekuje odpowiedzi na swój uśmiech i dopiero teraz, kiedy tej odpowiedzi nie było, obudziła się na dobre.

- Wczoraj, jak mi się zdaje, miałeś czelność mówić coś o mojej sukni. K. nie mógł sobie tego przypomnieć.

- A więc nie możesz sobie przypomnieć? Do czelności dołączasz jeszcze tchórzostwo.

K. usprawiedliwiał się wczorajszym swoim zmęczeniem; być może, że coś wczoraj napłótl, w każdym razie teraz nie może sobie nic przypomnieć. Cóż zresztą mógł był powiedzieć o sukniach pani zarządczyni? Mógłby najwyżej powiedzieć, że są takie ładne, jakich jeszcze nigdy nie widział. W każdym razie nie widział jeszcze nigdy żadnej zarządczyni gospody w takich sukniach przy pracy.

- Daj spokój z tymi uwagami! - rzekła porywczo żona zarządcy. - Nie chcę już od ciebie słyszeć ani słowa o sukniach. Nic cię moje suknie nie powinny obchodzić. Wypraszam to sobie raz na zawsze.

K. skłonił się jeszcze raz i skierował ku drzwiom.

- Co to ma znaczyć! - krzyknęła za nim żona zarządcy. - Czy nie widziałeś jeszcze żadnej zarządczyni gospody w takiej sukni przy pracy? Co mają znaczyć tego rodzaju bezmyślne uwagi? To przecież jest pozbawione wszelkiego sensu. Co chciałeś przez to powiedzieć?

K. obejrzał się i poprosił, by się tak nie unosiła. Oczywiście, jego uwagi są bezsensowne. Zresztą on się wcale nie zna na sukniach. W jego sytuacji każda niepoczerowana

i czysta suknia wydaje mu się drogocenna. Jedynie zdziwił się, kiedy zobaczył panią zarządczynię tam w korytarzu po nocy wśród tylu na pół ubranych mężczyzn, w tak pięknej sukni wieczorowej, nic ponadto. - A więc jednak! - powiedziała zarządczyni. - Nareszcie wydaje się, że przypomniałeś sobie o zrobionej przez siebie wczoraj uwadze. A teraz uzupełniasz ją dalszym bezsensu. Że wcale się na sukniach nie znasz, to prawda. Tedy przestań, o to cię usilnie proszę, wydawać sądy, jakie suknie są drogocenne lub nieodpowiednie, bo wieczorowe itd. Ty w ogóle - w tym miejscu wydało się, że przeszedł ją dreszcz

- nie powinienes mieć nic wspólnego z moimi sukniami, słyszysz? A kiedy K. znów chciał oddalić się w milczeniu, zarządczyni spytała:

- Skąd w ogóle bierze się to twoje znawstwo sukien?

K. wzruszył ramionami, nie cechowało go żadne znawstwo.

- Jeśli się nie znasz - rzekła zarządczyni - to nie powinienes się chwalić, że się znasz. Przyjdź do kancelarii, coś ci tam pokażę, a wtedy miejmy nadzieję, pożegnasz się ze swoją bezczelnością raz na zawsze. - I poszła naprzód. Pepi podbiegła do K. pod pozorem przyjęcia od niego zapłaty, i szybko się ze sobą porozumieli, co zresztą było łatwe, gdyż K. znał podwórze, którego brama wychodziła na boczną ulicę. Przy bramie była mała furteczka, za którą Pepi obiecała za godzinę stanąć i na trzykrotne pukanie furtkę otworzyć.

Prywatna kancelaria zarządcy znajdowała się naprzeciwko izby z szynkwasem, trzeba było tylko przejść przez sień. Zarządczyni stała już w jasno oświetlonej kancelarii i czekała niecierpliwie na K. Była jednak jeszcze jedna przeszkoda. Gerstacker czekał w sieni i też chciał z K. porozmawiać. Nie było łatwo go się pozbyć, ale zarządczyni w tym pomogła i nawet zganiła Gerstackera za jego natręctwo.

- Dokądże to, dokąd? - dało się jeszcze słyszeć donośne pytanie Gerstackera za zamkniętymi już drzwiami i słowa te pomieszały się szkaradnie z jego sapaniem i kaszlem.

Kancelaria była malutkim, przegrzanym pokoikiem. Przy krótszych ścianach stały pulpity i żelazna kasa, przy dłuższych zaś

- olbrzymia szafa, która nie tylko zajmowała całą dużą ścianę, ale była tak głęboka, że wypełniała sobą prawie cały pokój. Aż troje rozsuwanych drzwi trzeba było, by ją całkowicie otworzyć. Zarządczyni wskazała K. miejsce na otomanie, prosząc by usiadł, sama-zaś usadowiła się na kręconym taborecie przed pulpitem.

- Czyś nie uczył się krawiectwa? - spytała.

- Nie, nigdy - odparł K.

- A czym ty właściwie jesteś?

- Geometrią.

- Co to jest?

K. wyjaśnił, ale wyjaśnienie wywołało u niej tylko ziewanie.

- Nie mówisz prawdy. Dlaczego nie mówisz prawdy?

- I ty nie mówisz prawdy.

- Ja? Znowu zaczynasz z tą twoją bezczelnością? A jeśli bym me mówiła prawdy, to czy muszę się z tego przed tobą usprawiedliwiać? I na czym polega ta moja nieprawda?

- Nie jesteś tylko zarządczynią gospody, jak twierdzisz.

- Patrzcie go! Co za odkrywca! A więc czym jeszcze jestem? Twoja bezczelność przebiera naprawdę wszelką miarę.

- Nie wiem, czym jesteś. Widzę tylko, że jesteś zarządczynią gospody, lecz nosisz suknie, jakie dla zarządczyni gospody są nieodpowiednie i jakich, o ile wiem, nikt tu we wsi nie nosi.

- A więc teraz przechodzimy do sedna sprawy. Nie możesz tego przemilczeć, choć może nie jesteś wcale bezczelny. Jesteś po prostu jak dziecko, które ubrdało sobie jakieś głupstwo i nie ma sposobu, by je zmusić do milczenia. A więc gadaj! Na czym polega osobliwość tych sukien?

- Rozgniewasz się, kiedy ci to powiem.

- Nie, będę tylko się śmiała, bo to przecie będzie tylko dziecięca paplanina. A więc jakie są te suknie?

- Chcesz wiedzieć. Otóż są one z dobrego materiału, bardzo kosztowne, ale już niemodne, przeładowane, często przerabiane i znoszone, a przy tym nie pasują ani do twoich lat, ani do twojej figury, ani też do twego stanowiska. Zwróciły one moją uwagę gdy cię ujrzałem pierwszy raz. Było to mniej więcej tydzień temu, tutaj w sieni.

- A więc teraz wiemy, o co chodzi! Są już niemodne, przeładowane i co jeszcze? A skąd możesz o tym wszystkim wiedzieć?

- Po prostu widzę, nie potrzebuję do tego żadnej nauki.

- A więc po prostu widzisz. Nie potrzebujesz nigdzie pytać i wiesz od razu, jakie są wymagania mody. W takim razie będziesz dla mnie niezastąpiony, gdyż do pięknych sukien mam rzeczywiście słabość. A co powiesz na to, że ta szafa pełna jest sukien? - Mówiąc to odsunęła rozsuwane drzwi i ukazały się suknie jedna przy drugiej, gęsto zawieszane przez całą szerokość i głębokość szafy. Były to przeważnie ciemne, popielate, brązowe i czarne suknie, wszystkie starannie powieszone i rozpostarte. - Oto moje suknie, wszystkie niemodne i przeładowane, jak twierdzisz. Ale są to tylko suknie, dla których na gorze w moim pokoju

nie ma już miejsca. Tam stoją jeszcze dwie szafy pełne sukien, dwie szafy, każda z nich prawie równie wielka jak ta oto. Dziwi cię to?

- Nie - odparł K. - oczekiwałem czegoś podobnego, mówiłem przecież, że nie jesteś tylko zarządczynią gospody, zmierzasz do czegoś innego.

- Zmierzam tylko do tego, aby się pięknie ubrać, a ty jesteś albo błaznem, albo dzieckiem, albo bardzo złym i niebezpiecznym człowiekiem. No, a teraz idź sobie!

K. był już w sieni; Gerstacker znowu trzymał go za rękaw, kiedy zarządczyni w ślad za nim wołała:

- Jutro znowu dostanę nową suknię, może więc każę cię wezwać.

Franz Kafka urodził się 3 lipca 1883 roku w Pradze w rodzinie żydowskiego kupca, który własną ciężką pracą osiągnął dobrobyt, a literaturę, jedyną pasję swego syna, miał w głębokiej pogardzie. Mocna osobowość ojca, kochanego i nienawidzonego równocześnie, ciążyła nad całym życiem Kafki - od dzieciństwa czuł się samotny, wyobcowany z otoczenia, nękany wyrzutami sumienia. Źródłem udręki była dla niego praca narzucona przez ojca. Po ukończeniu studiów prawniczych został urzędnikiem firm ubezpieczeniowych. Z powodu wątłego zdrowia przebywał często w uzdrowiskach włoskich, francuskich, szwajcarskich; w roku 1917 zapadł na gruźlicę, wkrótce przerwał pracę urzędniczą i mógł wreszcie poświęcić się literaturze. Znajomość i pierwsze narzeczeństwo z Felice Bauer datują się z roku 1914, drugie, również zerwane, z 1917. W roku 1920 Kafka poznał swoją wielką miłość, Milenę Jesenską, literatkę i dziennikarkę czeską. Ostatnie dwa lata spędził z głęboko mu oddaną młodziutką dziewczyną polskiego pochodzenia, Dorą Dy-mant. Umarł 3 czerwca 1924 roku w sanatorium Kierling pod Wiedniem.

Pierwsze prace literackie Kafki: „Opis walki” i „Przygotowania do ślubu na wsi” pochodzą z roku 1907. Pierwsze utwory publikuje w czasopismach w roku 1909. W roku 1912 rozpoczyna pracę nad powieścią „Ucieczka”, pierwszą wersją późniejszej „Ameryki”. Wtedy też pisze opowiadania „Wyrok” i „Przemianę”. W roku 1913 wydaje pierwszą książkę, zbiór opowiadań pt. „Betrachtung”. W tymże roku publikuje „Palacza”, który będzie pierwszym rozdziałem „Ameryki”. W roku 1914 rozpoczyna pracę nad „Zamkiem”, „Procesem” i „Kolonią karną”. W roku 1919 publikuje

„Kolonie karną” i „Lekarza wiejskiego”. Z ostatnich lat życia pisarza pochodzą utwory „Jama” i „Badania psa”.

W poczuciu własnej twórczej niedoskonałości i niedoskonałości literatury, która nie dawała mu odpowiedzi na nurtujące go pytania, Kafka nie dokończył żadnej z trzech swoich powieści: „Procesu”, „Zamku”, „Ameryki”. Zostały one, podobnie jak „Dzienniki 1910-1923”, „Listy do Mileny” i niektóre opowiadania, wydane pośmiertnie wbrew woli autora, który w testamencie adresowanym do najbliższego przyjaciela Maxa Broda polecił mu spalić wszystkie swoje rękopisy, dzienniki, listy i rysunki, a nawet zakazał wznawiania utworów już publikowanych. Tak więc ten wielki pisarz, za życia prawie nieznany, sławę, i to zawrotną, zyskał dopiero po śmierci.

Bezsporna jest rola Kafki w rozwoju dwudziestowiecznej literatury. Odrzucił on tradycyjne konwencje prozy: opisowość, fabułę, psychologię, i wprowadził wieloznaczne,

paraboliczne obrazy ukazujące tragiczny los jednostki w świecie. Bohaterem jego jest człowiek skazany na udrękę samotności, zmagający się beznadziejnie z anonimowymi siłami, które zagrażają ludzkiemu istnieniu. Wieloznaczność Kafkowskich paraboli sprawia, że twórczość tego pisarza należy do najbardziej kontrowersyjnych w dziejach literatury. Przyznają się do niego zarówno egzystencjaliści, jak i zwolennicy idealistycznych poglądów na świat. Lektura Kafki stanowi dla każdego czytelnika własną, niepowtarzalną intelektualną przygodę.

W „Zamku” powtarza się sytuacja charakterystyczna dla Kafki: jego bohater, zwalczając piętrzące się przeszkody, z najwyższym wysiłkiem dąży do osiągnięcia upragnionego celu. Chociaż Kafka i tej powieści nie dokończył, to jednak wiadomo, że w ostatniej scenie miało nadejść od administracji zezwolenie, by K. pozostał we wsi. Ale dokument ten miał go zastać już na łożu śmierci.